

STAY WSTRAZYMANIA

CHARLES
STROSS



Charles Stross
Stan wstrzymania

Halling state

Przełożył
Wojciech M. Próchniewicz



*Pamięci firmy Datacash Ltd. i wszystkich,
którzy w latach 1997-2000 nią żeglowali.*

Spis treści

Podziękowania

Prolog: Wiemy, gdzie mieszkasz, wiemy, gdzie twój pies chodzi do szkoły

Sue: Grand Theft Automatic

Elaine: Wrabianie

Jack: Steaming

Przerywnik: CIA World Factbook, 2017

Sue: Wyrabianie nadgodzin

Elaine: Śmierć albo kawa

Jack: Zemsta płała mamusinego

Sue: Świat Wayne'a

Elaine: Katastrofalny spadek wartości marki

Jack: Język->chlapnij(głupota)

Sue: Uzyskiwanie dostępu

Elaine: Być konstruktywną

Jack: W Piekło

Sue: Doradca ds. pomocy dla ofiar przestępstw

Elaine: Wrobiona

Jack: Knowania w lochach

Sue: Dziupła

Elaine: Partyjka Szpiegów

Jack: Białkowa maszyna

Sue: Ciężki kaliber

Elaine: Samotna pod kopułą

Jack: To nie jest gra

Sue: Psy w składzie porcelany

Elaine: System Pada, Giną Ludzie

Jack: Klauzula przeciw wariatom

Sue: Tuszowanie

Elaine: Szanghajowanie

Jacek: Przestępca seksualny

Sue: Zaginieni w akcji

[Elaine: Dzień po](#)

[Jack: Gra na zwłoki](#)

[Sue: Zarządzanie kryzysowe](#)

[Elaine: Dżentelmen i gracze](#)

[Jack: Dziewczyna Schrödingera](#)

[Sue: Plany dla Nigela](#)

[Elaine: Rąbanka z zombiaków](#)

[Jack: Diabełek z pudełka](#)

[Sue: Ugoda prokuratorska](#)

[Epilog: Bankowiec Martin Mase](#)

Podziękowania

Książki nie powstają we wzniostym odosobnieniu i ta powieść nie jest tu wyjątkiem. Z całą pewnością nie przybrałaby swojego obecnego kształtu bez cennego wkładu licznych czytelników. Osobnymi podziękowaniami chciałbym wyróżnić zwłaszcza następujące osoby: Vernora Vinge, Hugh'a Hancocka, Grega Constikyana, Rona Avitzura, Erica Raymonda, Tony'ego Quirke, Roberta Sneddona, Paula Fridaya, Dave'a Busha, Alexandra Chane'a Austina, Larry'ego Colena, Harry'ego Payne'a, Treya Palmera, Dave'a Clementsa, Andrew Veitcha, Hannu Rajaniemi, Soona Lee i Jarroda Russella. Pragnę również podziękować pozostałym wczesnym czytelnikom, zbyt licznym, by ich dziś wymieniać. Dziękuję także osobom z branży wydawniczej, bez których nie byłbym w stanie tej książki napisać: mojej agentce Caitling Blasdel, redaktorze z wydawnictwa Ace, Ginjer Buchanan oraz korektorom – Bobowi i Sarze Schwagerom.

Prolog: Wiemy, gdzie mieszkasz, wiemy, gdzie twój pies chodzi do szkoły

Rzekomo od: rekrutacja@NIE_ODPOWLADAJwlasciwyczlowiek.com

Temat: Do: Nigel – oferta pracy

Autopodsumowanie: oferta pracy, lekko niepokojąca

Waga spam: prawd. 70%, ale warto rzucić okiem

Dzień dobry. Tu firma Właściwy Człowiek na Właściwym Miejscu. W imieniu jednego z naszych klientów chcielibyśmy zaproponować Ci pracę.

Nie wysłałeś nam CV? Oczywiście, że nie – to należy do nas! Nigel, my wiemy o tobie wszystko. Skończyłeś matematykę i informatykę na Edinburgh University, masz 29 lat i słabo płatną pracę. Od roku i czterech miesięcy jesteś zatrudniony w SprocketSource, od trzech miesięcy czekasz na zaległą rozmowę o podwyżce. Dzięki swoim umiejętnościom programowania w Zone/Pythonie 3000 i doświadczeniu w rozproszonych systemach walki wyrobiłeś sobie znakomitą pozycję na forach WorldDEV i HackSlashBurn, ale czy to obchodzi twój bezpośredniego kierownika? Nie. Bill ma to gdzieś. Nie docenia Cię jak należy. I ma swój powód.

My w firmie Właściwy Człowiek na Właściwym Miejscu nie zadowolamy się biernym grzebaniem w bazie danych z nudnymi cefalkami, na podstawie zdawkowego opisu stanowiska u klienta. My instalujemy w ich sieci Google’owską maszynkę do indeksowania, budujemy na jej podstawie Mapę Semantyczną™ ich wewnątrzfirmowych dialogów, a potem wykorzystujemy naszą rewolucyjną technologię rozproszonych agentów TropKandydata™, aby wyszukać w sieci potencjalnych kandydatów. A kiedy ich znajdziemy, wiemy jak ich zmotywować. Na przykład tak:

Zastanawiałeś się, czemu twój kierownik nie zwraca na Ciebie uwagi, choć zapewne zauważyłeś, że Twoja koleżanka, Sonia Grissom, ostatnio ciągle siedzi do późna. I przestała zwracać na Ciebie uwagę. No i macie szlaban na zatrudnianie.

Czego nie wiesz – bo nie masz dostępu do technologii rozproszonych agentów TropKandydata™ – że kłamliwy syfiarz, którego masz za szefa, sypia ze swoją młodszą programistką systemów walki i szuka pretekstu, żeby Cię wywalić i awansować ją na Twoje miejsce. Sonia jest zwierzęciem korporacyjnym, a Ty nie. Nie masz okresu wypowiedzenia, bo nie przepracowałeś jeszcze dwóch lat, a gościa, który dał się skądś zredukować, nikt nie chce zatrudnić. Będziesz w branży nikim.

Spójrz prawdzie w oczy: w tej robocie nie masz przyszłości.

Jest jednak alternatywa.

Nigel, przyjacielu: jesteś dokładnie taką osobą, jakiej szuka nasz klient, międzynarodowa firma doradcza z branży gier. (A jeśli nie, zapłacimy Ci 2000 EUR za jednodniową sesję, w trakcie której pomożesz znaleźć błąd w naszej analizie danych).

Twoja obsesja na punkcie modulacji pętli sprzężenia zwrotnego ośrodka przyjemności, a także rezerwa częściowych w bankowości magicznej – czego Bill kompletnie nie rozumie – to miód na serce naszego Klienta. Inne punkty Twojego portfolio także są atrakcyjne. Wskaźnik SatisFactor™ naszego TropKandydata™ estymuje 72% prawdopodobieństwo, że wejdiesz w synergii z ich koewolucyjnym zespołem operacyjnym, zwiększające się do 89%, jeśli pozwolą Ci pracować zgodnie z Twoją preferencją, tj. z domu, z wykorzystaniem awatara do kontaktów z klientami. To nie jest dla nich problemem i na tej podstawie udzielili nam zgody na zaoferowanie Ci podwyżki o 25% oraz okazałego pakietu opcji. Już nie mówiąc o okazji, żeby dać Billowi takiego kopa, że przez wiele lat będzie zbierał zęby.

Aby zgłosić swoją kandydaturę, albo umówić się na jednodniową sesję konsultacyjną płatną 2000 EUR, odpowiedz po prostu na tego maila...

Priorytet ma, kurka, cztery. Może powinna być trójka, ale dyżurny dał jej kopa w dół; sprawa została wdzwoniona jako jedynka, ale obywatel, który dzwonił, wyglądał na naćpanego, nieprzytomnego, czy coś – w każdym razie bez stuprocentowego kontaktu z rzeczywistością. Dlatego spuścili ją z trójki („patrol pojawi się na miejscu najszybciej jak można”) na czwórkę („w jakieś cztery godziny ktoś wpadnie i zbierze zeznania, jak nie będziemy mieć nic lepszego do roboty”), z tajemniczym dopiskiem („Zgł. coś bredzi o orkach i smokach. Leków nie wziął? Ale Zgł. 2 też. Oba nie wzięli leków?”).

Potem jakiś bystrzak w dyspozytorni popatrzył na położenie miejsca przestępstwa w CopSpace i dopisał, że dzwonił z dawnego schronu atomowego na Corstorphine, oznaczonego jako Ważny Obiekt przez kogoś tam z Bezpieczeństwa Narodowego. I do tego zadzwonił dzwonek u inspektora McGregora i kompletnie zepsuł twoje spokojne czwartkowe popołudnie.

Masz za sobą cztery godziny szczytu, wytchnienia po dwóch tygodniach nocnej roboty przy bijatykach pijaków na Lothian Road i domówkach na Craiglockhart. Robota w dzień po drugiej stronie miasta miała być ulgą, inne sprawy i na ogół mniej brutalne. Dziś rano załatwiałaś: dwa wezwania do kradzieży w sklepie, ganianie śmiejących, parę wizyt w zastępstwie dzielnicowego i od dwóch godzin powinnaś być w bazie, żeby nagrać oświadczenie do sądu elektronicznego w sprawie seryjnego włamywacza, nad którym pracowałaś. Oprócz tego, robisz za niańkę dla Boba, stażysty świeżo po szkole policyjnej, żółtodzioba o dziobie żółtym jak coś bardzo żółtego. Więc to nie tak, żebyś siedziała i się nudziła, ale przynajmniej są to mało stresujące rzeczy.

Kiedy Mac wysłała ci wiadomość, właśnie spędziłaś pół godziny nad papierologią w Starbucksie na Corstorphine High Street, z pomocą dużej latte i pochłoniętego ukradkiem glazurowanego obwarzanka. Mary cały czas mendzi, że masz uważać na serce, odkąd rok temu zrobiliście sobie test DNA („coby mały wiedział, że mamusi jeszcze se trocha pożyjom”), a słuchając jej gadania, można by pomyśleć, że cukier rafinowany miesza ją z cyjanowodorem. Ale jak dostaniesz wezwanie, nie możesz sobie pozwolić na zdenerwowanie związane z niskim cukrem, a poza tym te cholerstwa o wiele lepiej smakują, kiedy są niedozwolone. Dlatego napychasz sobie policzki jak świrnięty chomik i bazgrzesz w powietrzu czubkiem lepkiego palca, gdy przed ekspresem wyskakuje ci okienko.

Sue, tu Mac.

Korzysta z rejestrowanego do celów dowodowych kanału CopSpace, co znaczy, że sprawa jest służbowa. Wal się, myślisz, zapisując w połowie wypełniony formularz i przełączając okienka.

Jestem. Dawaj.

Z ponurą miną patrzysz na niedopitą latte, potem zerkasz z ukosa na Boba. Bob unosi brew.

Mam 4 dla ciebie. Dziwnie wygląda. Zajmij się zaraz.

Konwulsyjnie przełykasz ślinę i bierzesz haust zbyt gorącej kawy, parząc sobie podniebienie. Boli jak nie wiem – już wiesz, że do wieczora zaczniesz ci tam schodzić skóra, kiedy ją potrzebujesz językiem.

Wyślij zgłoszenie.

Melodyjny brzęk znad drzwi i na twoim pulpicie pojawia się ikonka poczty.

Biorę, odpisujesz, rzucając latte ostatnie tęskne spojrzenie.

– Bob? Mamy wezwanie.

– Co, szefowo...? – Bob unosi filiżankę i chowa rzeczy, nad którymi pracował, czyli pewnie pasjansa.

– Dokończ se po drodze, na bombach nie jedziem.

Wychodząc z kawiarni, wysyłasz mejla. Bob idzie za tobą. Kiedy wsiadacie do wozu, po drugiej stronie ulicy nad budynkami wyświetla się wskaźnik celu, ledwo widoczny, kręcący się rombik.

Na miejsce zgłoszenia nie jest z Corstorphine daleko, ale trzeba jechać stromo w górę Drum Brae, ciasno pomiędzy domkami jak pudełka od butów na dole i wirującymi młynkami modlitewnymi farmy wiatraków na szczycie. Gdy zaczynasz znowu zjeżdżać w dół, niepokoisz się, że z mapą jest coś nie tak – mówi „za sto metrów w prawo”, a tam widać tylko zagajnik miejskiej bioróżnorodności.

– A co to miało być? – pyta Bob.

– No nie wiem. Szefu mówił, że coś dziwnego. – Czujesz błysk irytacji, ale na twojej zmianie brakuje dziś jednej załogi, czyli byłby to głupi czas na robienie kawałów, i dokładnie w tym momencie dostrzegasz prowadzący między drzewa wjazd, a okulary błyskają zielono.

– Ej no, zobacz tę działkę!

Na końcu podjazdu parkuje parę samochodów, a ponieważ Zarząd Lasów nie rozdaje pracownikom bentleyów i maserati, można się domyślać, że jesteście na miejscu. Jednakże budynek, przed którym parkują, mocno kontrastuje z wypasionymi furami: bardziej przypomina szalet publiczny z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku niż biuro jakiejś firmy – cztery betonowe ściany podpierające płaski, pozbawiony charakteru dach, który jakby krzyczał:

„Azbest!”, z całą siłą, na jaką stać jego sapiące, zryte międzybłoniakiem płuca. Może to jakiś modny klub dla homo z tych nowych firm? Kręcisz głową i wysiadasz, poklepując słuchawkę w uchu, żeby telefon nadstawił ucha:

– Jesteśmy na miejscu, czas: teraz. Zapis dowodowy start.

Zapis i tak idzie; wszystko, co widzisz na służbie, trafia do czarnej skrzynki, ale po takich głosowych znacznikach daje się wyszukiwać. Dzięki temu zdarzenie nie zgubi się w twoim życiodzienniku. Bob idzie przy nodze jak grzeczny szczeniak. Osiem tygodni po dyplomie, ratunku. Dobrze, że chociaż czystości go nauczyli.

Drzwi do biura to płyta błyszczącego zielonego plastiku z odzysku, odsuwająca się automatycznie, gdy podchodzisz, i ukazująca recepcję, kompletnie nie przypominającą szaletu publicznego. Czyli nici z jakiejś afery między homo. Oświetlenie jest gustowne, bielona sosna nieskazitelnie ekologiczna, a na pustym kontuarze recepcji stoi ekran wielkości Teksasu, wyświetlający oszałamiającą demówkę ze świata jakiejś gry sieciowej, z nałożonym napisem „HAYEK ASSOCIATES PLC.”. Pilnuje pojedynczych, stalowych drzwi do windy z czytnikiem linii papilarnych. Oczywiście. Ale przynajmniej wiadomo teraz, że to nie będzie jakaś cholerna pogadanka prospołeczna. Takich masz aż potąd, w końcu jesteś jednym z nielicznych sierżantów w Dywizji C, którzy są otwarciem heteroseksualni inaczej.

– Jest tu ktoś?! – wołasz, niecierpliwie kołyszając się na obcasach.

Drzwi windy otwierają się z szelestem i wychodzi obywatel, pędzi ku tobie i załamuje dłoń:

– To straszne, straszne! Czemu tak długo? To potworna katastrofa!

– Spokojnie. – Celujesz w niego nastawionymi na pełne nagrywanie okularami.

Rejestrują: jeden obywatel, mężczyzna, rasy białej, 185 cm wzrostu, 80 kg wagi, krótkie włosy, drogi z wyglądu garnitur, koszula bez krawata, wzburzony, ale trzeźwy. Jest w tym trudnym do określenia przedziale wiekowym między 25 a 45, przyzwyczał się mieć wszystko pod kontrolą, ale teraz jesteś tu najbliższym przedstawicielem władzy, więc ucieka się do naiwnej wiary dziesięciolatka. (Albo to, albo się boi, że go aresztujesz za publiczne okazywanie emocji bez dramatycznej koncesji). Widać, że nie jest przyzwyczajony zadawać się z policją. I w tą stronę trzeba grać.

– Poproszę pana dokumenty.

– Moje dokumenty? Mam... eee... zostawiłem na dole w biurze, ale mogę pokazać... – Trzepocze bez celu dłońmi w poszukiwaniu nieistniejącej klawiatury. – Tak w ogóle, to jestem Wayne, Wayne Richardson, dyrektor marketingu. – Wayne Richardson, dyrektor marketingu ewidentnie nie jest przyzwyczajony nie panować nad sytuacją. Wyraz twarzy ma przepiękny,

jakbyś mu pokazała, że ma rozpięty rozporek i widać mu opaskę na fiucie. – Wszy-wszyscy są w sali zarządu, czekaliśmy na panią. Mogę, tego... panią zaprowadzić, pani konstabl...?

Rzucasz mu niezbyt ciepły uśmiech.

– Sierżant Smith, Komisariat Meadowplace. A to jest konstabl Lockhart.

Richardson ma na tyle przyzwoitości, by zrobić zażenowaną minę.

– Zgłaszaliście kradzież, ale trochę niejasne jest dla mnie, co skradziono. – Raz jeszcze wymrugujesz formularz zgłoszenia. No tak, to jeden z tych dwóch gości, których namiary spisał dyżurny. Coś z jakimś sejfem, czy skarbcem. Skarbcami. – Kto zauważył zniknięcie przedmiotu? Pan?

– Nie, nie ja, cały zespół od bezpieczeństwa obrotu! – Patrzy na ciebie wytrzeszczonymi oczyma, jakby się bał, że nazwiesz go kłamcą, albo czymś podobnym. – Było na wszystkich ekranach, nie dało się tego przegapić... tylko w naszej partycji muszą być tysiące świadków! – Macha w kierunku windy. – W sali zarządu mamy teraz naradę kryzysową. Zarejestrowaliśmy włamanie, więc może pani sama zobaczyć.

Oglądali włamanie na monitorach, zamiast coś zrobić? Kręcisz głową. Niektórzy staną na rżęsach, żeby uniknąć procesu o odszkodowanie, jakby większym problemem niż sama kradzież był złodziej, który potknie się na dywanie i wleci łbem do mikrofali. A może dyżurny miał rację? Leków nie wzięli i głowy też zapomnieli.

– Prowadzi pan do tej sali. – Kiwasz na Boba, który wykonuje powolną panoramę hallu, zanim ruszy za mną.

– Ja właśnie wyszedłem z naszego poemisyjnego spotkania z Marcusem i Barrym, to nasi CEO i CTO. Mieliśmy trójstronnego konfkoła z gośćmi od relacji inwestorskich naszego VC i naszym konsultingiem z południa, kiedy zadzwoniła do mnie Linda – zajmuje się pochodnymi i kontrolą graniczną – powiedziała, że coś podejrzanego robi się w jednym świecie Kensu International, którym administrujemy. To prestiżowy bank centralny w Avalonie 4. Przyszedł oddział orków – do strefy wyłączonej z walki – i pieprzony smok, i wyczyścili nam bank. Więc pomyśleliśmy, że do was zadzwonimy.

Winda staje, a ty gapisz się na Wayne'a Richardsona, dyrektora marketingu, z lekkim niedowierzaniem. Slang może zaczekać na później, od czego jest zapis do logu. Ale jedna nazwa gdzieś ci dzwoni – Mary mówiła, że Davey męczy ją, żeby założyła mu konto...

– Avalon 4? To nie jakaś gra?

Przełyka ślinę i kiwa głową.

– Nasza główna krowa żywicielka.

Drzwi otwierają się na podziemny korytarz. Sufit przecinają potężne betonowe belki,

pomalowane grubo na biurokratyczny kremowy kolor i jest zadziwiająco zimno. Po każdej stronie rzędy drzwi z bielonej sosny, u góry kanał z kablami, na ścianach plakaty z napisem „PST, WRÓG SŁUCHA”. Przez chwilę zastanawiasz się, czy nie trafiłaś do jakiejś gry fabularnej na żywo, może rekonstrukcji epoki zimnej wojny? Ale wtedy telefon ci popiskuje, że stracił zasięg.

– O, pani sierżant? – pyta Bob.

– Wiem, wiem – mruyczysz. Pewnie jesteś za głęboko pod ziemią, albo nie mają tu publicznej sieci, albo coś. Wysiłkiem woli postanawiasz się tym nie przejmować. – Słaby tu zasięg, może będę zmuszona korzystać z rysika – ostrzegasz Richardsona, wyciągając służbowy telefon dowodowy. – Więc może cza będzie wolniej mówić albo do czegoś wrócić. Zeznanie, początek. Na miejscu przestępstwa... – terkoczesz wstęp do widzianych kąciem oka rubryczek. – Świadek Wayne Richardson, dyrektor marketingu.

Prowadzi cię korytarzem do otwartych drzwi, zza których dobiegają podniesione głosy ludzi z akcentami z wyższych sfer, przerywające sobie w ożywieniu. Po obu stronach stoją rośliny w doniczkach, nieco przywidłe mimo skierowanych wprost na nie dziennych lamp.

– Ehem – odchrząkujesz i rozmowa w sali konferencyjnej odpływa w nieskoordynowaną ciszę, gdy wsuwasz głowę przez drzwi.

Bob za tobą wyciągnął i odpalił obie ręczne kamerki oraz kamerkę na głowie i omiata pokój jak skrzyżowanie Samotnego Strzelca i napalonego na gwiazdy paparazzo: policyjna robota wygląda teraz zupełnie inaczej niż za czasów tatusia. Później trzeba będzie pogadać z chłopakiem, przypomnieć mu, że jest gliniarzem, nie filmowcem.

Pośrodku sali stoi bajerancki stół z przezroczystego plastiku, rozszczepiającego światło na miriadę krzyżujących się tęczy, mnóstwo światła – może to i loch, ale te przygłupy mają tu diod o dziennym widmie tyle, co papieże świeczek. Fotele dookoła są równie odbajerzone: wyglądają jak wyciągnięte z dywizjonu naddźwiękowych myśliwców, tylko że lotnicze katapulty przeważnie nie mają kółek i zawieszania na sprężynie gazowej. Smutek, że ich użytkownicy tak je traktują. Jest ich sześcioro. Dwa oślizłe robale w gajerach po dziesięć tysięcy euro zajmują cały koniec stołu swoimi tabletami – symbolami statusu. To ci tak się na siebie darli, póki cię nie zauważyli. Zero krawatów, może tak mówi regulamin. Jest i lasia w gajerze, ale za młoda, żeby być decyzyjna. Sekretarka/asystentka, zgadujesz. A pozostali goście to komputerowcy, od razu widać. Niby nie mają na głowach czerwonych mrugających światełek, ale dwaj są w sandałach, a trzeci... Widząc trzeciego, ubolewasz, że twoja Podręczna Baza Wykroczeń nie ma paragrafów na wykroczenia przeciw modzie: od pasków na jego koszuli robi ci się w okularach interferencja, a w kamerce dowodowej też pojawia się

paskudna mora.

– Ehem – powtarzasz, wstrzymując akcję, i wbijasz wzrok w Wayne’a Richardsona, dyrektora marketingu. Niech on to załatwi.

– O, tak, przepraszam. – Richardson reaguje na sygnał. – To są, eee... sierżant Smith i konstabl Lockhart. Pani sierżant chce zebrać zeznania.

– Wystarczy – wtrącasz się. – Może pan wszystkich przedstawić? A potem lepiej powiedzcie, co się tam naprawdę stało.

– Tego... no jasne. – Richardson najpierw wskazuje garniturowców z rozcięciami na pletwy grzbietowe: – Marcus Hackman, prezes.

Hackman łypie na Richardsona spode łba, jakby zdejmował z niego miarę na betonowe buciki, ale zaledwie przez sekundę. Potem zwraca swój urok na ciebie, ze skinieniem głowy i szerokim, białym uśmiechem ukazującym ze dwieście tysięcy dolców w amerykańskiej protetyce. Pewnie zainstalował to sobie w gębie, bo to jedyny sposób, żeby bachory nie spieprzały z wrzaskiem, zanim je pożre. Wayne, dzwoniąc po policję, ewidentnie wszedł mu między whisky a zakąskę, ale to zawodowiec, nie pozwoli, by twoje przybycie wytrąciło go z równowagi.

– Cieszymy się, że mogliście przyjść, ale to naprawdę nie jest konieczne...

– I Barry Michaels, dyrektor techniczny.

Michaels jest pulchny, niechlujny i rozkudłany, trochę w typie burmistrza Londynu Borisa Johnsona, z czerwonym nochalem i chłopięcym puklem czarnych włosów: od razu widać, że jest pogięty jak trzyletni banknot, ale w odróżnieniu od Hackmana nie jest jakimś zzerającym toksyczne odpady marsjańskim najeźdźcą z planety Wall Street. Kiwa głową nerwowo, ma minę jakby zjadł coś obrzydliwego.

– A to jest Beccy Webster, dyrektor ds. stabilizacji rynków.

Czyli ta dwudziestoparolatka to ważna persona.

– Mike Russel, Sam Couper i Darren Evans – ostatni to ten z antykamerową koszulą – nasi starsi quanci.

– Jak? – podnosisz brew.

– A, przepraszam. Magicy od ekonomii, specjalizują się w programowaniu rynków, a to nasze główne źródło utrzymania. Po prostu w branży tak się na nich mówi.

Bierzesz głęboki oddech.

– Dobra. Rozumiem, że pan Richardson zadzwonił na policję i zgłosił kradzież w firmie. Mówi mi, że macie to nagrane na wideo i to ma coś wspólnego z jakąś grą. Co dokładnie zostało ukradzione?

– O rany. – Michaels historyzuje jak tragiczka w teatrze. – Wszystko tylko nie kod! – Siada prosto w swoim fotelu-katapulcie (teraz już jesteś pewna, że widziałaś dokładnie taki w muzeum lotnictwa na East Fortune) i bierze głęboki wdech. – Wayne, powiedziałaś jej, że chodzi o kody źródłowe?

– Nie, ja...

– To co dokładnie powiedziałaś policji? – indaguje Michaels. Wydaje się czymś bardzo zirytowany.

No dobra, zapisz go jako numer dwa na liście gości, co nie lubią publicznie prać brudów. (I zapamiętaj na później: Nie ma dymu bez zjawiska spalania).

– Nic, zadzwoniłem, bo nas okradli!

Sytuacja trochę się wymyka.

– A co ukradziono? – pytasz, tym razem nieco głośniej.

– Wszystko z banku centralnego! – To Webster.

Nareszcie, myślisz, ktoś, kto daje proste odpowiedzi na proste pytania.

– Centralnego banku gdzie, w mieście? – Nie mając sieci, nie masz pewności, ale na tym końcu Drum Brae chyba nie ma żadnych banków...

– Pokażcie jej to wideo – rzuca ze znużeniem Hackman. – Inaczej się nie da wytłumaczyć.

Masz widok na soczyście zielone korony drzew tropikalnego lasu, porastającego podnóża gór, tak wysokich, że ich szczyty to siwa lisia mgiełka w oddali, przesłaniająca najmniejszy z trzech goniących się na niebie księżyców. Półkilometrowy wodospad opalizuje i grzmi, spływając z urwiska jak roztopione szkło i rozpryskując się na tęczowe odłamki w jeziorze poniżej. Pięknie ubarwione ptaki fruują nad wierzchołkami drzew, od czasu do czasu pikując ku wypływającej z jeziora rzece. Wszystko jest bardziej niż realne, wręcz nadnaturalnie intensywne: w porównaniu z tym dżdżysty Edynburg na zewnątrz wydaje się paskudną, szarą parodią rzeczywistości.

Już chcesz zapytać, co tu masz oglądać – napad na bank w scenerii reklamy biura turystycznego? – kiedy wycelowana w dżunglę kamera cofa się, unosi i uświadamiasz sobie, że nie jesteś na Ziemi.

Na niebie unosi się wyspa, kawał skały, który zdryfował z morza rzeczywistości, jak na ożywionym obrazie Rogera Deana. Pod nią błyskają fioletowe i zielone pioruny, unoszące ją na falach magii. Kamera wznosi się jak śmigłowiec i omiata wyspę. Choć są na niej drzewa, większość zajmują budynki – konstrukcje o nierównych, kamiennych ścianach i mocno spadzistych dachach, niektóre z wieżyczkami, a niektóre wsparte na klasycznych kolumnadach.

W sercu latającej wyspy jest niewielkie wzgórze, przytłoczone murami i basztami gigantycznego zamku. Blanki błyskają i lśnią w słońcu, jakby były z czegoś szklanego, a cienie w strzelnicach opalizują tęczowo.

– To jest Wyspa Śmiałych Snów. Unosi się nad Jeziorem Zagubionych u podnóża Dolnych Gór w świecie Avalon 4. Na wyspie, która unosi się w powietrzu dzięki starożytnej magii, leży miasto zwane Azylem Roche’a. Są w nim różne instytucje, między innymi bank centralny Avalonu 4. Mamy zlecenie na administrowanie nim.

Dobra, dobra, mówisz sobie, gdy kamera obraca się i zbliża ku wyspie, zniżając lot ku brukowanym ulicom i zatłoczonym zaułkom, z których utkane jest miasto. Jest tu masa postaci i nie wszystkie są ludźmi. Szybujesz nad głowami olbrzymów, obok palankinu na grzbiecie oswojonego dinozaura prowadzonego przez ludzi o jaszczurzych twarzach, pętłisz wokół drewnianego sklepu nachylającego się niepokojąco nad ulicą, przeskakujesz przez kładkę nad kanałem, a potem zwalniasz, wpływając na ogromny, kamienny miejski plac, i nurkujesz przez wejście do świątyni mamony, przy której Parlament to nędza. To takie coś młody chciał na urodziny? Wszystko jest bardzo malownicze, ale widząc rzędek erotycznych tancerek zadzierających nogi między dwiema świątyniami, myślisz sobie, że Davey powinien się jeszcze raz zastanowić.

– To jest bank centralny. Naszym zadaniem jest panowanie nad spekulacją i skuteczne ściąganie z obrotu zdobytych skarbów i magicznych artefaktów, żeby zapobiec inflacji. Robimy to, między innymi oferując graczom skrytki depozytowe: Avalon 4 chodzi w trybie nietrwałej własności, więc jeśli dasz się zabić i się odrodzisz, możesz stracić przedmioty. Poza tym, reguły nie pozwalają za dużo ze sobą nosić.

Niespecjalnie przypomina to oddziałik Clydesdale Banku, w którym masz konto. Demony, magowie, potwory – och! – istna menażeria nierzeczywistych i nadnaturalnych stworzeń stoi małymi grupkami w gigantycznej marmurowej hali, targując się i spierając. Od czasu do czasu pojawia się rozbłysk i kłęb dymu, gdy ktoś z obsługi przywołuje duszka albo sługę, żeby zabrał jakiś przedmiot na przechowanie albo przyniósł i wydał właścicielowi.

– Jest chwila po dziesiątej piętnaście...

Kamera podskakuje, potem odwraca się w stronę wejścia do banku. Wrota są trzykrotnie wyższe od wysokiego człowieka i wyrzeźbione z ogromnych hebanowych belek osadzonych w ramie z jakiegoś srebrzystego metalu. Zawiasy, na których się obracają, są grube jak ramię kulturysty. Ale już nie są srebrzyste – jarzą się ciemnoczerwono, potem jaskrawo, różowy impuls światła przepala je od zewnątrz i wpadają do środka, buchając duszącym czarnym dymem.

Przez dym wmaszerowuje oddział potwornych żołnierzy. Są więksi od ludzi i dwa razy bardziej sękaci, z prognatycznych zielonych szczęk sterczą kły ozdobione złotymi koronkami. Ich mundury to miks brązowej skóry i kolczugi, a na rogach hełmów noszą pozatykane głowy ofiar, kiwające się ponad grotami pik.

Jak na Craigmillar, kiedy w sobotę zamykają knajpy, myślisz, tylko trochę brzydsi.

Jest ich dużo, co najmniej dziesięciu w szeregu, a za nimi majaczy coś ogromnego, gadziego i czerwonego. Przedwiecznego i złowrogiego.

Wtem nagranie staje.

– Widzimy oddział wojenny orków. Jest ich co najmniej czterdziestu i wyprawili się bardzo daleko. To coś za nimi to smok. Wzięli go, żeby zapewnić wsparcie ogniowe. To kompletnie niemożliwe, ale tak samo niemożliwe jest to, co się zaraz wydarzy.

Nagranie rusza.

Orkowie-wojownicy rozchodzą się i ustawiają w grot. Dowódca wywarkuje ostry rozkaz, piki opadają i celują w pracowników banku, którzy odwracają się i patrzą z rosnącym osłupieniem i gniewem. To tu, to tam skrzą się zaklęcia – to jakiś mag zbiera się, żeby rozgromić intruzów. Lecz nagle...

Na salę spada fala mroku i wszystkie postacie zamierają bez ruchu.

– W tym momencie coś – nie wiemy, co – zrzuciło naszych adminów na poziom zero i rzuciło czar Time Stop na wszystkich w tej sali. To jest niebezpiecznie mocne zaklęcie i normalnie można je rzucić tylko na jedną postać naraz.

Ciemność wściekle dżgają rozbłyski i iskry. Orkowie rozpraszają się, rozchodzą gwiazdziście, sprawnie i błyskawicznie, jak obsługa sceny w teatrze, która podmienia meble i rekwizyty przy zgaszonym świetle. Poruszają się od błysku do eksplozji, zgarniają skórzane sakwy i misternie zdobione kufry, zabierają miecze i zamieniają swoje tanie skórzane zbroje na piękne, lśniące płytówki. W minutę opróżniają całą podłogę banku, zgarniając wyskakujące znikąd skarby, teleportujące się z niewidzialnych skarbców.

Na koniec dowódca wywarkuje kolejny rozkaz. Orkowie zbierają się pod jego chorągwią – hełm oficera kołysze się pod kolumną pięciu nadzianych na niego czaszek – ustawiają elegancko w kolumnę i wmaszerowują przez szczątki bramy. Gdy ostatni przekracza próg, ciemność rozchodzi się jak mgła w letni poranek. Paru odważniejszych rycerzy wydaje gniewne okrzyki i próbuje gonić swoje utracone skarby, ale na zewnątrz czeka smok, a napalm w Avalonie 4 pachnie tak samo jak w dowolnym innym filmie.

– Obrabowano nas – mówi Richardson. – Teraz pani rozumie?

Czas przetrzeć oczy i zacząć zadawać trudne pytania. Czyli zadzwoniliście na policję, bo ktoś znalazł błąd w waszej grze? Dobrze, jak na początek. Tracisz czas z tymi palantami, a na mieście okradają normalnych ludzi.

– Mówiliście, że ci orkowie przyszli z daleka. Skąd wiadomo?

Sam Couper, środkowy komputerowiec, parska.

– Traceroute słucha mnie jak pies. – Zamyka się natychmiast, kiedy widzi, że Hackman patrzy na niego jak na danie główne z frytkami.

– Kolega próbuje wytłumaczyć... – Beccy Webster rozkłada akcenty subtelnie jak polityk; chyba co rano ćwiczy poruszanie ustami do nagrań Wendy Alexander^[1]. – ...Że sterowali nimi jacyś farmerzy z farmy graczy do wynajęcia w jakiejś budzie w Bangladeszu. Ale zgubiliśmy ich, kiedy przeszli przez granicę do *Nightwatch*.

– Mogliśmy ich złapać, gdyby temu durnemu Nigelowi chciało się raz na jakiś czas ruszyć dupę i przyjechać do biura. – Russell ewidentnie jest wkurzony na nieobecnego Nigela, ale tym tropem możesz pójść później.

– *Nightwatch* to jakaś inna gra? – Grozi ci skurcz permanentnie uniesionych brwi.

Webster kiwa głową, rzucając trzem błaznom ostrzegawcze spojrzenie.

– Administruje nią Electronic Arts. Mają własnych quantów, zatrudnionych u siebie, za żelazną kurtyną, więc kiedy tam wchodzimy, nie mamy uprawnień admina.

– Niech pani posłucha. – Kiedy Hackman mówi, ty słuchasz. Potrafi się tak złowrogo skupić na jednej kwestii jak celujący w deskę surfingową żarłacz ludojad. – To nie jest jakaś prosta sprawa, obrabować bank wirtualny z wirtualnych przedmiotów. Avalon 4 ma taką architekturę, że, aby to się stało, musiał nastąpić przeciek, ktoś musiał ujawnić nasz prywatny klucz kryptograficzny, żeby oni mogli podmienić właściciela wszystkim tym obiektom. – Odchrząkuje. – Źle się stało, że panią wezwano. – Rzuca Richardsonowi spojrzenie, od którego łuszczy się farba. – To sprawa dla SOCA, nie dla miejscowej policji... ale jak już pani jest, to może pani także zapisać, że chodzi nie tylko o przestępstwo z artykułu trzeciego Ustawy o Nadużyciach Komputerowych, po niepodległościowej nowelizacji z roku dwa tysiące czternastego – cholera, tu cię ma – także o to, że my dopiero co mieliśmy debiut na rynku AIM, trzy tygodnie temu w poniedziałek. I do dzisiaj kurs wzrósł wobec początkowego o prawie dwadzieścia siedem procent. Jeśli nie znajdziemy sukinsynów, którzy to zrobili, nasze akcje zlecą na pysk i gównno wyjdzie z emisji uzupełniającej, którą planowaliśmy za sześć miesięcy. Ktoś wiedział, jaki moment wybrać: to nie jest jakiś hackerski incydent, to jest insider trading. Ktoś chce się dorobić na dołku na naszych akcjach.

– A ile na razie spadło? – pyta Richardson, nie mogąc opanować strachu o swoje opcje.

– Dwa koma cztery, bo chyba jeszcze się nie rozniosło. – Michaels ma taki głos jakby czytał nekrolog. – Ale jak się rozejdzie... jeśli spadniemy, dajmy na to, o trzydzieści procent, to daje dwadzieścia sześć milionów euro.

Hackman znów uruchamia swój uśmiech rybożercy:

– Trzydzieści? Będziemy się cieszyć, jak skończy się na dziewięćdziesięciu. – Zerka na ciebie i widzisz, że ten uśmiech nie obejmuje oczu. – A teraz, może pożyczymy pani jakiś telefon, co? Żeby mogła pani... no nie wiem, na przykład zadzwonić po prawdziwych detektywów?

Nie chcesz szmaciarzowi pokazać, że się przejęłaś, ale dwadzieścia sześć milionów euro sprawia, że to zupełnie inna historia: normalnie kradzieże nie są za wysoko w macierzy waszych KPI-ów, ale coś o takiej skali może stać się Sprawą Polityczną. Zatem gromisz go spojrzeniem i uruchamiasz swój najlepszy, ostry jak brzytwa akcent z Morningside, używany do wystąpień w sądzie.

– Obawiam się, że w związku z naszymi ograniczonymi zasobami nie możemy odłożyć wszystkiego i rozpocząć intensywnego dochodzenia. Złożę raport o sprawie do mojego przełożonego, a on pójdzie z nim do komendanta. Komendant podejmie decyzję, czy przekazać sprawę SOCA. – (Scottish Organised Crime Agency, Szkocka Agencja ds. Zwalczania Przeszłości Zorganizowanej, która nada jej priorytet gdzieś pomiędzy łapaniem międzynarodowych przemytników plutonu a ratowaniem kociaków z parapetów).

Uśmiechasz się bardzo życzliwie, niech teraz on zobaczy twoje zęby.

– Zaczę od przesłuchania wszystkich obecnych, każdego oddzielnie, potem przygotuję raport i jak tylko będzie gotowy, prześlę go dalej. – (Zaraz jak tylko skończysz zeznania dla elektronicznego sądu). – No dobra. To kto pierwszy?

En garde!

Stoisz w nawie siedemnastowiecznego kościoła, wśród słabo oświetlonych świecami, misternie rzeźbionych kamiennych powierzchni. Prawą stopę masz wysuniętą w przód, kolano lekko ugięte, pod palcami stopy, przez ręcznie szyty skórzany łapeć czujesz krzywiznę zdeptanej krawędzi kamiennej płyty. Prawą rękę uniosłaś, dłoń wyciągnęłaś, jakby trzymając broń skośnie przy piersi i wodząc lufą po obrysie dachu zachodniego skrzydła. Lewą ręką podtrzymujesz prawą, jakbyś trzymała ciężki pistolet. Ciężki pistolet to mniej więcej to – miecz, półtorak, może i jest ze stali i ma ponad metr, ale waży nie więcej niż Colt Python, a wyważony jest tak, jakby stanowił przedłużenie palców.

Stoisz naprzeciwko człowieka, który chce cię zabić. Ma na sobie czarną, wzmocnianą kevlarą kurtkę motocyklową z przyczepionymi na rzepy ołowianymi obciążnikami, oraz dzinsy, martensy i ochronny hełm z masą obiektywów kamerek na ślepej części twarzowej. Tak jak ty, trzyma półtoraka w piętnastowiecznym stylu, stalowe jelce osłaniają dłonie, które ma z kolei uniesione jak gotowy na wybiecie piłki uderzający w baseballu. Ale ty nie widzisz ani motocyklowej kurtki, ani martensów, bo podobnie jak przeciwnik masz hełm zasłaniający twarz z wyświetlaczami przed oczyma, a one modyfikują go tak, że nosi pełną mediolańską zbroję płytową – renesansowy odpowiednik czołgu podstawowego.

– Spróbujmy jeszcze raz – proponujesz, napinając mięśnie.

– Jasne. – Kołysze się lekko na kłębie stopy i przez chwilę masz surrealistyczne wrażenie, że w ogóle nie trzyma miecza, tylko kij do krykieta, i to odwrotną stroną.

– Twoja matka nosi trepy!

Nie jesteś pewna, czy to odpowiednie słowa dla późnopiętnastowiecznego czołgu podstawowego, ale odbiera je tak, jak chciałaś – a co najważniejsze, widzi, że zmieniasz gardę, opuszczając sztych miecza. I atakuje natychmiast, bez żadnych subtelności, skośny zamach i tnie naprzód, jakby chciał wyciąć z ciebie kotlet.

Oczywiście, przesuwając nadgarstek, tego właśnie się spodziewałaś. Opuszczasz sztych, łapiesz ostrze lewą ręką, zasłaniaś się z brzękiem stali. Próbuje chwycić cię za ostrze swoją lewą ręką, ale ty obracasz się dalej, unosisz sztych – teraz traktujesz miecz jak krótką lancę – i wsuwasz go pod jego pachę, jak półtorakilowy otwieracz do puszek, jednocześnie lewą stopą zahaczając go pod kolanem.

W odróżnieniu od współczesnego czołgu podstawowego, ta starsza wersja potrafi upaść na dupę.

– Auć. Cholera. Punkt dla pani szanownej.

– To była pana tętnica ramienna, proszę bardzo – rzucasz, nabierając powietrza i patrząc na jaskrawą fontannę wirtualnej krwi.

Cofasz się o krok, wróg robi to samo, pozbierawszy się z ziemi. Opuszczacie ostrza.

– Te trepy... skąd wiedziałaś? – pyta.

Ups.

– Zgadłam chyba.

– A. Bo pomyślałem, że może ją znasz. – Głos pobrzmiwa rozczarowaniem, ale szczelny hełm nie ujawnia niczego.

– No nie, przykro mi. – Serce wciąż ci dudni od chwilowego wysiłku: trzydzieści sekund walki to jak pół godziny na siłowni, albo trzy godziny męczenia arkusza kalkulacyjnego, ale ciekawość z poczuciem winy przeważają. – A co, była gotką albo hipiską?

– Nie. Była w armii. – Wysuwa stopę naprzód, unosi miecz, dziwnie drgający i zanim zmienisz ustawienie stóp, wali cię nim na tyle mocno, by było wiadomo, że zostałeś rozbrojona; gdyby to coś miało prawdziwe ostrze, nie miałabyś już ani miecza, ani ręki. – Eee... to znaczy, była fanką Armii. New Model Army, takich późnych punkowców–newage'owców z pieskiem na smyczy, z Bradford.

– Wiem, co za jedni – warczysz, cofając się o dwa kroki i podnosząc rękę, żeby potrzeb obojczyk, którego nie ochroniła wyściółka i boli jak zwariowany. – Minuta przerwy, potem pokażesz mi, jak to zrobiłeś.

Przez parę dni żadnych rzeczy na ramiączkach do pracy, notujesz w pamięci. Trochę to denerwujące, bo oznacza konieczność dodatkowego prasowania i nieustające przypomnienie, że dałaś mu się trafić. (W zeszłym tygodniu słyszałaś, jak opowiada jakiemuś nowemu: „ona ma refleks jak naspidowany chart” i przez parę dni chodziłaś piętnaście centymetrów ponad chodnikami. Bo to prawda, ale Mike ma większy zasięg i lepszą muskulaturę – wystarczy na moment się zdekoncentrować i od razu ci pokazuje, co potrafi średniowieczny czołg.

– Ale na razie zwolnijmy planszę dla innych.

Siadasz w ławkach po lewej stronie, chowasz miecz i zdejmujesz sprzęt z głowy, a twoje miejsce zajmują Eric i Matthew, rzucający jakimiś hermetycznymi pracowymi żartami. Wychodzisz z przestrzeni haptycznej, a Mike, widziany bez pośrednictwa softu przemalowującego go na pancernego rycerza, wraca do codziennego wyglądu – motocyklisty z przeszczepioną głową Borga. Po czym zdejmuje poobijaną Nokię GameCrown, ukazując przeпоcony brązowy kucyk i trzydziestokilkuletnią twarz. Kręci głową, pewnie dlatego, że po raz pierwszy od godziny widzi cię naprawdę, a nie jako femme fatale w sukni na fortugale, z

tasakiem w rękę. (Słaby komplement, prawda? Może nadwagi nie masz, ale spójrzmy prawdzie w oczy, ludzie biorą cię za bibliotekarkę. Robisz co prawda w księgach, ale to niezupełnie branża wydawnicza).

– Elaine... mam taką sprawę... może mogłabyś mi coś poradzić?

– Co, jakiś techniczny problem? – Unosisz spoconą brew. Mike siedzi w tym dłużej niż ty, zaczął, nim zaczęła się pojawiać Rzeczywistość Rozszerzona i OLARP-y ^[2], jeszcze w epoce kamienia łupanego, kiedy ty zajmowałaś się albo kostiumowymi rekonstrukcjami albo sztukami walki (a jedno z drugim nigdy się nie łączyło); i nie licząc refleksu naćpanego psa, jest po prostu lepszy, niż ty będziesz kiedykolwiek. – Bo chyba...

– Nie, zupełnie z innej bajki – mówi niepewnie. Szydło wychodzi z worka, gdy dodaje: – Chodzi o ubezpieczenie samochodu.

Od czasu do czasu trafiają ci się takie pytania, choć na szczęście nie za często: nie jesteś w końcu prawnikiem, lekarką, czy kimś w tym stylu.

– Od tej strony się na tym biznesie nie znam – przypominasz mu.

– No wiem, ale wiesz, Sally miała w zeszłym tygodniu stłuczkę na M25. – Sally to żona Mike'a, tleniona blondynka, menedżer średniego szczebla, tolerująca jego cotygodniowe męskie wypadki z łagodną, pełną znużenia pogardą. Pewnie coś muszą w sobie widzieć, ale... – Dostaliśmy rachunek za lawetę, blacharkę, ale problem jest w czymś innym, ona przysięga, że uczestniczył w tym jeszcze jeden samochód, który się nie zatrzymał.

Masz ponure przeczucie, że wiesz, co będzie dalej, ale nie możesz tak go zostawić, więc ograniczasz się do niezobowiązującego:

– Hmm?

Eric i Matthew stoją w postawie szermierczej na posadzce przed wami, niemal bez ruchu, czasem któremuś drgnie kolano lub łokieć. Zero gadki, w jaką wdajecie się wy z Mikiem. Parę innych osób ćwiczy, rozgrzewa się w zakrystii, słyszysz boombox. On grzmiący jakimś nieznanym nikomu belgijskim industrialcem, gdy ona narzeka na kolejny dzień w biurze.

– Jechała prawym pasem koło skrzyżowania 19, w stronę Heathrow, za gościem, na którego wjechała. Około dziewięćdziesiątki, nie było żadnych ciężarówek, ale ruch gęsty. No, w każdym razie mówi, że biały van optare wyprzedził ich oboje, wjechał przed beemkę i zahamował, a kiedy znaleźli się na poboczu, nie było po nim śladu.

– Hmm. – Ostrożnie odkładasz miecz, potem wsuwasz go pod ławkę, żeby nikt się o niego nie potknął. – Nie powiedziałaś jeszcze „ustawiana kolizja” ale to ci chodzi po głowie?

– Tak.

– A jakie są szkody?

– No cóż, Sally ma sześć punktów i w zeszłym roku miała szkodę parkingową. Zniżka jej przypadnie, więc następna polisa to będzie jakieś osiem stów więcej.

– Auć. – Stłuczony obojczyk drga w geście współczucia. Jeżdżenie samochodem to kosztowna rozrywka, nawet jeśli nie uwzględniać ropy po 5 euro, fotoradarów co dwieście metrów na wszystkich autostradach i firm ubezpieczeniowych, które chcą dymać kierowców, żeby odrobić straty związane z zapaścią rynku nieruchomości na terenach zalewowych. – A u kogo jest ubezpieczona?

– Nationwide.

Dobrze, że chociaż tyle – staroświeckie, spółdzielcze towarzystwo, a nie jakiś serwer www, gdzie płaci się kartą, prowadzony przez firmę Krzak.com z zaplecza kafejki internetowej w Lagos.

– To dobra informacja. I na ile ta beemka chce was zrobić?

– Szesnaście tysiący za blacharkę. I wiesz, to nie jest nowy model. Sally mówiła, że według gościa miał z dziesięć lat, dwa tysiące za holowanie no i – to ci się spodoba – dziewięć tysięcy w kosztach leczenia ortopedycznego. Uraz szyi od wstrząsu.

– No tak. Prawie trzydzieści tysięcy. – Kręcisz głową. Mike ma rację, prawie o rząd wielkości więcej niż można się spodziewać po zwykłym wjeździe w dupę, na autostradzie, w godzinach szczytu. Nawet dziewięćdziesiątką. I ten uraz szyi... – Wiesz co, wszystkie bmw od niepamiętnych czasów mają aktywne zagłówki, boczne i przednie poduszki. Od dwudziestu lat jak nic. Takie obrażenia oznaczają chirurgów, operacje i zwolnienie, więc zaraz przyjdą do ciebie z utraconymi przychodami. Zobaczysz, za miesiąc czy dwa dorzucą wam do rachunku kolejne trzy dychy.

Twarz Mike'a już wcześniej była spocona; teraz przybiera kolor świec wotywnych, które paliłyby się tu, gdyby ten kościół jeszcze działał.

– No i mamy dziesięcioprocentowy udział własny...

– No tak. Więc musisz dopilnować, żeby tamten gość go nie zgarnął, prawda? Masz rację, to na sto procent ustawiana kolizja, a te koszty medyczne to klasyczny numer. Tajemnica lekarska jest świetną zasłoną dla snajperów, ale da się w niej zrobić dziurę, jeśli toczy się dochodzenie o nadużycia ubezpieczeniowe. Słuchaj. Nationwide ma jeszcze jakichś żywych ludzi w dziale Utrzymania Klienta i Nadużyć, więc musisz postarać się, żeby to wyescalować z centrum obsługi telefonicznej, póki nie spojrzy na to żywy człowiek, a potem to już ich męczyć.

– Ale jak...

Zaczynasz odliczać na palcach.

– Na początek, niech Sally da im logi z czarnej skrzynki samochodu. Jak już będziecie

dokładnie wiedzieć, gdzie się zdarzył wypadek, powiedz im, żeby zażądali od Agencji Autostrad nagrań ze wszystkich okolicznych kamer; jeśli od razu nie usłuchają, powiem ci, co po kolei zrobić, żeby samemu to wyciągnąć. Można będzie zweryfikować, co zrobił ten optare, więc potem ewentualnie Nadużycia wytargają gościa za fałszywe oświadczenie we wniosku likwidacyjnym. A potem można ruszyć od medycznej strony. Jeśli ten drugi kierowca ma obdukcję, trzeba ściągnąć historię tego lekarza i sprawdzić czy jest w porządku – a założę się z tobą o flachę Chardonnay, że siedzi tam jakaś nagana, bo taki doktor, co za kasę diagnozuje nieistniejące obrażenia, przeważnie nie robi tego raz. Jak już to masz, możesz zawnioskować o ujawnienie historii pojazdu – to jest to, co robi policja, jak myśli, że jeździsz przeszczepem. I sprawdzić wartość pojazdu w Eurotaksie. A wtedy, jak już się okaże, że masz rację, i wypadek był ustawiany, Nationwide walnie ich pełnym regresem, a ciebie zwolni z odpowiedzialności. Twój ubezpieczyciel zrobi to wszystko automatycznie, jak tylko do akcji wejdzie ich dział nadużyć, ale nie musisz na to czekać – wszystkie formularze są w sieci, da się to zrobić z telefonu, a jak już puścisz maszynę w ruch, to potem ubezpieczyciel sam zacznie działać.

W połowie tłumaczenia Mike'owi szklą się oczy, ale to nie problem. Kiwa głową jak piesek spod tylnej szyby, co znaczy, że zasadnicza rzecz do niego dotarła: w żadnym razie nie jest bezradny. Cywile w obliczu obcej biurokracji zawsze na początku czują się bezradni, ale jak tylko zdadzą sobie sprawę, że jest jakiś sposób, szybko dochodzą do siebie.

– Chyba część zapamiętałem...

– Jutro ci wyślę mejlem.

Z biura, w twoim nieograniczonym czasie wolnym, od niechcienia spiszesz mu *FAQ: Podstawy wykrywania drobnych oszustw ubezpieczeniowych*. Prośba Mike'a o pomoc w tej sprawie to trochę jakby wołać bombowce na chuligana z podstawówki; ale to twój kumpel, a poza tym, jeśli ktoś w biurze zauważy i zacznie robić aferę, zawsze możesz powiedzieć, że to w ramach budowania dobrego PR-u.

– Dzięki wielkie. – Klasyczne angielskie niedopowiedzenie: wydaje się o wiele bardziej wdzięczny niż sugerują te słowa.

Podczas tej gadki, Eric i Matthew w jakiś sposób przeszli od drobnych ugięć stawów do sytuacji, w której Matthew leży na plecach, a czubek miecza Erica dotyka jego brzucha. Gdy zaczynasz patrzeć, Eric unosi miecz na pożegnanie i wycofuje się z planszy. Wstajesz i aż cię świerzbi, żeby pozbyć się z głowy myśli o pracy. Odwracasz się do Mike'a.

– To co, do dwóch wygranych?

Tryb debug:

Siedzisz w półśnie, w fotelu. Oczy masz zamknięte i czujesz się bardzo niestabilny. Głowę masz pełną powirusowej mgiełki, odruchy i świadomość spowolnione, jak owinięte w watę. Całkiem inaczej niż normalnie, wręcz słyszysz własne myśli – zresztą, to tylko jeden cienki głosik zataczający się bez przerwy od ściany do ściany czaszkowego więzienia – nic dziwnego, zważywszy, ile skuna dopiero co wypaliłeś. Gdzieś w oddali, po dachach niesie się lodowatym pogłosem dźwięczny klangor tramwajowych dzwonek w przepięknej harmonii. I zapytujesz się, jak ten wiedźmi głos w nagraniu dawnego występu Laurie Anderson:

– Co ja tu robię?

Restart:

Coś ci dzwoni w uszach. Ups, chyba musiałem odpłynąć. Takie właśnie mamy problemy, kiedy palimy zielsko, żeby zapomnieć...

My? A, no tak, byłeś ty, i Mitch, i Budgie. Tom nie mógł pojechać, bo był zajęty rolą świeżego męża i odpowiedzialnego człowieka, ale ty, Mitch i Budgie – trzy z czterech filarów byłego Zespołu Architektury Sieci Społecznościowych – poleciliście sobie tanią linią z Edynburga w miejsce, gdzie można paść bez czucia w nogach i naukowo zweryfikować wszystkie te hipotezy o niszczeniu przez konopie pamięci krótkotrwałej, dlatego, że – Boże mój – to i tak lepsze niż wspominać, jak potwornie zostaliście wyruchani.

I stąd właśnie siedzisz w rozwalonym fotelu, upalony jak dzik, na wąskim pasku brukowanego chodnika wzdłuż kanału Prinsengracht i słuchasz alarmowych dzwonek...

Oraz kontemplujesz fiasko własnej kariery zawodowej, po czterech latach w elitarnych oddziałach zespołu ds. brudnych numerów w LupuSofcie, przy projektach specjalnych mających przechytrzyć waszych korporacyjnych konkurentów; potem zająłeś się przy projekcie *Steaming* stosunkowo czystą stroną samej rozgrywki. Cztery lata ściśle tajnych prac typu „krew z oczu” i psychotycznych pogoni za terminami, w piekle beżowych kubików (kiedy wolałbyś żeglować po ciemnym jak wino morzu); szalone obozy szkoleniowe dla developerów, w jakichś złowrogich ośrodkach z drutem kolczastym i reflektorami, gdzieś w Grampianach; weekendy spędzane z tym samym zespołem na domowych i wyjazdowych imprezach, z laserowym celownikiem i na dopalaczach (zresztą, czy nie fajnie było uciekać przed tym wielkim karkiem z Portobello, który wbił sobie do łba, że jesteś jakimś łowcą głów z południa, co chce mu wypruć flaki, i cały czas próbował napuścić na ciebie swoją drużynę, żeby spuściła ci wpierdol?). I przez ten cały czas żywisz się kanapkami z masłem orzechowym

i nieświeżym sushi na wynos, rośnie ci opona, a ostrość wzroku spada, bo przez całe dni i pół nocy gapisz się w ekran wielkości szkolnej tablicy.

No i jeszcze weekendy ze śmiercią, weekendy wykradzione menedżerom i krwawo wywalczone w kadrach, żebyś mógł wrócić do Rochdale i spędzić trochę czasu z mamą, która umierała na raka płuc, albo odwiedzić Sophie, Billa i siostrzenice. Aż w końcu, pewnego razu mamy zabrakło, i tak dalej, i to ty siedzisz w tym kącie, ze swoimi sześćdziesięcioma czterema tysiącami pensji rocznie, spadkiem, który w większej części poszedł na syfiasty pokoik w domu opieki, i kredytem hipotecznym, którego nie spłacisz do emerytury. Człowiek kompletnie pozbawiony życia. (No, niby masz nałóg robienia na drutach i jesteś notowany na policji: ale to tylko pożywka dla twojej nerwicy natręctw). To twoje życie, i tak wyglądało, odkąd siedem lat temu, gdy byłeś świeżym magistrem informatyki, udało ci się wkłęcić do tej powstającej firmy, i okazało się, że twoje tak zwane życie to taka pieprzona burżuazyjna szkatułeczka, do której nie wchodzi nic poza pracą, więc cały czas starałeś się być strasznie zajęty, dopóki...

...w zeszłym tygodniu nie rozwiązano projektu *Steaming* i nie powiedziano ci, że w pół godziny masz zwolnić biurko. Tu masz z góry pensję za następny miesiąc i spadaj stąd, świrze! Po czym nagle zdałeś sobie sprawę, że nie masz życia. Mimo że przez tych sukinsynów wiesz teraz więcej o szkockiej lidze niż kapitan drużyny narodowej.

– Przepraszam. Nie wolno tutaj spać...

Restart:

A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nie cierpisz piłki nożnej.

Oczywiście, przyznanie się do tego podczas pracy nad *Steaming* byłoby katastrofą – całkiem jakby ktoś z kancelarii amerykańskiego prezydenta wyznał mediom, że według niego religia jest przereklamowana, abstynencja się nie sprawdza, a krajowi przydałaby się najbardziej krótka i ostra kuracja komunizmem z ekstremizmem islamskim na deser. To jedna z tych rzeczy, o których się w LupuSofcie po prostu nie mówiło, nie wtedy, gdy firma miała wyłączność na znaki firmowe zarówno Hibernian FC jak i Rangersów i próbowała wydoić z kasy wszystkich bałwanów, karków i dresów, którzy wpadli na pomysł, że gra terenowa, gdzie grasz kibolem chuliganem wśród pełnoletnich, dobrowolnie uczestniczących w grze ludzi, to lepsza rzecz od innych gier terenowych (w których grasz kibolem-chuliganem pomiędzy niezbyt dobrowolnie uczestniczącymi w tym ludźmi, a połączone siły Oddziałów Prewencji i Antyterrorystycznych grają po drugiej stronie w „łapać drecha”, z użyciem gazu łzawiącego i paralizatorów). Z drugiej strony jednak, sublimacja czy stłumienie tego obrzydzenia nie było aż tak trudne. Jesteś mieszczańskim, liberalnym ścisłowcem, dla którego termin „umiejętność pracy w zespole” brzmi jak przekleństwo, ale wierzysz w społeczeństwo, w prawne

mechanizmy kontroli i równowagi, wierzysz w zemstę nad tępymi sportowcami, przez których życie w szkole było tak ekscytująco nieprzyjemne... a dodatkowo, pracując nad *Steaming*, mogłeś sam siebie przekonać, że robisz coś dobrego, bo każda gra, w którą parszywi kibole będą grać na komórkach, to mniej kiboli rzucających puszkami i dźgających nożami niewinnych przechodniów na mieście. Wspomagane siecią gry terenowe cieszyły się od dziesięciolecia wielką popularnością, odkąd ukazali się *Szpiedzy* i umożliwili aktuariuszom prowadzenie podwójnego życia tajnego agenta; *Steaming* miało po raz kolejny rozbić bank i pozabierać tych świrów z ulic.

A poza tym zarabiałeś na nim na ratę kredytu.

Przynajmniej tak to wyglądało do katastrofy na ostatnim pucharze w Bolonii; dokładnie w tym samym tygodniu na dokładkę pojawił się w „Lancecie” artykuł z psychologii społecznej, który wbił wam przysłowiowego pisaka i zakręcił. Mocno. Na niechlujnym placu budowy na Holyrood Road ^[3] zaczęto zadawać pytania, ministrowie nagle nabrali powagi i zapobiegliwości i zaczęli z bogobojnym zapalem po raz setny międlieć przeżuty już sto razy temat autoregulacji branży gier. Menedżerowie LupuSoftu w tym momencie zrobili analizę ryzyka związanego z uzasadnieniem dalszego angażowania się w drugorzędną wirtualną grę dla kiboli, nad którą wisi pozew zbiorowy, i postanowili, że profesjonalnie będzie dać całemu zespołowi kopa w wasze żałosne dupy.

Może i zarząd postanowiłby inaczej, gdyby policja nie wykryła siatki juniorów, przyszłych seryjnych morderców, którzy na *Steamingu* trenowali do ustawki na Easter Road w następną sobotę. A świat garniturowców niczego bardziej nie kocha niż wszystko zwalić na jakiegoś komputerowca, więc zaczęło się wam wszystkim palić pod nogami. Dlatego pozostało już tylko jedno wyjście: polecieć do Amsterdamu i przez weekend nawalić się jak szpadel, już nie mówiąc o upaleniu się do tego stopnia, że teraz masz halucynacje słuchowe przybierające postać tramwajowych dzwonków.

– Przepraszam pana: tu nie wolno spać.

Otwierasz oczy. Halucynacja słuchowa wpatruje się w ciebie przez gogle połączone z monitoringiem, jakby nigdy dotąd nie widziała upalonego turysty. Jest tak kulturalna, że przez moment czujesz perwersyjną wdzięczność, dopóki ziele nie rozwieje się na tyle, byś się zorientował, że to funkcjonariuszka Politie i bez problemu może zadzwonić po furgonetkę pełną kolegów w czarnych ubrankach, którzy wrzucą cię do jakiejś betonowej celi, zanim zdążysz pstryknąć palcami, jeśli tylko postanowi oficjalnie zarejestrować, że za przytomny to ty nie jesteś.

Usiłujesz powiedzieć: „Niech mnie pani nie aresztuje, ja jestem tylko niewyspanym

turystą”, ale słowa zlewają ci się w jedno ztytu języka i wychodzi tylko coś w rodzaju: „Nnnnggk”. Napinasz ręce i próbujesz wstać z fotela – ale wtedy właśnie zdajesz sobie sprawę, że fotel stoi obok znaku drogowego na słupku, do którego twoi przyjaciele byli uprzejmi przykuć twój lewy nadgarstek. No i to cholerne dzwonięcie nie chce przestać – to chyba nie jest w uszach, prawda?

– Eee? – mówisz, gapiąc się tępo poza policjantkę, w kierunku sklepu z antykami po drugiej stronie chodnika.

Z tym oknem jest coś nie tak, światła odbijając się od szyby tworzą taki dziwny wzór – albo i w ogóle nie tworzą. „Wybite”, mówisz sobie w przeblysku niezmierzonej mądrości. Ktoś wybił szybę w wystawie sklepu z antykami i wywlókł z niego ten denerwująco gezellig ^[4] fotel prosto na chodnik, żeby cię w nim usadzić. Całkiem jak scenariusz gry, który poszedł w maliny – w coś takiego mógłbyś się wpierdzielić w grze *Wieczór kawalerski: pościg*, gdybyś zaczął molestować druhny.

– To pana fotel?

Czasem, kiedy się śmiejesz, wychodzi ci taki podobny do czkawki bulgot, jak hiena, która zadławiła się jedzeniem. Słyszysz go właśnie teraz, jak wzbiera ci z kieszeni koszuli, blaszany i powtarzający się w kółko. Rekord świata w kategorii dzwonka telefonicznego, wkurwiający jak coś bardzo wkurwiającego, ale mający jedną zaletę: akurat ten kawałek własności intelektualnej nie należy do żadnych pazernych fajansiarzy.

– Pszszam, telefon... – Prawą rękę masz wolną, próbujesz więc wetknąć palce do kieszeni koszuli i urządzić pogoń za komórką. Jednak dłoń w ciągu ostatnich paru godzin zrobiła się dziwnie zimna i drętwa, telefon uparcie wyslizguje się z palców jak parówki, chichocząc maniakalnie.

– Proszę pana, niech pan posłucha. Zabrał pan ten fotel ze sklepu? Kto pana przykuł do tego zakazu parkowania. Proszę dmuchnąć w ten przyrząd.

Mówi odrobinę bardziej zrozumiale niż edynburska policja i to właściwie dobrze, bo głos po drugiej stronie słuchawki brzmi wręcz przeciwnie.

– Jack? Sophie mówi. Wszystko w porządku? Zajęty jesteś?

– No nie, nie teraz...

– Oj, szkoda, bardzo przepraszam, ale możesz coś dla mnie zrobić? W przyszły wtorek, nie ten, tylko przyszły, są urodziny Elsie i tak sobie myślałam..

Sapiesz w końcówkę latarki, którą policjantka podsuwa ci pod usta, potem przełykasz ślinę. Siostra trajkocze na drugim końcu, nic nie wiedząc – naprawdę musisz błyskawicznie się z nią pożegnać. Zmuszasz nieposłuszne wargi do składania słów w obcym języku:

– Puść mi mejla. Później...

– Ale to ważne! – upiera się Sophie. – Jack! Dobrze się czujesz? Jack?

Przejmujące dźwięki jej akcentu z Zachodniej Anglii Środkowej tworzą pomarańczowe świetlne wzorki na końcu latarki, gdzie pali się czerwono jedna dioda, niczym przycisk z czerwoną słuchawką na twoim telefonie.

– Pan lepiej pójdzie ze mną, proszę pana.

Gliniara ma klucz do kajdanek, za co jesteś odpowiednio wdzięczny, ale chce, żeby odłożyć telefon, a to jest zadziwiająco trudne, bo Sophie cały czas gada o czymś związanym z urodzinami i bierzmowaniem twojej najstarszej siostrzenicy – jej mąż Bill chce wychować Elsie i Mary na tradycyjną modłę – a ty cały czas się z nią zgadzasz, ponieważ „rozłącz się na chwilę, bo holenderska policja chce mnie aresztować” nie jest przyjętym sposobem kończenia tego rodzaju rozmów. (Gdyby tak w rodzinach ustalało się słowa bezpieczeństwa, jak w innych grach toczonych w rozszerzonej rzeczywistości). I wszystko tkwi w tym punkcie przez parę nerwowych sekund: łypiesz wściekle na policjantkę, a ona w końcu unosi palec wskazujący, otwiera kajdanki, wykręca ci rękę do tyłu, wrywa z niej komórkę i skuwa ci oba nadgarstki, zanim zdążysz powiedzieć „hasta la vista”.

Zanosi się na świetny weekend, nie ma co! No, a potem jeszcze wspaniały poniedziałek!

Szkocja

Położenie: 54°38' N, i 46' W, Europa Zachodnia, północnie dwie piąte wyspy Wielka Brytania.

Flaga

Opis: jasnoniebieskie tło z nałożonym białym krzyżem św. Andrzeja. Jest członkiem Unii Europejskiej, ma zatem prawo do korzystania także z flagi unijnej.

Nazwa

Pełna nazwa oficjalna: Republika Szkocji

Krótką nazwa oficjalna: Szkocja

Kod kraju: SCO

Ustrój: republika, członek Unii Europejskiej

Stolica: Edynburg

Konstytucja: z 2011.03.13, przyjęta 2012.01.01 po formalnym ogłoszeniu niepodległości.

System prawny: oparty na prawie rzymskim i tradycyjnym prawie szkockim, znacznie zaadaptowanym do warunków lokalnych; zgodny z prawem i corpus iuris Unii Europejskiej.

Gospodarka

Sytuacja ogólna: gospodarka jest niewielka i zależna od eksportu. Wydobycie ropy i gazu, dawniej najbardziej znaczący sektor, obecnie ustąpiło miejsca przemysłowi, który stanowi 32% PKB brutto, 46% eksportu i zatrudnia 25% siły roboczej. Sektor finansowy jest nadal znaczny i wytwarza 24% PKB brutto oraz 40% eksportu; Szkocja jest siedzibą nieproporcjonalnie wielu banków i firm ubezpieczeniowych dawnego Zjednoczonego Królestwa. Od proklamowania niepodległości i wejścia do Unii kraj korzysta ze znacznej pomocy unijnej na rozwój najbiedniejszych regionów. Inflacja jest niska. Szkocja regularnie wypracowuje nadwyżkę handlową. Znaczącym problemem w regionach tradycyjnie bazujących na przemyśle ciężkim jest obecnie bezrobocie, które stanowi ważny problem polityczny.

Polityka: Szkocja słynie ze swojego ugruntowanego przechyłu na lewą stronę oraz odrzucania liberalnych ekonomicznie i konserwatywnych społecznie poglądów popularnych u południowego sąsiada – właśnie ta tendencja przyczyniła się do rozpadu dawnego Zjednoczonego Królestwa. Rządząca Szkocją Partia Narodowa mimo to zapewnia agresywne wsparcie firmom reinwestującym w kraju, utworzyła także biuro wsparcia rozwoju przemysłu, promujące lokalne małe firmy. Ten model rozwoju opisuje się jako „naśladownictwo Irlandii i

Norwegii”; Szkocję zalicza się często do tzw. „Tygrysów Atlantyckich” – małych, ale zdrowych gospodarek na zachodnich rubieżach Unii...

Sue: Wyrabianie nadgodzin

Jesteś na miejscu od ponad godziny, rośnie ci poziom stresu – tyle czasu ci zajęło, żeby dojść do zaledwie jednego wniosku: dzięki Wayne’owi Richardsonowi, dyrektorowi marketingu i dyplomowanej piździe, spóźnisz się z przesłaniem swojego zeznania w poprzedniej sprawie. Smartphone przypomina ci, że przekraczasz dopuszczalny limit nadgodzin, a pulę godzin, które można zamienić na wolne też już wypaliłaś; jeśli tak dalej pójdzie, będziesz musiała wpisywać to w niepłatne godziny i złożyć do kadr wnioski o kredyt czasowy. Telefon grozi nawet podpięciem do BHP, że nie zachowujesz równowagi między pracą i życiem prywatnym: jak tak dalej pójdzie, czekają cię obowiązkowe kursy jogi i aromaterapii oraz zarządzania stresem. Inspektor Mac będzie delikatnie z ciebie drwił, tym spokojnym i zrównoważonym tonem, pięćdziesiąt razy gorszym niż wrzaski jakiegoś napitego karka, oraz grzecznie dopytywał się, dlaczego nie przekonałaś tego kretyna, żeby poszedł od razu do SOCA, zamiast srać ci na biurko (i pośrednio na biurko Maca). À propos karków: zrobi się ich od razu więcej na wszystkich rogach, kiedy szeryf zabierze się za ich sprawę i nie zobaczy w przeglądarce twojego zeznania.

Gratulacje. Możesz dodać do swojej góry papierów śledztwo z piekła rodem, takie, które pewnie będzie się ciągnąć całymi tygodniami i miesiącami, pożerać deficytowe zasoby ze wszystkich stron i zapewne nigdy nie zakończy się wyrokiem, bo te toksyczne mendy, zajmujące się przekrętami giełdowymi na dużą skalę i wykorzystujące botnety w Pakistanie, stać także na złotoustych adwokatów. Zatem twoja statystyka spraw zakończonych poleci na mordę, a wszystko to dlatego, że Wayne Richardson, dyrektor marketingu, spanikował i zadzwonił pod 211, zamiast posłuchać szefa i napisać do firmowych prawników.

Wszystko zaczyna się właśnie układać w ten charakterystyczny śledczy sposób. Pożyczyłaś sobie gabinet dyrektora marketingu, dali ci linię wychodzącą za korporacyjnego firewalla, więc masz łączność z komendą. Oprócz oficjalnych pouczeń, zasugerowałaś im, że dostaną wszystkie skarby z powrotem, jak tylko ICE spojrzy na sprawę, co może trochę potrwać, ale powinni się nie przejmować i wyluzować. Przy odrobinie szczęścia, nie zdenerwują się jakoś strasznie, kiedy ICE – Wydział Przepływów Informatycznych – będzie się bawić ich zabawkami. (Nie przejmowałabyś się, gdyby nie fakt, że oni są Ofiarami, i to Ofiarami z Klasy Średniej, zatem Rzecznik Praw Ofiar wypruje ci flaki, jeśli ich urazisz. No więc tego nie rób, dobra?). Zadzwoniłaś do wspomnianych chłopaków, powiedziałaś, że mają ruszyć dupy i przyjeżdżać, a na Boba zrzuciłaś zbieranie oświadczeń, odcisków palców i próbek DNA od innych świadków.

Przygotowujesz się do zebrania zeznań Wayne'a Richardsona, dyplomowanej pizdy i po raz pierwszy masz wrażenie, że wszystko jest pod kontrolą, gdy dzwoni telefon. Połączenie jest tylko głosowe, czujesz się niewyraźnie, widząc, że to szef.

– Szefie, wiem, że się spóźniam, ale nic na to nie poradzę. Ja ledwo tu ogarniam. Śledzi pan tę sprawę?

– Tak, tak, Sue, mam to. – Mac podchodzi do tego z nienaturalną flegmą. – To nie twoja wina, że masz opóźnienie. Ile zeznań już masz z głowy?

Bierzesz głęboki oddech.

– W firmie jest ich ośmiu i jeszcze jeden, który pracuje w domu. Próbują do niego dzwonić, ale nie odbiera telefonu ani komunikatora. Nie było tu zasięgu, póki nie zapewnili mi linii, stąd na początku musiałam wszystko robić ręcznie. Wysłałam panu nagranie z sali, to jest oficjalne zawiadomienie o przestępstwie. Właśnie miałam rozmawiać z panem Richardsonem z marketingu, zebrać jego zeznania. Co do rzekomego przestępstwa... dopiero co wgrałam kopię ich nagrania wideo, mówi chyba samo za siebie. Dzwoniłam po ICE, ale oni przysięgają, że do niczego nie dojdą, bo przestępstwo wydarzyło się na tysiącach rozrzuconych po świecie komórek; ale jest jakaś nadzieja, że coś znajdą, jak przetrzepią im laptopy. Migreny dostałam od samego ustalania, czym się tu oni właściwie zajmują. W każdym razie, przesłuchanie tego tałatajstwa zajmie mi parę dni, nawet z pomocą Boba, no i muszę przyznać, szefie, że sprawa przerasta mnie sto razy.

I to jest szczerą prawdą. Ganiecie karków za włamanie to jedna rzecz, zarządzanie programem integracyjnym społeczności gejowskiej to druga, ale międzynarodowa cyberprzestępczość w atomowym schronie pod Drum Brae w ogóle się w tym nie mieści. To nie jest coś, czego uczą na kursach do egzaminu na sierżanta. Nie chcesz, żeby to brzmiało jak jęczenie o pomoc, ale tak wychodzi.

– To co mam teraz zrobić?

Inspektor McGregor, dzięki Bogu, nie jest komendantem starej daty i nie wierzy w opieprzanie swoich funkcjonariuszy.

– No cóż, zaczęłaś bardzo dobrze, przez sam fakt, że pojechałaś i zaczęłaś spisywać nazwiska. – Waha się przez chwilę, potem zniża głos i przybiera ton konfidencyjny: – Właśnie przysłała pogłoska z Wydziału, że dostali zawiadomienie o poważnym przestępstwie gospodarczym, wysłane przez kancelarię prawną reprezentującą jakąś syfiastą spółkę Tiger Investments z Londynu. Jednocześnie inna kancelaria, pracująca dla Hayek Associates – to chyba ci twoi goście – głądzi przez telefon o jakichś hackerach i wykorzystaniu informacji niejawnych na giełdzie, więc wygląda, że gówno już się rozlało i wszyscy obstawiają się

prawnikami. Masz szczęście, że „Scotsman” nie wysłał jeszcze ekipy reporterów. W każdym razie, Liz Kavanaugh i jej banda już tam jadą, jak tylko wykręcą się ze spotkania. Rób wrażenie zapracowanej i zabezpiecz teren. Wystarczy, że nie dasz nikomu wyjść, zarejestrujesz wszystkie ruchy, zaczniesz ich przesłuchiwać i utrzymasz pozycję, póki ona nie przejmie sprawy. I idziesz do domu, z dobrą recenzją. Pasuje?

Wymyka ci się westchnienie ulgi. Detektyw-inspektor Kavanaugh to gwiazda, która dobrze wgrzyła się w dupę miejscowym bogaczom; niech ona sobie połamie na tym zęby.

– Tak jest, sir, do zrobienia. Ale jeszcze sprawa Hastiego...

– To ten twój ulubiony dres, nie?

Czujesz ukłucie wdzięczności, że kojarzy.

– Dokładnie ten.

– Skontaktuję się z szeryfem i spróbuję wytargować jeszcze tydzień. Jak nie da rady, a ty jeszcze będziesz tam tkwić, to załatwię kogoś, żeby pojechał i nagrał twoje oświadczenie na miejscu. Nie zabieram cię stamtąd, póki Wydział X się nie rozłoży. Dobra?

– Tajest. – Wydajesz kolejne westchnienie ulgi. Ze służby pewnie zejdiesz późno i spędzisz w tym bunkrze większą część piątku (znasz aż za dobrze te gwiazdy z Wydziału X i te ich spotkania), ale to teraz najmniejszy z twoich problemów. Wynikłą z tego papierologię obkoczysz w godzinach biurkowych w przyszłym tygodniu. – Zaraz się za to zabieram.

– Cześć – kończy rozmowę, a ty otwierasz drzwi.

Kroki nagle ustają: Wayne, widząc cię, omal nie wylezie z kosztownie wypielęgnowanej skóry.

– Panie Richardson? Poświęci mi pan jeszcze parę minut? – Uśmiechasz się grzecznie, nie pokazując zębów.

– Eee... właśnie miałem dzwonić do naszej centrali w Stanach, poinformować ich o wszystkim...

Do końca szychty dwie godziny, a Mary ma dziś wolne, co oznacza, że wścieknie się, jeśli nie zdążysz do domu, żeby mieć oko na Daveya, kiedy mały szkodnik wróci ze szkoły. Jeśli? Żadne „jeśli”. Kiedy. Już widzisz, jak to się ciągnie i ciągnie, więc na moment przestajesz działać w rękawiczkach.

– To sprawa śledztwa, proszę pana. Muszę odebrać od pana oświadczenie, natychmiast. Koledzy poczekają.

– Eee... – Znów tak nerwowo drga. – No dobrze. – Powłócząc nogami, wchodzi do gabinetu, jakby myślał, że zaraz go aresztujesz. Tego nie masz jeszcze w planie, ale...

Wskazujesz mu krzesło dla gości.

– Proszę tu usiąść. O właśnie. – Stawiasz na biurku telefon i celujesz nim w niego. – Mój telefon. Wiem, że stary i wielki, ale to dlatego, że jest ekranowany, wiesz pan? Proszę patrzeć w tę kamerę. To będzie wyglądało tak. Najpierw wygłoszę oficjalne pouczenie. To jest rutynowa sprawa i nie znaczy, że będę pana o cokolwiek oskarżać, ale popełniono przestępstwo, a pan jest na miejscu przestępstwa, więc pouczyć pana muszę. Potem pana urzędowo wylegitymuję i trochę sobie porozmawiamy, to wszystko będzie rejestrowane do materiału dowodowego. Na koniec spotkania wyślę panu surowy zapis. Jakies trzy dni później dostanie pan mejlem transkrypcję. Podpisze pan ją, piórem lub długopisem i przyniesie ze sobą na komendę, w ciągu siedmiu dni, razem z dowodem tożsamości. Wtedy pobierzemy od pana próbkę śliny, zarejestrujemy ją w bazie i też trafi do akt. Dla sądu.

Marszczy brwi, robi nerwową minę.

– Słucham?

– A co jeśli... tego, w transkrypcji będą błędy? Albo coś?

Nie możesz się powstrzymać. Prychasz.

– Transkrypcja może być czasem paskudna, to zgoda, tak to jest kiedy połowę pracy biurowej podzleca się do Nigerii, a połowę robi AI, która ma masę błędów, ale przed podpisaniem ma pan prawo wszystko skorygować. To pana oświadczenie dla nas, wiesz pan? Tylko proszę tego nie rozgadywać.

Nie odczuwasz potrzeby doinformowywania go, że niepodpisanie i nieodesłanie oświadczenia w terminie 7 (słownie siedmiu) dni roboczych jest wykroczeniem karanym administracyjnie zgodnie z Ustawą o Reformie Sądownictwa Karnego Szkocji (2012), nieokazanie ważnego biometrycznego dowodu tożsamości jest jeszcze poważniejszym wykroczeniem zgodnie z Ustawą o Dowodach Tożsamości 5 (2006), a manipulowanie treścią oświadczenia może być karane zgodnie ze Szkockim Kodeksem Karnym (Ujednoliconym) z r. 1995. Poza tym, jego obowiązkiem jako praworządnego obywatela jest wiedzieć takie rzeczy, a ty niedługo będziesz mieć na głowie swojego nie-do-końca-nastoletniego syna.

– No to chyba dobrze. – Opuszcza ramiona. – To od czego zaczynamy?

– Uwaga. Nagrywamy... – przerywasz, żeby guzikiem telefonu zarejestrować datę i godzinę
– ...czy może mi pan opowiedzieć własnymi słowami, co dokładnie robi pana firma i co się dzisiaj stało?

Jest piątek rano na północnolondyńskim przedmieściu, a ty nie wygrałaś w totolotka, ani nie dostałaś powołania do Królewskich Muszkieterów, więc wybierasz się do pracy. (W sumie to nawet nie kupujesz kuponów. Przeliczyłaś to sobie, kiedy miałaś siedemnaście lat i, chciwość chciwością, ale aż taka głupia nie jesteś. Zresztą, nie o to chodzi, prawda?). Jest piątek rano, idziesz do pracy, a Chris już ci wysłał na telefon mejla, że o 10.00 jest spotkanie kryzysowe. Kryzysowe, co za kryzys? Wczoraj wieczorem, kiedy wychodziłaś, nic na horyzoncie go nie zapowiadało. Może to tylko Urząd Podatkowy i Celny Jej Królewskiej Mości znowu sprawdza raport skonsolidowany dotyczący korporacyjnych samolotów.

W łazienkowym lustrze przyglądasz się barkowi. Niezłego siniaka zrobił ci w klubie ten Mike. Duży i mały budvar w pubie Frog and Tourettes pozwoliły ci zasnąć, nie zauważając tego, ale teraz ramię zaczyna sztywnieć i przez parę dni będziesz musiała traktować je delikatnie. Więc dzisiaj czarna bluzka i szary kostium. Za tydzień trzeba będzie go wyprać; takie brudne są teraz siedzenia w londyńskim metrze. Transportu nie stać, żeby je czyścić, bo ma kryzys finansowy i usiłuje wymanewrować się z Partnerstwa Publiczno-Prywatnego, żeby uniknąć bankructwa. Bałagan, jaki został w kraju po defederalizacji teraz naprawdę zaczyna się mścić – co fałszowanie sprawozdań finansowych jedną ręką da, to potem drugą odbierze. Czy nie tak działa ten świat?

Śniadanie składa się z pośpiesznie pochłoniętego batona Kellogg's popitego szklanką organicznego soku jabłkowego. Łapiesz ostatni egzemplarz pisma „Księgowość, rachunkowość i audyt”, pakujesz do teczki, razem ze standardowym zestawem: piórem, iPodem, zabytkowym kalkulatorem kieszonkowym po tacie oraz pożyczonym od Matthew podręcznikiem szermierki półtorakiem autorstwa Christiana Toblera, zaczytanym, z oślimi uszami. Na moment wpadasz do łazienki po odrobinę szminki i kredki do oczu i wychodzisz.

Początek maja, jeśli wierzyć mamie, był kiedyś chłodną końcówką wiosny. I na pewno było zimniej. Teraz wściekłe lato atakuje o wiele tygodni wcześniej i każdy, kogo stać, zakłada sobie klimę. (Co z kolei nie wpływa najlepiej na przestrzeganie przez Szkocję warunków paktu stabilizacyjnego zawartego z Europejskim Bankiem Centralnym... Nie, przestań! Nikt ci za to nie płaci, żebyś w czasie dojazdów do pracy prowadziła w myślach analizę ryzyk polityki fiskalnej państwa, prawda?)

Harrow wygląda jak zawsze, zapocone, śmierdzące, tłoczne i pełne samochodów, które z każdym rokiem robią się coraz większe, w dziwacznym wyścigu z ceną paliwa – patrzcie, kogo stać na większą terenówkę, która w życiu i nie zjedzie z asfaltu. Jest już za pięć ósma i

metro pracuje w pełnym trybie szczytowym. Na West Harrow udaje ci się wcisnąć do wagonu i, cud nad cudami, znajdujesz skrajne siedzenie, żeby przycupnąć na nim aż do Baker Street (a do tego czasu temperatura dobija do trzydziestu stopni, zaś między tobą i drzwiami powstaje mur z ludzkich ciał – całe szczęście, że nie masz klaustrofobii). Potem kolejne pół godziny linią Hammersmith and City, rozklekotaną i dusząco gorącą, przez cały Londyn na Whitechapel i wreszcie piętnaście minut wiszenia na uchwycie w Docklands Light Railway, jadącej na południe ku Wapping, przez osobliwie cyberpunkowy krajobraz geodetycznych szklanych wieżowców o fallicznych kształtach, przemieszanych z walącą się infrastrukturą olimpijską i osiedlami identycznych kserodomków. Masz wszystko wyliczone co do minuty, a i tak dojazd, od drzwi do drzwi, zajmuje ci minimum półtorej godziny. Dni robocze możesz spisać na straty – w transporcie spędzasz piętnaście godzin tygodniowo, siedemset pięćdziesiąt rocznie – tyle ucieka do ścieku, jakim jest gówniany transport publiczny stolicy. Gdybyś mogła sobie pozwolić na przeprowadzkę na wschód, zrobiłabyś tak, ale wszystkie rejony, na które cię stać, są skazane na zagładę – widziałaś mapy zalewowe dla przedmieść nad Tamizą i dobrze wiesz, które firmy ubezpieczeniowe robią dobrą minę do złej gry...

Bo jesteś, kurna, dobra w swojej robocie. Ale gdybyś jeszcze do tego miała jakieś życie, co?

Biuro otwiera drzwi i wsysa cię z ulicy. Zaczęło życie jako bezpretensjonalna, georgiańska miejska rezydencja, ale dzisiaj ogród poprzerastały geodetyczne kopuły projektu Foster Associates, dach pokrywają panele słoneczne, a drzwi przeskanowały twoje RFID-y i ustaliły, kim jesteś, kiedy byłaś jeszcze w połowie ulicy. Centrala firmy Dietrich-Brunner Associates jest pewnie warta więcej niż niektóre kraje Trzeciego Świata. Zaszływasz się na moment w damskiej toalecie, żeby się odświeżyć, potem jedziesz windą na trzecie piętro, gdzie pod niskimi okapami kisną młodszy konsultanci.

Rzucasz teczkę i ruszasz prosto do serwera kawy. Zrobiło się wpół do dziewiątej i stoi tam kolejka spragnionych współpracowników, uszeregowanych w kolejności dziobaka, czekających, aż Jessica, Esme, czy kto to tam jest z administracji, przestanie majstrować przy kapsułce i zejdzie z drogi. Część z nich jest zaszklona i pogrążona w arkuszach kalkulacyjnych albo wesolutkich pogawędkach, tobie jednak nie przyszło do głowy wieszać sobie biuro na twarzy, zanim nie dostaniesz pierwszej działki kawy, wskutek czego jesteś podatna na drobne irytacje, wynikające z tego, że musisz stać w kolejce i nie masz się czym zająć. Humor cię opuszcza, a nie zostaje po nim nawet ślad, gdy zauważasz Adama Eliota (albo on zauważa ciebie). To nie jest takie zajęcie, jakiego byś sobie życzyła. Ale coś ci mówi, że paru innych konsultantów wszystko rejestruje. A już na pewno Margaret Harrison, z przodu w kolejce – ma

na nosie okulary zastępcy partnera, ale nie wykonuje tańców rękoma. Może więc Adam zachowa swoje wścibstwo na inną okazję.

– Cześć, Xena! – ćwierka jednak. – Jak tam, zabiłaś dzisiaj jakichś pasażerów?

Próbujesz nie zwracać uwagi: niegrzeczna odpowiedź nie byłaby konstruktywna, a tutaj konstruktywność liczy się nade wszystko. Adam wyobraża sobie, że jest zajebistym przechujem od analizy ryzyka. W sumie ma rację, jeśli pominąć „zajebisty” i „prze”. Ale nie daruje sobie.

– Jak tam udała się wyprawa?

Wiesz dobrze, że na mordowaniu idiotów do niczego się nie dojdzie – idiota niczego się nie uczy, a gapie mają wrażenie, że traktowałaś go poważnie – ale jeszcze nie wypitaś swojego podwójnego ristretto, więc tylko przywołujesz najbardziej lodowate spojrzenie, na jakie cię stać i mówisz najspokojniej jak umiesz:

– Moje życie prywatne to nie twoja sprawa. – Mały chochlik przewrotności podpowiada ci, żeby dodać: – Jeśli będziesz dalej rzucać takie niestosowne uwagi, zastanowię się, czy nie rejestrować tych incydentów na okoliczność przyszłego postępowania dyscyplinarnego.

– No ej, to nie było miłe! Żartowałem tylko. – Zwraca na ciebie swoje pasywno-agresywne oczy szczeniaczka. – Przecież wiesz, że to tylko żarty, co?

– A skąd miałyby to wiedzieć? – przerywa ostro Margaret. Elliot od razu słucha. Margaret ma około czterdziestki, budzi respekt samym wyglądem i zaraz zostanie pełnym partnerem, to kwestia miesięcy. Ton ma zirytowany. – Elliot, wybierz sobie kogoś swojego kalibru. Albo przynajmniej kogoś, kto ma podobne poczucie humoru.

– Ale ja tylko...

– „Ja tylko” robiłem z siebie idiotę na oczach stażystów i praktykantów. Mam dla ciebie radę: znajdź sobie jakieś konstruktywne zajęcie.

Krzyżujesz ramiona, a Adam wymyka się z pustymi rękami. Jeśli kiedykolwiek postanowisz dostać w pracy morderczego amoku, na pewno zaczniesz od pokazania mu twojego wspaniałego nożyka do listów. Ale tymczasem Margaret zasługuje na jakieś podziękowanie.

– O co mu chodziło? – pyta cię.

Czujesz, że policzki zaczynają ci płonąć.

– Adam coś sobie na mój temat ubzdurał i ciągle się o coś dopytuje.

– Naprawdę? – Unosi brew. – Nie przyszłoby mi do głowy. A o co dokładnie? Może będę mogła jakoś pomóc.

Jasna cholera. Tego właśnie chciałaś uniknąć, ale teraz nie da się jej grzecznie zbyć.

– W moim niezmiernym wolnym czasie... – starasz się, żeby ironiczne podkreślenie

zabrzmiało dobitnie: nic tak nie dowodzi nielojalności wobec spółki, jak zużywanie energii poza pracą na coś niekonstruktywnego. – Mam takie hobby. Kiedyś bawiłam się grami, ale potem zdryfowałam w rekonstrukcję historyczną.

– Gry? – Unosi brew. – Rekonstrukcja historyczna?

– Gry fabularne na żywo, w czasie rzeczywistym. I stamtąd odskok w średniowieczną niemiecką szermierkę – uściłasz. Większość w tym momencie zaczyna się nudzić i liczysz właśnie na taką reakcję. Ale Margaret nie chwyta przynęty.

– Gry? Ciekawe. A może kiedyś grałaś... – Urywa i mruga do swojego interfejsu, niewidocznego dla ciebie. – W Dungeons and Dragons?

Ups.

– Nie bardzo. Kiedyś mocno angażowałam się w *Szpiegów*, ale...

Kobieta z administracji kończy majstrować, w ekspresie coś szczęka i pstryka, kolejka posuwa się naprzód. Lecz Margaret najwyraźniej poświęciła swoje miejsce w kolejce, żeby cię przesłuchać.

– *Szpiedzy* chcieli pożreć mi całe życie, więc przestałam.

– Dobrze wiedzieć.

– Ale to wszyscy wiedzą!

Kolejka przesuwa się naprzód krokiem marszowym, przy maszynie instaluje się Eddie ze Wsparcia Telefonicznego z całą baterią kubków dla pariasów z dołu.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, naprawdę pomyślałam, że to może się przydać... A jesteś zaproszona na tę paszczówkę Chrisa?

Kiwasz głową.

– Dobrze. Tak myślałam. Posłuchaj, to ma coś wspólnego z accountem Tiger Investments. Chris powiedział, żeby mieć oko na graczy, bo mogą się do czegoś przydać. Bóg raczy wiedzieć, do czego. Tak sobie myślę... może to dlatego pojawiło się twoje nazwisko.

– Oko na graczy?

Dla klienta Tiger Investments? Mimo obłoczka zażenowania – ten kutas Adam musiał plotkować pod kiblami – brzmi to dziwnie.

– To spotkanie kryzysowe będzie o czymś takim?

Kolejka przeskakuje o jeden ząbek, przesuując Margaret ku ekspresowi. Uśmiecha się protekcyjnie.

– Wiesz co, strasznie cię przepraszam, ale muszę lecieć. Do zobaczenia za pół godziny, oki?

Zmuszasz się do wątego uśmiechu w odpowiedzi. Masz przecucie, że ta kofeina będzie ci bardzo potrzebna.

Jack: Zemsta płata mamusinego

Pod celą na policji siedziałeś dokładnie dwa razy w życiu – raz to była ta totalna katastrofa, kiedy miałeś piętnaście lat, a cofnąwszy się jeszcze dalej, ten numer, kiedy byłeś mały, a Gav i Nick namówili cię, żebyś podczas otwarcia nowej świetlicy pokazał dupę burmistrzowi. Gav i Nic biegali szybciej od ciebie i dlatego właśnie – uświadamiasz sobie teraz, klasycznie mądry po szkodzie – to ty zostałeś wkręcony w to zadanie. I za jednym, i za drugim razem byłeś zbyt młody, żeby naprawdę zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Jednakże trochę mniej oczywiste jest dla ciebie, jak wylądowałeś na amsterdamskiej komendzie o wpół do ciemnej godziny; głównie dlatego, że byłeś za bardzo upalony skunem i nawalony mocnym kontynentalnym piwem, żeby wiedzieć, gdzie jest góra, a gdzie dół – lecz rano już zdecydowałeś, że holenderska policja, mimo swojej opinii luźnej, wcale nie jest bardziej przyjemna od angielskiej. Zwłaszcza na kacu.

Gdyby cię nie aresztowano, spędziłbyś piątkową i sobotnią noc w ciasnym pokoju w Bulldogu, zajeździe-schronisku słynącym z nadzwyczajnie przystępnych cen i podejrzanego umeblowania. A tak, spędzasz noc w celi, gdzie w charakterze umeblowania masz gąbkowy materac, żarówkę oraz umywalko-klozet ze stali nierdzewnej. Właściwie, jest nawet większa niż pokój w Bulldogu, a plamy na materacu niewiele gorsze, ale nie ma mydła, Internetu i żadnych przegryzek – niczego, co mogłoby odwrócić myśli od twojego marnego losu. No bo wiesz, masz przerąbane. Aresztowano cię drugi raz w życiu i poziom stresu masz tak wysoki, że gdyby weszła tu, śpiewając, banda zakapturzonych Inkwizytorów i powlokła cię kamiennym tunelem pełnym przykutych do ścian szkieletów do jaskini z elektrycznym krzesłem, pewnie i tak poczułbyś ulgę. Nie masz pojęcia, czego się spodziewać, więc kiedy drzwi otwierają się z grzechotem, prawie wychodzisz z siebie.

– Pan Reed? Proszę ze mną. – To inny gliniarz, zbudowany jak rugbysta, z potwornie znudzoną miną.

– Eee, dokąd?

Musisz mieć zdezorientowaną minę, bo mówi bardzo powoli i głośno, jak do tępego cudzoziemca.

– Proszę wyjść z celi i iść na koniec korytarza, aż powiem, żeby się zatrzymać.

– Ale ja nie mam... – Zerkasz na stopy i wzruszasz ramionami. Zabrali ci buty, pasek, kurtkę i telefon, potem kazali podpisać jakiś papier, i teraz jakaś część tyłomózgowia mająca obsesję na punkcie procedur robi ci aferę i nie chce wychodzić bez butów. To prawdopodobnie ten sam płat mózgu, który dba o to, żebyś miał zapięty rozporek i wytarty nos: płat mamusiny. –

Dobra. – Zmuszasz się do przestawienia naprzód jednej stopy w skarpetce, potem drugiej. Serce ci podskakuje w rytm pulsu, w ustach masz posmak zdechłych gryzoni. Teraz zauważasz, że płat mamusiny papele coś o konieczności umycia zębów...

Trafiasz do pokoju z biurkiem, sierżantem Politie i kupą niedyskretnych kamer w żółtych obudowach podpisanych MATERIAL DOWODOWY po angielsku i niderlandzki. (Chyba muszą tu mieć sporo turystów). Nie wspominając o pudełku po butach, w którym leżą twoje buty, komórka, kurtka i pasek.

– Pan Reed? Proszę siadać.

Siadasz.

– Czy rzucił pan, wieczorem dwudziestego, jakimiś przedmiotami w wystawę sklepu z antykami na Prinsengracht trzysta osiem?

Marszczysz brwi, próbujesz sobie przypomnieć. Płat mamusiny już ma powiedzieć: „Nie wydaje mi się, ale mogę się mylić”, zdążasz jednak powstrzymać go w samą porę i wydostaje się tylko stłumione:

– Nie!

Gliniarz kiwa głową i notuje coś na tablecie.

– A czy wziął pan fotel, który właściciele sklepu na Prinsengracht 308 wystawili na chodnik do wywiezienia przez zakład oczyszczania miasta i przestawił go naprzeciwko sklepu?

To łatwiejsze pytanie. W ogóle nie znałeś tego fotela, zanim się w nim nie obudziłeś.

– Nie.

Kolejny zawijas na tablecie. Policjant marszczy brwi.

– A pamięta pan coś z wczoraj wieczorem? Cokolwiek?

W tym momencie płat mamusiny wrywa się na wolność i opanowuje krtań – dlatego, zamiast powiedzieć: „Gdzie jest mój prawnik?”, słyszysz coś w rodzaju:

– Nie, dopiero jak się w nim obudziłem. Wcześniej byliśmy w Arensnest i trochę się napiliśmy, potem poszliśmy gdzieś dalej i już słabo pamiętam, co było. No i obudziłem się przykuty do tego znaku.

– A ci „my” to kto, z kim pan pił?

– To był Mitch i Budgie. Tom się nie wyrobił, bo ma urlop rodzicielski...

– No dobrze. – Robi kolejny znaczek na tablecie, potem odkłada go i mierzy cię spojrzeniem. Drżysz, a jaja ze strachu chcą ci się wczołgać do gardła. – Panie Reed. Wygląda mi, że jest pan ofiarą kawału, który posunął się trochę za daleko. Nie wykryto pana DNA na kamieniu, którego użyto do rozbicia szyby, ani na samej szybie. Na nagraniach z kamer widać trzy inne osoby, które niosą pana i fotel, a potem przykuwają do ulicznego sprzętu. Więc nie

jest pan podejrzany o wandalizm ani kradzież. Ale postawię sprawę jasno, taki stopień upojenia alkoholowego jest u nas wykroczeniem przeciwko porządkowi publicznemu i wydaje mi się, że mamy wystarczające dowody, żeby uzyskać wyrok skazujący. Ponieważ jest to drobne wykroczenie, a pan jest obcokrajowcem i obywatelem Unii, jeśli przyzna się pan do popełnienia „Dronken orde/veiligheid verstoren op openbare weg”, zakłócenia porządku w miejscu publicznym pod wpływem alkoholu, za co przewidziana jest grzywna w wysokości dwustu pięćdziesięciu euro, mogę zwolnić pana od ręki. Jeśli jednak nie przyznaje się pan do winy, ma pan prawo do procesu przed sądem rejonowym. – Odchyła się w tył i splata ręce na piersi.

Ostro jak na amsterdamską Politie, ale coś słyszałeś, że ostatnio mają jakieś zaostrenie polityki, po prostu twój pech, że na to trafiłeś.

– Jakie są konsekwencje, jeśli przyznam się do winy? – pytasz.

– To jest kara administracyjna, więc nie ma żadnego dalszego postępowania, ani wpisu o karalności, jeśli zgodzi się pan na grzywnę. – Ma znudzoną minę. – Decyzja należy do pana.

Właściwie nie ma się nad czym zastanawiać. Płacisz €250 i koniec – przecież nie wpiszą cię do kartoteki przestępców seksualnych, nie wsadzą do więzienia ani nic takiego. Alternatywą jest zmierzyć się z ziemią nieznaną, szukaniem prawnika i występowaniem w sądzie, gdzie pewnie uznają cię winnym i wyślą po ciebie bandę zakapturzonych inkwizytorów, żeby powlokła cię kamiennym tunelem pełnym przykutych do ścian szkieletów do jaskini z elektrycznym krzesłem, za sam fakt marnowania ich czasu. „Zresztą sam przyznaj”, upomina płat mamusiny – „byłeś pijany, co nie?”.

Kiwasz głową i krzywisz się, gdy czoło przypomina o kacu.

– Można płacić PayPal'em?

– Oczywiście. – Policjant wskazuje pudełko na stole. – Dostanie pan mejla z instrukcją przyznania się do winy. – Przerywa. – Przypominam, że nie złożenie takiego oświadczenia e-mailem w żądanym terminie oraz niestawiennictwo na posiedzeniu sądu to znacznie poważniejsze wykroczenia, niż stan upojenia alkoholowego w miejscu publicznym, i szkocka policja będzie ścigać pana w naszym imieniu.

Tego ci zupełnie nie potrzeba.

– Dobrze, zapłacę grzywnę – rzucasz pośpiesznie.

– A więc koniec przesłuchania. Może pan wyjść, gdy tylko będzie pan gotowy – mówi gliniarz, wstaje i wychodzi, a ty gapisz się za nim z jednym butem w dłoni, a drugim na lewej nodze.

„Nie zapomnij zawiązać sznurowadeł”, drwi płat mamusiny. „Pamiętaj, to poważne

wykroczenie!”.

Wychodzisz z komisariatu, mrugając jak robot, jak animatroniczny świstak, który ma zwarcie. Kac pogorszył się na tyle, że starasz się w ogóle nie ruszać głową, żeby nie odpadła. Fale bólu pulsują stereofonicznie na obu skroniach, skóra wydaje się o dwa stopnie za ciepła i o dwa numery za mała. Jest słoneczny sobotni poranek, a światło rani twoje oczy jak w *Psie andaluzyjskim*, tnąc brzytwami bólu opuchnięte, czerwone okna duszy. Uspokaja się trochę, kiedy zakładasz okulary i puszczasz nakładkę na rzeczywistość, ale wszystko to jest niczym wobec tego uczucia, że masz rozpięty rozporek – kiedy ostrożnie oglądasz się przez ramię przed wejściem na policję. To uczucie ma się do zwykłego niepokoju tak, jak *déjà vu* do wspomnienia. Gdybyś tylko nie pozwolił Mitchowi i Budgiemu...

Na co?

Kręcisz głową i pojękujesz, potem rozglądasz się za przystankiem tramwajowym. Klaruje ci się plan. Zakradniesz się do swojego pokoju, łykniesz parę ibupromów i puszkę Red Bulla, wrzucisz bambetle do torby, potem wyjdiesz na paluszkach, pojedziesz czym prędzej na Schiphol i wsiądziesz do pierwszego samolotu do domu. Koszt, kurna, nieważny. Zresztą, telefon już szuka okazji cenowych w sieci. A jak już będziesz w domu, włamiesz się do sąsiadów, kiedy będą w pracy, złapiesz ich kota i jakoś go przekonasz, żeby zakopał twoją głowę w swojej kuwecie ze żwirkiem. To powinno pomóc na kaca, a przynajmniej spojrzysz na niego z odpowiedniej perspektywy. A potem...

Krucha porcelana świeżo ulepionego planu rozpryskuje się w tysiąc kawałków, gdy przypominasz sobie rozmowę telefoniczną z Sophie. Coś z jakimś przyjęciem dla Elsie? Jakiś prezent masz jej wysłać, czy coś? Zapomnij o wsadzaniu głowy do kuwety, taki śmierdzący amoniakiem nie będziesz chodzić po sklepach za prezentem dla jedenastolatki. Cholera, pojedziesz do domu i, znając twoje szczęście, za tydzień będziesz mieć pracę w banku, przy reperowaniu zepsutych Exceli, w garniturze i tym ustrojstwie do duszenia, jak to się nazywa...?

Najpierw zrób z tym porządek. Dobra? Przynajmniej, cholera, poszło znacznie lepiej niż poprzednim razem, kiedy w szkole wpadłeś w tarapaty razem z Amandą Parker. Amsterdam z rana nie działa, przynajmniej w weekendy. Zakładasz okulary, mówisz telefonowi, żeby wyznaczył ci drogę do zatracenia i człapiasz chwiejnie między spuszczonej roletami butików i śpiącymi sklepami z serem, brukowanymi ulicami, po których nic nie jedzie; wreszcie trafiasz na przystanek tramwajowy, na którym czekasz dziesięć minut, aż przyjedzie rozklekotany rupieć i z piskiem się zatrzyma. Szybkie wyszukiwanie pokazuje, że jedna z

ultrataniach budżetowych linii ma miejsce do domu za zaledwie €200, w jedną stronę, plus podatek węglowy i opłaty lotniskowe, Szybki prom-katamaran z Rotterdamu do Edynburga jest o wiele tańszy, jednak nagle zwiduje ci się takie oto nieprzyjemne porównanie: To jest twój żołądek, a to jest twój żołądek na morskich falach.

Bulldog jest otwarty, więc skradasz się klaustrofobicznie ciasną klatką schodową na piętro, gdzie masz pokój. Wzięłeś tylko małą torbę i nawet nie chciało ci się jej rozpakowywać. Parę minut później jesteś poza strefą turystów z plecakami, na ulicy, idziesz w stronę Centraal Station, by złapać szybki pociąg na lotnisko.

Amsterdam może z rana nie działa, ale Centraal nigdy nie śpi. Stoisz na placu przed dworcem, gałki oczne wypala ci odbite od kanału światło słoneczne. Skutery i kamikadze na rowerach cały czas próbują cię zabić, wszędzie jest pełno groźnie wyglądających ćpunów i żebraków, próbujących wysepić po banknocie od każdego turysty. Cały plac śmierdzi nieświeżym piwem, psimi kupami i gorącym metalem, na co nakładają się śmierdzące bąkami spaliny z silników motorowerów. Dzwonki tramwajowe w tle wyzwalają w głowie kakofoniczne echo, ptaki latają stadami, szukając ofiary do zbombardowania. Cały czas usiłujesz kupić bilet lotniczy do domu, a okulary nie wyrabiają się z wyświetlaniem przegiętego graficznie interfejsu strony linii lotniczych. Cookies wygasają i resetuje się sesja. Transfer jest tu do dupy, a cała scena to jedna wielka chujnia. Chcesz do domu i nie możesz już się doczekać tego pociągu na Schiphol. Liczyłeś, że trochę się oderwiesz od tego fiaska *Steaming*, ale zdychający wąż gry, która padła, chwycił cię w swoje sploty i dusi. Naprawdę trzeba wracać do domu i umówić się na jakąś rozmowę o pracę.

Ciekawe, kto będzie twoim następnym korporacyjnym panem.

Oświadczenie Wayne'a Richardsona, 2016-03-20.

Surowy zapis.

– Firma nazywa się Hayek Associates. Powstała trzy... nie, cztery lata temu. Trochę ponad cztery lata. Jesteśmy firmą doradczą i animatorem rynku o zdywersyfikowanym portfelu. Prowadzimy wirtualne banki centralne dla masowych sieciowych gier fabularnych. Stabilizujemy gospodarkę siedemnastu nieistniejących światów. W sumie ich VM2 wynosi... to znaczy, eee... ilość wirtualnego pieniądza w obrocie – mniej więcej tyle co Japonii. Jesteśmy głównym wykonawcą dla jednej gry z pierwszej ligi, *Virtuous Gold*, prawie dwanaście milionów graczy, każdy płaci sto dwadzieścia euro rocznie za konto i średnio dwieście sześćdziesiąt euro za dodatki. Potem, głównym wykonawcą dla trzech gier z drugiej ligi, czyli między jednym a pięcioma milionami graczy, w to wlicza się Avalon 4, czterech z trzeciej ligi, mamy jeszcze trochę drobnicy i parę dużych projektów w fazie rozwoju, o których nie wolno mi na razie mówić, bo obowiązuje mnie tajemnica handlowa. Wszystko sprowadza się do tego: odpowiadamy za to, żeby jakimś dwudziestu milionom graczy, którzy wydają sześć miliardów euro rocznie na udział w grach naszych klientów, ich wirtualne skarby nie rozplynęły się nagle w powietrzu. Ja przyszedłem do firmy mniej więcej osiemnaście miesięcy temu, kiedy Barry i Bo Pierson – Bo jest założycielem i w zeszłym roku sprzedał udziały Marcusowi za parę milionów, tuż przed moim przyjściem – doszli do wniosku, że ktoś musi zrobić reengineering ich wizji świata gry. Poprzednio byłem starszym konsultantem od wywiadu rynkowego dla szkockiego dystrybutora Kensu International, a wcześniej pracowałem w wywiadzie u Disneya. Marketing i analiza wywiadowcza i tak są ściśle ze sobą związane, a Hayekowi potrzebne było jedno i drugie. Marcus cały czas gadał ze mną przez telefon, bo dopinał robocze ustalenia z Kensu, i tak się zgodaliśmy, potem zrobiłem dla niego na zlecenie projekt jakichś kampanii i tak to się rozwinęło. Praca w tej branży to trochę jak te zdesperowane gospodynie domowe z *Gotowych na wszystko* – wszyscy szukają odpowiedniego start-upa, co weźmie z tobą ślub i zrobi z ciebie milionera... to jest debiut giełdowy. A może opcje na akcje? Nie, przygotowanie debiutu to coś jak ciąża, a opcje to... zresztą, cholera, to jest metafora Barry'ego, niech on to pani tłumaczy.

Pyta pani, co robimy? Zarządzamy gospodarką, żeby zmaksymalizować atrakcyjność dla graczy, sprawić, żeby gra była atrakcyjnym przeżyciem, które wciąga. Wymyślone światy z milionami graczy nie przestrzegają takich reguł ekonomicznych jak rzeczywistość – albo raczej przestrzegają je trochę inaczej, bo gry nie są napędzane pieniądzem, ale przyjemnością z gry.

Rozumie pani: jak gracze nie będą bawić się dobrze, to sobie pójdą. I wtedy co włożymy do garnka? W hierarchii potrzeb Maslowa siedzimy po prostu na innym poziomie niż tradycyjna gospodarka, ale dużo zasad jest takich samych. W świecie gry konieczny jest stały przyływ pieniędzy i skarbów, bo trzeba jakoś nagradzać graczy za to, co robią – kończysz misję, zdobywasz skarb. Gra pani w jakieś gry? Nie? Tylko CopSpace? To nie gra, to metawersum w rodzaju Real World czy Second Life... przepraszam, już wracam. Chciałem tylko wyjaśnić co robimy, tak jak pani prosiła. Dzisiejsze gry są nieskończenie skalowalne pod względem wielkości i liczby graczy. Kiedy klient przeklikuje warunki licencji, żeby zacząć grać, zgadza się na dodanie swojego telefonu jako zasobu do rozproszonego serwera. Więcej graczy to więcej serwerów, chociaż można dodać, że nie dla siebie, nigdy nie puszczaamy serwera danej gry na tym samym sprzęcie co jej klienta, to byłoby proszenie się o kłopoty – ale pod spodem w istocie działamy jak arbitraż rynkowy na procesory. Największym problemem programistów gier jest zachowanie przyczynowości i spójności obiektów przy minimalizacji latencji... przepraszam, mówię tylko, co jest obsesyjnie pilnowane przez naszych klientów. Takie niezbędne wprowadzenie, okay?

No właśnie. Korzystamy z maszyn użytkowników jako rozproszonych serwerów i za tym idzie jeden problem: oni ciągle próbują się do tego włamać. To żaden szok, to prawda życiowa. Zawsze chcą wleźć w buty jakiegoś innego gracza i nie powstrzymuje ich nawet fakt, że poszczególne serwery chodzą na oddzielnych maszynach wirtualnych. Dlatego, żeby zapobiec przekrętom, każdy przedmiot w takiej rozproszonej grze musi być cyfrowo podpisany, a każde istotne zdarzenie w lokalnym świecie gry przegłosowane przez co najmniej trzy serwery, a poza tym w dużym stopniu polegamy na wbudowanej w telefon architekturze do zaufanego przetwarzania. Swoją drogą, to znaczy, że siedzimy w branży autoryzacji i uwierzytelniania, tak samo jak wystawca pani karty kredytowej. Bo jeśli ktoś znajdzie sposób, żeby podmieniać przedmioty w grze bez naszej zgody, będzie mógł tworzyć wartość z niczego, a potem sprzedawać ją na eBayu czy jakieś giełdzie dla gier. A to spowoduje deflację, nie mówiąc o huraganie pod tytułem Żadna Przyjemność dla każdego, kto próbuje grać zgodnie z regułami.

To jest jeden punkt widzenia. Zarządzający grą muszą się martwić nie tylko tą kupą nudnych, automatycznych czynności administracyjnych, do wykonania za każdym razem, kiedy zapisuje się nowy gracz – ale jeszcze inflacją. Inflacja dzieje się, kiedy do gry wpływają pieniądze i skarby. Ale żeby klienci byli zadowoleni, trzeba ich cały czas nagradzać. Gra jest z natury rzeczy inflacyjna, bo goście cały czas plądrują groby jakichś dawnych bogów, włamują się do skarbcza gubernatora Jamajki, kolonizują galaktykę Andromedy i tak dalej. No a wie pani, nie

można na nich nałożyć żadnego podatku, albo sprawić, żeby pieniądze się psuły, czy coś, bo to byłoby Zero Przyjemności, a jak z gry nie ma Przyjemności, to po co grać? Taka jest różnica między ekonomią gry a Banku Narodowego – bank ma gdzieś, czy dobrze się bawimy. Musimy więc cały czas panować nad tą tendencją do galopującej stagnacji. Przeważnie radzimy sobie z tym, oferując krótkoterminowe depozyty dla kapitanów statków kosmicznych, kontrolujemy rynek wtórny różdżek magicznych, zapewniamy kredyty hipoteczne dla nekromancerów z dużym prestiżem, którzy chcą sobie zbudować własną kryptę i inne tym podobne.

No i jeszcze imigracja i kontrola graniczna. Większość dzisiejszych gier multiplayer chodzi na paru rozproszonych platformach – Zone działa na Symbianie/GDF, a Microsoft Arena na .NETSpace – i mechanizmy klienckie są zestandaryzowane, więc można się skupić na tworzeniu nowej treści do gier. A konkurencja jest mordercza. Każda gra ma werbowników i zachęty imigracyjne, żeby klienci migrowali do niej z innych gier i mogli zabrać ze sobą postać i wszystkie łupy. To jest wbrew warunkom świadczenia usługi, ale żaden wydawca gier nie strzelił sobie samobója, pilnując tego warunku, bo klienci by się wściekli. Stąd istnieją zewnętrzne rynki, jak giełda IGE, albo Gameboard na eBayu, i cała banda hien, utrzymujących się z narzędzi do migrowania awatarów z jednego środowiska do drugiego i zarabiających na prowizji od przeniesienia łupów z jednej gry do drugiej. Co z kolei oznacza, że między grami są kursy wymiany, i to nie tylko między grami, są i przeliczniki z gry na euro, z gry na juany, z gry na rupie. Na wszystkie liczące się waluty, a nawet na dolary amerykańskie. Więc są i spekulacje walutowe i zewnętrzny rynek opartych na grach funduszy hedgingowych, nie wspominając już o ciułaczach magicznych, którzy lokują zdobycz w najpotężniejszych magicznych artefaktach, jakie są do kupienia, trochę jak ci goście, co trzymają oszczędności w złotych monetach pod materacem. Są i brudne numery, jakie robią sobie zarządcy gier nawzajem, wroga spekulacja, próby przejęcia albo przechwycenia czyjejś bazy klienckiej, ale my w Hayek Associates niczego podobnego nie robimy. Gramy ściśle według zasad.

Innym sposobem na ściąganie nadmiaru gotówki z obiegu jest sprzedaż wirtualnych nieruchomości. Innym usługi depozytowe, gdzie gracze mogą za opłatą przechowywać złoto lub skarby – to działa w grach, gdzie są mocne ograniczenia na liczbę noszonych ze sobą przedmiotów. Jeśli wypatrzymy gdzieś nawis deflacyjny, musimy wygenerować płynność, aby zapchać tę dziurę, i to jest coś, czego nie jest w stanie zrobić rzeczywisty bank. Możemy zaoferować odsetki od depozytów, rozdawać darmowe wskrzeszenia, tego typu sprawy. I przez cały czas musimy patrzeć, jak się klientom podoba zachowanie rynku. Jeśli zaczną narzekać, mamy problem.

A moja praca... no, prowadzę kampanie śledzenia satysfakcji klienta wewnątrz gry, ustalam

hedonistyczne cele i ich miary, żeby nasi programiści i quanci wiedzieli, w którą stronę sterować, żeby zachować stabilność fiskalną. Robię za kogoś w rodzaju ministra finansów, tylko że zamiast „zysku” jest „przyjemność z gry” – do pewnego stopnia, póki na scenę nie wejdzie wymiana walut między grami i fundusze hedgingowe. W małym świecie – oj, przepraszam, to znaczy, poza grami – odpowiadam także za marketing i kontakty handlowe z naszymi zleceniodawcami. U nas w firmie każdy zresztą nosi ze trzy różne czapeczki. Jeden kontrakt, nawet na grę z trzeciej ligi, to dla nas wiele milionów euro, więc wkłada się w to sporo pracy... Że co? Tak, nad pozyskiwaniem nowych klientów pracujemy razem z Marcusem. Tak, to mój przełożony, można tak powiedzieć, że [to on jest szefem]. Nie, ja jestem dyrektorem marketingu, mój udział w kapitalizacji firmy to nędzne pół procenta. Jestem nieważny, nie warto zwracać na mnie uwagi.

Tak, dobrze, rozumiem. Przepraszam. Bez sarkazmu.

Zobaczmy... o wpół do jedenastej rano miałem spotkanie z Marcusem... zresztą, cholera, czemu ja się powtarzam? Widziała pani materiał. I ja widziałem... Nie, nie mogę przysiąc, że to się naprawdę wydarzyło, bo widziałem to tylko na ekranie. Ale co mi się wydaje, że widziałem: bandę trzydziestu, może czterdziestu orków – w Avalonie 4 jest taka rasa postaci. Weszli do centralnego banku. Mieści się w magicznym zamku wyrzeźbionym z diamentu wielkości góry, w mieście fruującym na fioletowej chmurze blisko Gór Odwirowych, a skarbcie bankowe... no, wie pani, to nie są prawdziwe, fizyczne, skarbcie, to po prostu tablica w bazie danych, przechowująca kryptograficzne skróty obiektów, które są deponowane w banku. Rozumie pani? Same obiekty są trzymane w holograficznej bazie danych smartphone'ach graczy i pilnuje ich sam silnik gry. Nie, nie umiem powiedzieć na czym telefonie jest dany przedmiot. One często się przemieszczają i przeważnie kopie są na co najmniej trzech telefonach naraz. Bank to zupełnie inna sprawa, główne klucze uwierzytelniające są zamknięte i zapisane w zaufanej bazie na serwerze... no, zresztą, gdzie miałyby być bank. Dlatego mieścimy się w schronie atomowym. To dobrze robi na wizerunek. Tak, bazowe klucze są podpisane przez Bank of Scotland w małym świecie. A za zabezpieczenie służą firewalle i mechanizmy zapewnienia integralności danych. Nikomu nie przyszło do głowy, że banda orków może ukraść tablicę z bazy danych...

Koniec zapisu.

Elaine: Katastrofalny spadek wartości marki

Paszczówki lubisz prawie tak samo, jak wizyty u dentysty. Któregoś roku, jak będziesz już naprawdę bogata, planujesz poświęcić tydzień i zgłosić się do dentysty-protetyka, który położy cię pod ogólne znieczulenie, wyrwie wszystkie twoje pieńki i zainstaluje w szczękach ceramiczno-tytanowe implanty na szkielecie z metalu z pamięcią kształtu. Wyleczysz kaca i będziesz mogła pożegnać się z plombami, pewna, że enigmatyczny diamentowy uśmiech zabierzesz ze sobą do trumny. No i archeolodzy będą mieli, kurwa, zagwozdkę!

Na nieszczęście, na paszczówki nie ma takiej dobrej recepty, ale przez ostatnie cztery lata w DBA wypracowałaś sobie parę strategii radzenia sobie z nimi: najpierw ristretto i wycieczka do łazienki, żeby czuć się komfortowo i przytomnie; wydruk agendy i naładowana bateria w twoim starym tablecie formatu folio, żeby móc bazgrać na nim notatki i robić analizę scenariuszy na bieżąco; i trochę czasu poświęconego tematowi z wyprzedzeniem, żeby w ogóle mieć jakieś pojęcie, o czym będzie mowa.

Jednakże niekiedy spotkania pojawiają się niespodziewanie, na serwerze nie ma agendy, a zbiornik paliwa w folio jest do połowy pusty. Mimo to, trzeba to jakoś przetrzymać, jak borowanie bez znieczulenia. To też element bycia konstruktywnym.

Pożar w burdelu, jakim jest pozbawione agendy osobiste spotkanie dotyczące klienta Tiger Investments, sugeruje, trzeba przyznać, że dzieje się coś interesującego. Obsługuje ich Chris i choć wcześniej nie miałaś z nimi do czynienia, mniej więcej wiesz, co robią. TI to inwestor-anioł specjalizujący się w nowych firmach technologicznych, tych wszystkich typowych firemkach od Web 3,1415. TI zleciło DBA, w osobie Chrisa Morgana, partnera i dyrektora Departamentu Zarządzania Ryzykiem, wykonanie pełnych przedemisyjnych raportów dotyczących wszystkich ich klientów. I teraz wyszło, że jeden z tych klientów widowiskowo nakrył się nogami.

– Wczoraj wieczorem zadzwonili do mnie z TI – wyjaśnia Chris. Wygląda na niewyspanego, jakby całą noc siedział na wspomagaczach i wyzerał pasmo sieciowe. Pięćdziesiąt parę lat, grube czarne brwi i trwale zmartwiony wyraz twarzy za okularami w grubych oprawkach, jakby był pewien, że zapomniał o czymś ważnym. – Ich najnowszy klienci mieli katastrofalne włamanie. Do tego, zaginął im programista wiodący, więc wszyscy krzyczą, że to robota od środka. Wszystkiego jeszcze nie wiem, ale wygląda na to, że ktoś zadzwonił na policję, a miejscowe krawężniki wyeskalowały problem do SOCA. TI już skeszowało swoje udziały, więc oczywiste jest podejrzenie o pompowanie kursu. Nasza bezpośrednia odpowiedzialność jest ograniczona do pięciu milionów, ale w powietrzu wisi

sugestia, że coś przegapiliśmy. – Zsuwa okulary z nosa. (Należy chyba do ostatniego pokolenia, które dorastało przy pecetach ze szklanymi kineskopami, ale nadaża: za tymi ekranikami Fuli HD od Armaniego kryją się oczy z laserowo zoperowanymi soczewkami.)

Brendan odchrząkuje.

– I jaki jest plan? – pyta łagodnie.

– Wy jesteście „plan”. Wszyscy. – Uśmiecha się.

Rozglądasz się wokół stołu. Widzisz same zaskoczone twarze: Faye, Mohammed, Fred, Brendan. Głową kiwa tylko Margaret, co samo w sobie wiele mówi.

– Jedziemy tam dzisiaj wieczorem, sypialnym. Jessica już rezerwuje pokoje i zabezpieczoną salę konferencyjną w West End Malmaison. Myślę, że z tydzień posiedzimy, więc spakujcie się odpowiednio. Pozwoliłem sobie wyczyścić wasze kalendarze, bo to ma teraz priorytet numer jeden. – Patrzy wprost na ciebie, a ty unosisz brwi. – Tak, Elaine, zdejmuję cię z Chorwacji. Pytania?

Mohammed, niepewnie:

– Piątek jest...

– Wiem. – Chris ma minę jakby rozgryzł plasterki cytryny. – Ale na miejscu już jest policja. Nie możemy się tam wbić i oczekiwać, że wszyscy od razu poświęcą nam czas. W poniedziałek to co innego. Dlatego jedziemy dzisiaj; sobota na dekompresję, a w niedzielę zrobimy spotkanie planistyczne, żeby mieć jakieś pojęcie, co robić, kiedy w poniedziałek zaatakujemy z grubej rury. – Milknie na chwilę. – Nawiasem mówiąc, po tym spotkaniu możecie iść do domu. Potrzebujecie czasu, żeby wszystko pozafatwiać.

– A po co my tam jedziemy? – pytasz. – To znaczy, czego nie da się zrobić stąd?

– Ma rację – zgadza się Mohammed. Zerka na ciebie nerwowo.

– Nie rozumiem, do czego ja jestem potrzebny – rzuca zgryźliwie Brendan. – Szkocja ma inny system prawny. Nie mam uprawnień do prowadzenia tam praktyki.

– Hayek Associates jest zarejestrowana w Londynie, na angielskim prawie – mówi Faye. – Czy nie tak? – Wydaje się nienaturalnie zadowolona z siebie.

– Tak – potwierdza Chris. I rzuca do Mohammeda, z przebiegłym uśmiechem: – Nie ma ucieczki!

Nie możesz się powstrzymać:

– Dalej nie rozumiem, czemu mamy tam jechać osobiście.

Chris obraca głowę i otwiera usta, lecz Margaret jest szybsza.

– Mogę? – pyta.

Chris kiwa głową.

– To się często nie zdarza. – Usta ma cienkie jak czarna linia nad sumą na bilansie. – Elaine, wiem, co myślisz. Przeważnie jest nam niepotrzebny dostęp bezpośredni. Problem polega na tym, że przeważnie szukamy niespójności w zapisach audytowych. – Zerka na Chrisa, żeby ją poparł. Ten potakuje z namysłem. – Przeważnie mamy pojęcie, czy dane, które dostaliśmy, w ogóle trzymają się kupy. Szukamy kogoś, kto wyprowadza aktywa tylnymi drzwiami, ale nie mamy wątpliwości, czy budynek w ogóle istnieje.

Chris znów kiwa głową.

– A tutaj, ten incydent nastąpił w grze. – Zerka na Margaret. – Cały czas próbuję dojść, co z tego wynika – przyznaje.

Wzdrygasz się, gdy to do ciebie dociera: Chris i Margaret nie mają pojęcia, co robić! Zaczynają od zera. Co oznacza, że to naprawdę jest coś niespotykanego.

– Nie wiemy nawet, czy jest jakiś ślad audytowy. Albo co taki wirtualny skok na bank znaczy dla naszego klienta. To właśnie zamierzamy ustalić, jak pojedziemy.

– To po co ciągniecie Faye i Brendana? – pytasz.

Margaret prycha.

– Aby zweryfikować, czy zarząd Hayka za bardzo nam nie naściemniał. Chris nie chce stracić kontraktu z TI. Ani z Lloydsem – dodaje znacząco.

O.

– Myślisz, że będą wrogo nastawieni?

– To na pewno – mówi ponuro Chris. – Jeśli to źle pójdzie, czeka nas katastrofalny spadek wartości marki, już nie mówiąc o stracie kontraktu z Avixą. – Avixa to duży klient, niepokojąco podobny do TI. – Plan jest taki: w poniedziałek zwalamy się bez zapowiedzi. – Pokazuje brodą Brendana. – Gene przygotowuje wniosek o Antona Pillera – ciągle używa starej, tradycyjnej nazwy na nakaz rewizji – oraz nakaz zamrożenia działalności. Liczę, że na dzień dobry będziemy mogli im to wręczyć, Mohammed, znasz strukturę finansową i procedury księgowo HA; weźmiesz je pod lupę. Margaret, Fred i Faye zajmą się obiegami spraw, kompetencjami menedżerów i wszystkim innym, co wam wpadnie do głowy. Brendan, ty zajmujesz się nakazami i w razie konieczności robisz za kontakt z naszym szkockim doradcą. Macie trzymać stopę w drzwiach. Elaine, Margaret mówiła mi, że masz doświadczenie z grami. Utrata zasobów nastąpiła w grze nadzorowanej przez Hayek Associates. Chcę, żebyś weszła i zaudytowała ten bank w grze. Możesz to zrobić?

Masz pustkę w głowie. Jak w jednym z tych okropnych koszmarów, kiedy spóźniasz się do szkoły na egzamin, do którego długo się uczyłaś, i stwierdzasz, że jesteś jedyną osobą w ubraniu, bo cała reszta jest naga.

– Mam zrobić co?

– Napad na bank w grze sieciowej. Banki mają księgi. Po kradzieżach zostają ślady. Tak? Mrugasz głupkowato przez parę sekund.

– Tak... rozumiem. Zdaje się.

Odwraca wzrok, ewidentnie gotów przejść do następnego punktu planu, dlatego niepewnie podnosisz rękę.

– Chyba trochę za szybko z tym wnioskiem – mówisz z wahaniem. – To jest gra sieciowa, tak?

Teraz jego kolej zamrugać. Co on, miał cię za jakiegoś magika od gier?

– No, tak. A co?

– Będzie mi potrzebny przewodnik – wyjaśniasz. – Nie znam się na tym tak dobrze, jak potrzeba... – Nie ma sensu tłumaczyć, że w ogóle się nie znasz, to nie byłoby konstruktywne, a tu się awansuje na partnera za konstruktywność w sytuacji stresowej, chociaż już miałaś okazję obserwować, jak ta przemiana robi z człowieka żonę ze Stepford i kompletnie przestało cię to pociągać. – Poza tym, mówiłeś, że ich programista wiodący zniknął. Jest podejrzany?

– Nie chcemy ukierunkowywać waszego dochodzenia – mówi Margaret z dziwnym, wąskim uśmiechem. – Sami wyciągniecie wnioski.

– No dobrze. – Odpowiadasz jej uśmiechem. Bingo. Myślą, że ten programista to zrobił. Co oznacza, że to robota od środka, przestępstwo wewnątrz gry. Jupiii! – No dobrze, to ściągnijmy cefalkę tego zaginionego gościa i zatrudnijmy kogoś bardzo podobnego, żeby miała przewodnika-tubylca. Gajowego, który znajdzie kłusownika. Tak?

– Tak. – Chris powoli kiwa głową. Potem coś sobie zapisuje. – Powiem Jessice, niech zaraz gada z CapG, żeby znaleźli jakiegoś osobnika z takim zestawem kompetencji. Na pewno musiał być wspomniany w papierach emisyjnych. CapG pewnie ma, albo znajdzie kogoś na kontrakt, jeśli dobrze się ich przyciśnie. Okay?

Kiwasz głową.

– Tak. – Skoro masz dostać gajowego, który cię poprowadzi po lesie, to chyba nie wrabiają cię w odpowiedzialność za klęskę. Dobrze wiedzieć, bo już się zaczęłaś nieźle denerwować.

– No to ustalone. – Chris na moment zapomina o zmartwionej minie. – Jeszcze jakieś pytania?

W poniedziałek o świcie nie jesteś już w Amsterdamie i nie masz kaca, ale nadal jesteś bezrobotny. Jest już jasno, gdy człapiasz na dół, skrobiąc gębę golarką (tak mocno, że aż zostają pręgi – trzeba ją będzie podładować), by wrzucić parę łyżeczek kawy do papierowego filtra. Dziś jest Wielki Dzień, ale twój jedyny nadający się na rozmowy o pracę garnitur jest od trzech lat niemodny, nie masz żadnej wyprasowanej koszuli, a jedyny krawat w tajemniczy sposób zyskał wielką brązową plamę po piwie, choć leżał w szufladzie ze skarpetkami. A pieprzyć to. Pytasz sam siebie: „Aż tak jestem zdesperowany?”. Jeszcze nie, ale pewnie będziesz. To jednak dopiero pierwszy dzień twojego życia bezrobotnego, w branży jest boom, pośrednicy wiedzą, że jesteś specem od technologii, zresztą, jeśli rozmowy kiepsko pójdą, potem zawsze możesz kupić sobie nowy garnitur, wysiliwszy trochę kartę kredytową. Wyciągasz więc z pralko-suszarki najmniej śmierdzącą czarną koszulkę, otrzepujesz wczorajsze dżinsy oraz ładujesz mleko UHT i cukier do wyszczerbionego kubka z logo Microsoft Office na kuchennym blacie, próbując się dobudzić. A potem, gdy już rozważasz wejście na strony z ofertami, dzwoni telefon.

– Halo? Czy mówię z panem Jackiem Reedem? Mówi Mandy z firmy AlfaGuru. Informował nas pan, że od czwartku jest pan dostępny, prawda? Mamy dla pana propozycję. Czy umówić pana na rozmowę?

Trzydzieści minut później, po szybkiej przebierce w garnitur do rozmów, już idziesz zamienioną w parking Glenogle Road w stronę przystanków autobusowych i malowniczych sklepików na Queensferry Road. Powyłączałeś wszystkie nakładki z gier, zostawiłeś tylko Google Local i Microsoft RouteMastera, więc niebo nad tobą jest puste i przejrzyste: świat duchów jest niemal niewidoczny, poza pełznącym w stronę Ameryki Północnej śladem samolotu oraz kręcącym się czerwonym znacznikiem, śledzącym los autobusu, na który czekasz.

Samo wspomnienie rozmowy z Mandy z AlfaGuru prawie wystarcza, żebyś poczuł się jak w pracy. Mandy mówi, że praca ma coś wspólnego z jakąś agencją ubezpieczeniową i na liście są dokładnie takie kompetencje, jakie posiadasz. Zaskakujące. Odkąd to sektor finansowy programuje swoje kadry i płace w Pythonie 3000 i uruchamia na wirtualnych maszynach pod Zone? Chciała, żebyś wpadł do biura na Charlotte Square i spotkał się z głównym zleceniodawcą, CapG Financial Services Consulting. Jeśli dostaniesz tę pracę, AlfaGuru zgarnie od klienta 15 procent. Im dłużej o tym myślisz, tym bardziej jesteś przekonany, że Mandy coś się pomyliło. („Programista gier, księgowy, a co za różnica?”). Niestety, nie

powiedziała, kim jest właściwy klient, więc nie możesz zagugłać i sprawdzić. Najwyżej potraktujesz to jako wprawkę przed prawdziwymi rozmowami za tydzień czy dwa. Czemu nie popłynąć z falą? Najgorsze, co się może przytrafić, to że powiedzą ci, że masz syfiasty garnitur, a to już wiesz.

Inne wiadomości: lokalne, wyświetlane w stopce pola widzenia (ekstrahowane z codziennych doniesień przez twoje agenty, z priorytetem na ważne rzeczy, jak przejęcia i połączenia firm w branży, ukazanie się nowych wersji bibliotek dla programistów, czy nowych gier), ciągła przepychanka między Holyrood i Westminster o to, kto płaci za operacje antyterrorystyczne grozi zaostrzeniem (bo prawie nikt na północ od granicy naprawdę nie wierzy w to, że Szkocja jest jakimś magnesem dla terrorystów, a „ty gupki” w Londynie niech sobie myślą, co chcą). Premier z wielką pompą obwieszcza jakąś decyzję o przywróceniu bezpłatnego szkolnictwa, żeby poprawić wskaźnik urodzeń. A w Pilton zaduszono garotą jakiegoś ruskiego nielegalnego imigranta, podejrzewa się, że to porachunki gangu blacknetowego. Zwykle śmieci, jak to w poniedziałek rano w Edynburgu, plus materiał specjalny pióra Christophera Brookmyre'a ^[5].

Autobus dociera o czasie, wijąc się drogą, na bokach falują mu hollywoodzkie wybuchy reklamujące najnowszą próbę reanimowania przez Vina Diesla jego przedpotopowej i porośniętej pajęczynami kariery. Wspinasz się i łapiesz za poręcz, jeszcze jeden anonimowy pasażer pośród pracowników o elastycznym czasie pracy, młodych dresiar, z wózkami i kucykami w pasemka, oraz zapiętych pod szyję rumuńskich babć z bezkształtnymi torbami na kółkach. Dobrze, że chociaż nie ma nikogo z ostrzegawczą flagą Zachowania Antyspołecznego nad głową.

Charlotte Square stanowi granicę West Endu na Nowym Mieście (zwanym tak, bo było nowe, kiedy je zbudowano w latach 1760. – Edynburg tak ma, jedzie historią jak kotu z pyska). Z jednej strony krótka pępowina South Charlotte Street łączy go z Princes Street i George Street. Trawiasty plac pośrodku i pomnik z facetem na kolumnie ze wszystkich stron otaczają ponure szare kamienice, przesiąknięte solidnością Szkockiego Oświecenia, powagą swoich siedmiocyfrowych cen i kominków w stylu Adamów. Nikt w nich naprawdę nie mieszka – dawno pozamieniano je na bardzo drogie biura dla adwokatów, notariuszy i specjalistycznych firm rekrutacyjnych – jak CapG Consulting, które wezwało cię do swego sanktuarium telekonferencyjnego.

– Dzień dobry! – ćwierka Fiona-z-recepcji, dyskretnie szczytując twoje dane z dowodu tożsamości. – Przyszliśmy na rozmowę? – Świergoce protekcyjnie, jakby była recepcjonistką u dentysty zwracającą się do naburmuszonego trzylatka.

Przez moment bilansujesz przyjemność zmuszenia jej do płaczu z potencjalnym spadkiem twojego ratingu kredytowego i gryziesz się w język.

– Raczej tak.

– Zaraz zobaczę, gdzie pana skierować... – Ma na biurku tradycyjny terminal, teraz teatralnie stuka w klawisze i klika myszką. – Ooo, ciekawa sprawa. Klient to Dietrich-Brunner Associates i według AlfaGuru, w stu procentach odpowiada pan ich wymaganiom! Czy to nie wspaniale?

– Hmm – mówisz, grając na zwłokę. Już czujesz ten wyimaginowany krawat (nie założyłeś bowiem wzmocnionego piwem przeżytku) dławiący twoją tętnicę szyjną. CapG zalicza się do tych naprawdę dużych firm outsourcingowych/ rightsizingowych /pierdolingowych. Nie zatrudniają programistów gier, raczej excelowych dłubaczy i bardzo drogich konsultantów od administrowania systemami. A ten Dietrich-Brunner, obojętnie, co to za jedni, w ogóle nie kojarzą się z twoją branżą. Raczej z hodowcami ekskluzywnych kotów-włamywaczy albo jakimiś inwestycjami wysokiego ryzyka. – A czego oni właściwie szukają?

Ewidentnie ktoś tu się pomylił. Może Fiona-z-recepcji patrzy na papiery kogoś innego.

– Zobaczmy. – Mruży oczy, patrzy w ekran i przesuwa po nim palcem, poruszając ustami. – Dyplom z informatyki, z wyróżnieniem albo lepiej. Dużo Pythona 3000 i administracja Zone na platformie Symbian/GDF lub .NETSpace. A z zainteresowań, jest pan zapalonym graczem. Zgadza się?

Gapisz się na nią z rozdziawionymi ustami, a ona na ciebie, jakby się zastanawiała, czy może trzeba ci zmienić pieluchę.

– Tak, to ja – przyznajesz. – Na pewno chodzi o tę firmę? Nie wyglądają mi na kogoś z branży gier.

Jeszcze więcej klikania.

– Nie, proszę pana, to nie pomyłka. Zajmują się badaniem nadużyć ubezpieczeniowych. Mam tu paru menedżerów wyższego szczebla od rekrutacji, którzy aż się palą, żeby porozmawiać z panem o wymaganiach klienta. – Zakłada z powrotem swój profesjonalny uśmiech. – A według pana danych z ubezpieczalni, odpoczywa pan teraz pomiędzy zleceniami. Czy wpisać panu to dzisiejsze spotkanie do rejestru aktywnego poszukiwania pracy na ten tydzień?

Przez moment jesteś zdumiony. CapG ma dostęp do baz ubezpieczenia społecznego? To całe „aktywne poszukiwanie”, czyli liczba rozmów, jakie musisz odbyć tygodniowo, to jedna z ustawowych przeszkód, które musisz pokonać, zanim urząd wykasze jakiś zasiłek.

– Eee, chyba tak. Czyli mam spotkanie?

– Tak, za parę minut. Może usiądzie pan sobie w sali numer pięć?

Ewidentnie chce się ciebie pozbyć z tej ładnej i czystutkiej recepcji. Pewnie boi się, że w każdej chwili może wpaść jakiś prawdziwy klient i jeszcze cię weźmie za kogoś, kto tu pracuje.

Sala 101 jest na pierwszym piętrze, naprzeciwko kibla. Człapiasz po schodach podupadły na duchu. Pokój jest wielkości kabiny w toalecie i, jakby na potwierdzenie, unosi się w nim zapaszek z nieszczęsnej kanalizacji. W środku to co zwykle: wielofunkcyjna drukarka, cienki terminal, głośnomówiący telefon i biurko, które chyba wynieśli z podstawówki przeznaczonej do rozbiórki. Jedyne okna widać na przestarzałym ekranie. W każdym calu typowy agencyjny pokój do telekonferencji. Siadasz w fotelu i czekasz na dzwonek, żałując, że skąpiradła pożałowały na automat do kawy.

Pogrzebałbyś trochę w sieci za tym Dietrich-Brunnerem, ale – niewytłumaczalnie – nie ma tu zasięgu. Jesteś całkowicie odłączony. Ładnie. Przypominasz sobie właśnie, dlaczego nie lubisz pracy tymczasowej. CapG nie mogą przecież pozwolić na takie bezceństwa, żeby kandydat pogadał sobie z klientem poza ich podsłuchem („Bóg jeden wie, co by się stało, może klient dałby im pracę i nie odpalił nam działki?”), i przez tę ich paranoję wszystkie rozmowy przypominają nieprzyjemną podróż w czasie: słyszałeś, że w XX wieku wszyscy byli tak skrępowani kablowymi telefonami i korporacyjnymi firewallami.

Monitor dzwoni, wybawiając cię z tego Dilberta na żywo.

– Słucham? – odzywasz się, siadając prosto i centrując głowę w lusterku.

– Pan Jack Reed?

Okienko z dzwoniącym powiększa się, ukazując o wiele większą salę z dwoma Krawaciarzami. Siedzą jeden obok drugiego za połyskującym stołem konferencyjnym. Na razie będziesz ich nazywać pan Prązek i pan Szary, od koloru garniturów.

– Tak, to ja. – Zmuszasz się do uśmiechu. Na linii powstaje echo, ewidentnie CapG puszcza transmisję przez jakiś anonimizator. Albo to, albo próbują cię przekonać, że są bandą szpiegów, tylko udającą firmę rekrutacyjną. Dwa włóczkowe ocieplacze na fiuty. – Szukacie kogoś na zlecenie dla klienta pod tytułem, eee... Dietrich-Brunner Associates?

– Tak. – Pan Prązek patrzy na ciebie z góry. – Rozumiem, że pracował już pan na krótkoterminowych zleceniach? – Ma koło czterdziestki, jest nieskazitelnie ubrany, szpakowaty na skroniach: bardzo oględnie mówiąc, nie budzi zaufania.

– Tak. Przed firmą LupuSoft trochę pracowałem na tymczasowych zleceniach. – Jest to kulturalnym eufemizmem na wakacyjne prace podczas studiów i desperackie próby pomiędzy prawdziwymi etatami, ale przy odrobinie szczęścia nie zapytają o krwawe szczegóły.

Przyznanie się do trzech miesięcy na pierwszej linii serwisu technicznego może nie zabrzmieć zbyt przekonująco. – Wolę dłuższą współpracę. – To prawda; masz nadzieję, że skojarzą to z lojalnością, nie z nadzieją.

Pan Szary jest o jakieś dziesięć lat młodszy, ma rozczochrane blond włosy i wyraz twarzy równie kamienny jak pan Prązek. Wtrąca się raptem:

– Pisze pan w cefalce, że ma pan dużo punktów reputacji na WorldDEVie. To prawda? A przez ostatnie dziewięć miesięcy pracował pan nad rozproszonym modelem szybkiej walki do produktu komercyjnego; *Steaming*, tak to się nazywa? To prawda? W LupuSofcie? – Głos ma obojętny i znudzony, co wcale nie współgra ze słowami. Widać, że puszczają cały strumień głosowy przez jakiś emo-filtr. – Grałem kiedyś w *Premiershits*. Naprawdę dobre gry robią.

Kiwasz głową ze znużeniem. W poniedziałkowo-porannej mózgownicy echa kaca uganiają się za pajęczynami i kulami zielska.

– Byłem liderem zespołu konfliktów ekstremalnych. Implementowaliśmy algorytm rozproszonego ustalania wyniku walki między grupami ad hoc, z wykorzystaniem informacji o rzeczywistej pozycji graczy... – trajkoczesz przez minutę czy dwie, rzucając tyle modnych terminów, ile tylko się da.

Pan Szary kiwa głową jak samochodowa maskotka, chłonąc każde słowo. Biedak wygląda, jakby dalej żywił wobec branży gier jakieś romantyczne złudzenia. Pracuje w firmie outsourcingowej, żyje z pisania dokumentów wymagań, wyobraża sobie, że gdyby wypadki potoczyły się tylko odrobinę inaczej, mógłby żyć jak wolny człowiek i wyżywać się w jakiejś luzackiej-ale-dynamicznej programistycznej nirwanie. Zupełnie jednak nie podejrzewa, że...

W końcu głos zabiera pan Prązek. (Przez cały czas słuchał, z twarzą pozbawioną wyrazu).

– Tak, jesteśmy pewni, że zna pan na pamięć wszystkie javowe API – mówi, bezwiednie zdradzając, że nie jest na czasie. – My już zrobiliśmy wywiad w LupuSofcie na temat pana projektów.

Cholera, cholera. Te specjalne rzeczy, o których się nie mówi, też? – zastanawiasz się. Lecz on od razu przechodzi dalej.

– Co pan wie o Avalonie 4?

Zanim odpowiesz, przez moment łamiesz sobie głowę.

– Rozproszona gra sieciowa na platformie Zone. Robi ją ta firma... Kensu? Z Szanghaju? Dostyc wierna implementacja Dungeons and Dragons w wersji D20, czwarte wydanie. Podobna do tej starej serii BioWare, tylko że chodzi na Zone'ie i obsługuje wielką ilość graczy.

Twarz pana Prązka nadal jest kamienną maską. Ciekawe ile procesorów graficznych

zajmuje się tym za kulisami, zresztą głos też ma trochę rozmyty. Może myślał, że schował się w pepku wykrywacz stresu w głosie?

– Oczywiście reguły są uwspółcześnione. Te wszystkie rzeczy z Cthulhu musieli wywalić, po tym jak Microsoft przejął Chaosium, zresztą, kiedy mniej macek, to tym lepiej. Dungeons and Dragons to stabilna dojna krowa, przynosi grubą kasę i takim właśnie produktem ma być Avalon 4.

– A grał pan w to? – pyta Prązek. Twarz ma wciąż nieprzeniknioną.

Gapisz się w ekran. Ani śladu odruchu źrenicowego, zresztą oczy ma lekko rozmyte, jakby w trochę gorszej rozdzielczości niż reszta. O tak: zasada „co na ekranie, to w rzeczywistości” zdecydowanie nie ma tu zastosowania. Pan Prązek i pan Szary równie dobrze mogliby być gołymi koreańskimi gospodyniami domowymi w średnim wieku, po drugiej stronie tej potężnej rury z grafiką.

– Oczywiście. – Wzruszasz ramionami. – W szkole średniej, szczerze mówiąc, przedawkowałem trochę D20. Czasem wracam do tego, z sentymentu, ale przeważnie nie gram dalej niż pierwszy poziom każdej nowej gry, żeby zobaczyć, jak wygląda, i podziwiać wypas graficzny. Eee, to znaczy, zobaczyć, jak wszystko zaimplementowali. Na Zonie jest pełno takich sieciówek, a moja praca to je rozwijać, a nie tracić czas na granie.

Cała sytuacja mocno ci nie leży: coś tu jest nie tak. Klient CapG – niech ich szlag z tym ekranowaniem, dawno byś wygoogłał, co to za jedni, ten Dietrich-Brunner, potrzebuje programisty gier. Gównu się znają na grach, więc uderzają do swojej standardowej agencji rekrutacyjnej, tak się składa, że to jest CapG. A ci, co za zdziwienie, też gównu wiedzą o grach, więc walą do AlfaGuru, Monstera i innych przydennych firm headhunterskich z jakąś ściągniętą z sieci cefalką. A ty przypadkiem jesteś pierwszą osobą, która pasuje do kryteriów. Problem polega na tym, że to będzie jakiś kompletny korporacyjny rozpierdolnik. Ani klient, ani firma rekrutacyjna nie mają pojęcia, co robią. Pewnie pójdziesz tam i okaże się, że naprawdę potrzebowali pilota samolotu pasażerskiego albo tresowanej foki. Zresztą, czy to nie jest, kurna, typowe?

Ty masz wątpliwości, a pan Prązek tymczasem podjął jakąś decyzję i otwiera usta:

– Zapewne już pan się zorientował, że to jest dla nas bardzo nietypowe zlecenie. Nasz klient, Dietrich-Brunner Associates, ma pewien problem. To specjalistyczna firma zajmująca się analizą ryzyka reasekuracyjnego; uczestniczyli w negocjowaniu gwarancji dla inwestora venture capital, który wszedł w bardzo obiecującą spółkę z branży gier. Parę tygodni temu zadebiutowała na giełdzie. A teraz wygląda na to, że w świecie gry Avalon 4 popełniono bardzo skomplikowane przestępstwo, i, nie rozwodząc się za długo, jeśli szczegóły wyjdą na

jaw, pewne firmy będą musiały zapłacić ogromne odszkodowania. – Milknij na chwilę. – Podpisał już pan naszą umowę o poufności?

– Chcecie NDA? – Wzruszasz ramionami. – Nie ma sprawy.

Wszyscy podsuwają do podpisania jakiejś NDA. Pewnie Fiona-z-recepcji też miała ci jakieś wcisnąć przy wejściu. Nie ma problemu, załatwi się później.

– Dobrze. – Pan Prązek kiwa głową, nierówno. W tym momencie wspaniała fotorealistyczna grafika po raz pierwszy się zacina i jego awatar leci na łeb na szyję w dolinę niesamowitości: szyja zapada mu się niepokojąco do środka, potem odzyskuje kształt. (Można oszukiwać wszystkie piksele przez jakiś czas, albo jakieś piksele przez cały czas, ale nie wszystkie przez cały czas). – Firma Dietrich-Brunner Associates skompletowała doborowy zespół audytorów, który ma wejść do docelowej korporacji. Cel: wykazać karalne zaniedbanie lub współudział po stronie zarządu Hayek Associates, co będzie miało wpływ na wysokość odpowiedzialności materialnej, a także zapewnić policji wszelkie niezbędne wsparcie w ustaleniu sprawców i postawieniu ich przed sądem. Jednak DBA nie jest firmą z branży gier. Brakuje im specjalistycznych kompetencji, więc jeden z ich analityków zawnioskował o kogoś o zestawie kompetencji niemal dokładnie takim jak u pana.

Prostujesz się. Chyba nie myślisz o TYM, chyba nie? Do CV się takich rzeczy nie wpisuje, ewentualnie bardzo ogólnikowo – niektóre projekty, przy których pracowałeś, zanim wszedłeś w *Steaming*, można zastosować po obu stronach barykady. Balansują na granicy legalności jako narzędzia hackerskie.

– Jeśli przyjmie pan zlecenie – krótkoterminowe i płatne za godzinę – zostanie pan przydzielony do tego zespołu jako specjalista branżowy, który pomoże im zrozumieć, co się wydarzyło. Warunkiem jest zachowanie absolutnie ścisłej tajemnicy, przed i po. Począwszy od naszego spotkania. Czy zgadza się pan na takie warunki?

Bierzesz głęboki wdech. Sytuacja krystalizuje się wokół ciebie – byle jaka farba, słodko- mdlący zapaszek zatkaanych rur w tle, dwie fałszywe twarze na monitorze przed tobą – i powraca ból głowy oraz zmęczenie całym światem. Płat mamusiny przypomina, że w banku leży jeszcze twoja pensja za sześć tygodni, nie masz auta ani dziewczyny, więc jedyne regularne wydatki to mieszkanie i raty kredytu za chemioterapię mamy, a poza tym, przez tyle czasu pracowałeś po osiemdziesiąt godzin w tygodniu, że nie miałeś czasu wydać swoich 60 tysięcy plus premii. Możesz się obejść bez jakiegoś politycznego gówna, które już leci na ciebie z góry, niesione nagłą falą powodziową. A już zwłaszcza możesz się obejść bez nadętych krawaciarzy, chcących cię wziąć za grosze, bo byłeś bezrobotny przez raptem czterdzieści osiem godzin, w samym środku największego informatycznego boomu od czasu

AJAX-a i Web 2.0. Płat mamusiny każe powiedzieć „nie”.

Więc otwierasz usta i słuchasz, jak mówisz:

– Chcę osiem tysięcy za dzień. Plus koszty.

To zestandaryzowany, kulturalny sposób powiedzenia „walcie się, nie jestem zainteresowany”. Przeliczyłeś sobie to przy porannej kawie. Chcesz zarabiać 100k rocznie, bo przecież dotąd oprócz pensji dostawałeś i premie. (Zresztą, to już nie to euro, co kiedyś). W roku jest 250 dni roboczych, a freelancer ma kontrakty przez jakieś 40% czasu, musisz więc liczyć sobie 2,5 raza tyle, co na etacie, czyli 1000 euro za dzień, żeby wyjść na to samo. Nie interesuje cię ta praca? Zażądaj absurdalnie dużo. Nigdy nie wiadomo...

– Załatwione – mówi pan Prązek, patrząc na ciebie bez wyrazu.

I dokładnie w tej chwili zdajesz sobie sprawę, że wpierdoliłeś się po same uszy.

Jest poniedziałek rano, a ty masz półoficjalny wkurw.

Już czwartek był wystarczająco kiepski – nie mogłaś się zwinąć, póki nie zainstalowała się Liz Kavanaugh i jej firma, musiałaś męczyć obywateli jednego po drugim. A zanim się odmeldowałaś, Liz wzięła cię na moment na bok.

– Sierżant Smith? Mogę ci mówić Sue? Ja jestem Liz.

Skinęłaś nieufnie głową, bo od dawna wiesz, że ciężko poznać, co taka inspektor Kavanaugh akurat kombinuje. (Wygląda jakby celowała w politykę, z tym dyplomem z prawa i sztytami na miarę kostiumami, ale czego będzie chciała po drodze? Kto wie. Zresztą, cholernie bystra z niej policjantka). W każdym razie, wkurzanie jej ma bardzo niski priorytet na twojej liście i jeśli chciała być miła, to nie masz z tym problemu.

– Dobrze wiedzieć. – Uśmiechnęła się przelotnie, bardziej przypominało to jakiś tik. – Mam deficyt ludzi, a ty byłaś tu pierwsza, więc już trochę się orientujesz. Mam przecucie, że sprawa jest poważniejsza niż wygląda, bo już odbieram masę szumu. Holyrood już się trzęsie i cała masa zainteresowanych osób zaraz wsadzi w to łapy. A jutro muszę oddać sierżanta Haya i konstabla Parkera do morderstwa w Pilton. Więc jeśli nie masz nic pilniejszego do roboty... – co po przełożeniu z inspektorskiego na nasze znaczy „to jest od teraz twój numer jeden, słońeczko moje” – ...to proszę, żebyś na razie tu została.

Na to mogłaś tylko wzruszyć ramionami i odpowiedzieć:

– A możesz najpierw uzgodnić z Makiem? To mój przełożony i lepiej, żeby nie pomyślał, że zesłałam mu z pokładu.

Kavanaugh kiwnęła pośpiesznie głową, że zanotowała twoją prośbę. I już miałaś z głowy wszystkie zaplanowane na piątek sprawy, nie mówiąc o miesięcznym wskaźniku wykrywalności: Jimmy Hastie będzie po prostu musiał poczekać, aż ktoś inny za coś tego gówniarza zgarbie. Ale przynajmniej nie będziesz musiała sama gadać z szefem.

Piątek był gorszy niż się spodziewałaś. Przyszłaś równo o dziewiątej, już umęczona po śniadaniowej kłótni z Mary o to, kto odbiera Daveya ze szkoły – a mały łobuz też się zasłużył: powiedział, że sam pojedzie sobie do aquaparku, jeśli tylko dacie mu kasę; aż tu okazuje się, że Mac ciebie oddelegował, ale Boba sobie zatrzymał. Musiałaś więc sama udać się do bunkra pełnego świrów, gdzie już przed drzwiami zobaczyłaś Liz Kavanaugh w całej inspektorskiej krasie, udzielającej informacji reporterowi z „Heralda”, a obok niej paru krawaciarzy z Wydziału X, którzy wymknęli się na szybkiego dyma. Byli jak bardzo ekskluzywny męski klub i ledwo dało się z nimi zamienić słowo – palanty. Poszłaś więc do

środku i stawiałaś czoło przesłuchaniom pomniejszych pracowników – tylko że w ogóle nie potrafiłaś zrozumieć, co mówią. Brzmiało jak angielski – bo wszyscy tu byli spadochroniarzami z Południa – ale zdania nie miały żadnego sensu. Trzy razy próbowałaś wyciągnąć z Sama Coupera wyjaśnienie, skąd wie, że orkowie byli pakistańscy (a nie na przykład japońscy, albo jeszcze szybciej z jakiegoś awanturniczego podgatunku spod zamku Dalhousie), i trzy razy otrzymywałaś inną odpowiedź, a w kulminacyjnym punkcie musiałaś go jeszcze zapytać, czy poprawnie zapisałaś „multiswarmcastowy routing o minimalnej latencji”. Po czym wymówiłaś się i poszłaś poszukać pani inspektor.

– Liz, ja w ogóle nie rozumiem, po jakiemu ci goście mówią. To jacyś obcy z planety IT. Może niech ktoś z ICE pogada z nimi po informatycznemu? To jest jak w tym kawale o postmodernistycznym gangsterze, który składa ci propozycję nie do zrozumienia. A konkretnie, to nie wiem, czego właściwie mam szukać, i to trochę utrudnia. No rozumiesz, z typowym karkiem czy dressem to wiadomo, o co się rozchodzi, co może przeskrobać, ale te palanty tutaj w ogóle inaczej chodzą. Może byś mnie jakoś oświeciła?

Kavanaugh obdarzyła cię niewinnie błękitnym spojrzeniem, tak ostrym, że można by ją zgarnąć za chodzenie z niebezpiecznym narzędziem:

– Nagrywasz wszystko, prawda? Wiem, że nie jesteś specjalistką. I oni też wiedzą. Po prostu odwal te wszystkie przesłuchania, a potem przejrzy je ktoś, kto się zna. Zrobimy analizę mowy ciała, stresu w głosie, wykryjemy wszystko, a jak nam się trochę poszczęści, to ktoś zrobi się zbyt pewny siebie i zapomni, że to nie jest rozmowa tylko z tobą. Rozumiesz? Jak znajdziemy kogoś, kto nie mówi nam wszystkiego, będziemy mieli punkt zaczepienia.

Kiwnęłaś głową. Robota nie zrobiła się lepsza od tego, że ją rozumiesz, ale przynajmniej widziałaś, że nie idzie na marne.

– Dobra, rozumiem. Myślicie, że to zrobił ktoś stąd, i jak będziemy walić głupa, może się sypnie.

– To znaczy, o ile to jest ktoś stąd. – Inspektorska maska uniosła się na moment. Kavanaugh wyglądała na zmęczoną. – Bo oczywiście może być inaczej. A wtedy siedzimy w gównie po uszy i tylko SOCA jest nas w stanie z niego wyciągnąć. Masz już wszystkich z listy?

Powiększyłaś diagram Gantta, nad którym pracowałaś, podsunęłaś jej pod nos.

– Nie udało mi się jeszcze przesłuchać tego Nigela MacDonalda. Wczoraj nie przyszedł i dzisiaj też go nie ma. Richardson mówi, że pracuje w domu. Jakiś programista. Zadzwońłam pod jego numer, ale nie odbiera.

– No cóż. Na twoim miejscu ruszyłabym się i złożyła mu wizytę. – Wyszczrzyła zęby. – Kopnęła w klatkę. Z umiarem – dodała pośpiesznie.

Z umiarem.

I w tym właśnie sęk: dawno temu, kiedy robiłaś kurs psychologii społecznej do swojego policyjnego dyplomu, przechodziłaś przez okres, kiedy każdego cholernego przestępcę próbowałaś przypasować do któregoś piętra hierarchii potrzeb Masłowa. Weźmy takiego dresa pospolitego lub ogrodowego (zwanego też „chavem” jeśli jest z Południa). Wiadomo, co go motywuje, proste rzeczy, parę pierwszych stopni hierarchii – przeważnie piwo, seks, czasem jeszcze potrzeba posiadania lepszego sprzętu grającego w swoim niby-sportowym struclu po wiejskim tuningu. Piłka już jest dla tej bandy zbyt intelektualna, z wyjątkiem elementu wspólnoty plemiennej. A takie karki to chleb powszedni każdego policjanta z ulicy – domówki, zęty-alimenty, naruszenie porządku publicznego, narkotyki i trochę drobnych kradzieży. Wpisuje się w potrzeby fizjologiczne, potrzebę bezpieczeństwa i na czubku trochę seksu do ozdoby. Czyli masz kategorie przestępstw odpowiadające ich potrzebom, masz pewne typy motywacji i połączenie kropek ze sobą jest przeważnie trywialne.

Natomiast tutaj...

Gdzie, kurna, w tę hierarchię wpasować opcje na akcje? Albo zaprojektowanie lepszego żywiołu ognia? Wszystko to stoi daleko poza mapą, tańczy sobie na samym czubku piramidy, w obszarze samorealizacji. Karki chcą jeść, napić się, popieprzyć i wszystkie ich wykroczenia są dość przewidywalne – ale ci jajogłowi z bunkra już są na samym szczycie łańcucha pokarmowego i takich rzeczy albo nie chcą, albo nie potrzebują. Zapomnij o lepszym sprzęcie grającym – tu połowa ludzi jeździ merolami albo maserati, a druga połowa w ogóle nie ma samochodów, bo pewnie myślą, że to zbrodnia przeciw Gai, albo coś. Wiadomo w ogóle, jakie wyrefinowane rzeczy mogą tu traktować jako samorealizację? Zwłaszcza w takim biznesie, który zarabia, o ile ci wiadomo, na sędziowaniu w jakiejś grze?

Wystarczy, żeby prostego gliniarza rozboleła od tego głowa.

Miałaś już dość kulturalnego spoufalania się z tymi techno-świrami, więc po lunchu wsiadłaś w auto i poturlałaś się pod dom pana MacDonalda. Okazało się, że to mieszkanie na ostatnim piętrze, na Bruntsfield, tuż obok parku Links. Wycieczka byłaby więc miła, ale zanim znalazłaś miejsce do parkowania, a potem wgramoliłaś się po czterech biegach kamiennych schodów – jak to zwykle w Edynburgu, dom, w którym facet postanowił zamieszkać, był starszy niż wynalazek silnika parowego, a co dopiero windy – okazało się, że już kompletnie nierozbawiona wylądowałaś przed zamkniętymi dębowymi drzwiami z dyskretnie wzmocnioną framugą i dzwonkiem, na który nikt nie reaguje.

Stojąc na wycieraczce z plecionki, przez parę chwil spekulowałaś: „Może cwaniak spierdzielił do Dubaju, żeby wydać tę nieuczciwie zarobioną kasę?” (zakładając, że w ogóle

jakaś kasa istnieje, bo co do tego nie byłaś taka pewna). Uniosłaś wzrok. Nad klatką schodową było widać standardowy świetlik, ale w życiu nie będziesz łązić po dachu, dwanaście metrów nad ziemią, tylko po to, żeby zajrzeć gościowi w okna. Jak Liz chce, żebym sobie skręciła kark, to niech da mi to na piśmie. Zamiast tego składasz wniosek o przelot bezzałogowca i parę zdjęć: najniższy priorytet, żeby nie poszło z twojego budżetu, po prostu dopisujesz się do listy zadań na najbliższy przelot wojskowego szpiegowca nad okolicą. Mieszkanie oznaczasz w CopSpace jako „NIE REAGUJE NA FUNKCJONARIUSZA”, stawiasz stempel czasowy, wypisujesz papierowe policyjne awizo i wciskasz je do skrzynki na listy, a potem ruszasz z powrotem do bunkra, żeby móc spędzić resztę popołudnia z patrzącymi na ciebie z góry maniakami komputerowymi.

Za te grzechy masz chociaż wolne sobotę i niedzielę.

I tak oto dochodzimy do poniedziałku, tu i teraz, oraz spotkania zespołu, które Liz zwołała, kiedy jak zwykle popijałaś latte w Starbucksie. Mac oddał cię Liz – jedną wiadomością przez komunikator – więc nie masz wyjścia, musisz pracować z tymi staromodnymi krawaciarzami z Wydziału X, nie mówiąc już o nowej szefowej, która jest o wiele za bystra. Wspaniale...

– Wstępnie przesłuchaliśmy wszystkie osoby obecne na miejscu przestępstwa. Niby samo pojęcie miejsca przestępstwa nie ma tu za bardzo sensu, ale Grant powiedział, że już zgrał obrazy wszystkich systemów, czyli mamy taką dowodową wirtualkę – pełny stan całej ich informatyki na czwartek wieczorem i log całego ruchu sieciowego od tego czasu. – Pani inspektor wzrusza elegancko ramionami. Nie masz pojęcia, w czym gabinecie siedzi ze swoją kamerką, ale zdecydowanie jest bardziej komfortowy niż twój. – No dobra. Mówię, co dalej. – Urywa i patrzy prosto w kamerę telefonu, na całą publiczność, jakby czytała z teleprompte'ra. – Mark, jeśli dobrze wróżę z fusów, dzisiaj na miejsce zwali nam się cała lawina wszelkiego gówna, od ubezpieczycieli i analityków ryzyka w górę. Macie zarejestrować wszystkich gości i każdego przepytac, czego chce. Może z analizy tego zamieszania coś nam jeszcze wylezie.

Mark – sierżant Burroughs – pomrukuje coś ledwo zrozumiale.

– Tak, chcę pełen wywiad o wszystkich. – Kavanaugh podnosi kubek z kawą (autentyczna ceramika, nie jakiś twój kartonowy szajs). – Ty i Grant od rana rozłóżcie się w tym schronie. Ja dotrę później. Sierżant Smith? – (Mimo woli sztywniejesz). – Minęło czterdzieści osiem godzin. Jakies wieści od naszego zaginionego?

– Nie, proszę pani – wyrywa ci się. – Wysłałam mejla, dzwoniłam, stukałam przez komunikator, zostawiłam papierowe awizo i waliłam do drzwi, jeśli o to pani pyta. I puściłam

zegar.

– No dobrze. – Liz się uśmiecha. – Facet pracuje z domu, mamy uzasadnione podejrzenie, że jest w posiadaniu dowodów związanych z toczącym się postępowaniem i nie otwiera drzwi przez czterdzieści osiem godzin. Spotkajmy się na komendzie na Meadowplace za pół godziny. Czas zawołać chłopaków z taranem.

Warrender Park Terrace. Po lewej Links – trawiasta łąka ze ścieżkami rowerowymi i wiekowymi drzewami wyciągającymi konary ponad zaparkowane samochody. Po prawej – typowa edynburska czynszówka – nieobrobione kamienne bloki, byle jakie drzwi na klatce schodowej wspólnej dla kilkunastu mieszkań. Nic nie zdradza, co się dzieje za tymi skromnie opuszczonymi żaluzjami i siatkowymi firankami. Może się tam kryć dystygowane ubóstwo emeryta z klasy robotniczej, albo garsoniera wykończona kosmicznymi materiałami. Hałaśliwie kłócąca się rodzina z trójką dzieci, albo samotny spaślak gnijący w fotelu przed zakurzonym telewizorem.

CopSpace oczywiście rzuca na tę kwestię odrobinę światła. Mrugasz i spada na ciebie w całej okazałości. Oto kręcące się spiralnie czerwone diamenty Zachowania Antyspołecznego na parkowej ścieżce (pomarańczowe kamizelki i niebieski znacznik prac społecznych mówią, że zbierają śmieci). Nad wejściem do numeru trzydzieści dziewięć wykwita zielone drzewko znaczników; każdy z nich wyświetla nazwisko lokatora innego mieszkania. Wystarczy, że dyżurny prześle ci meldunek, i znaczki otwierają się, pokazując pełną kartotekę policyjną i z opieki społecznej, jeśli dany osobnik ją posiada. W górę i dół Brunsfield Place za tobą przesuwa się śnieżycy tablic rejestracyjnych, od czasu do czasu w bocznych ulicach błysnie zielony znacznik alarmu. Jest XXI wiek i wszystkie terabajty CopSpace wydostały się z zakurzonych teczek w świat rzeczywisty, rozpryskując się po nim Technicolorem natrętnych etykietek i zawiadomień o przestępstwach. Gdyby wystarczyło poinformować społeczeństwo o wszystkich niegodziwościach rzeczywistości, by położyć im kres, można by po prostu udostępnić publicznie nakładkę CopSpace i przestępczość zniknęłaby jak kac. (Gdyby tylko połowa znaczników nie była nieaktualna, a druga połowa bez błędów...).

Parkujesz za fordem transwestytem dokładnie w momencie, gdy Kavanaugh i sierżant Gavaghan rozprostowują nogi, a Brygada Rympał wyciąga z furgonetki swoje toboły. Kiwa ci głową, a Gavaghan nawiązuje kontakt wzrokowy. W porządku facet, już z nim kiedyś pracowałaś.

– Gdzie to jest? – pyta szefowa.

– Na górze. – Pokazujesz.

Paru mundurowych, których nie znasz, zaczyna taszczyć swoje toboły w stronę schodów.

– Na samej górze, wiecie. Pokażę wam.

Jeden mruczy coś pod nosem. Udajesz, że nie zauważasz.

Dzień jest ciepły, w nos łaskocze cię zapach skoszonej trawy i pyłek kasztanowców z parku. Dotarłeś na ostatnie piętro, oddychasz nieco szybciej niż powinnaś. Nachylasz się i zaglądasz do skrzynki. Twoje policyjne awizo nadal w niej siedzi. A co więcej, wystaje z niej „Evening Post”. Darmowy szmatławiec wychodzi w czwartki, zębami i pazurami trzymając się kurczącego grona czytelników. Inspektor stoi tuż za tobą. Wskazujesz skrzynkę. Liz kiwa głową.

– Zły znak. No dobrze. Sierzancie Gavaghan, proszę skontrolować teren, zanim wejdziemy.

Gavaghan ogląda się przez ramię.

– Jimmy, masz te okulary z rentgenem?

– Tak jest. – Jim opiera się o ścianę pod samym świetlikiem i grzebie w torbie z narzędziami. – Rentgen już jedzie.

To nie są okulary, i na promieniowanie rentgenowskie też nie działają, ale terahercowy radar widzi przez ściany w sam raz dobrze, żeby pasować do tego opisu. Bob włącza go, celuje w kamienną posadzkę i otwiera w CopSpace nową warstwę. Szefowa wpisuje palcem etykietkę: MIEJSCE ZAMIESZKANIA MACDONALDA.

– No to zobaczmy, co tam jest.

Jim celuje skrzynką w drzwi i coś przy niej kręci. Potem zaczyna kłąć.

– Szefowo, nie mam sygnału. W ogóle nic.

Kavanaugh unosi brwi.

– To to w ogóle działa? Zerknij gdzieś indziej.

– Sekundę... – Odłącza skrzynkę od CopSpace, obraca nią przez moment i celuje w drzwi sąsiada. – Działa jak trzeba. – Mierzy z powrotem w drzwi nieobecnego programisty. – Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym: „ekranowanie”.

Kavanaugh unosi brwi jeszcze wyżej. Łapiesz kontakt wzrokowy. Uśmiecha się, ale nie ma w tym wesołości.

– Cwaniak – rzuca w powietrze. – To całkiem możliwe. Wyłącz to pudło. Zrobimy to po staremu.

Jim zerka w górę na kanał, którym wchodzi do mieszkania kable elektryczne i rury gazowe.

– Cholera – rzuca zwięźle.

– Konstabl Rogers? – mruczy Gavaghan. – Jedziemy z taranem. Wszyscy kombinezony. – Odwraca się i zaczyna gadać z dyżurnym, prosi, żeby znalazł tego, kto tu dostarcza media i

wszystko powyłączał.

Rogers – i Jim – wręczają ci jednorazowy kombinezon, potem montują taran i rozwieracze do wyważania drzwi. Ten pierwszy ma z półtora metra długości i przezroczystą osłonę na twarz; wisi na nim z szesnaście kamer dowodowych. Gdy oni zajmują się tym, Gavaghan prosi cię o pomoc przy taśmie klejącej i nylonowej płachcie – tworzy z niej zaimprovizowany namiot zakrywający drzwi wejściowe, żeby nie pozwolić uciec pyłom i odłamkom.

– Wszyscy nagrywają pełen log – rozkazuje Kavanaugh, stając na końcu przypominającego kokon białego tunelu. Nawet ubrana w niebieską reklamówkę wygląda spokojnie i menedżersko.

Jim zerka na ciebie, gdy Rogers zajmuje się rozpieraczem – wstawia go między pionowe belki futryny i rozsuwa je, żeby zasuwki mogły łatwiej wyskoczyć z otworów.

– Co, masz sprawność harcerską z taranów? – pyta. „Będziesz mi tu przeszkadzać?”.

– Nie. – Wzruszasz ramionami. – Co mam robić?

– Stań se z tyłu i nie płacz się. Najpierw robimy dwa zamachy na próbę. Nie podchodź za blisko, żebyś nie trafiła do szpitala.

– Dobra. – Ustawiasz mu się za plecami i patrzysz na drzwi przez jego ramię i grubą pleksiglasową tarczę.

– Raz-dwa-trzy!

Od uderzenia wszystko aż się trzęsie, ale drzwi wytrzymują.

– Jezu – mruczy zdegustowany Rogers. – Jeszcze raz! Raz-dwa...

Drzwi z ogromnym hukiem zwalają się do wewnątrz. To jedno z tych mieszkań, w których hall nie ma okien, tylko drzwi ze wszystkich stron. Ale tu mamy ostatnie piętro, więc w suficie jest świetlik – całe światło pochodzi z otwartego okna dachowego oraz uchylonych drzwi do salonu. Podłoga jest goła, a ściany mają dziwny złoty kolor – to tapeta o osobliwym wzorze.

Na moment fiksujesz się na drabince oraz zwisającej ze świetlika linie i myślisz: O, kurna, gość się powiesił był. Potem mrugasz i wszystko nabiera perspektywy, ekipa od tarana wchodzi na wywalone drzwi i widzisz, że nie ma żadnego ciała, a lina to wiązka kabli, która sięga do podłogi, a potem prowadzi do salonu. Scena samobójstwa bez samobójcy. Kurwa, cza było jednak wleźć na ten dach, myślisz. Węszysz podejrzliwie. Pachnie stęchlizną, z jakąś nieprzyjemną, acz znajomą nutką.

– Próbkki! – woła konstabl Rogers.

Coś pstryka – rozmieszczone na taranie czujniki kryminalistyczne łapią miliony unoszących się w powietrzu cząsteczek. Niektóre są podłączone do wążacza na jego pasku – jeśli ktoś tu palił zielone, dowiecie się za minutę; inne idą do pracującego w czasie rzeczywistym

analizatora LCN^[6], który z kolei łączy się przez sieć z ogólnonarodową bazą DNA.

– Taran w dół!

Obchodzisz chłopaków opuszczających ciężki taran. Przed tobą, Gavaghan i jego ekipa otwierają drzwi i zaglądają do środka. Pani inspektor zajęła się statywem z jakimś laserowym urządzeniem. Ty też chcesz zrobić dobre wrażenie, więc przesuwasz drzwi do salonu i wchodzisz, z kamerą przed sobą.

Typowy salon w takiej kamienicy. Trzy metry do sufitu, kominek i ogromne okno w wykuszu z drewnianymi żaluzjami, z czasów, kiedy światło dzienne było tanie, a o elektrycznym jeszcze nie słyszano. Niektóre z tych budynków są starsze niż Teksas. Tania kanapa z masą poduszek, wielki fotel – i na tym koniec normalności. Bo co za dziwak wypełnia sobie salon sprzętem biurowym, a potem to wszystko demoluje?

– Sue. – Prawie wyskakujesz z siebie, słysząc ton pani inspektor. – Mogłabyś...?

– Przepraszam, nagrywałam miejsce...

– Daruj sobie. – Potem bierze pod lupę wielki biurowy fotel, przewrócony na bok, oraz komputer z wysypanymi na podłogę bebechami. – Rejestruj to do akt, niczego nie dotykaj...

– Szefowo?! – To Gavaghan, woła przez korytarz, głos brzmi pusto. – Proszę to zobaczyć.

– Słucham? Teraz? – Wypada z salonu jak kotka goniąca za myszą, a ty pędzisz za nią.

Kamery cały czas łapią wszystkie bezpańskie fotony.

– Kuchnia! – woła on.

Wszędzie wyskakują flagi, przyczepione do drzwi widmowe tabliczki z napisami w rodzaju „Łazienka” i „Sypialnia II”. Liz nurkuje w stronę napisu „Kuchnia”.

– Stać! – Coś w jego głosie sprawia, że pani inspektor staje jak wryta.

– Bardzo źle jest?

– To niech nam SOCO powie. Nie ma w końcu trupa, ani nic takiego...

– To czego się drzesz?

– Spóźniliśmy się. Wszystko jest wysprzątane.

Sobotni poranek zastaje cię rześką jak skowronek, wysiadającą w Edynburgu z sypialnego. Stolica Ludowej Republiki Szkocji, klejnot Północy, największa pułapka na turystów w Europie i cała masa innych rzeczy. Pierwsza niezbyt subtelna wskazówka, że nie jesteś w Anglii, to rząd flag powiewających nad halą dworca – bladoniebieskie tło, biały ukośny krzyż. Ci Szkoci zaczynają dopiero wymachiwać swoimi unijnymi i regionalnymi *cojones*. Dziwne to trochę, ale dobrze chociaż, że nie upierają się przy odprawie celnej i imigracyjnej – za to można dziękować Brukseli.

Jazda taksówką do hotelu jeszcze dobitniej przypomina, że znalazłaś się w innym państwie. Taryfa jest czarna, staroświecka, z prawdziwym człowiekiem za kierownicą, nie kamerą i dżokejem w jakimś zdalnym centrum obsługi. Taksówkarz jedzie, omijając cudaczną budowlę, same nieeuklidesowe krzywizny i wygibasy (dumnie obwieszcza, że to parlament, choć budowla wygląda, jakby świeżo przyleciała z Marsa; potem wyznaje, że kosztowała fantastyczną kasę, co potwierdza marsjańskie pochodzenie przynajmniej procesu akceptacji budżetu). Potem jakimś tunelem hiperprzestrzennym objeżdża parę kwartałów biur i ląduje w wiejskiej dziczy, na zboczu wygasłego wulkanu, tak nietkniętego ludzką ręką, że na wpuł spodziewasz się zobaczyć ustawione w bitewnym szyku dwie widmowe armie w kiltach. W końcu wskakujecie do kamienno-pompatycznego wiktoriańskiego miasteczka-satelity: z jedną różnicą – w domu takie budynki przeważnie nie mają blanków i ustawionych na nich dział.

No dobra, to może faktycznie mają prawo wymachiwać tymi *cojones*, skoro wynaleźli tunele hiperprzestrzenne. Uwalniasz poręcz na drzwiach z przedśmiertnego uścisku i uruchamiasz nakładkę z mapą.

– Malmaison – mówi taksówkarz.

– Eee... – Mrugasz. Ten hotel faktycznie ma jakieś blanki z armatami. I gargulce. Po chwili mapa turystyczna podryguje i ustawia ci się przed oczyma, gdy przeciążony serwis Galileo nadrabia zaległość. – To jest, tego... Niddrie Malmaison. Ja chciałam do tego na West Endzie.

– Ano jo, przecaby niejechał...

Mrugasz, słysząc ten nieprzerwany potok spółgłosek przedzielonych samogłoskami, które brzmią delikatnie nie tak, jak trzeba. Może trzeba było jednak poczekać na zdalnie sterowaną limuzynę. Ale gość ewidentnie nie potrzebuje odpowiedzi: wciska pauzę na taksometrze i włącza owo tajemnicze piąte koło, dzięki któremu taksówki zawracają w miejscu. I znów jedziecie, tym razem w szary, dziwny labirynt stromych uliczek i jeszcze bardziej stromych budynków, z blankami lub bez. Wreszcie lądujesz przed czymś, co, jak upiera się nakładka z

mapą, jest właściwym hotelem. Możesz zrelaksować się i wziąć fakturę na firmę. A groźnie wyglądające kwoty nagle przestają być takie straszne, gdy przypominasz sobie, że tutaj liczą w euro, nie w funtach.

Ten hotel też ma krenelaże, wieżyczki i maszty z flagami, ale darowali sobie co bardziej przerażające architektoniczne wyczyny, a foyer wygląda pocieszająco znajomo – typowe szkło i chrom hotelowej sieciówki.

Przejście przez recepcję nie nastrecza trudności, a zainstalowawszy zawartość torby na garnitur w miniaturowej szafie i zaparkowawszy laptopa na pięknym biurku, nagle uświadamiasz sobie, że jest ledwo dziewiąta rano, jesteś w stolicy innego państwa, w zasadzie do jutra nie musisz sprawdzać służbowej poczty, więc, wypłukawszy prysznicem przykurcze szyi i ramion, spowodowane spaniem w kuszecie, masz cały dzień na różne turystyczne zajęcia. Ta perspektywa jest niewytłumaczalnie przerażająca i kusząca jednocześnie. Więc oczywiście to robisz.

W niedzielę walczysz z łagodnym kacem, potem z poświęconym planowaniu spotkaniem na żywo, w sali konferencyjnej, które ciągnie się przez sześć i pół godziny oraz z niewytłumaczalną świadomością, że wczoraj w podejrzanym lombardzie na North Bridge zakupiłaś półtorametrowego claymore'a i nie masz pojęcia, jak przeniesiesz go przez wykrywacze metalu na dworcu Euston, żeby uniknąć aresztowania za posiadanie niebezpiecznej broni, tj. szkockiego miecza dwuręcznego.

Chyba coś tu dodają do wody.

W poniedziałek rano budzisz się o świcie, ze ściskającym żołądek łagodnym lękiem. To trema, coś, czego dostajesz, kiedy masz zmierzyć się z nieprzewidywalną sytuacją. Ubierasz się zatem, wciągasz lekkie śniadanie w hotelowym bufecie, potem zabierasz teczkę i schodzisz na dół, żeby punkt dziewiąta trzydzieści spotkać się z Chrisem i Brendanem w foyer.

– Cze 'Laine – rzuca Mohammed, szczerząc się spod okularów. Przyciemnił je maksymalnie, do tego ciemny garnitur; wygląda raczej na mafijnego cyngla sprzed lat niż księgowego. – Gotowa do tańca?

– Mów za siebie – prycha Maggie, a on aż podskakuje. – Elaine, czytałaś mejla od...

Zauważasz nieprzeczytanego mejla, czającego się na skraju pola widzenia jak dyskretny kamerdyner.

– Nie przed śniadaniem – mówisz. Otwierasz go machnięciem palca. Jest od CapG: znaleźli dla ciebie przewodnika-tubylca. – Tak, dzięki. – Przelatujesz wiadomość. – Do przyjęcia –

wyrokujeś.

– Przyjdzie po lunchu – dodaje Maggie, wykazując, że siedzi w sieci bardziej niż ty. – Na twoim miejscu zabrałabym go gdzieś, żeby ci zrobił kurs orientacyjny, zanim tam wejdiesz.

– No pewnie, że tak. – Co ona myśli, że urodziłaś się wczoraj? „Albo”, podpowiada narząd podejrzliwości, „chce z jakiegoś powodu odsunąć cię na margines?”.

– Mohammed, ty idziesz ze mną pogadać z panem Michaelsem i panem Hackmanem.

– A wzięliście czosnek i wodę święconą? – pyta Chris, kibicując zza linii bocznej.

– Ha-ha, śmieszne. – Maggie rzuca mu przeciągłe spojrzenie.

– Nie żartuję. Nie poznaliście pewnie Hackmana... ale on jest jak Lecture, John Lecture. Ten z HSBC.

Maggie się wzdryga.

– Naprawdę. – „Hannibal Lecture” to w firmie dyżurny wewnętrzny żart przy ekspresie do kawy.

– Tak. – Chris poklepuje ją leciutko po ramieniu. – Jeśli to ma być nasza pierwsza taksówka...

Parę minut później siedzisz kolanko w kolanko w pozbawionej kierowcy czarnej taksówce, turkoczącej po bruku między dawnymi stajniami, jak po makiecie Knightsbridge w skali 1:2. Pada deszcz, a rosa z waszych oddechów osadza się na okienku obok ciebie. Faye pracuje nad jakimś arkuszem – widać po okularach i klawiaturze rzutowanej laserem na teczkę konferencyjną na jej kolanach.

– Byłaś wcześniej na takiej rewizji? – pyta Brendan.

Kręcisz głową.

– To nic takiego – rzuca on wesolutko. Postukuje się w okulary. – Serwujemy pozwanemu nakaz sądowy i wchodzimy. Prawo jest tutaj prawie takie samo, większość pochodzi z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zanim nacjoniści dorwali się do władzy. Jeśli usiłują nam przeszkadzać, znajdujemy najbliższego policjanta i meldujemy mu, że sprzeciwiają się sądowemu nakazowi zabezpieczenia dowodów. Coś mi mówi, że psiarnia już tam rozbiła obóz, więc nie będzie trzeba daleko chodzić. A tymczasem ja przygotowałem drugi nakaz, który pójdzie do ich telekomu – Fred się tym zajmie – żeby odciąć im całą łączność, jak nie będą chcieli współpracować.

Kręcisz głową.

– Ale to sieciowa firma. Nie przeżyją tego.

– No pewnie. Wyłączysz im sieć na dwa dni i prawdopodobnie wylatują z gry. Są na ostrym końcu bardzo zębatach gwarancji zapewnienia usług. To raczej nasza opcja atomowa.

Patrząc, w jaki sposób gładzi swoją teczuszkę, masz nieprzyjemne wrażenie, że liczy, że będzie mu dane nacisnąć ten guzik.

– Brendan... – ostrzega Faye, cały czas postukując palcami w kolana.

– Przepraszam. – Nie brzmi to zbyt szczerze.

Ścieraszą parę rękawem i patrzysz na korek. Ropa po cztery euro, a na ulicy i tak tłok.

Po niezbyt przyjemnej minucie szarpanego ruchu, taksówka gwałtownie skręca w lewo, jeszcze raz w lewo i raptem hamuje. Przez okna widzicie jedynie błotnisty parking otoczony ociekającymi wodą drzewami, ale kiedy przywołujesz nakładkę z mapą, widzisz, że to to: jeśli nie pomyliliście adresu, jesteście na miejscu. Brendan macha skanerowi firmową kredytówką, drzwi otwierają się i natychmiast wpadasz obiema nogami w lodowatą kałużę do kostek.

– Cholera. – Przełykasz złość, skacząc naprzód i licząc, że buty się nie zniszczyły.

Głośniejsze przekleństwa z drugiej strony taksówki informują cię, że cały parking jest jednym wielkim bajorem. Docierasz na suchy ląd i widzisz przed sobą budynek, a przed nim dwa policyjne radiowozy. To ma być biuro Hayek Associates? Wygląda raczej jak kolorowa szopka w ogrodzie. Podniesione głosy: „Przepraszam bardzo, ale nie może pan wejść, jeśli inspektor nie wyrazi...”.

Nad wejściem wiruje gęstwa znaczników: Chris, Maggie, Mohammed oraz niebieski rombik mrugający jak policyjny kogut. Idziesz szybko ku szopie, żeby się schronić przed deszczem, w coraz bardziej ponurym nastroju. W środku zastajesz dziwną scenkę. Szopka jest urządzona z wypasem, jak foyer korporacyjnego biurowca, ale biurowca nie ma, tylko kilka wind, których pilnuje potwornie znudzony policjant, sprzedający Chrisowi i Mo teksty pod tytułem „Przykro mi musicie przyjść jutro” i jednocześnie skanujący kamerą swojego permanentnego rejestratora twoją twarz.

– Mamy nakaz sądowy mówi Chris. – Kadir, czy mógłby pan okazać temu dżentelmenowi...

– Używa sztywnego, nieoficjalnego języka, jakim mówią inteligentni ludzie w obecności policji z kamerkami dowodowymi.

– Oczywiście. – Mohammed otwiera teczkę i wyciąga z niej dokument. – To jest nakaz przeszukania, wystawiony przez...

– Pewnie tak jest, ale nie możecie wejść dalej. – Policjant wygląda na zażenowanego. – To jest sprawa kryminalna. Zadzwoń do inspektora i ona zdecyduje, jak tylko... – Przerywa i manipuluje przy słuchawce. – A. – Kiwa głową. – Tak, panie sierżancie. Mogę? Mam tu paru gości, w tym prawnik i nakaz rewizji, żądają dostępu do lokalu. Co mam...? Rozumiem, tak jest. Że co? O nie, już, już robię. Tak jest. – Twarz, skryta za okularami CopSpace, z rozpixelowanymi odbiciami na powiekach, wszystko zdradza. Złe wieści. Kręci głową i

bierze od Mohammeda sądowy papier. – Przepraszam, panowie, ale muszę spisać wasze dowody tożsamości. Dopiero wtedy wejdziecie i zrobicie co trzeba, ale przed wyjściem będę musiał wam pobrać próbki DNA i sprawdzić je w bazie.

– Jakże znowu DNA? – skrzeczy z oburzeniem Maggie, a ty masz ochotę się zgodzić: fotografowanie, pobieranie odcisków, legitymowanie, to jest normalne, ale DNA już niezupełnie.

Gliniarz wzdycha.

– Takie polecenie – mówi. – Żebyśmy mogli wykluczyć panią z grona podejrzanych.

– Ale to przestępstwo gospodarcze. Po co tu jakieś DNA?

– Nie w tym śledztwie. – Patrzy na Harrisona, marszcząc czoło. – W sprawie tej zaginionej osoby.

Ci Marsjanie z CapG nie są do końca nieludscy – zegar zaczyna cykać, kiedy z murów zamku rozlega się salwa na pierwszą godzinę. Najpierw ruszasz do designerskich sklepów na George Street, żeby zrobić coś z garderobą – głupotą byłoby zaniedbanie tego, kiedy ma się osiem tysięcy za dzień – a kiedy słyszysz ten daleki, głuchy łoskot, zdołałeś już zakupić garnitur, zjeść jakiś lunch i jesteś zdeterminowany ściemniać aż do smutnego końca. Kupiłeś sobie nawet krawat, z plamami po zupie w opcji.

Gdy pan Prązek wysyła ci wiadomość, już lawirujesz w obiadowym tłumie, zmierzając ku West Endowi. *Proszę się udać pod adres jak w zał. Elaine Barnaby będzie czekać w hallu.*

Świetnie, myślisz. A kto to, kurna, jest? Potem zerkasz na lokalizację. Jakiś tam hotel. Super. Cały czas kręcisz głową, łapiąc taksówkę – musisz sobie przypominać, że CapG płaci – i mówiąc kierowcy, dokąd ma jechać.

Hotel jest nowoczesnym, adaptowanym budynkiem. Plany przestrzenne Edynburga pilnują tylko jednego: by stolica wyglądała, jakby prześliznęła się w czasie z XVIII wieku, developerzy kupili więc stary, kamienny magazyn i wypatroszyli go, budując w pustej skorupie szklaną kostkę nowoczesności. Wchodzisz do hallu i rozglądasz się. „Kogo szukam?” rywalizuje w myślach z „Co ja tu robię?”. Na nieeuklidesowych sofach pod gustownie zaaranżowanymi halogenowymi reflektorkami siedzą szczupli ludzie z bardzo drogimi okularami i/lub bardzo cienkimi laptopami, ale skąd masz poznać, kto z nich jest twoim kontaktem? Denerwujące to trochę. Sterczysz bez sensu przez minutę, a potem ruszasz głową i podchodzisz do recepcji.

– Dzień dobry. Czy mieszka tu pani, eee... Elaine Barnaby?

– Niewykluczone – słyszysz damski głos za twoim ramieniem i zaczynasz się odwracać. – CapG pana przysyła?

– Hm, no tak – mówisz.

– To ja przepraszam... – przeprosza recepcjonistka.

– Trochę się pan spóźnił. – Wygląda jak bibliotekarka. Mysie włosy, czarne, plastikowe oprawki okularów i surowe, ganiące spojrzenie. – Jak cała reszta tego cyrku – dodaje, łagodząc trochę te słowa. – Chodźmy. – Odwraca się i idzie do schodów, nie chce się jej nawet na ciebie zaczekać.

A chuj tam. Za tysiąc za godzinę może sobie być wredna ile tylko chce. Tysiąc za godzinę. Jezus, oni mi płacą tysiąc za godzinę za coś takiego? Pośpiesznie pędzisz za nią.

Przystaje u szczytu schodów, na półpiętrze z widokiem na miasto i międzynarodowe

centrum konferencyjne, z za sprytnie zaprojektowanej fałszywej fasady.

– À propos, jak się pan nazywa?

– Jack. Jack Reed. A pani jest Elaine Barnaby? Z, ehm, Dietrich-Brunner Associates? Kim pani jest i co pani robi?

– Dwa na dwa. – Uśmiech ma nieco mniej nieszczerzy niż recepcjonistka, ale nie potrafisz poznać, czy aby nie kryje się za tym poważniejsze przesłanie: „Co to za flejtuch, czy to jakaś pomyłka?”. – Nie przypomina pan standardowego modelu konsultanta z CapG.

Wzruszasz ramionami.

– To pewnie dlatego, że nie jestem ich standardowym konsultantem.

Rusza dalej, na pierwsze piętro, szybko, jakby w spodniach miała zamiast nóg chromowane siłowniki. Pewnie wszędzie jeździ na rowerze. Udaje ci się nadażyć, ale kiedy wpada przez drzwi ewakuacyjne w korytarz na drugim piętrze, tracisz nieco dech.

– Daleko jeszcze?

– O, tutaj. – Zaprasza cię gestem do drzwi, które otwierają się ze szczękiem, gdy podchodzi.

– Proszę usiąść. Chciałabym ustalić parę rzeczy.

No jasne. Tu przychodzi moment, w którym twoja fatamorgana tysiąca za godzinę wyparowuje w zetknięciu z rozżarzoną do białości rzeczywistością. Fajna była, póki trwała.

– No cóż, to zlecenie od początku dziwnie mi wyglądało. Wie pani, CapG to nie jest firma konsultingowa z branży produkcji gier, więc trochę się zdziwiłem, czemu szukają kogoś o moich kompetencjach. Czyli wymagania, które pani wysłała, są całkiem inne?

Barnaby kręci głową, potem odgarnia za ucho niesforny lok. Zauważasz, że ma bardzo cienkie, sypkie włosy.

– Moment. – Napina ręce, pisze na powietrznej klawiaturze; w stawach palców ma wszczepione pod skórę chipy, pewnie spokojnie wstukuje ze dwieście słów na minutę, bez obawy o przeciążenie stawów i mięśni. To typowo biurowa metoda, nie interfejs dla gracza, ale... – Zobaczmy. Starszy developer, były pracownik LupuSoftu, pracujący nad grami na telefony z Zone. Zgadza się?

„Ding!”. Kiwasz głową, dalej nie bardzo w to wierząc.

– To świetnie! – mówi, a szeroki uśmiech rozlewa się po jej twarzy jak wschód słońca podczas polarnej wiosny; jest radosny, aż za wielki dla tej pociągłej twarzyczki, i sprawia, że pani Barnaby niespodziewanie wydaje ci się atrakcyjna. – Obawiałam się, że nie zdążą znaleźć nikogo na czas.

– Ale...

– Potrzebny mi programista od Zone – wyjaśnia – bo muszę zrobić audyt banku, który

mieści się w Avalonie 4.

– Audyt banku? – Kojarzysz, że pan Prązek mówił o czymś takim, ale wtedy to do ciebie nie dotarło. – W grze?

– Tak. – Podnosi skórzaną konferencyjną teczkę leżącą na stole i otwiera ją. – Ktoś go obrabował.

– Obrabował. Bank...? – Twarda ziemia pod stopami twojego umysłu nagle zamienia się w solipsystyczną taflę lodu. – Zaraz. To niemożliwe. Chyba.

– Niby tak. – Kiwa energicznie głową. – Tak powiedzieli wszyscy w Hayek Associates. Ale co innego mieli powiedzieć?

– Zaraz. Wyjaśnijmy. Hayek Associates to izba stabilizująca, prawda? I to oni stabilizują Avalon 4...

– Izba stabilizacyjna, czyli firma zarządzająca wewnętrzną ekonomią gry, tak? – Robi rękoma dziwne gesty, które przez moment cię rozpraszają, bo przypominają robienie na drutach, tylko, że do tego nie używa się półmetrowych drutów.

– Zdaje się, że używamy różnej terminologii, ale tak. Ja mówię: „podwykonawca branżowy z drugiej warstwy”, pani mówi: „bank”. Ale rzecz w tym, że taki bank, jeśli jest dobrze zaprojektowany, nie powinien dać się obrabować.

– Czemu? To tylko serwer bazy danych, prawda? Ktoś wyczytał ileś wierszy z jakiejś tabeli i skasował...

– No, niezupełnie. – Rozbolała cię od tego głowa. – Gry pod Zone nie chodzą na jednym centralnym serwerze, ale na rozproszonych węzłach przetwarzających, z wykorzystaniem współdzielonego, sieciowego systemu plików. Żeby ludzie nie manipulowali przy treści, wszystko jest chronione przez kryptograficzny system uprawnień. Jeśli w grze „masz” jakiś przedmiot, to znaczy tylko, że nikt inny nie może mu zmieniać pozycji, ani właściciela – do zatwierdzenia takiej transakcji potrzebny jest twój cyfrowy podpis – oraz potwierdzenie przez klaster serwerów, które szpiegują się nawzajem, żeby mieć pewność, że nikt nie przejął nad nimi kontroli.

– Czyli to nie leży fizycznie na serwerze? – Widzisz, że usiłuje za tobą nadażyć. – A może ktoś podrobił te podpisy?

– Nie da rady. – Musisz teraz solidnie wyęźać pamięć, bo architektura systemu uwierzytelniania Zone to nie jest coś, co dogłębnie studiowałaś. Jednakże gdzieś w głębi głowy odzywa się zakurzonym echem parę dawnych wykładów z uczelni. – To się opiera na takim starym protokole Digi-Cash. Wymyślił go kryptolog David Chaum, jeszcze w latach osiemdziesiątych, albo wczesnych dziewięćdziesiątych. Przyszło mu do głowy, że da się nim

zastąpić karty kredytowe w Internecie; umożliwiał anonimowe transakcje, ale nie pozwalał na nadużycia. Kryptolodzy tłukli go kijami przez dwadzieścia lat, zanim wybrało go konsorcjum Zone. Mechanizm tego podpisu jest bardzo bezpieczny, żeby go podrobić, trzeba by przejąć serwery głównych kluczy dla całej platformy Zone...

Milkniesz. Ups, myślisz i gryziesz się w język. Nagle tysiąc za godzinę wcale nie wydaje się za dużą kwotę. Pani Barnaby patrzy na ciebie z miną, którą ostatni raz widziałeś w trzeciej klasie podstawówki, kiedy pani Ranelagh nie zniżyła się do reakcji na twoją podniesioną rękę i nie puściła cię do toalety.

– Tak? – pyta, kompresując w tę 24-bitową monosylabę taką ilość informacji, że gdybyś mógł opatentować ten algorytm, byłbyś ustawiony do końca życia.

– No cóż, eee... no właśnie – wykrztuszasz. – Dlaczego chcieliście akurat mnie?

Rozluźnia się o ułamek stopnia.

– Ma pan takie samo wykształcenie i doświadczenie, jak programista z Hayek Associates, który zaginął.

Programista, co... cicho bądź, Jack.

– Cała reszta ekipy skupia się na biznesowej strukturze Hayka, a grę zwalili na mnie, a ja nie do końca jestem ekspertem. – Śmieje się autoironicznie, dzięki czemu temperatura z powrotem rośnie powyżej zera. – Dlatego zawnioskowałam o przewodnika-tubyłca.

A. To wszystko tłumaczy. Chociaż nie, właściwie nie – uświadamiasz sobie, ale przynajmniej zbliża się do wyjaśnienia o jedną trzecią drogi.

– A co pani robi? – pytasz.

– Jestem księgową śledczą. – Znow naciąga tę sztywną, mysią, bibliotekarską maskę i postukując, wyrównuje papiery w teczce.

– Aha. A grała pani w coś kiedyś? – Szansa jest zawsze. Niektórzy z największych wmiataczy wśród mistrzów gry, z czasów, kiedy grałeś w planszówki, byli za dnia księgowymi.

– W takie coś nie. A czemu pan myśli...

Patrzysz na białe, puste ściany sali konferencyjnej. Świetnie.

– Oto pani szansa. Ma pani jakiś budżet na wydatki?

– Co pan proponuje?

Myśl jest jeszcze niesprecyzowana, ale...

– Moglibyśmy powęszyć w biurze Hayka, ale wszyscy tylko by nas zbywali, a poza tym nagrywaliby to, co pani robi. A ja myślę, że trzeba by zamienić słowo z tym ichnim programistą...

- Nie da rady, on zniknął.
- Zniknął? Kiedy?
- Policja mówi, że zaginął, zapewne w weekend. – W jej ustach brzmi to, jakby załatwił sobie lewe zwolnienie.

Wzdrygasz się. Złamanie Zone’owego Digi-Cashu to potencjalnie spora kasa, ale żeby aż taka?

– Do ich biura nie dostaniemy się, zanim policja z nimi nie skończy, więc przez cały dzisiejszy dzień i tak możemy sobie dłubać w nosie.

– Aha. No to dobrze.

– Jak dobrze? – Patrzy na ciebie wyczekująco i uświadamiasz sobie, że w sumie nie może być aż tak bardzo od ciebie starsza. Ta bibliotekarka to wyrafinowany kamuflaż. Ale kto się za tym naprawdę kryje?

– A czy pani budżet wytrzyma taksówkę do PC WORLD i dwa wypasione blaszaki do gier?

– Tak, chyba tak – odpowiada powoli. – A co pan planuje?

– Wycieczkę z przewodnikiem do Avalonu 4, żeby wiedziała pani, w co się pakujecie. Jest pani gotowa?

Limbo. Otchłań. W mitologii to było miejsce, gdzie martwe niemowlęta układano w sęgi jak drewno, żeby czekały na biurokratyczne zbawienie. Limbo: zakurzony frontowy ganek piekła. A w terminologii Zone, limbo to recepcja i szatnia przed wejściem.

Włączyliście sobie opcję sąsiedztwa, więc wchodzisz do gry tuż obok bezkształtnego nooba ^[7]. Noob nie zdołał jeszcze wybrać sobie gatunku ani płci, stąd jest człekokształtnym zgęstkiem mgły unoszącym się ponad marmurową podłogą świątyni.

– Słyszysz mnie?

– Tak. To znaczy, przez słuchawki?

– No właśnie. – Rozglądasz się, gdy ona majstruje przy swoich zmysłach.

Świątynia jest z lekka klasyczna – doryckie kolumny i marmurowa posadzka, na środku podwyższenie z tradycyjnym ołtarzem, słupy migotliwego światła unoszą się z niego ku powietrznej kopule sufitu. W tle klimatycznie improwizuje chór duchów.

– Panujesz już nad sterownikiem?

– Chyba ta... – Noob szarpie się gwałtownie, pędzi po posadzce i wpada twarzą prosto na kolumnę. – Au! Co się stało?

– Chyba za duże przyśpieszenie sobie ustawiłaś.

Godzinę później ona dalej majstruje przy włosach, a ty zastanawiasz się, czy nie trzeba było

dać jej jakiegoś awatara z półki: odpowiadanie na sporadyczne pytania i pomoc w wypracowaniu, kim chciałaby zostać jest może nieco zabawne, ale niespecjalnie posuwa was do przodu. Z drugiej strony, musisz przyznać, że te dredy ze żmijowymi główkami są naprawdę niezłe, a co może ważniejsze, nie będzie w stanie wykonywać swojego zadania, jeśli nie zorientuje się, przynajmniej trochę, czemu ludzie inwestują w swoje postacie tyle czasu i wysiłku.

– Chyba trzeba się stąd ruszyć – sugerujesz.

– Myślisz? – Noob odwraca się, żeby na ciebie spojrzeć i, ku twojemu zdziwieniu, unosi brwi. Widać, że kiedy ty sobie dumałeś, ona rozpoznawała somatykę. – I jak to wygląda?

– Nie najgorzej. – Jak na pierwszą próbę.

Narzędzia do tworzenia postaci w Zonespace są o wiele bardziej wyrafinowane i subtelne niż w dawnych multiplayerach, ale tym samym są także o wiele trudniejsze w użyciu: niektórzy ludzie całkiem niezłe żyją – w świecie rzeczywistym – z precyzyjnego edytowania awatarów innych graczy. Elaine wymyśliła sobie całkiem przyzwoitą Meduzę, o jaskrawej skórze jak winyl, wielkich jasnych oczach, w kolorowym ubraniu.

– No dobrze. Na początek, weź to, przyda się. – Wręczasz jej krótki miecz, do którego ma pakiet umiejętności. – I to. – Kamizelka kolcza, lekko podrdzewiała. – Nosi się tak.

Noob kiwa głową.

– I teraz: albo sama się nauczysz, jak się poruszać – za tymi drzwiami jest taki ogródek-tutorial, albo ja cię nauczę.

– A co polecasz?

Jest albo bardzo cierpliwa, albo naprawdę podoba jej się nowość tego wszystkiego.

– Zrobiłbym jedno i drugie. Na razie trzymaj się mnie, a wieczorem wejdiesz sobie sama i pobawisz się tutorialiem.

– Okay. – Brzmi sceptycznie.

Zerkasz spod oka, wyglądając ze świata gry, na jej rzeczywistą postać, całkowicie skoncentrowaną na dwóch ekranach konsoli przed sobą, z okularami odcinającymi wszystko, co nie jest częścią gry. Stuprocentowe skupienie, palce dziwnie drgają, gdy obraca w dłoniach kontroler w kształcie litery L.

– Ile to przeważnie zajmuje?

– Co? A, ten tutorial za drzwiami ma ci dać podstawy sterowania postacią, w jakieś pół godziny do godziny. A potem, jeśli wybierzesz którąś z kontynuacji, jest parę misji jednoosobowych, na których się ćwiczysz, żeby po jakimś tygodniu, czyli, hmm, dwudziestu–Trzydziestu godzinach grania móc konkurować z innymi. Ale jeśli chcesz tylko iść razem ze

mną, wystarczy ci ten tutorial.

– Sporo masz tego sprzętu.

– Pewnie. Nazywam się Theodore G. Bear, „G” jest od Grizzly i jestem niedźwiedziem. – Stajesz na tylnych łapach i patrzysz na nią z góry z pełnych trzech metrów, potem wyciągasz z sakw ogromny garłacz z mosiężną lufą i wieszasz go na szyi, żeby go dobrze widziała: – Wierzę w prawo, które pozwala mi się zbroić. – Jest mniej więcej wielkości pięcioletniego falkonetu, prosto z fregaty kapitana Kidda, i został osobiście pobłogosławiony przez Ducha Czasów, co znacznie zwiększa jego skuteczność przeciwko zabobonnym i stworom ciemności. Czekasz na stęknienie i dodajesz: – Najlepiej będzie, jak cię poniosę. Teraz siadam, a ty spróbuj polecenia „wsiądź”.

– Żartujesz chyba.

– Nie.

Majstruje przy czymś przez minutę i nagle siedzi ci na plecaku, z którego wyrosły strzemiona i szykowne małe siodło.

– No! Umiem jeździć wierzchem?

– Postaci epickie mają standardowo taką umiejętność. Ale nie próbuj ich na kimś nie z twojej drużyny, bo ktoś może się zdenerwować. No dobra, połazimy sobie trochę. – Wstajesz i ruszasz do wielkich, podwójnych wrót z przodu świątyni, starając się iść powoli. – To jest Świątynia Nowo Narodzonych Dusz na Wyspie Is, która leży na Dolnym Morzu, tuż przy wybrzeżu głównego kontynentu, który nazywa się... Piekło.

Piekło leży poza wszechświatem i tym samym jest zwolnione z przestrzegania części praw fizyki. Jego geometria jest dantejską parodią, o ile bowiem Dolne Morze jest płaskie, o tyle cały kontynent leży poniżej jego poziomu, jak gigantyczna czarna trąbka, wyciągnięta na tysiące sążni wzdłuż ostrej jak nóż linii, gdzie morze styka się z wirującą nicością na zawsze skrywającą ten świat przed oczami Nieba.

Jak opisać kontynent bólu, wydrażony jak zamrażony wir, wiecznie poniżej klifów ryczących, butelkowo-zielonych fal, które trzepoczą nad otchłanią, choć nigdy nie załamują się i nie spłyną, by zalać rozżarzone czerwono pustkowie? Jak opisać chaotyczne roje potępionych, kręcące się jak szpaki w jesiennym powietrzu ponad błotnistymi polami Sommy?

Jak odmalować szeregi słupów wysokiego napięcia z nadzianymi potępionymi duszami, maszerujące synchronicznie przez pustynie czwartego kręgu? Czarne jak noc żelazne drapacze chmur Dis o oknach rozjarzonych diabolicznym światłem?

Widok jest żywcem od Hieronima Boscha. Oczywista sprawa. Pastiche Boscha zostało popełnione przez milion systemów eksperckich wykonujących kod, który proceduralnie

kopiuje i ekstrapoluje jego dzieła sztuki, wypełniając nimi kosmiczne płótno. Proceduralny Bosch, malujący obłąkańczo i z nieskończoną szybkością, wypełniający luki w wirtualnym świecie, strzeżony przez tytanicznych archaniołów, Alonzo Churcha i Alana Turinga, przesuujących nieskończoną taśmę...

Zabawne, że trzeba gry, żeby wydobyć z ciebie poetę. A jeszcze zabawniejsze, że aż tak jesteś zażenowany, kiedy ci się to wymknie.

– To jest Piekło. Nie przejmuj się tym, to tylko taki żart, co wymknął się spod kontroli.

– Wkręcasz mnie!

– Ależ skąd! – Gramolisz się na kamienną ścieżkę meandrującą wokół świątyni i opadającą ku morzu. – Pierwotnie to miało być miejsce, gdzie przychodzisz dostać ciało. Stąd limbo. A potem goście od treści generowanej proceduralnie nudzili się i stwierdzili, że zabawią się trochę z dekoracjami. To wszystko działo się w czasach przed wersją alfa, w pionierskich czasach, ale wszyscy widzieli ten film.. – tobie wydał się potwornie nieudany: podstarzały Patrick Stewart w roli Szatana, szarżujący dla równie podstarzałej publiczności – ...i udało im się jakoś przejąć prawa do scenografii, pewnie się dogadali pod stołem. Jesteśmy więc w Limbo i mamy widok na najgorsze działki budowlane na świecie. I zaraz przeteleportujemy się na Ziemię, muszę tylko znaleźć ten... no...

Znajdujesz odpowiedni święty gaj i opadasz na świętą mozaikę, która rozświetla się w odpowiedzi. „Jarzenie radioaktywne nr I”, jeśli dobrze kojarzysz teksturę.

– Ale czemu to nadal tu jest?

– Można tam wyrzucać uporczywych grzeszników.

W tym akurat piekle, dusze potępione to osoby, które regularnie naruszały prawo – począwszy od bicia nowych, aż po bardziej wyrafinowane wykroczenia przeciwko wirtualnej rzeczywistości. Mogą tam tylko leżeć, rozpięci i łamani kołami, obrzucając obelgami diabły-roboty, aż skończy im się wyrok i będą mogli wrócić do gry.

– Dobra, teraz się trzymaj. Lecimy do Vhrany.

Niebo przybiera ciemnoniebieską barwę, świat zamiera, a po horyzoncie zaczyna powoli pełznąć pasek postępu. Eteryczne runy wypisane sześćsetkilometrowymi zorzami pełzną po niebie, tworząc napis „ŁADOWANIE RZECZYWISTOŚCI” i przez moment po skórze chodzą ci zabobonne ciarki. Któregoś dnia wszyscy zrobimy sobie implanty mózgowie i będziemy przeżywać to bezpośrednio. Któregoś dnia wszyscy będą przeżywać swoje życie w takich miejscach: maszyny będą troskliwie doglądać pustych ciał, podczas gdy ich umysły znajdują się w osobliwych światach, do których ciało nie ma wstępu. Widzisz, jak to nadchodzi, jak zwala się ku tobie z przyszłości, jak pozbawiony treści biały szum – jedyna rzecz, jaką udało

się ludziom usłyszeć spoza gwiazd: Ostateczne Rozwiązanie kwestii ludzkiej, odpowiedź na paradoks Fermiego – w domu palą się światła, ale wszystkie okna są szczelnie zasłonięte. To bowiem jest coś pięknego – umiejętność samodzielnego tkania rzeczywistości – i uwielbiasz to. Czyż snucie opowieści to nie kwintesencja człowieczeństwa?

I wtem twoje pazury już stukają po bruku, a horyzont zapada się w nierówną linię szachulcowych budowli w stylu Tudorów. Głównej ulicy Vhrany.

Vhrana to stolica Cordui, w północnej Brazylii na kontynencie Mu. Ma około dwóch kilometrów średnicy i jest zbudowana na grzybkowatej wapiennej kopule, która oderwała się od swoich fundamentów i wisi teraz około kilometr ponad porośniętymi tropikalnym lasem zboczami Góry Panesh. Przedsiębiorczy gracze wywiercili pod swoimi malowniczymi kamienicami głębokie lochy i za parę groszy można zejść niekończącym się tunelem na wiklinowy balkonik ponad dżunglą. A tam wypożyczyć bambusowo-jedwabny latawiec i zjechać nim na powierzchnię, albo, jeśli jest się Adeptem, sfrunąć samą siłą woli.

Vhrana to plątanina sprzecznych stylów architektonicznych, choć książę narzucił jej pewną jednolitość, ograniczając paletę dostępnych materiałów budowlanych – całkiem jak w Edynburgu, jeśli się zastanowić. I tak oto szachulcowe tudorskie domy sąsiadują z lżejszymi konstrukcjami z drewna i wikliny, czasem krytymi strzechą, oraz dziwacznymi wykwitami elfickich budowli, twoim zdaniem nużąco podobnych do późnośredniowiecznej Japonii. Ale jakoś strasznie się to ze sobą nie kłóci. Na ulicach nie ma za wielu ludzi, bo w większości Ameryki Północnej jest wczesny ranek, ale idąc ku północnej hali targowej, mijasz paru zachwalających towar handlarzy.

– Czego szukasz?

– Planszety. Zdaje się, że gdzieś na północnym skraju tego targowiska. Nawiasem mówiąc, jesteśmy w strefie zdemilitaryzowanej, możesz zejść i się rozejrzeć, jeśli chcesz. Nikt na ciebie nie naskoczy.

– A. No dobrze. – Udaje jej się zsiąść bez nadziewania się na żaden szyld, podczas gdy ty wężysz między straganami – większość sprzedawców jest w trybie zombie i w kółko odtwarza swoje targowe okrzyki – i szukasz planszety. Wreszcie ją znajdujesz, upchniętą między Złotego Lotosa Pokoju oraz Spółdzielnię Sprawiedliwość (czyli tak naprawdę lokalny oddział Cechu Asasynów) oraz Świątynię Ruaark. Przewijasz migocące ikony i imiona, szukając...

– Ten zaginiony gość. Jak on się nazywał?

– Nigel MacDonald, zwany Pewnym Nigelem. Takim sobie pewnym.

– Ale w Zonie. Nick. Jakieś pomysły?

– To znaczy, jak się nazywała jego postać?

– Nie. Jak się on nazywał. Nick, który jest wspólny dla wszystkich postaci, którymi gra, żeby znajomi mogli go znaleźć. Rozumiesz: ja jestem teraz Theodore G. Bear, ale mój Zone’owy nick to JackReed. Ty jesteś teraz Anonimowym Tchórzem – nic takiego, to standardowa nazwa, bo nie nazwałaś jeszcze swojego noobka – ale kiedy się logowaliśmy, założyliśmy dla ciebie konto z Zone’owym nickiem ElaineBarnaby. Tak?

– A, jasne. To on nie będzie miał po prostu NigelMacDonald?

– W życiu. Po pierwsze, to pospolite imię i nazwisko. Mnie udało się zająć nicka „JackReed” tylko dlatego, że bardzo wcześnie zacząłem grać, a i tak musiałem skorzystać ze znajomości. Zajmowanie imion to tutaj narodowy sport. Ale jednak, jeśli mamy wytropić pana Pewnego, musimy wiedzieć, jakiego miał nicka. – Zastanawiasz się przez moment. – Jakie nicki.

Bystra jest.

– W liczbie mnogiej?

– Dokładnie. – Gapisz się na jej noobka. Brzmi ciche „ding” – nad żmijogłową postacią wreszcie pojawia się imię: Stheno. Dobrze, zaczyna się ogarniać. – Posłuchaj, jest za piętnaście piąta. Jeśli zaraz nie wytropimy jego nicka, to dzisiaj już dalej się nie posuniemy. Jeśli gość coś ukrywał, musimy wiedzieć, kogo szukamy. No dobrze. Może masz jakieś lepsze pomysły?

– Tak. Najpierw przejdziemy ten tutorial, o którym mówiłeś. Pseudonimem MacDonalda zajmiemy się jutro, najpierw muszę wiedzieć, co w ogóle robię. Chyba że masz inne plany na wieczór?

Sue: Doradca ds. pomocy dla ofiar przestępstw

Przybycie na miejsce przestępstwa jako pierwsza ma swoje przywileje, a jeden z nich, pochodzący z *Ustawy o poszanowaniu praw ofiar* (2010) – takiej pozostałości tuż sprzed niepodległości – mówi, że jeśli przeciwko Ofierze popełniono przestępstwo o wartości pieniężnej powyżej iks albo zagrożone karą pozbawienia wolności powyżej igrek, danej ofierze należy przydzielić doradcę ds. pomocy dla ofiar, żeby odwaliła współczucie, załamywanie rąk i cały ten szajs, a na koniec zadzwoniła po Dobrych Samarytan. Pierwsza zgłosiła się do Hayek Associates, nie należysz do wyszkolonej i utytułowanej bandy tropicieli morderstw pod wodzą Liz, a wartość szkody zdecydowanie przekracza próg dwóch tysięcy euro. Poklepała cię więc po głowie i kazała zostać małym, grzecznym doradcą ds. pomocy dla ofiar dla Hayek Associates.

Ale jak się, kurwa, terapeutyzuje korporację, która została obrobiona?

– Dzień dobry, jestem twoim doradcą do spraw pomocy dla ofiar. Rozumiem, że trochę jesteś zdenerwowana, kurs akcji na dnie, wyniki za trzeci kwartał nieszczerłone i tak dalej, chcesz o tym z kimś współczującym porozmawiać? Może herbatki?

Idziesz zatem z powrotem na miejsce, przekradasz się schodami i drzwiami ewakuacyjnymi od tyłu i walisz do drzwi wodza Żarłacza Ludojada.

– Kto tam?

Otwierasz drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale może ma pan trochę czasu? Chcę pogadać. – Uśmiechasz się miło.

Gabinet Marcusa Hackmana jest cały odrobiony w chromie i czerni, jak garsoniera z lat osiemdziesiątych. Mary ma fioła na punkcie magazynów wnętrzarskich, więc rozpoznajesz fotel i podnózek Eamesa, a biurko... też byś przysięgła, że widziałaś je w jakimś znanym miejscu. Jedna ściana jest cała obwieszona zdjęciami, certyfikatami, całym tym szajsem, który śmiertelnie niepewni siebie wieszają na ścianach, żeby przekonać samych siebie, że jednak coś znaczą – a agresywni biurowi socjopaci wykorzystują go, by wbić niepewnym siebie do głowy, że to oni się liczą. Żarłacz obnaża zęby, nie nazbyt kanibalistycznie.

– Mogę dać pani pięć minut.

– Dziękuję. – Odwzajemniasz uśmiech. – Pierwsza rzecz: czy zna pan swoje prawa, wynikające z *Ustawy o poszanowaniu praw ofiar*? – Na wszelki wypadek wymrugasz sobie przed prawe oko stosowne paragrafy. – Jako Ofiara Przestępstwa ma pan prawo do pomocy doradcy; myślałam, że się pan ucieszy, że jestem tutaj, aby pomóc wszystkim radzić sobie z

wszelkimi nieprzyjemnymi konsekwencjami wynikłymi z tego zdarzenia.

Policzek mu drga.

– To znaczy, żeby nas szpiegować – oskarża cię.

– Tak bym nie powiedziała. Ofiary z reguły to wszystko bardzo przeżywają. Potrzeba im wsparcia, regularnej informacji o postępach śledztwa, trzeba także zadbać o to, by nie pomyślały, że są pozostawione same sobie. Nie chcemy, żeby ludziom przychodziło do głowy wziąć sprawiedliwość we własne ręce...

Podnosi rękę.

– Da pani spokój. Mówmy szczerze i otwarcie. – Z przesadną dobroduszością uśmiecha się do daszka twojej czapki, prosto do kamery. – Okradziono instytucję finansową zarządzaną przez moją firmę, a mój menedżer spieprzył sprawę, dzwoniąc po was, zamiast skorzystać z odpowiednich kanałów. Oczywiście, że wasza szefowa myśli, że to robota kogoś z wewnątrz, więc przysłała tu panią, żeby się rozglądała, i patrzyła, czy sprawca nie spanikuje i nie ucieknie. – (Kładzie rękę na stosie zaścielających biurko papierów: próbujesz dyskretnie w nie zajrzeć, złapać coś na zooma, ale ręka przeszkadza). – Świetnie, znakomicie. Tylko proszę przede mną nie odgrywać jakichś teatrzyków, „a teraz wszyscy się pocieszajmy i za łapki się trzymajmy”. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Na przykład?

Patrzy na ciebie przez ułamek sekundy, potem pstryka palcami.

– Chce pan coś powiedzieć nieoficjalnie? – pytasz?

Kiwa głową. Interesujące.

Wzruszasz ramionami.

– To zupełnie nieregulaminowe – mówisz mu, wyciągając telefon i wciskając wielki czerwony przycisk z napisem OFF. Nie musi wiedzieć, że to nie jedyna twoja kamera.

Hackman wychyla się naprzód, przez biurko.

– A wie pani, że przez wczorajszy dzień dostaliśmy dwa nakazy rewizji i zajęcia mienia? Jeden ze specjalistycznej firmy od analizy ryzyka. Drugi od naszych ubezpieczycieli. Za parę dni wejdą tu z buciorami i proszę mi wierzyć, jak nie widziała pani, co po tych ludziach zostaje, to nie widziała pani jeszcze ofiar. Ich cel: udowodnić nam niedopełnienie obowiązków. Gra idzie o ogromną sumę. Więc jeśli pani będzie łązić gdzieś z tyłu i nakłaniać moich ludzi, żeby się otworzyli i chlupali pani w rękaw, potencjalnie może zaszkodzić mi bardziej niż sam napad. – Ramiona drżą mu od czegoś przypominającego wściekłość, ale jest tak mocno opanowany, że patrząc na niego, ma się wrażenie nerwowego pośpiechu. – Będą tu biegać ludzie, których nie mogę powstrzymać żadnym prawnym sposobem, szmaciarze, hieny,

chcące nam zaszkodzić. Prowadzą śledztwo, tak jak pani. Ale w odróżnieniu od pani, nie chcą znaleźć sprawcy, chcą znaleźć pretekst do procesu o gigantyczne odszkodowanie. Chcą wziąć wszystko, co udało mi się zbudować, i ukraść to, a jeśli znajdą prawny pretekst, nie cofną się przed niczym. To najgorsze szumowiny. Gdyby się palili, nie przeszedłbym na drugą stronę, żeby na nich naszczać – ale nie mam środków prawnych, żeby ich powstrzymać, choć najchętniej połamałbym im ręce, i nogi, i...

Przerywa, żeby nabrać tchu, uspokaja się trochę. Jest czerwony na twarzy, oddycha ciężko. Powstrzymujesz się, żeby się nie cofnąć. Przyzwyczajona jesteś, że obywatele się na tobie wyżywają, ale tym razem sytuacja jest o wiele bardziej osobliwa – dla niego jesteś tylko osobą postronną, przypadkową widownią dla teatru nienawiści. Przez moment obawiasz się, że ma atak serca, albo może orgazm, lecz wtedy on naciąga kolejny ze swoich gładkich uśmiechów i celuje nim w ciebie, Gramy Dalej, a gałka od wdzięku jest przekreślona na jedenaście.

– Byłbym cały szczęśliwy, gdyby udało się pani znaleźć to nasze najśłabsze ogniwo i przybić jego skórę na drzwiach. Przynajmniej nie byłbym już na celowniku tych hien. Ale nie chcę, żeby pani mi tu węszyła... bo to tylko im doda odwagi. To są wrogowie i nie wiedzą niczego, co może pani ułatwić śledztwo. Jedyne, co mogą, to wymazać ściany gównem i ukraść dywan. Jasno się wyrażam?

Wytrzeszczasz oczy na Hackmana, zbita z tropu jego zajadłością. Dalej tak się dziwnie trzęsie, ale teraz to nie wściekłość, teraz to czysta i prosta nienawiść.

Pan ważny się nakręcił, co? Niesamowite! Wygląda na tyle groźnie, że jakbyś spotkała go na ulicy, w kapturze na głowie, dzwoniłabyś po posiłki. Tutaj, w garniturze, w menedżerskim gabinecie, jest tylko odrobinę mniej straszny – ale wiesz, jak sobie radzić z takim klientem, zresztą, wobec ciebie stosować przemoc nie będzie, prawda? W przeciwieństwie do 90 procent szumowin z ulicy, fizyczna przemoc to ostatnia rzecz, której można się spodziewać po Hackmanie. (Co tylko sprawia, że jest on jeszcze groźniejszy).

– Rozumiem, co pan powiedział, sir. Dziękuję bardzo. Jeśli można, włączę z powrotem telefon. – Wyciągasz rękę i naciskasz przycisk telefonu. Wsadzisz to na serwer z aktami i niech Liz to łyknie. Rzucasz mu uśmiech pełen otuchy: – Jestem tu, żeby panu pomóc. Nie musi się pan obawiać o świadków. – Potem wycofujesz się z gabinetu, bardzo powoli, nie spuszczając z niego wzroku, unikając pretekstu do ataku.

No dobra, czyli jesteś doradcą ds. pomocy dla ofiar przydzielonym do okradzionej korporacji. Co robisz, kiedy jej prezes jest żądnym zemsty psychopata?

Liz odzywa się koło piątej, dokładnie wtedy, gdy masz zamiar zejść z szczyty.

– Jak będziesz jechać do domu, możesz wpaść do firmy? Verity zarządził paszczówkę w sprawie tego McDonalda i chce ciebie też usłyszeć.

Typowe, myślisz, ale przemilczasz to. To ona jest szefową, a trzeba przyznać, że z tej sprawy robi się jeden wielki syf. Krew na dywanie, programista, który zaginął w momencie, gdy ktoś stuknął jego pracodawcę na wiele milionów euro, no, nie wygląda to dobrze; Liz będzie pod niezłą presją ze strony Verity’ego, albo i samego komendanta. Na razie to jeszcze dochodzenie w sprawie zaginięcia, ocierające się fiutem o przestępstwo gospodarcze, ale przy takiej stawce (i jeszcze aspekcie Nowej! Sexy! Technologii! na dokładkę). Zainteresowanie Mediów zaraz wgrzyzie się w waszą zbiorową dupę, jeśli już tego nie zrobiło, a komendant ponuro patrzy na gliniarzy mających parcie na szkło, a wyników żadnych. Jedziesz zatem na Meadowplace Road i wkradasz się do sali konferencyjnej z obszarpaną tapetą i przedpotopowymi, mrugającymi świetlówkami, tuż przy ekspresie do kawy na drugim piętrze.

Liz siedzi u szczytu stołu, z miną, jakby ktoś jej naszczał do miso. Jimmy Rentgenowskie Okulary i Roger Taran gędzą o porannym wyłamaniu drzwi, paru innych techników papple coś nad notatkami, a za tobą wchodzi jeszcze kilku innych sierżantów z Wydziału X. Jednego z nich rozpoznajesz – sztywny krawaciarz, który był w bunkrze wczoraj rano. Podsumowując: jesteś tu w mniejszości, normalnie nie chodzisz na tego typu spotkania – co zresztą widać; jako jedna z nielicznych masz na sobie mundur.

– No dobra, koledzy, zaczynamy – woła Liz, a w tym samym momencie otwierają się drzwi i wchodzi kolejny krawaciarz. – Sir, właśnie zaczynamy. Siądzie pan, czy...?

– Nie, proszę kontynuować – mówi detektyw-inspektor Verity, a ty kurczysz się odrobinę: głos ma jak szelest szczonego ogona. Plotki mówią, że długo już nie pociągnie, bo jego rak płuc niespecjalnie reaguje na leki. Sam fakt, że przywłókł się na takie spotkanie, sugeruje, że rozdawanie porządnych kopów w dupę odbywa się na wszystkich piętrach mundurówki, a może i w Ministerstwie Sprawiedliwości. Było wiadomo, że ten palant Hackman będzie miał kumpli w Holyrood.

– Dobra, wszyscy? Chyba wiecie, jaka jest sprawa. Zaczęliśmy od przestępstwa gospodarczego, nadużycia komputerowego w czwartek, w biurze Hayek Associates na Granton. Przepadła spora suma pieniędzy. Wezwali nas przez pomyłkę, jeden menedżer spanikował i zadzwonił na dwieście jedenaście, zamiast zamiatać problem pod dywan – i w tym też coś musi być. W każdym razie, w piątek odkryliśmy że jeden pracownik nie odbiera telefonów. Dzisiaj rano sprawa się trochę pogorszyła, bo już oficjalnie mamy na głowie zaginięcie i trochę poszlak, które sugerują zabójstwo. Jego mieszkanie zostało wysprzątane, są

ślady walki, zresztą, myślę, że Bill opowie nam o swoich czynnościach. Proszę bardzo, Bill.

Bill wstaje, grzebie w teczce za tabletem i plikiem papierów. To jeden z krawaciarzy, którzy przyszedli wtedy do tej ich szopy. Czterdzieści parę lat, szpakowaty wąsik, ponura gęba z ustami, jakby ugryzł cytrynę i niczego innego się nie spodziewał.

– Ano jo. Obiekt, niejaki Nigel MacDonald, nie jest nigdzie notowany. Zwróciliśmy na niego uwagę przy okazji toczącego się dochodzenia w sprawie Hayek Associates. Pracuje u nich jako programista. – Gówno prawda, jeśli wierzyć temu, czego Wayne i reszta uparcie nie chcą powiedzieć: to jakby określić neurochirurga mianem felczera. Ale dowody są: suche liczby w systemie płacowym oraz fakt, że wszyscy w firmie sztywnieją i milkną, gdy się pyta, jak go zastąpią. – Pan MacDonald pracuje głównie w domu i od środy nikt nie widział go na oczy. To znaczy, ani mejla, ani telefonu.

Bill wyciąga z teczki gruby plik papierów.

– Wrzuciłem zapytanie do Kartoteki – czyli Państwowego Systemu Informacji Kryminalnej, mimo ośmioletniego postępowania rozwodowego, z mediacją informatyków, nadal nie do końca odczepionego od swojego angielskiego odpowiednika – a kiedy nic nie wyszło, poprosiłem o zapisy bankowe. Tam też nic. Od środy gościu nie wydał ni centa, oprócz schodzących z konta poleceń zapłaty. No to poszedłem do Ewidencji Ludności. Pan MacDonald nie okazywał dokumentu tożsamości w Autoryzowanym Podmiocie – czyli takim, co ma bezpośrednie łącze do Ewidencji – od ponad trzech lat. Nie był też legitymowany ani sprawdzany. Użył dokumentów, żeby otworzyć konta w banku, zaraz po ich wydaniu, potem kiedy brał kredyt na dóm, ale poza tym to kompletnie Niewidzialny Człowiek. Samochodem nie jeździ, miesięcznego na autobus nie ma, żadnych ruchów nie widać. Ulicznych kamer żem jeszcze nie ruszał, ale założę się, że i tam jego gęby nie znajdzie. – I schodzi z podium z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Dziękuję, Bill – rzuca sucho Liz. – Teraz kryminolodzy. Doktor Tweed?

„Doktor” nie oznacza tu medyka; Tweed to szczur laboratoryjny z doktoratem i nieustającym wyrazem lekkiego rozbawienia. Zawsze ma na sobie sportową marynarkę w agresywny wzorek, ze sztruksowymi łatami na łokciach do kompletu. I w odróżnieniu od Billa nie ma potrzeby wstawać, czy chodzić po pokoju.

– Cieszę się, że mnie do tego przydzieliliście, to miła odmiana po domówkach u jakichś karków, co się krwawo skończyły.

Przez chwilę stuka w laptopa, po czym widzicie, jak cała jedna ściana sali konferencyjnej rozplywa się w CopSpace, zastąpiona zdigitalizowanym i zwirtualizowanym *ludium* – widokiem z miejsca przestępstwa.

– Zaczniemy tutaj, hall wejściowy. Kiedy Brygada Rympał wyważyła drzwi, przykryli nimi ślady i odciski ostatnich osób, które wychodziły z mieszkania. Po pierwszych oględzinach, weszli Marge i Hal z Fettes Row i zrobili odcisk aerożelowy. Pyłu jest dużo i trochę śladów częściowych, ale najświeższe odciski są bezwartościowe, bo ktoś, kto je zrobił, miał na butach foliowe ochraniacze z takim żyłkowaniem od spodu. Dokładnie takie, jak Marge i Hal.

Prostujesz się i zaczynasz słuchać naprawdę uważnie. Wiedziałaś, że MacDonald i jego kumple byli trochę paranoiczni, ale to już przegięcie.

– I to samo w całym mieszkaniu. Wysprzątane przez zawodowców. Z tego MacDonalda był niezły gadzeczkarz, nie mówiąc już o tym sprzęcie na dachu, ale o nim zaraz. Cały sprzęt dalej tam stoi. Ale usunięto dokładnie wszystkie rzeczy osobiste. Mieszkanie jest nienaturalnie czyste, poza kuchnią. Na przykład, nie ma żadnego jedzenia poza lodówką. Żadnych osobistych drobiazgów: zdjęć, obrazów, plakatów, książek, gazet, czasopism. W łazience nie ma pasty ani nic przeciwbólowego, nie ma cążków do paznokci ani papieru toaletowego. Komuś chciało się nawet odkurzyć za pralką. Generalnie, wygląda na to, że miejsce przestępstwa wysprzątali ludzie, którzy przyzwoicie znają się na kryminologii.

Zerkasz dookoła, żeby zobaczyć, jak inni na to reagują. Widać, że dla Liz to żadna nowość i tłumaczy jej ból głowy, ale szef wygląda na przybitego, i to jak. Potem doktor Tweed obraca się myszką w stronę kuchni i przenika przez drzwi do środka.

– Kuchnia. Tu też wszystko jest wylizane i bardzo bym się zdziwił, gdyby ona w ogóle była używana do normalnych kuchennych celów przez ostatnie parę lat. Prawdziwe kuchnie to wspaniałe miejsca, potrafią bardzo dużo nam powiedzieć. Począwszy od tłuszczu i osadów w wyciągu, przez zawartość kosza, po jedzenie w lodówce – prawdziwa kopalnia złota. Na przykład, zadziwiająco dużo włamywaczy, chodząc po domu czymś się poczęstuje, więc zawsze warto zajrzeć do kosza... no, ale... Tu lodówka, no... zobaczcie sami. – Drzwi wirtualnej lodówki znikają, ukazując dziewicze wnętrze. – Wyczyszczona. Tak ją zastaliśmy. Nic w środku nie ma, a ta brązowa plama z boku to jodopowidon, szpitalny środek do dezynfekcji. Tutaj mamy jaśniejszy ślad na blacie – pasujący do mikrofalówki. Po cholere ktoś miałby brać mikrofalówkę a zostawić całą tę elektronikę z dużego pokoju – możecie zgadywać sobie sami. Ale tak właśnie zrobili: wyczyścili lodówkę i zabrali mikrofalówkę. Może używali jej do fajczenia jakiś radiowych chipów, albo coś. Wszystko jest dosłownie wysterylizowane.

– Wysterylizowane? – Verity wybucha. – Mówisz, że nic nie znaleźliście?

– Nic. Przynajmniej na razie. – Tweed kiwa głową jak samochodowa maskotka. Zaczyna odliczać na palcach. – W całym lokalu nie ma ludzkiego śladu, który nie zostałby

wyczyszczony albo zanieczyszczony. Kiedy wróciły wyniki LCN, to był jeden rozmazany chaos – tak, była próbka DNA, tylko że to DNA należało do jakichś trzystu ludzi.

– Co jeszcze nie pasuje? – pyta Liz.

Tweed wzrusza ramionami.

– Zdjęliśmy pościel. Pobrałem próbki pyłu na materacu, ale to też było zanieczyszczone.

Verity prycha.

– Jak można zanieczyścić ślady DNA?

– Pracujemy na naprawdę bardzo małych próbkach, więc wy – przestępcy – możecie po prostu dać nam za dużo materiału. Co najbardziej prawdopodobne: ktoś, kto czyścił mieszkanie, posiedział sobie parę godzin na pięterku autobusu, z małym odkurzaczem. Wszyscy ludzie, gdziekolwiek się nie ruszą, złuszczają skórę jak dzicy. Rozrucasz te paprochy z autobusowych siedzeń po miejscu przestępstwa i jest tak, jakbyś zamazał odcisk palca na szklance, dając ją do łapy wszystkim klientom klubu – wychodzi jeden wielki chaos.

– Pff. – Verity splata ramiona. – Co jeszcze?

Liz unosi brwi.

– Chciałam mieć szybki przegląd sytuacji. Jeśli można, przekazuję pałeczkę Joemu z ICE. Chyba że doktor ma jeszcze coś ważnego.

Tweed wzdycha.

– Nic, co by zmieniało ogólny wydźwięk.

– Joe?

Joe to wymoczkowaty komputerowiec o cienkiej szyi, na pograniczu autoparodii.

– Cześć wszystkim! – skrzeczy. – Pytacie o serwery? Dobra, sprawa tak wygląda: nic nie mamy. Sprzęt jest świetny, wszystko ma dwa lata albo mniej, kaliber raczej korporacji niż małej firmy – ale nie ma instrukcji, nośników, licencji, a dyski twarde i flash, wszystkie zostały zamazane. To znaczy, wykasowane aż do blachy, jakimś narzędziem zgodnym z normą Departamentu Obrony 5220.22– M. Takim, jak i my używamy, kiedy likwidujemy jakiś sprzęt poufny, ale nie tajny. Ktoś naprawdę nie chciał, żebyśmy przejrżeli jego kolekcję filmów. Niezła zagwozdzka, jakbyśmy uparli się, żeby to odzyskać, to pewnie okazałoby się, że nawet GCHQ nie daje rady.

– Jeszcze ogródek na dachu – podpowiada Liz.

– A, to.

– Tak. – Liz kiwa głową komendantowi i jego uniesionym brwiom, wijącym się jak gniewne gaśienice, kłócące się o smakowity liść. – Teraz coś ciekawego.

Joe gorliwie kiwa głową.

– Tu robi się dziwnie. Nasz pacjent wlaźł sobie na dach i postawił tam talerz satelitarny. Nielegalny, nie miał pozwolenia na budowę, a talerz ma ponad metr. Hm. Nawet półtora metra, jest na sterowanej elektrycznie podstawie i służy do wysyłania danych. Nie wiemy, gdzie był skierowany, bo kiedy weszliśmy, był w neutralnej pozycji, pionowej, ale kable szły od niego do tych czarnych skrzynek w przedpokoju. Jeszcze nie do końca wiemy, co w nich siedzi, ale na dachu jest też antena komórkowa, a ona z kolei jest wpięta do czegoś, co mi wygląda na GNU Radio, samoróbkę. Jedno z drugim łączy się przez te szafy z serwerami w salonie.

– Wyjaśnij „GNU Radio” – mówi Liz, tonem, który świadczy, że już to słyszała i teraz będzie najlepsze.

– Oczywiście. To jest programowalny odbiornik-nadajnik radiowy. Podpinamy odpowiednio szybki cyfrowy procesor sygnałów do przetwornika analogowo-cyfrowego, a potem do drutu i programowo symulujemy radio. Puszczamy jeden program i mamy odbiornik telewizyjny, potem inny – i mamy komórkową stację bazową.

– A legalne to jest? – pyta Bill z tyłu.

– Słuszna uwaga. – Joe błyska uśmiechem, niespodziewanie asertywny, bo jest na własnym boisku. – Po pierwsze, to jest za darmo, można sobie ściągnąć ze stu miejsc w sieci. A po drugie, wystarczy sprzęt ze sklepu za trzydzieści euro, a resztę sobie puszczasz na dowolnym pececie. Prawo mówi więc, bo aż takie durne nie jest, że używanie czegoś takiego jest nielegalne w pewnych okolicznościach. Nie wiem, co tam miał na dyskach, więc nie wiadomo, co z tym robił, ale patrząc, jaki to był sprzęt – nielegalnie dekodować na czymś takim telewizję satelitarną, to jak golić się kataną. Dwadzieścia do jednego, że robił coś złego.

– Na przykład? – poddał Verity. – Co taki gość mógłby robić w czasie wolnym?

Joe drgnął.

– To nie jest sprzęt hobbystyczny. Po najlepszych cenach, jakie dziś znalazłem, jest wart dwadzieścia tysięcy euro, z górką. Mógł ściągać brzydkie programy satelitarne i udostępniać je znajomym, ale... no. Równie dobrze mógł podsłuchiwać rozmowy telefoniczne dla ruskiej mafii, albo prowadzić anonimizator rozmów, żeby unikać podsłuchów służb bezpieczeństwa. Nic nie wiadomo, bo ktoś wymazał wszystkie dyski, ale tak to według mnie wygląda. Myślicie, że to ma jakiś związek z tym morderstwem w Pilton?

– Bardzo możliwe – mówi Liz. Verity natomiast ma minę, jakby odgryzł kawałek jabłka i znalazł w środku pół robaka. – Nie zamierzałam aż tak się rozgadywać, ale tam było sprzętu po sufit, i mi się wydaje, że mamy do czynienia z blacknetem, może tym samym, z którym

mieliśmy tyle problemów w zeszłym roku. – Jęki rozlegają się w całej sali, szczególnie w drugim rzędzie, wśród tych starej daty detektywów w garniturach. – To, co znaleźliśmy w mieszkaniu, pasuje do układanki, a zniknięcie MacDonalda też by pasowało, jeśli potraktować to jako likwidację – a potem sprzątanie.

– Pasuje. – Verity zgrzyta zębami, niechętnie przyznając. – I zastanowimy się nad tym. Kurwa mać. No dobra. Wchodzimy do walki. Bill, wejdź na zarządzanie salami i zabukuj salkę dochodzeniową. Liz, na pewno już uruchomiłaś nową instancję HOLMES-a? Wyślij wszystkim linka i proszę zacząć wszystko tam wkładać. Wpisz mnie w rubryce głównego nadzorującego śledztwo i o wszystkim informuj. Kto prowadzi to morderstwo z Pilton, Ferguson? Trzeba połączyć zbiory danych i zobaczyć co da się wyłowić...

Uświadamiasz sobie ponuro, że wszyscy poza tobą wiedzą, o czym mówią Liz i Verity – a sądząc po nosach spuszczonej na kwintę, to jest niedobrze, bardzo niedobrze. Ale nie zostałeś sierżantem, podnosząc palec i pytając: „Prósz panią, a co to ten blacknet?”. Wchodzisz zatem do CopSpace i zaczynasz grzebać, a kiedy widzisz, o co chodzi, o mało się zaś nie zrzygasz.

No bo jeśli Liz ma rację, ten nieszczęsny MacDonald już nie złoży ci zeznań. A to dopiero początek.

Nie wiesz, czego spodziewałaś się po rekrutantach, ale na pewno nie był to wymiętolony gość o imieniu Jack, który gra niedźwiedziem (vel Teddy czy jak mu tam). Po dochodzeniu już wiedziałaś, czego się spodziewać, ale nie było to spędzanie deszczowego popołudnia w hotelowej sali konferencyjnej na graniu w grę fantasy.

Przynajmniej Jack jest sympatyczny i wie jak działa ta gra, a o to w gruncie rzeczy chodziło.

Jesteś mniej więcej w połowie tutoriala, uczysz się otwierać zamki wytrychem, skradać się po ruchomych deskach podłogowych i zamieniać drobne futrzaste stworki w kamień swoimi MegaMocami, gdy dzwoni twój telefon. Pauzujesz grę na chwilę.

– Słucham?

To Chris Morgan.

– Elaine? Idziemy coś przegryźć, to dobry moment, żeby wszyscy powiedzieli, gdzie są. Będziesz w hallu za dziesięć minut?

Zerkasz na myszkę, którą właśnie próbujesz zamienić w stalaktyt.

– Da radę. – Przychodzi ci do głowy myśl. – Zabrać Jacka?

– Jacka? Tego kolesia z agencji?

– Konsultanta – poprawiasz go.

– Hmm. No dobra, weź go. Nie wiem, czy się na coś przyda, ale nigdy nie wiadomo.

Rozłączasz się, zerkasz na maleńkiego, cichego, bojaźliwego stwora i próbujesz gestu jeszcze raz. *Voilà*: gryzoń skamieniały na miejscu. Dobrze, że chociaż to się udaje. Wylogowujesz się, klepiesz Jacka w ramię. Podskakuje.

– Co? – pyta.

– Skończ, co tam robisz, idziemy zjeść. Na koszt firmy.

– Co... a, dobra. – Prawie widzisz jego oczy poruszające się za nieprzejrzystymi dyskami gogli. – Dziesięć sekund... o, już. – Zsuwa gogle. – Czego mam się spodziewać?

– Idziemy na kolację – powtarzasz cierpliwie. – No wiesz, okazja, żeby się spotkać i nie umrzeć z głodu.

– No dobrze, ale z kim? Na razie tylko ciebie poznałem.

– A, no tak. Chyba trzeba cię było przedstawić, ale wiesz... reszta zespołu była na spotkaniu jak przyszedłeś i nie bardzo było jak. Teraz będziesz miał szansę. Chyba że masz inne plany.

Robi zakłopotaną minę.

– Nie, nic nie mam – mówi żałośnie. Ostrożnie odkłada gogle na laptopa do gier; z miejsca, gdzie stoisz, widzisz na ekranie rozedrgane smugi. – Nie mam żadnego życia. – Chichocze,

próbuję obrócić w żart tę ewidentnie obronną reakcję, a ty czujesz ukłucie niebiznesowej empatii.

– No to chodźmy. Przedstawię cię wszystkim.

Chris siedzi w foyer z Mohammedem i Brendanem. Zdjęli krawaty – to zły znak: albo jest dziś zerowe prawdopodobieństwo kontaktu z klientem, albo Chris planuje nocny marsz śmierci. Ale przynajmniej nie będzie to marsz o głodzie, myślisz, gdy prowadzi was do hotelowego bistro. Szef sali już wam zarezerwował stolik z samego tyłu. Minutę później pojawiają się Margaret i Faye i ustają wymuszone pogawędki, by tylko wypełnić ciszę.

– Brendan, może byś powiedział wszystkim, jaki jest harmonogram? – sugeruje Chris, gdy wszyscy są przedstawieni, a zamówienie na przekąski złożone.

– Jasne. – Brendan przez moment patrzy ze smutkiem w szklankę wody. (Kolejny znak, że sytuacja nie wygląda dobrze: Chris nie zaczął od zamówienia paru butelek, co zbankrutowałyby maklera. Chce, żeby wszyscy byli trzeźwi). – Totalny bajzel. Mówię, ile wiemy. W czwartek komuś od Hayka udało się zaintrygować policję. Mieli wszystko trzymać pod pokrywką, póki nie zrobi się porządnego dochodzenia, ale ktoś spanikował i co gorsza przyszedł jakiś lokalny krawężnik, nie SOCA ani Gospodarcze. A potem policja odkryła, że zaginął pracownik Hayka, Nigel MacDonald. Ostatnie niusy – i nie pytajcie o szczegóły, to nie będę wymyślał – toczy się normalne śledztwo w sprawie zaginięcia. Wygląda, że krawężnik poszedł do domu MacDonalda i znalazł ślady walki. Traktują to jak potencjalne morderstwo.

Gdy przynoszą zupę, rozglądasz się wokół stołu. Wszystkie nosy są spuszczone na kwintę.

– To niespecjalnie nam sprzyja – mówi ostrożnie Margaret. Jak cholera. Już z płaczącą się pod nogami policją słabo się pracuje, a co dopiero z policją, która grozi, że będzie robić swoje...

– Istotnie. – Brendan wydaje się upiornie z siebie zadowolony. – Mogę kontynuować? To rzeczywiście wygląda jak robota kogoś z wewnątrz, ten ktoś zniknął, policja myśli, że nie żyje, a na dokładkę biuro Hayka traktują jako dodatkowe miejsce przestępstwa. Jeśli MacDonald faktycznie nie żyje, robi się z tego sprawa o morderstwo i wtedy zaczną ciągnąć za wszystkie sznurki. – Jego spojrzenie rejestruje Jacka, który siedzi obok ciebie z lekko przygarbionymi ramionami i przeżuwa skórkę od pieczywa czosnkowego. – A ten rabunek w Avalonie 4 oczywiście potraktują jako prawdopodobny motyw tego hipotetycznego zabójstwa, więc jeśli to się stanie, to kroku się tam nie robi, żeby nie potknąć się o psa.

Margaret uśmiecha się i odkłada łyżkę.

– A tobie co udało się dziś osiągnąć? – pyta ciebie. A ty myślisz: trzeba to było przewidzieć.

– Ja... – Zamierasz na moment. Co masz, kurna, powiedzieć? Przez cztery godziny non-stop grałam w grę? Chyba widać to na twojej twarzy, bo uśmiech Margaret robi się trochę sztywny, gdy czeka. – Ja, eee...

– Hm. Mogę? – pyta Jack. Kiwasz głową. – Nie mieliśmy dostępu do Hayek Associates, więc postanowiliśmy produktywnie spożytkować ten czas na skonfigurowanie wydajnego środowiska dostępowego dla platformy Zone, a potem przejście przez niezbędny materiał zapoznawczy. Omówiliśmy także sposoby i możliwości wyśledzenia historii MacDonalda w przestrzeni gry, ponieważ – jak zapewne wiecie – większość takich przestępstw popełnionych wewnątrz wymaga zewnętrznego wspólnika, który wypierze nam towary. Znalezienie tego łącznika to najlepsza szansa na odkrycie, co się faktycznie stało w Hayek Associates.

Po czym zaczyna tak jechać wyjaśniającym technobelkotem, że patrzysz nań z przejęciem i podziwem. Nie chodzi nawet o te słowa po dziesięć euro sztuka, ile gładki profesjonalizm, z którym je składa. Przez moment myślisz, że wiesz, jak się czuje mieszkaniec Wrót Tamizy rozmawiający z akwizytorem polis od powodzi.

– Mniej więcej tyle – dodajesz, wzruszając ramionami, kiedy kiwa głową w twoją stronę. – Jakieś pytania? – Wstrzymujesz oddech, licząc, że nikt nie sprawdzi twojego blefu.

Margaret gapi się na Jacka jakby był twoim owczarkiem zdybała go na recytowaniu sonetów Szekspira. Przynajmniej ty już nie jesteś na widelcu.

– Nie, nie mam pytań – odpowiada po namyśle. Patrzy na Brendana. – Kiedy będziemy mogli wejść? – Poprosiłem Londyn, żeby załatwili kogoś, kto zagada z policją. – Przesuwa kawałkiem bruschetty po talerzu, w pogoni za kałużą oliwy z oliwek. – Mam nadzieję, że jutro rano, jeśli uda się dotrzeć do szefa tej całej inspektor Kavanaugh.

– No tak. – Chris odchyła się na krześle i uśmiecha krzywo. – Czyli musimy poczekać. Na teraz: jest coś, o czym wszyscy macie pamiętać. Jeśli okaże się, że Nigel MacDonald pracował sam, albo z zewnętrznym wspólnikiem, ale próbował orznać własnego pracodawcę, to mamy z głowy. Plan biznesowy HA zostaje uniewinniony, nie mamy obowiązku sprawdzać przeszłości kryminalnej mniej ważnych pracowników i spadamy stąd. Z drugiej strony, jeśli pojawią się jakieś dowody wskazujące na członków zarządu, nadal potencjalnie możemy mieć problemy. Rozumiecie już dobrze, czego szukamy, prawda?

Kiwasz głową, choć masz dojmujące wrażenie, że to wszystko nie trzyma się kupy. Czy Chris ma jeszcze jakiś ukryty plan? On jednak bierze łyk wody i ciągnie dalej.

– Obojętne, co nam wyjdzie, musimy wiedzieć, jak to zostało popełnione, żeby drugi raz się na coś takiego nie nadziać. Zatem, Elaine, wykrycie, co się faktycznie stało, to dalej twój priorytet numer jeden. A reszta już zatroszczy się o to, żeby to była robota jednego, samotnego

pracownika.

Aaa, teraz już rozumiesz. Chris chce wszystkich stąd zabrać, jak tylko potwierdzi, że w kradzież nie był wmieszany nikt z zarządu Hayka. A tobie zostawia posprzątanie i na pewno jeszcze dogada się z ubezpieczycielami Hayka, albo nawet i miejscową policją, żeby zapłacili okrągłą sumkę za twoją usługę. Wrobił cię. Będziesz tkwić w tym Edynburgu i szukać igły w wirtualnym stogu siana, a Chris i Margaret wrócą do domu, ogłoszą że sprawa załatwiona, i zajmą się następnym projektem. Super!

Po posiłku wykształca się dryf w stronę hotelowego baru, gdyż Chris zakomunikował, że chce postawić kolejkę. Standardowe ćwiczenie na integrację zespołu i ostatnia rzecz, w jakiej chcesz brać udział, konstruktywnie czy nie. Ale Margaret i tak dopada cię w hallu.

– Mam nadzieję, że nie myślisz, że wrabiamy cię w coś przykrego – mówi, z wyrachowanym błyskiem w oczach. – To zupełnie nie tak. Chris dostał z góry wiadomość, że jest potrzebny w Londynie, a ja zgodziłam się, że potrzeba kogoś z pewną ręką, żeby to zamiótł, poza tym, naprawdę musimy wrócić, zanim Avixa czy GenState zorientują się, że nas nie ma. Chris ci wierzy: inaczej by ci tego nie powierzył.

Zdobywasz się na uśmiech. A więc faktycznie zostałam wrobiona. W DBA nie zarabia się punktów w roli samotnego Strzelca na wysuniętej placówce, gdzieś na zadupiu, gdzie w ogóle cię nie widać.

– W porządku, Margaret. Chris jasno powiedział, czego oczekuje. Dopilnuję tego.

– Świetnie. A tak między nami, Chris źle zinterpretował sytuację i dobrze o tym wie. Zareagował zbyt agresywnie. Chyba że faktycznie się okaże, że siedzimy w tym głównie razem z nimi. Ale ja myślę, że odbił się na nim stres żonglowania sześcioma klientami kategorii A.

To wystarcza, żebyś uniosła brwi; notujesz to sobie na przyszłość – normalnie nawet partnerzy nie zajmują się więcej niż dwoma czy trzema kluczowymi klientami naraz i do tego garstką pomniejszych projektów.

Margaret rozgląda się po foyer.

– Ten twój przewodnik-tubylec. Z wyglądu grosza niewart, ale naściemniał nam bardzo elegancko.

– To nie była żadna ściema – mówisz urażona. – On jest z branży gier. Garnitur pewnie kupił dzisiaj rano, ale gry zna jak własne pięć palców... zresztą, czego się spodziewałaś?

– Nie tego. – Uśmiecha się niespodziewanie. – Powodzenia na polowaniu. I niech tubylcy nie wcisną ci żadnego kitu.

Odwraca się i odchodzi na poszukiwanie innych podwładnych do zastraszania, a ty stoisz,

przebierasz palcami i zastanawiasz się: zadusić ją czy paść na kolana i błagać o nauki?

Teraz kompletnie nie masz ochoty iść gdzieś z Chrisem i jego bandą i robić dobrej miny do złej gry. Wtem, po drugiej stronie foyer zauważasz Jacka. Skrada się ku drzwiom. Ruszasz, żeby go przechwycić.

– Hej.

– Hej. – Minę ma niepewną. – Pomyślałem, że sobie pójdę. – Wygląda jak przerośnięty uczeń złapany na nieodrobionej pracy domowej.

Przez ułamek sekundy wahasz się nad decyzją. Masz dwie opcje. Albo mówisz mu: „To widzimy się jutro”, po czym wracasz do pokoju, oglądasz pościągane na laptopa filmy i dręczysz się myślami. Albo bierzesz go pod pachę i mówisz: „Wieczór jeszcze młody, a ja bym się gdzieś przeszła. Może na jakieś wino, masz ochotę?”.

Mmm, co za decyzja.

– Muszę trochę oderwać się od pracy. Znasz jakieś fajne winiarnie w tej okolicy? – Chwilę potem gryziesz się w język. A co, jeśli pomyśli, że startuję do niego?

Ale Jack jest nieśmiały i oswojony, czy też wytresowany na tyle, by po prostu skinąć głową.

– Lepsze to niż prasowanie. – Uśmiecha się, żeby pokazać, że żartował, porównując cię z górą pogniecionych koszul.

– No to świetnie.

Przytrzymuje ci drzwi, potem rusza ulicą. Jest na tyle późno, że słońce wisi nisko i oślepia, zmuszając cię do patrzenia pod nogi zamiast na obłądną architekturę.

– Byłaś już kiedyś w Edynburgu?

– Nie. Pierwszy raz w Szkocji.

Przed tobą wystawa pełna pstrokatych tartanów oraz księgarni z tanią książką, obie pełne tych niebiesko-białych flag. Mają tu hopla na punkcie flag, prawie jak Amerykanie – pewnie w związku z tą świeżą niepodległością. O ile tylko będą w Brukseli głosować zgodnie z brytyjską federalną linią, angielski establishment nie będzie się wtrącał w nic więcej. Ale może po tej stronie granicy trochę inaczej to wygląda.

– Gdzie jesteśmy?

– To jest tak zwany West End na Nowym Mieście. Nazywa się tak, bo zbudowano je dopiero dwieście pięćdziesiąt lat temu. Jest na liście dziedzictwa kulturowego, dlatego te brudne kamienie ciągle się odłupują i miażdżą turystów. – Zerka na ciebie szybko. – Ale pocieszę cię, nie za często. – Ma na sobie gogle, które są włączone i zalewają mu gałki oczne kalejdoskopową falą kolorów.

– Pocieszające. Dobra, nie jesteśmy już w pracy. Ten czas nie idzie do timesheeta, nie

musisz pracować.

Wygląda na zdumionego.

– Co? Aaa, okulary? Nie, ja tylko grzebałem w przewodnikach po lokalach.

– Myślałam, że ty tu mieszkasz?

– No tak, ale... – Podchodzisz do rogu, a on przystaje, czekając, aż zmienią się światła. – W winiarniach przeważnie nie bywam.

– No co ty, wcale nie musi być jakaś modna winiarnia. Wszystko jedno gdzie, byleby wyjść z tego baru w hotelu, chciałam się tylko oderwać.

Wyraźnie się rozpogadza.

– W pubach lepiej się orientuję. – Przystaje na kolejnych światłach, zapala się zielony ludzik. – Jesteś chyba trochę spięta.

– Można tak powiedzieć. – Śpieszysz przez drogę, zauważając jednocześnie, że w mijanej kamienicy naprawdę mieści się drogeria Bootsa. – Nienawidzę takich sytuacji. Kiedy sprzedają ci złe wiadomości, a ty masz pełną gębę i nie możesz im powiedzieć, co myślisz.

– Hmm. Czyli faktycznie cię wrobili? Słabo się znam na twojej pracy, tak mi to wyglądało, ale pewny nie byłam.

– Wrobili, i to jak. – Bierzesz głęboki oddech. – Ale już nic się na to nie poradzi. Chris i Margaret zabiorą dzieci do domu i zostawią mnie, żebym wszystko pozałatwiała, a zasługi przypiszą sobie. Przynajmniej tak mi się wydaje, że o to chodzi, chyba że Chris ma jakiś ukryty plan... – Uświadamiasz sobie, że rozgadujesz się przed prawie obcym człowiekiem, i milkniesz. Zły znak. A stopy dają ci znać, że pięciocentymetrowe obcasy nie nadają się na edynburskie bruki; tu chyba we wszystkie strony jest pod górę. – Gdzie ten pub?

– Niedaleko. – Wskazuje kolejne przejście dla pieszych i kolejną cholerną uliczkę pod górę. – Widzisz? – I faktycznie widzisz: pub wcisnął się pomiędzy kiosk z gazetami i charytatywny lumpeks po drugiej stronie ulicy.

Podczas gdy on idzie do baru zamówić, ty wybierasz ławę za stołem w samym rogu wielkiej, wyłożonej linoleum sali i się rozglądasz. Nad drzwiami osobliwego przedsionka wisi telewizor, wszędzie pełno ciemnej boazerii, ale w sumie przypomina to raczej dworcową poczekalnię z dramatu historycznego z lat 70. Tylko potężna bateria butelek z whisky nad barem i dziwne, słupowate kurki z piwem sugerują, że wyszynk prowadzi tu ktoś inny niż British Rail. Nawet automat do gier to zabytek, z wypukłym szklanym monitorem i w ogóle. Lokal jest prawie pusty, poza paroma smutnymi starymi facetami, zgarbionymi na końcu baru, jakby się bali, że ktoś ich rozpozna.

Pojawia się Jack, dzierżąc dwa duże piwa.

– Mam nadzieję, że to się nada – mówi. – Na wiki naszej CAMRY^[8] ma dużo gwiazdek. Rozglądasz się.

– Do połowy puste. Czy to aby nie jest zły znak?

– Wieczór jeszcze młody. – Podsuwa ci szklanekę. – I jest poniedziałek.

– Nawet mi nie przypominaj. – Boże, jeszcze cztery dni, zanim będziesz mogła popędzić do domu na weekend. Przepadnie ci szermierka w środę, wieczorne zajęcia w czwartek i piątkowy telefon od mamy, która jak co tydzień zadzwoni, żeby porządzić na to, co się akurat nawinie. – Może jutro zrobimy jakiś postępek...

– No może. – Upija łyk piwa. – Myślałaś, żeby zlecić jakiś wywiad na temat tego nieuchwytnego MacDonalda?

– W godzinach pracy. – Popijasz piwo. Jest lekkie i niezwykle gorzkie, ale nie przesadnie. – Daj sobie luz, nie zanoś pracy do domu. – Nie masz pojęcia, czemu go tak ostrzegasz, może dlatego, że wydaje się trochę zagubiony między rekinami... ale co tam.

Wzdycha.

– Nie do mnie takie uwagi. Przez trzy lata miałem same marsze śmierci i zero życia. Gdybym się umiał łatwo wyłączyć, to dawno bym wyleciał przez burtę.

– No cóż. Tu się inaczej pracuje. – Przerywasz i zachodzisz w głowę, co właściwie robisz w pubie z nieznanym facetem, którego poznałaś z rana w pracy. – Skąd w ogóle się wzięłaś w tej branży?

– A, standardowo. Miałem około ośmiu lat, kiedy tato przyniósł mi stary komputer i próbował mnie nauczyć programowania w BASIC-u. Jak odkryłem assembler, przestał za mną nadażać. Poszedłem na studia w Edynburgu, wylądowałem na informatyce, bo wydawała się ciekawa, o mało co nie wyleciałem, bo za dużo grałem w gry i pracowałem z paroma kumplami nad firmą, z której nic nie wyszło, no i musiałem sobie znaleźć jakąś robotę. Miałem szczęście, bo jeden kolega już pracował w Nutshell Production i załatwił mi rozmowę i dalej już tak poszło.

To wszystko prawda, ale nie mówi ci nic o tym, co go tak naprawdę kręci.

– I potem?

– I potem... – zamyśla się na moment, potem mruga – ...mama mi zachorowała na raka płuc. Na początku wyglądało na to, że jest uleczalny, ale szybko się pogorszyło. Potrzebne były najnowocześniejsze leki immunologiczne, nie zatwierdzone jeszcze przez ubezpieczenie, więc musiałem za nie zapłacić. Sophie też się trochę dorzuciła, ale z Billem mają jeszcze dzieciaki na głowie. Przez chwilę wydawało się, że się cofnęło, ale potem dostała lekoopornego zapalenia płuc i koniec.

Wzdryga się lekko, a ty w myślach kopiesz się w kostkę za te wścibstwo. Nie takiego wyjaśnienia się spodziewałaś, ale wszystko nabrało perspektywy. Teraz zmień, kurna, temat!

– To na pisaniu gier się tak dobrze zarabia?

Gapi się w szklankę.

– Całkiem dobrze. Powinienem myśleć, że mam szczęście, zresztą Sophie, moja siostra, ciągle to powtarza. Ale po prostu jakoś nie wygląda... – Znów bierze łyk piwa. – Posłuchaj. Oto szklanka. Mniej więcej pół pinty, prawda? Dla optymisty: do połowy pełna. Dla pesymisty: do połowy pusta. Przez ostatni rok patrzyłem na taką do połowy pustą szklankę. W zeszłym tygodniu pracodawca mi do niej naszczał. A dzisiaj rano dobra wróżka z Alfa Guru wręczyła mi szklaneczkę single malta. Więc przepraszam, jeśli wyglądam, jakby mi było niedobrze, ale huśtawka była konkretna.

Cholera. Następne słowa dobierasz starannie.

– Ani do połowy pełna, ani do połowy pusta. To jest jedna czwarta litra materiałów eksploatacyjnych w półlitrowym składniku majątku trwałego o dwuletnim czasie amortyzacji.

Jack chichocze.

– To wersja finansowa, tak?

– Chyba tak. – Wahasz się. – A jest inżynierska?

– Zaraz. – Wgapia się w szklankę. – Jest. To bardzo proste. Szklanka jest dwa razy za duża.

– Racja. – Zauważasz, że poziom w twojej szklance też zjeżdża w dół. – Wersja specja od rekonstrukcji historycznej: szklanka powinna być ze świńskiej skóry, a piwo jest nieautentyczne historycznie.

– A policjanta... – Coś mu chichocze maniakalnie w kieszeni. – P-szam. – Wyciąga telefon. – Tak? Kto mó... halo? – Pauza. – Halo? – Pauza. – To mało śmieszne – dodaje, dziwnym tonem. – Kto mówi? Czego chcesz? – Pauza. – Halo? Halo?

Odkłada telefon ostrożnie, jakby się bał, że go ugryzie.

– Co się stało? – pytasz.

– Nie wiem. – Łapie szklankę i wypija duszkiem połowę. – Numer się nie wyświetlił. Jeśli to się zdarzy jeszcze raz, chyba będę musiał pójść na policję.

– Co takiego? – Wytrzeszczasz oczy. – Ktoś cię prześladowa, czy coś?

– Nie mam pojęcia. – Teraz wygląda na kompletnie zdezorientowanego. – Brzmiało... jakby był na placu zabaw, wiesz? Głosy dzieci... przez jakieś pięć sekund. Potem ktoś powiedział: „Pomyśl o jej dzieciach” i się rozłączył. – Zdumienie na jego twarzy przeradza się w niepokój. Cokolwiek myślał sobie dzwoniący, Jack wyraźnie nie ma pojęcia, o co chodzi.

Ani ty – uświadamiasz sobie z uczuciem pustki w sercu.

– Jakieś były kobiety? – pytasz, starając się, aby to lekko zabrzmiało.

– Żadnych, odkąd mama zachorowała. – Krzywi się, a ty myślisz: biedak. Siedzi w nim jakaś paskudna historia, ale teraz nie pora, żeby go ciągnąć za język. – I zanim zapytasz, to nie, nie byłem żonaty i nie znam żadnych kompletnych świrów, którzy się czają na placach zabaw i nagrywają... głosy.

– Co jest?

– Nie, to niemożliwe – mruczy. – Nikt nie byłby aż takim świrem, żeby grozić Elsie i Mary, żeby odstraszyć mnie od tego zlecenia, prawda? To córki Sophie – dodaje po sekundzie. – Musiałby być pierdzielnięty, nie?

O wiele za mocno ściskasz krawędź blatu, spięta od nieprzyjemnych wspomnień, które właśnie zostały wywołane z bezdennych czeluści jak zjawy.

– Lepiej zgłoś to na policję – słyszysz własny głos, jak z drugiego końca ciemnego tunelu. – Na wszelki wypadek. – I bardzo chcesz mieć nadzieję, że to tylko pomyłka, albo durny kawał. Bo o alternatywie aż nie chce ci się myśleć.

Po jadowitym głosie na skrzynce i ponurych wspomnieniach, które ci odkopał, nie masz ochoty dalej siedzieć w tym pubie, ale jest za wcześnie, żeby iść do domu. Zresztą, nie bardzo chcesz być sam i nie mieć niczego innego do myślenia. A poza tym, o ile kolegów z pracy miałeś ostatnio potąd, Elaine to co innego. W służbowym kontekście imponuje i onieśmiela, ale teraz wygląda na to, że potrzebuje towarzystwa. Dziwna mieszanka kolczastej nieprzystępności i... A może po prostu chce towarzystwa, bo cierpi na syndrom nowego miasta? Masz jednak własne motywy, żeby to ciągnąć.

Zanim wyjdziecie z pubu, wykonujesz nerwowy telefon na policję, która okazuje się w zbiurokratyzowany sposób mocno nie zainteresowana. Nagrywają szczegółowe zeznanie, proszą o przeliterowanie nazwiska, nazwy pubu, ludzi z którymi byłeś, imienia kota i grupy krwi matki, po czym obiecują, że wyślą do twojego operatora prośbę o zapisy rozmów, jednak na skutek jakiegoś kruczka w Regulaminie Postępowania Dochodzeniowego po Nowelizacji, mimo że rutynowo nagrywasz wszystkie rozmowy, nie można tego wykorzystać w charakterze jakiegokolwiek dowodu.

– Pana skarga jest w systemie, panie Jacku, i jeśli to się ponownie wydarzy, proszę po prostu wysłać SMS-a na ten numer, podając numer sprawy...

„Palanty!” – krzyczy płat mamusiny, oburzony ich niechęcią do obruszenia przeciwko sprawcy całego majestatu prawa. (W końcu, gdy się z nimi wcześniej stykałeś, nie mieli problemu z użyciem go przeciwko tobie, prawda?).

Potem za obopólną zgodą przenosicie się do nieco mniej złowieszczonego lokalu, pubu w samym centrum z tabliczkami HAPPY HOUR, szafą grającą i głośnym towarzystwem odreagowującym po fajrancie. Za fajnie nie jest, ale to i tak najlepsza z alternatyw. Jedna pinta wystarcza, żeby znów się uspokoił, ale wystarcza także Elaine, która chyba zaczyna się denerwować.

– Wiesz co, z rana muszę być przytomna, żeby gadać osobiście z tymi ludźmi z Hayka. Może na tym zakończymy i umawiamy się u nich w biurze równo o dziewiątej trzydzieści, co? – Wysłała ci adres, a ty stawiasz szpilkę na mapie w telefonie.

– No dobra, niech będzie – mówisz, powstrzymując jęk; co za pomysł, żeby wstawać skoro świt. (W LupuSofcie tak nie było, tam obowiązywało tak zwane śniadanie w południe). – Odprowadzę cię do hotelu.

Wstajesz, otwierasz jej drzwi, a pod hotelem ona żegna się z zakłopotaniem i rusza do drzwi. I dopiero wtedy cała sytuacja zwala ci się na barki jak garnitur z kamiennych płyt.

Jezus, ja pierdolę. Prawie nie możesz się oprzeć, żeby w panice zadzwonić do Sophie... Ale co, jeśli się mylisz? Nie chcesz jej rozwałać potiomkinowskiej wioski. Postanawiasz, że zastępczo zagrasz sobie w grę.

Godzina jest zero ciemna, a ty siedzisz na futonie w salonie, zwinięty w kłębek nerwów, z goglami przyklejonymi do twarzy mieszanką potu i determinacji. Dłonie ci drgają i spazmatycznie przeskakują tam i z powrotem, a pod nosem mruczysz jak stary chlor bratający się ze swoim niewidzialnym białym gryzoniem. Przynajmniej tak by to odebrał podróżujący w czasie intruz, znalazłszy się przypadkiem w twoim tycim domeczku, gdyby nie wiedział, co się naprawdę dzieje – ciało w uścisku osobliwych konwulsji i rozkładający się wewnątrz umysł. Podróżnik z lat 80. XX w. lub późniejszych pewnie zauważyłby mrugające diody na skrzyneczkach pod płaskim telewizorem i domyśliłby się przeznaczenia gogli, a taki z wczesnych 90. prawie na pewno zgadłby w ramionach jakiej muzy tańczysz: ale dla podróżnika z gatunku wellsowskiego lub starszego sytuacja byłaby kompletnie niezrozumiała, chyba że jako przykład obrzydliwej degeneracji.

(Ty obrzydliwy degeneracie, ty i twoje sto milionów cyberprzestrzennych rodaków!).

Co prawda, nie poświęcasz myśli tym podróżom w czasie, kiedy możesz sobie pobiegać i razem z kumplami z klanu porozwalać czaszki goblinom, czym właśnie się teraz zajmujesz – odrobina takiej bezmyślnej rekreacyjnej rąbanki, żeby zająć czymś głowę, póki nie będziesz odpowiednio zmęczony, by pójść spać.

Grasz jako Oberon, czarownik wysokiego poziomu, o mniej więcej ludzkim pochodzeniu. Rozwijałeś go od dłuższego czasu, tak z ciekawości – jest dość dobrze zoptymalizowany do gry w rozmaitych światach fantasy, głównie tych stanowiących odnogi starego paradygmatu lochu. Dogadałeś się z trójką awanturników, których dopiero co poznałeś w izbie cechowej, żeby pójść i skopać dupę zielonym kurduplom w kompleksie jaskiń gdzieś na północ od zamku Greyhawk i na wschód od wschodzącego słońca. Alice (z morgenszternem, zaprzysiężona, by zwalczać nieumarłych), Helmut (z toporem i agresją) oraz Fantomas (z wytrychami i garotą) są dość doświadczeniymi graczami, za co jesteś wdzięczny – jak dotąd gobliny nie stanowiły poważniejszego problemu, masz jednak przeczucie, że w tym kompleksie jaskiń kryje się coś więcej niż widać na pierwszy rzut wzmocnionego ultrawizyjnie oka. Dlatego nabiłeś i zarepetowałeś z pół tuzina obronnych zaklęć, nad lewym ramieniem wisi ci neonowoczerwony nóż-pocisk i skradając się za Fantomasem ku płynącej wodzie, którą słyszycie z daleka, masz objawy ostrej paranoi.

To oczywiście jest kompleks jaskiń, bo w Greyhawku przeważnie nie trafia się do tak

prostych rzeczy, jak samotna jaskinia. Będą w niej potężne i szerokie podziemne rzeki, gigantyczne pola bitwy ze spowitymi w mgłę wyspami stalagmitów i wodospadami, spadającymi z grzmiotem w podziemne otchłanie – do kompletu jeszcze mostki z kamieni i karkołomne mostki, które trzeba pokonywać pod ostrzałem rozjazgotanych hord. Do tego co najmniej dwie poboczne misje, które trzeba wypełnić, żeby dostać kupony fabularne otwierające drzwi do finałowego orgazmu na trzecim podpoziomie podziemi, pilnowanym przez oddział klingońskiej ochrony – tylko że ten ostatni kawałek wymyśliłeś. Od czapy, ale tak właśnie działają automatyczne generatory scenariuszy, mają tyle subtelności co książkowa przygodówka z numerkami, albo hollywoodzki film.

Ale walorami artystycznymi można się cieszyć i tak. Ktoś włożył sporo wysiłku w podkład muzyczny – wariacje na klasycznym motywach z trance’owym podkładem. A kamienna ścieżka wygląda, jakby zaprojektował ją ktoś, kto parę razy w życiu widział krasowy krajobraz, te warstwy sedymentacyjne i nie tylko. Nie przypomina to gotowych tekstur z półki i już masz zacząć się zastanawiać, czy ktoś z Czarnoksiężników Ko\$ztu w końcu rozkminił proceduralne generowanie skał osadowych na platformie Zone, gdy natrafiasz na Alice: zatrzymała się i kucnęła za głazem.

– Co jest? – pytasz na prywatnym kanale.

– Ktoś tam jest. Nie wyglądają na enpeców^[9]. – To mówi Fantomas, z mocnym yorkshireskim akcentem, co śmiesznie brzmi u niziołka okutanego w czarne jedwabie asasyne.

– O wielki magu, okiem rzucisz? – to Helmut.

Jego głos podejrzanie brzyczy, co zdradza albo dziwnie stratne połączenie sieciowe, albo remikser głosowy – bardziej prawdopodobne jest to drugie, więc od razu szufladkujesz go jako transwestytę, zresztą, wolno mu – ale sarkazm przechodzi bez zakłóceń.

– Oczywiście. Sekundę. – Naciskasz przygotowane zakłęcie i latający nóż roziskrza się polem niewidzialności, po czym posyła go przed siebie w ciemną grootę, górującą nad podziemnym jeziorem, na którego brzegu bawicie się w chowanego.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed tobą jest brzeg wielkiego czarnego jeziora i chybocliwy drewniany pomost prowadzący do czegoś w rodzaju gondoli, kołyszącej się delikatnie na niewidzialnym wietrzyku. Patrzysz okiem pocisku, który nadlatuje nad łódką, a potem, jakby ktoś rzucił czar (Jakby! W takim świetle!), przebija coś w rodzaju pola i za tobą pojawia się niewielka horda wrogów. Jest ich co najmniej dwunastu, lumpenwojowników w ciężkich, żelaznych pancerzach, hełmach w kształcie czaszek i z frędzlami z końskiego włosia kiwającymi się nad twarzami z krzaczastymi brwiami. I wszyscy mają na tarczach ten sam czerwony ideogram. Ale jedno jest jasne – to na pewno nie są enpece: słychać stłumione

rozmowy, dziwną (dla twoich zachodnich uszu) nosową intonację mandaryńskiego, sprzęt mają jak gracze, a ten jeden w szacie czarownika to...

– Cholera – udaje ci się powiedzieć dokładnie w chwili, gdy wrogi mag unosi pozbawioną wyrazu twarz, dźga magiczną lagą twój nóż-pocisk i tracisz z nim kontakt. – Wrogi klan, lud ciemności, co najmniej dwunastu. – Przeskakujesz z powrotem do swojego kontekstu, rozglądasz się, a wszystko wokół trafia szlag.

Pół tuzina napastników w hełmach-czaszkach wymaszerowuje ze spokojnych wód jeziora, odrzuca magiczne skrzela i opuszcza halabardy. Zaczynasz rysować w powietrzu ochronną runę, ale za późno: bełt z kuszy, płonący alchemicznym ogniem, trafia cię w plecy. Wystrzeliło go trio kuszników, którzy wyszli z ukrycia w przejściu za wami.

To cię trochę wkurza, a przecież jesteś dość potężnym czarownikiem, żeby nie musieć tolerować takich rzeczy: odwracasz się i zamierzasz cisnąć w nich kulą ognistą, zanim odpali się twoja magiczna tarcza.

Lecz nie dzieje się nic. Drgasz.

– Dajcie wsparcie! – krzyczy Alice. – Niech ktoś wyleczy Helmuta...

Przygotowujesz następną kulę ognistą i rzucasz. *Nada*. Hę? Coś tu jest mocno nie tak.

Kolejny wróg wysuwa się zza łuczników. Ten ma na sobie aktywny pancerz bojowy, a w rękach mały taktyczny granatnik atomowy z gry *Space Marine*. Co w Zone jest po prostu niemożliwe – to pogwałcenie ograniczeń w dostępnej technologii, nie mówiąc już o czerwonej fladze dla moderatorów – ale ostatnią rzeczą, jaką widzisz, jest ten jarzący się czerwienią ideogram unoszący się w czeluściach Jego hełmu, gdy pociąga za spust.

I spuszcza kurtynę na Maga Oberona: tak sprawnie i szybko jeszcze nie przegrałeś.

Jebani cziterzy [\[10\]](#)!

Następnego dnia rano budzisz się bez tchu, przerażony, z jednego z tych pełnych napięcia snów „jestem spóźniony – spóźniony – spóźniony”, jakie pojawiają się tuż przed sygnałem budzika. Za szybko wyskakujesz z łóżka, kręci ci się w głowie, zataczając się, idziesz pod prysznic, zaczynasz się ubierać i w rezultacie wychodzisz o dziesięć minut za późno, nieogolony i ubrany w garnitur za tysiąc nałożony na koszulkę z logo *Steaming* obiecującą sklepanie Jimmy’emu michy.

Wskakujesz w autobus z centrum na Drum Brae, zabijając czas odrobiną Ankh-Morpork. Autobus turla się, mijając niebezpiecznie przygarbione domy, samochody zastąpiły cuchnące, zaprzężone w konie furgony, pieszych – mieszanina krasnoludów, golemów, wilkołaków i ludzi z różnych okresów Świata Rzeczywistego™. Jednakże tylko nieliczne postacie mają

jakieś ikonki nad głowami – Świat Dysku nie jest zbyt popularny wśród pracujących od dziewiątej do piątej. Trochę to nużące, więc zaraz wyłączasz nakładkę i przez resztę podróży grzebiez w niusach.

Biuro Hayek Associates – no cóż, słyszałeś o starym schronie dowodzenia atakiem atomowym gdzieś pod wzgórzem Corstorphine, ale do tej pory nie byłeś przekonany, czy w to wierzyć. Parking jest pełen porsche i bentleyów, obok policyjna suka: do kompletu brakuje tylko łazienki z jacuzzi pełnym kolorowych części od jakichś mechanizmów. Ruszasz do wejścia, gdzie drogę zastępuje ci wielki facet z kiepsko przystrzyżonym wąsem, w garniturze mówiącym „gliniarz” w szesnastu różnych językach.

– Hola, synu. Co sprowadza?

Przełykasz ślinę.

– Pracuję dla Dietrich-Brunner Associates, miałem się tu z nimi spotkać... – zerkasz w okulary – ...dziesięć minut temu. – Szlag.

Wąsacz wyciąga zabytkowego smartphone’a najeżonego bogactwem przycisków.

– Momęsik. Mogę dokumenty zobaczyć?

Powstrzymujesz się od opryskliwości i wyciągasz portfel.

– Proszę.

– No dobrze. – Sprawdza coś w telefonie. – Proszę wchodzić, panie Reed.

– Dzięki... urywasz, nagle coś sobie uświadamiając. – A pan to kto?

– Dobra wróżka, synu. – Drga mu policzek, po czym sięga do kieszeni i wyciąga papier z nakazem. – Pan wchodzi.

– Ostrożności nigdy za wiele – rzucasz ryzykownie i pędzisz do środka, zanim płat mamusiny zdąży wrzasnąć i zemdleć przerażony twoją skandaliczną bezczelnością w kwestionowaniu jego władzy.

Znudzona czasowniczka w recepcji gapi się na ciebie, jakbyś był czymś, w co przypadkiem wdepnęła.

– Spóźnił się pan. Drugi poziom, pokój II O. – Wskazuje na windę naprzeciwko, potem wręcza ci plakietkę.

Łapiesz aluzję i lecisz prosto do pokoju 6 (gdyż w odróżnieniu od czasowniczki zorientowałeś się, że oczywiście te świry z Hayka numerują wszystko binarnie).

Pokój sześć okazuje się salą konferencyjną. Drzwi są otwarte, gdy wsuwasz się przez nie po krabiemu, podświadomie próbując stać się niewidzialnym. Zastajesz Elaine, połowę tej bandy, co wczoraj i paru nieznanym, z których kilku ma tę aurę informatyków. Głos ma Chris, szef Elaine. Przekradasz się dalej i stajesz z tyłu jak niegrzeczny uczeń, Chris zaś

peroruje apodyktycznym tonem, mówiąc tym obcym mniej więcej, że są na celowniku prawniczego odpowiednika morskiej grupy uderzeniowej z lotniskowcem i mają mu dać dostęp do wszystkich obszarów, bo inaczej... Łatwo przewidzieć, jak zostaje to przyjęte.

– Pana żądanie jest nie do spełnienia – mówi przywódca wrogiego oddziału, wielki, srebrzystogrzywy marketroid, z pełnym wdziękiem śledczego z Guantanamo. – Audyt jest do zorganizowania, o ile zechcecie za niego zapłacić i zatrudnić do niego podmiot, na który się obustronnie zgodzimy, który będzie związany naszymi standardowymi NDA-ami, ale co do reszty – wykluczone. Proście o kompletną kopię naszej bazy i logów transakcyjnych oraz kopii krytycznych systemów, aby wykonać wrogi audyt, a my tymczasem chcemy zachować ciągłość funkcjonowania w obliczu zewnętrznego ataku hackerów: to jest po prostu niewykonalne, chyba że ma pan pod ręką paręset petabajtów dysków i serwerownię, żeby puścić w niej takie środowisko.

Lekko szczerowaty facecik, którego kojarzysz od wczoraj wieczorem, Brendan, podnosi folder z dokumentami.

– Tu jest napisane, że macie zapewnić nam dostęp. Może miejmy już to z głowy?

– Pan to da – rzuca z pogardą srebrnogrzywy. Czytając, parę razy pociąga gniewnie nosem.

Ty tymczasem majstrujesz przy okularach. Na sali pojawia się nowa warstwa i cała kupa dokumentów. Super! Pieniaczystan! Zerkasz na uprawnienia i widzisz siebie na teczce z aktami Dietrich-Brunnera, wpisali cię do swojego personelu, żebyś mógł te dokumenty edytować.

– Chris, chciałbym pogadać na osobności z tobą i twoim analitykiem. Ja i Phil. – Zerka na cynicznego trzydziestoparolatka, który coś notuje, piórem na żółtym bloku w linie. – Żeby trochę oczyścić atmosferę.

Chris się odwraca.

– Słyszeliście, idźcie się przewietrzyć. – Uśmiecha się, ale uśmiech nie obejmuje oczu.

Myśląc, że możesz zdążyć przed tłokiem, wyslizgujesz się z drzwi jakieś pięć sekund przed Elaine.

– O co chodzi? – pytasz.

– Chris i Hackman licytują się, który jest większym dupkiem. – Jej usta podkreślają jeszcze suchą dezaprobatę słów. – Jak skończą się popisywać, prawnicy będą się dogadywać, a ten, który wygra, będzie mógł się pocierać o nogę temu, co przegra.

Przewracasz oczyma. W zasadzie to nic nowego, ale...

– Czemu to tak jest: im wyżej na drabinie, tym bardziej dziecinne wszystkie te gry?

Patrzy na ciebie z klinicznym zainteresowaniem, jakby wypatrywała oznak życia na Marsie.

– Chodź, rozejrzemy się za jakimś ekspresem. Będą tak się chandryczyć pół godziny

minimum. Musi wyglądać, że walczyli jak lwy.

Tak się składa, że Elaine myli się o niecałe cztery minuty. Właśnie kończysz plastikowy kubek mechaccino z robota do dawkowania kofeiny w Mesie (tak właśnie jest napisane drzwiach) i po raz trzeci tego ranka zaczynasz myśleć sobie „czemu akurat ja?“, gdy przez drzwi wsuwa głowę Phil-cynik.

– Nie strzelają, można wracać – mruczy, a potem pośpiesznie się wycofuje.

Wszyscy odstawiają kawę i posłusznie maszerują z powrotem do sali, gdzie następuje ostatnia odsłona przedstawienia duetu Chris i Hackman.

– Macie tydzień – mówi Hackman. Wygląda, jakby chciał komuś przegryźć gardło, nic dziwnego, że jego prawnik nie chciał tu z nim siedzieć. – Wasi technicy mogą szperać, ile tylko potrzebują, a Rebecca i Mike zapewnią im wszystko co niezbędne. – Delikatny nacisk na to ostatnie słowo. – Wayne będzie robił za odźwiernego. Chcecie coś, prosicie Wayne’a. On jest upoważniony powiedzieć „tak” lub „nie”. Wasza ekipa księgową może sobie skopiować akta personelu i księgi i popatrzeć na nie poza firmą, pamiętając o umowach o poufności. Ale pod nogami macie się nie plątać. Dwóch ludzi, jeden tydzień, tylko tyle możecie tu wstawić.

Jeden tydzień? Chris uśmiecha się krzywo i zerka na Elaine.

– Powinno wystarczyć – mówi z pewnością siebie. – Wierzę w ciebie, Elaine.

I oto jak na dłoni widać, po co jesteś ty i twoje osiem klocków za dzień.

Wczesne przedpołudnie zastaje cię na spotkaniu służbowym w lochach pod Vhraną, z gorgoną o imieniu Stheno i ciemnym elfim łucznikiem o imieniu Venkmann. Elf należy do gotowych awatarów i obecnie jedzie nim Mike Russell. Ma czarno emaliowaną zbroję, misternie grawerowany hełm z czaszką, dwudziestocentymetrowe wąsiki w stylu Fu Manchu i złowrogi śmiech – i to tylko tyle, co widać.

– To co na początek? – pyta.

– Orkowie. – Wbijasz lufę garłacza w nierówne, zasłane kamieniami podłoże jaskini i opierasz się na nim. – To byli tylko tragarze, nie?

– W zasadzie tak. – Venkmann unosi jeden kościsty palec. Jego czubek rozjarza się zielono, gdy zaczyna wypisywać słowa, zawisające przed nim w powietrzu. – Mogą nieść do stu dziesięciu funtów obciążenia każdy bez straty na szybkości ruchu.

– Wyśledziłeś może ich prawowitych właścicieli?

– Taa. – Venkmann odfajkuje w powietrzu kolejnego ptaszka. – Wszystkie czterdzieści kont zostało założone przez jakiś botnet w Malezji, na kradzione karty kredytowe. Cena konta w Avalonie 4 jest na tyle niska, że banki autoryzowały transakcje bez weryfikacji.

Gorgona wygląda na odrobinę zagubioną. Od czasu do czasu wzrusza ramionami lub wierci się, stereotypowa mowa ciała, na którą nie ma wpływu śmiertelny marionetkarz.

– A skąd wzięli te numery kart? – pyta wreszcie.

– A kto wie? – Venkmann wzrusza ramionami. – Na tym poziomie to drobne przestępstwa, tu piętnaście euro, tam piętnaście. Powiedzieliśmy policji, zapisała sobie, ale...

– No nie, nie o to mi chodzi. Czy wszystkie numery są z tego samego źródła? Jeśli na przykład to jest z jednego włamania do jakiegoś sklepu sieciowego, to może być jakiś ślad. Zabrać się od drugiej strony, znaleźć hackera, wykryć, komu te numery sprzedał.

Venkmann ma zmieszaną minę.

– To w ogóle możliwe? – pyta.

Przestępujesz z nogi na nogę i mruczysz po niedźwiedzemu.

– Oczywiście, że możliwe – zauważasz. – Mike, na zewnątrz jest jeszcze rzeczywistość. Może trzeba by zapytać gliniarzy, czy już od tej strony patrzyli.

– Spiszą sobie szczegóły, poklepią cię po główce i oleją sprawę – przewiduje Stheno. – To przestępstwo hurtowe, nie bada się pojedynczych nadużyć, to się nie opłaca. – Mały, brzęczący owad, niewątpliwie zwabiony zapachem krwi, podlatuje do niej za blisko. Jedna ze żmij rzuca się na niego. Nie trafia, ale mucha spada na ziemię i rozpryskuje się jak szkło. – Nie myślcie, że podzielią się jakimiś informacjami. Zasada jest jedna: informacje wpływają do śledztwa, ale nigdy nie wypływają. Łamiesz tę regułę i ryzykujesz, że ostrzeżesz sprawcę.

Venkmann podchodzi do żelaznej dziewicy opartej o przeciwległą ścianę lochu. Leniwie kręci korbką do podnoszenia wieka.

– Wszystko jedno. Orków było czterdziestu. Nie zachowywali się jak sterowane makrami zombiaki. Puściłem sobie to jeszcze raz, grali zbyt przypadkowo, jak ludzie – robili błędy i wycofywali się z nich, tego typu rzeczy. Szli za swoim dowódcą, a kiedy uciekli, przybiegli tutaj.

– Orkowie. Skarb. Ale jak się dostali do banku? – pytasz.

– Ktoś dał im uprawnienia właściciela do wszystkich towarów. – Venkmann jest poirytowany. – Pewnie ten sam ktoś, kto znerfował [\[11\]](#) adminów.

– Czy to możliwe, żeby ktoś z zewnątrz złamał bazowe certyfikaty Hayek Associates? – pytasz. – Czy raczej myślisz, że to robota od środka?

Venkmann unosi do końca wieko żelaznej dziewicy. Wnętrze kryje ciemność.

– Co ja myślę? Że w szajsowatym chińskim kodzie produkcji Kensu jest jakiś błąd. Może wyciek pamięci, ktoś nie doliczył się powtórzeń w jakiejś fundamentalnej procedurze kopiowania obiektów, czy coś – a może coś bardziej egzotycznego, w każdym razie, goście

oparli się na tym i sklecieli działający atak, dający eskalację uprawnień. Jeśli możesz nadać sobie boskie prawa, możesz pewnie i odbierać je innym. Pytanie brzmi: kto tego roota dostał? I co potem zrobili z łupami?

Prychasz.

– Skarby to skarby. Od czego eBay. – Są warte tyle, ile ktoś chce za nie dać, podobnie jak banknoty, na których niegdyś znajdował się napis typu: „Zobowiązuję się wypłacić okazicielowi sumę dziesięciu funtów w złocie”.

– Niby tak. Ale na razie nic się tam nie pokazało. To jest kradziony towar i może udałoby się zdjąć aukcję szybciej niż to normalnie bywa. – Odchrząkuje. – W każdym razie, jak już tu przyszli to, no... wyszli stąd trochę nieortodoksyjnym sposobem.

Wskazuje żelazną dziewicę.

– Chyba jaja sobie robisz – mówisz.

Kiedy giniesz w grze, twoje ciało i wszystkie sprzęty, które miałeś przy sobie, zostają tam, gdzie padłeś. Odradzasz się w samych spodniokach i musisz pędem lecieć, żeby pozbiierać swoje dobra, zanim przechwyci je jakiś farmer. Ale żelazna dziewica jest oznaczona jako niszcarka – ma atrybut permanentnej śmierci, w twoim wzbogaconym, administratorskim polu widzenia otacza ją złowroga fioletowa poświata. Dość nietypowe w tego typu grze: nie tylko cię zabija, niszczy cię tak, że się nie odradzasz.

– Co za sens?

– To oczywiste, zabiła ich na śmierć. Ważniejsze, że ich przedmioty mógł zabrać ktoś, kto tu czekał. Paser.

– Aaa – odzywa się Stheno, tonem, jakby właśnie osiągnęła oświecenie.

– To przejrzyjmy dziennik zdarzeń dla tego fragmentu świata i zobaczmy, kto tu wchodził – sugerujesz – zanim pojawili się orkowie z towarem.

– Alibaba i czterdziestu rozbójników – mówi Stheno.

– Hę?

– Sezamie, otwórz się! – krzyczy. I Żelazna Dziewica zaczyna błyskać.

– Co się, kurwa... – mówi Venkmann.

– No dalej, otwórz się – ponagla Stheno.

– Lepiej nie, może to pułapka.

Denerwuje cię trochę ta jego niechęć do ryzyka, więc wykorzystujesz swoje supermoce. Wyciągasz w pole widzenia wbudowany w grę debugger i widzisz, że do narzędzia tortur podczepiona jest cała kupa skryptów.

– Jak na prostą machinę do zabijania, to strasznie pokomplikowane to ustrojstwo. Widzicie?

– Co? Co tam... – Venkmann widzi to samo co ty i masz przeczucie, że Mike w swoim biurze podryguje od czegoś innego niż działka kofeiny. – Ej, tu coś nie pasuje. Niby jest podpisane przez... – Nie kończy, zaczyna coś mruczeć do siebie, a jego awatar kołysze się na stopach jak odwieszona marionetka, tylko podrygujące czubki palców zdradzają, że nadal żyje.

Co on robi? – pyta Stheno komunikatorem.

– Tam siedzi... – puszczasz na drzewku kodu szybką kompilację i sprawdzenie składni – ...jakieś piętnaście tysięcy linii kodu, a taka machina powinna mieć co najwyżej kilkaset. Są cyfrowo podpisane korporacyjnym certyfikatem Hayka, więc włożył je ktoś stamtąd. Gupieloki.

– Mówisz mi, że nawet tego nie sprawdzili? Do teraz? – syczy kobieta-wąż.

– No, tak wygląda.

– Jezu. – Zerka na ciebie. – A skąd ty to wiesz?

– Grając w god mode ^[12] ma się dostęp do wbudowanego debuggera i środowiska programistycznego... – przychodzi ci do głowy paskudna myśl – ...a w tym czymś było sporo kodu odwołującego się do głównej bazy danych. Jeśli ktoś założył na jakiejś publicznej tabeli wyzwalacz, a gdzie indziej w Zonespace kod, który na niego reaguje...

Żelazna dziewica rozbłyskuje jaskrawym błękitem, tak że niemal nadwerężasz sobie kciuk uruchamiając serię obronnych zakłęb, przygotowanych na takie właśnie okazje.

– Cholera! – drze się Venkmann.

Ciemność gęstnieje i skrzy się piorunami. W rogach lochu z pęknięć w rzeczywistości sączy się coś dymnego, kleks półmroku. Pośpiesznie odpalasz Tarczę Stalowego Ogniska i Kopułę Ochrony, patrząc, jak świat wokół ciebie rozmazuje się jak zalany wodą, a z rogów wychodzą postaci o zbyt wielu kończynach i urywanych owadziach ruchach,

Venkmann zamarł nad ziejącą jamą żelaznej dziewicy, unieruchomiony przez jakąś niewidzialną siłę. Ty odwracasz się, żeby stawić czoło napastnikom, i zauważasz, że Stheno jest poza twoją strefą obronną. Cholera. Nie będzie ładnie. Stwory są cztery, podobne do olbrzymich antropomorficznych ropuch z dziwacznie zginającymi się stawami i wielkimi rogatymi łbami. Przełamujesz ampułkę Neverslow i wdychasz gorzkie opary, potem zdejmujesz z pleców garłacz, a świat wokół jakby zwalnia, tnąc się jak w poklatkowej animacji. Broń jest już załadowana grubymi srebrnymi opilkami i ołowianą kulą – kiedy pociągasz za cyngiel, w zamkniętej przestrzeni rozlega się ogłuszający huk, a kłęb dymu i iskier wybucha w miejscu najbliższego z demonicznych wrogów, który zaczyna wściekle skrzeczeć, ale nawet nie zwalnia. Widzisz wirującą wokół jego głowy mgiełkę nieprawdopodobieństwa i szal w oczach – to jest, kurwa, jakiś slaad! Co one tu robią? –

wtem, on składa błoniaste łapska do zaklęcia i otacza cię potężny wykwit szmaragdowego ognia. Co za ulga: po tym widać, że walczysz z botem, czegoś tak głupiego nie zrobiłby żaden żywy gracz, nawet kompletny noob.

Dwa inne slaady-intruzy wbiegają prosto na twoją Kopułę Obronną, z dwóch stron, aż szczękają ci zęby, gdy unosisz garłacz i przeładowujesz go najszybciej jak umiesz. Włączają ci się odruchy z czasów manczkina [\[13\]](#), walisz i walisz, przez cały czas próbując rozeznąć się, o co w tym wszystkich chodzi. (Szukałeś klanu-mięsa armatniego, a nie artefaktu-pułapki, wyzwalającego jakiś teleport, z którego wylezie na ciebie banda wkurwionych demonów średniego poziomu: kto ich tu wstawił i po co?)

– Stheno, żyjesz?

– Tak! Co się dzieje?

– Chcą nas zabić i są sporo silniejsi niż orkowie. Schowaj się za mnie, ja się zajmę...

– Się nie zajmiesz.

Stheno niepewnie obchodzi żelazną dziewicę – Venkmann wciąż jest do niej podłączony, z włosów sypią mu się błękitne iskry – i wyciąga znaleziony gdzieś oburęczny miecz. Ikonka statusu mówi, że próbuje wejść w jakiś z dupy wyjęty haptyczny tryb walki, coś czego używają tylko debilni LARP-erzy, a ty klniesz po cichu, wrzucając w dymiącą paszczę garłacza garść Pyłu Rozpraszającego i celując z niej jeszcze raz. Jeden ze slaadów idzie ku niej, co oznacza...

Potężna fontanna krwi rozbryzguje się po grocie tętniczymi falami. Cholera, minus jeden audytor, myślnik, słaba gra; czy chcesz odrodzić się w środku walki? Wzruszasz ramionami i spuszczasz ciężki młot na potwora napierającego na skraj kopuły i wymachującego ociekającymi ichorem szponami. Głupie skurwiele, przytargali ze sobą cały magiczny arsenał, gdyby gra szła uczciwie, załatwiliby was w parę minut. Grzmiący kij grzmi i widzisz już światełko w tunelu, no dobra, płomyk pochodni – przez dziurę w klatce piersiowej nakrywającego się nogami potwora. Dobra. Odwracasz się do kolejnego, przy czym stwierdzasz, że Stheno jednak gra dalej i całkiem sobie radzi z tym mieczem. Trzyma go pod dziwnym kątem, a gdy slaad ryczy i rzuca się na nią, kręci nim i odskakuje na bok, jakby był z tego jakiś pożytek. Staje się rzecz przewidywalna, slaad zamachuje się ale nie trafia, pewnie dlatego, że Stheno przypadkiem włączyła sobie umiejętność Koziółkowania i poturlała się twarzą na ścianę.

Co za cholera? Nawąchałeś się tego pyłu i powinieneś działać w przyspieszonym czasie – wtedy serwery Zonespace muszą spowalniać czas wszystkim innym w obrębie horyzontu zdarzeń – czyli tego pomieszczenia. Może ten LARP-owaty tryb Stheno potrafi działać tylko w

czasie rzeczywistym, a god mode, którym tak nonszalancko obdarował was Venkmann, nie pozwala silnikowi gry ograniczać jej szybkości ruchów. Albo coś w tym stylu... Nadal odwracasz się ku następnemu łuskowatemu drabowi, który wlaź na imprezę na krzywy ryj, a Stheno okręca się i dźga go swoim widelczykiem do żab, nie trafia i wykonuje elegancki przewrót w tył. Slaad drga, ryczy i zamierza się na nią.

– Nic mu, kurwa, nie mogę zrobić! – wrzeszczy sfrustrowana.

– Nie masz odpowiedniego sprzętu! A on ma za dużo punktów zdrowia! – wrzeszczysz na nią, przeładowując w pośpiechu, bo Zływróg nr 4 właśnie podkrada się do niej z tyłu, ewidentnie mając złe zamiary w swoim płazim mózdzku. – Odsuń się! Nie, unik!

Kuca, trzymając się miecza jak ponura śmierć, a ty miotasz śrutem ponad jej ramionami, prosto w żabią mordę. Ten kicha, bryzgając zielonym śluzem i zaczyna Czarować. Zły znak, te stwory mają sporą skuteczność magiczną. Na razie bot gra nimi byle jak, jakby rozjeżdżał czołgiem pojedynczych piechurów, zamiast ostrzelać ich z sąsiedniego powiatu, ale jak się trochę ogarnie, będzie wam tu gorąco. Jakby tego było mało, słyszysz basowy brzęczyk ostrzegawczy: to Tarcza Stalowego Ogniska zbliża się do kresu żywota, zaraz skończy się wam ochronne pole.

Zaczynasz się wycofywać ku żelaznej dziewicy, licząc, że wykorzystasz ją jako osłonę, gdy Stheno zwraca się ku leżącemu slaadowi i zaczyna okładać go swoimi żmijogłowymi dredami. Co, niespodziewanie, działa – stwór musiał już i tak być prawie zdechły. Coś trzeszczy, gdy groteskowy żabowaty kształt przewraca się na bok, ona zaś przeskakuje nad nim przewrotem i mierzy we Wroga nr 4. Ten wciąż czaruje – te zaklęcia trochę czasu zabierają – idziesz więc za nią, włączając do walki wszystkie cztery łapy, z nadzieją, że wyrwiesz go ze skupienia. Tylko że na próżno. Stheno znów robi się coś z koordynacją i wpada głową na ścianę, spazmatycznie wymachując kończynami. Slaad nr 4 wyje dziwacznie, celuje i rozpętuje się prawdziwe piekło – w kierunku skutecznie unieruchomionego Venkmanna.

Walisz demona po łbie niedźwiedzią, pazurzystą łapą. Na to reaguje: odwraca się i niezdarnie sięga po ciebie łuskowatym łapskiem, chaotycznie gulgocąc i bulgocąc. Walisz go jeszcze raz, a Stheno robi wykrok i dźga go raz za razem, bez widocznego skutku. Gulgot wzmaga się do wściekłego, nieartykułowanego szczytu, potem cichnie, łamiąc się jak rozmowa głosowa przy przycięciu pasma. Jeszcze jeden cios i slaad zmienia się w drgającą kupę mięsa, wydzielając żrące soki, trawiące wykafelkowaną podłogę.

– Nie zadziało – mówi żałośnie. – Cały czas próbowałam wejść w pełny haptyczny tryb walki ale nie chciało!

– Ej no – sapiesz. – Znaczy się, gra całym ciałem? W Avalonie to nie działa, chyba że

doinstaluje się jakiś pakiet hacków. – Typowa sztuczka nooba, próbuje jakiegoś ezoterycznego interfejsu i rozkracza się, zamiast zwyczajnie nawalać Toporem Odmóźdzaczem plus trzy. – Zobaczmy co u Venkmanna.

Człapiasz ku żelaznej dziewicy, odkopując na boki poszatkowane fragmenty płazów. Venkmann dalej jest podpięty do niszczarki, wierzga i drga, więc znów wywołujesz konsolę debuggera i ustawiasz w kodzie pułapkę. Venkmann odpada i zwala się na podłogę. Przez moment myślisz, że nie żyje, ale wyczarowuje skądś jakieś punkty zdrowia i zbiera się na nogi.

– Co to, kurwa, miało być? – pyta ze złością. – Jak złapię tego skurwiela, który to wynalazł...

Klnie gniewnie przez pewien czas, ty zaś analizujesz kod podczepiony do żelaznej panienki, cały czas iskrzącej i buzującej jak grill na świeżym powietrzu. Interesujące. Wygląda, że się samoczynnie skasował. Gdybyś nie miał otwartego obok tego wielowymiarowego mordercy okienka z kodem, nawet nie zauważyłbyś, że zniknęło z niego dwanaście tysięcy linii.

– Co się stało?

– Kto ma dostęp do zapisu do waszego systemu kontroli wersji? – pytasz Venkmanna.

– E? A co to ma do tego?

– Według mnie, sporo. – Wpatrujesz się w żelazną dziewicę, potem edytujesz parę jej właściwości. Znika kaskada iskier i pulsująca fioletowa aura. – Teraz można by zajrzeć do środka, nie włączając pułapki.

Venkmann nachyla się.

– Któreś z was ma chowańca?

– Hm. – Powinieneś być sam o tym pomyśleć. To, że rozbroiłeś pułapkę, wcale nie znaczy, że bezpiecznie jest tam zaglądać. – Dopiero co mi się skończyły. A tobie?

– Ja mam węża – proponuje niepewnie Stheno.

– Ja borsuka – mówi Venkmann. Odwraca się i zaczyna recytować zaklęcie. Grzmot, kłęb fioletowego dymu i pojawia się zdezorientowany borsuk.

– Co...? – zaczyna Stheno.

– Chowaniec. Może patrzeć jego oczami, rozumiesz? – Venkmann dalej czaruje. Chwilę później borsuk migocze i rozpływa się w niewidzialności. – Teraz to niewidzialny borsuk. Najlepsza kamera na świecie. – Venkmann pochyla się, podnosi coś i wrzuca do żelaznej dziewicy.

– O, i niespodzianka!

– Co tam jest?

- To królicza nora – mówi powoli, rozglądając się, jakby wylądował w innym krajobrazie.
- Dokąd?
- Wygląda jak fragment świata Zhongguo, sądząc po mapie. Czyli strefa firmy Hentai Animatics i nie mamy tu kontraktu na administrowanie. Wygląda, że znaleźliśmy tunel dla nielegalnych imigrantów.

Dziwny wybuch Hackmana dręczył cię przez całe spotkanie na komendzie, mimo że przez cały czas pośpiesznie douczałaś się o blacknetach, przestępczych anonimizujących sieciach peer-to-peer oraz ludziach, którzy je organizują i zgarniają zyski; w szczególności było to jego ostrzeżenie, żeby nie mieć nic wspólnego z „hienami”. Bo „hieny – padlinożercy” to, można by rzec, wasza specjalność zawodowa – i to nie tylko, kiedy wyławiacie trupy z Water of Leith; wystarczy tylko cofnąć się myślą do ostatniego dnia otwartego w szkole młodego, też tam był, jak na dłoni, siedział na placu zabaw, z zezem, jeżem na głowie i nożykiem w tylnej kieszeni. Ganz egal, czy to uzależniony od koki, z majcherkiem, czy taki w białych rękawiczkach, co przez blacknet organizuje załatwienie biznesowego konkurenta. Tak więc, z błogosławieństwem pani inspektor, wracasz do bunkra Hayek Associates – gdzie teraz wszyscy pochowali się pod betonowym dachem przed nawałą nakazów i wścibskich żurnalistów zjeżdżających się z północy, wschodu, zachodu, a zwłaszcza południa – żeby trochę jeszcze podradzić ofiarom.

Jest wczesne popołudnie, gdy parkujesz obok pełnej błota studzienki na skraju parkingu. Najpierw zaglądasz do Mesy po kawę, a także, by sprawdzić, czy ktoś tam jest. Koło ekspresu kręci się paru ąquantów. Twoje okulary – teraz już skonfigurowane na pracę bez dostępu do sieci – przypominają ci ich nazwiska: Couper, Sam („Traceroute słucha mnie jak pies”) oraz Evans, Darren. Podchodzisz do nich od tyłu.

– Sam, Darren – mówisz z uśmiechem – jak tam dziś samopoczucie?

Obaj podskakują o kilometr. Może i znają się jak łyse kobyły, ale brakuje im odruchów patologicznych nieprzestrzegaczy prawa. Wywrócenie tych nieszkodliwych jajogłowych na lewą stronę i przyciśnięcie, aż zapiszczą, byłoby tak łatwe, że o Jezus Maria: ci goście jeszcze się boją mandatów za parkowanie. Widać, że żaden z nich nie prowadzi nielegalnego blacknetu. Nie mieli wystarczająco częstego kontaktu z karzącym ramieniem prawa, by straciło ono swój majestat i grozę.

– Dobrze! Dobrze! W czymś możemy pomóc? – pyta Darren, aż za gorliwie jak na twój gust.

– Czarną kawę, bez cukru – sugerujesz i niech cię szlag, jeśli Sam naprawdę nie odwraca się i nie rzuca do ekspresu, tak chętny do pomocy, że gdybyś tylko podsunęła mu do podpisu zeznanie, jutro mógłby siedzieć w pierdlu. Ano, ten to musi już w podstawówce był dyżurnym, zrazu widać. Już nie mówiąc, że pierwszym kujonem. W sumie to może nawet przeszkadzać, takie typy, jak im pozwolisz, zasypią cię nieistotnymi szczegółami. – Później chciałabym porozmawiać z wami dwoma, zebrać waszą relację o tym, co się stało. Macie później trochę

czasu?

– Eee... tak, tylko nie zaraz. – Darren bierze się w garść szybciej. – Gasimy pożar w burdelu i jeszcze musimy zastępować tego dupka Nigela. Nie aktualizować plików uzgodnień grupowych od zeszłej środy, a jak tego nie opanujemy do cotygodniowej sesji politycznej M4, to mamy przerabane.

– Kawa, proszę pani – mówi Sam.

– Pani sierżant. – Biorąc kubek, uśmiechasz się do niego. – Sierżant Smith. – No właśnie: jeszcze to podkreśl, wbij do głów swój autorytet na samym początku, żeby później kark sam się zgiął. – Kiedy jest ta narada polityczna?

– Eee... w sumie to w środę – zgłasza się na ochotnika Darren, pozbierawszy myśli. – Chyba dam radę jakoś później dziś po południu, albo może jutro rano, ale teraz musimy spatchować kod Nigela, co...

Drzwi otwierają się i wchodzi jeszcze jeden quant, a z nim dwoje krawaciarzy, których okulary podpisują, mało pomocnie, jako GOŚĆ 1 i GOŚĆ 2.

– Może być – odpowiadasz. – Może być jutro. O dziesiątej?

Kiwa głową.

– Dobrze, więc do zobaczenia. – Kiwasz głową także Samowi, który odbiera to, jakbyś go odprawiła; zaraz ucieka z podwiniętym ogonem. Co daje ci okazję do przyjrzenia się Gościom, zanim pójdziesz gdzieś dalej. Zakładasz swój powitalny uśmiech i odwracasz się twarzą do nich.

– Dzień dobry – mówisz.

GOŚĆ 1 to mężczyzna, przed trzydziestką, z nadwagą, byle jak ogolony, a ten jego garnitur naprawdę gryzie się z wyblakłym czarnym T-shirtem. GOŚĆ 2 to kobieta, szczupła, w tym nieokreślonym wieku pomiędzy późnym nastoletnim a trzydziestoma paroma latami i robi wrażenie, jakby aż za dużo wiedziała o arkuszach kalkulacyjnych. Czarny kostium, bardzo służbowy, dopasowane dodatki. Wyrok: pracownik umysłowy, specjalistyczny. Podtyp: zapewne praworządny, nie licząc sporadycznego ukradkowego jointa.

– Pierwszy raz was tu widzę. Jesteście z... – tu wymrugujesz sobie akta podręczne – ...Dietrich-Brunner Associates?

GOŚĆ 1 to pobratymiec Sama, ale GOŚĆ 2 jest z twardszego materiału: pociąga nosem i rzuca ci staroświeckie spojrzenie.

– Może tak, może nie. A pani?

Odwzajemniasz spojrzenie: pani jest trochę myszowata, ale znasz ten typ, przeważnie nieźle cię przemaglowywał za barierką dla świadków.

– Detektyw-sierżant Smith – mówisz jej – z komendy Meadowplace. – Porzucasz uśmiech. – To jesteście z Dietrich-Brunner, czy nie?

GOŚĆ 2 dalej mierzy cię srogim spojrzeniem, ale GOŚĆ 1 się łamie.

– Tak, jesteśmy. Ona to kataryniarz, a ja tresowana małpka. – Gestem naśladuje uchylanie kapelusza.

GOŚĆ 2 strzela go z łokcia pod żebro, mocno.

– Nie, ty jesteś tresowanym niedźwiedziem. Nie myl gatunków! – Teraz zwraca się do ciebie: – Przepraszam. Źle zaczęliśmy. Elaine Barnaby, tak, z Dietrich-Brunner Associates, jestem księgowym śledczym. A Jack jest konsultantem, developerem gier, występuje w roli mojego przewodnika. Możemy pani jakoś pomóc, pani sierżant?

– Zróbcie sobie może po kawie, a potem powiedzcie mi, czemu Hackman nie życzy sobie, żeby tacy ludzie jak wy, ten... pełzali po jego terenie?

Unosi brwi.

– Ciekawe sformułowanie. Jego?

Noo, teraz cię słucha.

– Zależy. Co wy tu robicie? To znaczy, w siedzibie Hayek Associates?

– A, tutaj. – Pociąga nosem.

Jack nachyla się nad ekspresem, coś mruczy do siebie, potem zaczyna tłuc w guziki, jakby to był Gameboy. Palce cię świerzbią, żeby wbić ich nazwiska do CopSpace i zobaczyć, co wypadnie, ale jak zaczniesz to teraz robić, będzie się rzucało w oczy...

– Powinnam prowadzić audyt bezpieczeństwa banku w grze sieciowej. Tak przynajmniej wydawało mi się wczoraj. Praktycznie... rozumiem, że jest pani tutaj, bo Wayne, Marcus, czy ktoś, zgłosili ten rabunek? Pewnie weszło to pani na listę spraw jako przestępstwo, możliwe, że nieautoryzowany dostęp do systemu informatycznego, kradzież, zabór mienia... nieważne. DBA za to wplątało się, bo jeden z naszych starszych partnerów weryfikował zarząd Hayka przed ich wejściem na giełdę, w zeszłym miesiącu, a to tutaj na kilometr wali przekrętem od wewnątrz. Dlatego Chris spanikował i wysłał tutaj całą naszą załogę, żebyśmy coś z tym zrobili. Teraz jeszcze zaginięcie programisty i to... no cóż, to wystarcza, żeby zszedł nam z widelca, więc skarży się na nas w Londynie. Ja – i Jack – mamy definitywnie i ostatecznie potwierdzić, że to faktycznie zrobił ten Nigel MacDonald. Wydaje mi się, że Chris może nawet z kimś zagadać i sprawić, że ich ubezpieczyciel weźmie nas jako specjalistycznych podwykonawców, o ile uda mu się rozplątać, co leży w czyjej jurysdykcji, bo to kompletna czarna magia.

To cię trochę zbija z tropu: wasze Biuro ds. Przystępstw i Resocjalizacji też od czasu do

czasu zleca coś cywilnym podwykonawcom, to prawda, a techniczna strona tego śledztwa przejdzie na poziom Komendy Głównej, jak tylko ktoś się zorientuje – no właśnie. Więc ci tu goście to osoby postronne czy współpracownicy przy śledztwie? Niech to Liz rozstrzygnie, postanawiasz.

– Posłuchajcie: nic nie zamierzam wam powiedzieć, póki ktoś mi nie powie, że pracujecie przy tej sprawie. – Grasz na zwłokę. – Ale jeśli wy się czegoś dowiedzieliście o tej sytuacji, a szczególnie o Nigelu MacDonaldzie, to chętnie to usłyszę.

– Tak, my... – zaczyna gorliwie Jack, lecz Elaine rzuca mu spojrzenie, od którego złuszczyłaby się farba. Na twoje oko ciekawa jest między nimi chemia.

– Kolega chciał powiedzieć, jak się zdaje, że z przyjemnością będziemy współpracować przy tym śledztwie, ale wyłącznie na zasadach równoprawnych partnerów, oczywiście z odpowiednimi środkami zapewnienia poufności przy współdzieleniu informacji – kończy ona, patrząc na ciebie, jakby miała w kartach pokera. Zresztą może i ma.

Uśmiechasz się więc i bierzesz łyk zbyt gorącej kawy. Punkt dla niej.

– To już coś... – Urywasz na moment. – Coś mówiliście, że wczoraj wiedzieliście, co macie robić? A co się od tego czasu zmieniło?

– Próbowaliśmy wysledzić, gdzie Cwaniak schował łupy – mówi Jack, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze łypnięcie Elaine. – Skoro nie ma jak go zapytać. Hmm. A wy już go zatrzymaliście?

Starannie ważysz odpowiedź. – Jeszcze nie. Swoją drogą, gdybyście go gdzieś zobaczyli, byłabym wdzięczna za wiadomość. Moi koledzy istotnie chcieliby mu zadać parę pytań. Na początek: jak udało się panu wstać z grobu? Zakładając, że w ogóle pan istniał? Ale nie ma sensu już teraz płoszyć koni, więc zachowujesz tę myśl dla siebie.

– Chyba da się zrobić – odpowiada Jack, ewidentnie nie widząc, że Elaine przestawia gałkę mocy z rozmrażania na bombę atomową. – Problem jest taki, że to może być gdziekolwiek w Zonespace, albo i poza nią. Avalon 4 to nie jedyna gra na tej platformie, a jeśli uda im się wydostać kradziony towar z Avalonu i przenieść gdzie indziej...

– To co wtedy? – pyta ostro Elaine.

– EBay. – Zakłada okulary w grubych oprawkach. – Gdyby to był prawdziwy napad na bank, to co byście zrobili ze skarbami?

– Skarbami? – Wyglądasz na zdeorientowaną. – W bankach trzyma się pieniądze.

Jack kręci głową.

– Proszę pamiętać, że to gra. – Zerka na Elaine, która kiwa głową. – Tutaj bank to nie jest instytucja od zarządzania ryzykiem, ale od przechowywania walorów. W Zonespace można

targać ze sobą tylko pewną ilość szajsu, potem wchodzi obciążenie, co spowalnia ruchy. Dlatego Hayek prowadzi bank i sprzedaje usługę skrytek depozytowych. Dzięki temu gracze, którzy jeszcze nie kupili sobie zamku, mają gdzie przechować skarby, kiedy chodzą na misje, poza tym, opłaty bankowe to sposób na dyskretne ściąganie pieniędzy z rynku. W każdym razie, skradziono zawartość mniej więcej trzech tysięcy takich skrytek. Prawdziwe przestępstwo polegało na czymś innym: ktoś zmodyfikował cyfrowo podpisane certyfikaty własności przedmiotów w bazie, przepisując je na osobę trzecią – ci orkowie to byli tylko fizyczni do przeniesienia towarów. Kiedy już je mieli, certyfikaty zostały raz jeszcze podmienione, przez losowy remikser, żeby Hayek albo Kensu International nie mogły ich wyśledzić – bo z reguły nie loguje się wszystkich zmian właścicieli, to byłoby jak prowadzić system zarządzania zapasami dla sieci hipermarketów – a potem wynieśli ciepłe towary z Avalonu 4 przez króliczą norę do jakiegoś innego świata.

To brzmi bardzo znajomo.

– Myśli pan, że jest po drodze jakiś paser?

Jack drapie się w bok nosa, potem zdejmuje okulary i przeciera je koszulką.

– Cały scenariusz nie trzyma się kupy, jeśli pasera nie ma. – Przypatruje się szkłom. – Wewnętrzne domy aukcyjne w grze nie tkną się kradzionych towarów, ale jeśli mają układ na przykład w innym prawdziwym państwie, poza naszą jurysdykcją, albo nawet w innej partycji Zone, to mogą sprzedawać towar na eBayu. Problem jest taki: zrobić listę kradzionego towaru, potem posprawdzać wszystko we wszystkich możliwych serwisach aukcyjnych. A potem jeszcze zaczynasz się zastanawiać, czy ktoś, kto w grze ma dużo plusów przy zdolnościach rzemieślniczych, nie poprzerabiał jakoś tych wszystkich skarbów...

To faktycznie brzmi bardzo znajomo: na Cramond jest taki warsztat, który Mac od lat próbuje zamknąć – właścicielem jest wielki kark, który już kiblował w Barlinnie za przechowywanie kradzionego mienia. Inspektor przysięga, że to dziupla, w której rozbierają kradzione auta na części – ale nigdy nie udało się nic im przylepić. Masz nieprzyjemnie wspomnienia, jak siedziałaś całe wieczory i ranki obserwując jego podwórko szpiegowską kamerką, próbując namierzyć jakąś dostawę. To samo podobno robią te blacknety, o których się douczałaś, tylko na większą skalę – takie portale antyspołecznościowe.

– A gdzie by pan szukał?

– Na początek dowiedziałbym się, co ukradli – mówi Jack. – A potem bym napisał takiego bota, żeby przeszedł wszystkie aukcje w sieci i znalazł towary pasujące do opisów. Zagregowałbym te informacje, powiązał ze sobą sprzedawców – już się rozkręca i nie tylko ty patrzysz na niego jak na jakąś delficką wyrocznię – i potem by się popatrzyło, czy powtarzają

się jakieś nazwiska.

Barnaby pstryka palcami, suchy, płaski odgłos.

– Analiza szeregów czasowych na rejestrze transakcji z serwisu aukcyjnego – mówi, a ty zastanawiasz się, czy masz dookoła kompletnych świrów, czy tylko bardzo, bardzo dziwnych detektywów.

Jack kręci głową.

– Najpierw pójdę, zapytam Mike'a, czy ma listę.

Podejmujesz decyzję. Ciekawe, że te „hieny” Marcusa Hackmana wypadają jakoś bardziej ludzko od niego, co?

– Nie, nie pójdzie pan. My pójdziemy. Bo kiedy pan coś znajdzie i pojawią się jakieś nazwiska, to ja będę chciała zamienić z nimi słówko.

Okazuje się, że w zasadzie nikt nie wie, co zostało ukradzione.

– Proszę zrozumieć, to jest rozproszona baza danych – mówi Cooper, lekko zdenerwowany – kiedy znaleźliście go z Jackiem, zaszył się w gnieździe pomiędzy wielkimi płaskimi ekranami pełnymi maleńkich kolorowych literek z nierównym lewym marginesem, a żeby się oderwał, trzeba go było szturchnąć w ramię. My nie trzymamy wszystkiego centralnie.

– A dzienniki zdarzeń? – pyta Jack.

Ktoś za tobą pstryka palcami.

– No oczywiście, ale typowo mamy prawie milion transakcji na minutę. Powodzenia, jeśli chce pan, żebyśmy to przeszukiwali. – Odsuwa gwałtownie krzesło od monitorów i odwraca się twarzą do was. – Musielibyście wysledzić nicki użytkowników z czasem logowania...

– A możecie gdzieś powiesić ogłoszenie? – pyta Elaine. – Że prosicie o informacje... – Oczywiście, ale nikt by nie... – przerywa jej Couper.

– Proszę im powiedzieć, że mogą złożyć wniosek o odszkodowanie, jak do ubezpieczenia – przerywa, podnosząc głos. Ktoś tu miał szkolenia z asertywności, uświadamiasz sobie. – Że Hayek Associates starają się odzyskać przedmioty, ale nie zgłoszonych nie będą w stanie zwrócić.

– Ale przecież pozgłaszają kupę sprzętu, którego nigdy nie mieli!

– Na-praw-dę? – Gromi Coupera spojrzeniem. – W życiu bym nie pomyślała. Jaka ja jestem naiwna, kiedy robiłam magistra z rachunkowości śledczej, nikt mi nie powiedział, że ludzie kłamią...

– Ale co wam z tego przyjdzie? – Couper przede wszystkim wygląda na obrażonego. – To nie ma sensu.

– Proste. Większość ludzi powie prawdę, zwłaszcza, kiedy powiemy im, że interesuje nas tylko pięć najbardziej wartościowych przedmiotów, żebyśmy mogli zweryfikować je w bazie.

– Ale nie ma takiej bazy... – Couper zamiera.

Elaine kiwa głową z nieznacznym uśmiechem.

– Tylko że oni tego nie wiedzą, prawda?

– A. No tak, racja. – Couper kręci głową.

– Ja będę potrzebować dostępu z prawami admina do domów aukcyjnych – dodaje Jack.

Couper kipi:

– Chyba nie mówisz poważnie! Oni się z tego utrzymują. Zaprosują nas na śmierć, jeśli ci pozwolimy grzebać w ich aukcjach.

– Tylko do odczytu – mówi stanowczo Jack. – Chcę napisać takiego robota, który przejrzy całą ich bazę pod kątem skradzionych przedmiotów.

– Pogadajcie z Wayneem albo Beccy. Bez ich zgody nie dam wam dostępu. – Krzyżuje ramiona z uporem. – No już. Ja nie mogę wam pomóc.

Elaine patrzy na ciebie i podnosi brew.

– To jest jakiś pomysł – mówisz jej. Wizja wywołania ostrej niestrawności u Wayne’a Richardsona, Pizdy Dyplomowanej, jest osobliwie pociągająca. – Ja się tym zajmę.

Elaine: Partyjka Szpiegów

Jest około dwudziestej pięćdziesiąt, gdy wreszcie wydostajesz się z siedziby Hayek Associates i wołasz taksówkę, żeby zawiozła cię do hotelu. Nie jesteś, delikatnie mówiąc, zbyt wykończona. Ale przynajmniej trochę posunęliście się do przodu. Ta policjantka, sierżant Smith, wygląda na przydatny kontakt, a Jack wyraźnie zarabia na sobie. Kiedy zostawiałaś go w bunkrze, siedział pogrążony z głową w jakimś programistycznym zajęciu, nie zwracając uwagi na nic dookoła. Trochę irytujące, bo poza kolegami z pracy znasz tu tylko jego, więc przed tobą perspektywa spędzenia samotnego wieczoru w obcym mieście, ale co tam. Nazywają to miasto Atenami Północy, więc chyba da się tu znaleźć jakąś samotną rozrywkę na letni wieczór, prawda?

Otóż nieprawda.

Wróciwszy do pokoju, bierzesz szybki prysznic i zerkasz do przewodnika po restauracjach, przy czym robi się po dziewiątej, a ty robisz się bardzo głodna. Nie masz ochoty wracać do lokali, w których byłaś z Jackiem, nie sama, a menu z room service'u wygląda całkiem znośnie. Zamawiasz dużą sałatkę w ramach pokuty za wczorajsze spotkanie, potem jest już dziesiąta, fitness w hotelu jest zamknięty i – gdzie się, kurwa, podział cały dzień? Jeszcze gorzej niż w środku tygodnia w Londynie – tam przynajmniej można przed jazdą do domu pójść do cocktail-baru z kolegami.

Jest wpół do jedenastej i ponuro rozważasz, czyby nie pójść wcześniej spać i nie wskoczyć o siódmej rano na siłownię, gdy dzwoni telefon. Patrzysz na ekran, podupadając na duchu: to wyjątkowo męcząca gra terenowa, LARP, pod tytułem *Szpiedzy*, toczy się w czasie rzeczywistym i gra się w niej rolę agentów jakiejś szemranej paneuropejskiej agencji wywiadowczej, walczącej o globalną hegemonię z chińskim wywiadem wojskowym, rosyjskim FSB i oczywiście CIA.

– Tak? – Starasz się nie warczeć.

– Elaine Barnaby? Tu Prowadzący Szpiegów. Zajęta jesteś?

Rozglądasz się po wspaniale urządzonej i beznadziejnie sterylnej celi pracownika na delegacji.

– Nie za bardzo. Wiesz, że jestem w Edynburgu?

– Dlatego właśnie dzwoniemy. – Twój anonimowy Prowadzący wydaje się oschle rozbawiony. – W imieniu naszych sponsorów. – Czyli szpiegów szefujących organizacji w grze, w którą grasz. – Twój kod uwierzytelniający to... – recytuje ciąg bezsensownych słów, aby udowodnić że ma dostęp do twoich Akt w Centrali.

– Wyjechałam w sprawach służbowych...
– To też jest sprawa służbowa. Jak już tam jesteś, może zrobisz nam drobną przysługę.
– Jak drobną? – Jak zwykle, rozmowie nie towarzyszy twarz, tylko logo: oko w szklanej piramidzie na Docklands. Gdyby to była wideorozmowa, przynajmniej mogłabyś łypnąć na niego groźnie. – Jest, kurna, po dziesiątej!

– Trzeba dostarczyć drobną przesyłkę.
– Drobną przesyłkę. A co, FedEx nie pasuje?
– Jak zauważyłaś, jest wpół do jedenastej. Paczka czeka u ciebie w recepcji. Trzeba ją dostarczyć do... – Recytuje zestaw współrzędnych Galileo. – To około pół kilometra od ciebie.

– Hmm. – Patrzysz z namysłem na telefon. – Co to warte?
– Dla ciebie? Dwadzieścia minut spacerku przed snem. Dla odbiorcy? Bezcenne. – Centrala jest dumna z własnego tekstu.

Wyobrażasz sobie go, jak siedzi w piżamie na łóżku i odfajkowuje kolejne zadania z gry, żeby udowodnić samemu sobie, że ma jakieś życie.

Nie jest łatwo odmówić, żeby ich nie obrazić, a zresztą, i tak zastanawiałaś się, co by tu jeszcze zrobić przed snem...

– Dobra, wezmę to.
– Dziękuję. Mam przekazać agentce Barnaby, że bardzo dużo zależy od dostarczenia tej przesyłki na miejsce przed północą czasu miejscowego.

– Jasne – rozłączasz się, wkładasz buty i okulary, łapiesz żakiet i schodzisz na dół.
Na zewnątrz jest ciemno, a na recepcji siedzi jeden znudzony pracownik. Uśmiechasz się do niego nieśmiało.

– Zdaje się, że ma pan dla mnie przesyłkę? Barnaby, pokój 214.
– Chyba tak, zaraz sprawdzę... – Człapie na zaplecze i wraca z paczką z DHL-u. – Proszę tu podpisać.
– Jasne. – Przeciągasz telefonem po czytniku i podpisujesz się odciskiem kciuka. – Dziękuję.

Wieczór na dworze jest chłodny i delikatnie pachnie kwiatami wiśni, których płatki piętrzą się w rynsztoku pod krawężnikiem. Naciągasz jednorazową rękawiczkę i zrywasz z paczki zamknięcie. To nagranie usunie się samo po trzydziestu sekundach. Chodzą plotki, że beta-testerzy pierwszej kampanii *Szpiegów* zostali aresztowani na mocy Ustawy Antyterrorystycznej i przez tydzień ich przesłuchiowano, zanim do policji dotarło, że to gra; dlatego teraz masz na dokumencie tożsamości specjalną adnotację. Paczka zawiera

pozbawione szczególnych znaków plastikowe pudełko wielkości dawnego opakowania od DVD oraz parę przemysłowych, mocnych, pasków taśmy mocującej. A także krótką notatkę na papierze: „Przytwierdzić do ściany frontowej budynku powyżej poziomu wzroku. Po instalacji sparować telefon z urządzeniem »Bez nazwy 1x42«. Hasło: 46hg52Q. Po sparowaniu, wybrać numer *49* i opuścić teren. W domu wysłać wiadomość tekstową do Centrali”.

Kurna, typowe. Wsadzasz urządzenie podsłuchowe, czy co to jest, do kieszeni, wbijasz współrzędne do okularów i pozwalasz nakładce prowadzić się chodnikami do celu misji. Właśnie przez takie bzdury zastanawiasz się, czy darować sobie *Szpiegów* – są wręcz męcząco realistyczni. Żadne tam bondowskie żłopanie koktajli przy basenie na Grand Cayman, przeciwnie: „Weź paczkę X, dostarcz do miejsca Y, zadzwoń pod numer Z”.

Miejsce Y okazuje się imponującym półksiężycem georgiańskich rezydencji. Schody ma jak kamienne mosty zwodzone, przerzucone nad suchą kamienną fosą, w której także są okna – i są też schody w dół, bo tam mieszczą się mieszkania z ogrodami. Przez parę minut szukasz właściwych schodów, po czym podchodzisz do drzwi. Obok wejścia jest rząd dziesięciu guzików, a dokładnie nad nimi ktoś nakreślił kredą błękitny prostokąt z symbolem twojej komórki *Szpiegów*. Wyciągasz pudełko i paski taśmy, przyklejasz je starannie i odprawiasz cyfrowe czary, żeby włączyć ustrojstwo. (Pewnie to po prostu logistyczny telefonik do śledzenia ruchu palet, za dziesięć euro, z kamerką, żeby sfotografować od tyłu łeb innego gracza, kiedy będzie jutro wychodzić do pracy, ale co tam). Zanim wyślesz SMS-a do Garetha, oczekujesz, aż będziesz w połowie drogi do domu.

Właśnie wstukujesz tę krótką wiadomość, gdy okulary przypominają ci o czymś, wibrując. Unosisz wzrok. Nakładka *Szpiegów* jest nadal aktywna i mówi ci: *Wykryto ogon, 2 os.*

Regulamin gry nakazuje potraktować to poważnie, choć jesteś zbyt zmęczona na cały ten szajs i chcesz się położyć. Poza tym, *Szpiegów* starają się odwzorować postaci drugorzędne na prawdziwe lokalne obiekty – a naprawdę nie potrzeba ci dwóch obcych depczących po piętach. Przyśpieszasz odrobinę, nie oglądając się za siebie – to robią okulary – i mruyczysz po cichu, wywołując na mapie trasę przez gęsto zaludniony obszar na skrzyżowaniu Princes Street i Lothian Road. Zmieniasz kierunek, nurkujesz w boczną uliczkę, a punkciki na ekranie skręcają i idą za tobą.

Słabo to wygląda.

– Telefon, zawołaj mi taksówkę – mruyczysz, i puszczasz się biegiem.

Boczna uliczka jest niemal pusta, obie strony brukowanej staroświecczyny zastawione samochodami, przed sobą widzisz jednak światła i słyszysz ruch uliczny. Za tobą kroki. Przyśpieszasz, biegniesz...

Pojawiają się światła taksówki, podjeżdżającej tuż przed tobą do krawężnika.

– Dokąd jedziemy, proszę pani? – pyta taksówkarz, gdy zatraskujesz drzwi.

– Hotel... – próbujesz sobie przypomnieć. – Malmaison.

Twój dwuosobowy ogon rozplywa się w ciemności, a taksówka wiezie cię z powrotem w złudne bezpieczeństwo.

Całkiem jak na pierwszym spotkaniu u Anonimowych Alkoholików:

– Cześć. Jestem Jack. Jestem programistą.

Dziś już dorosły z ciebie facet. Nie nosisz opaski ze wschodzącym słońcem niczym kamikadze, ani koszulki z napisem ZDEBUGUJ MNIE, nie poświęcasz weekendów na konkursy szybkościowego programowania ekstremalnego odbywające się na jakimś wietrznym obozie pod Frankfurtem, ale generalnie trudno ci używać urządzeń, na których nie ma zainstalowanego choćby jednego kompilatora. W istocie, na telefon musiałeś wgrać Pythona, zanim otworzyłeś książkę telefoniczną, bo nie mogąc zrobić mu prania mózgu, czułeś się na nim niepełnosprawny, jakbyś był pasażerem, a nie pilotem. W innej epoce byłbyś pewnie majstrem kolejowym, albo usmarowanym mechanikiem lotniczym, czołgającym się między świecami zapłonowymi jakiegoś DC-3. Taki właśnie jesteś, a smutna prawda brzmi: małpę od programowania da się wbić w garnitur, ale programowania się jej z głowy nie wybije.

I mniej więcej dlatego przeoczyłeś bardzo zabawną utarczkę między Elaine i jakimś cherlawym, ale nakręconym marketroidem w piątkowych luźnych ciuchach i modnych okularach. Zdaje się, że się na coś wkurzył.

Ty siedziałeś we własnej głowie, próbując wykoncypować strategię odchudzenia himalaicznych gór danych, które twoje agenty zaraz wyciągną z bazy danych Zone'a i wręcz modliłeś się, żeby wszyscy się zamknęli, abys mógł w spokoju malować na ścianach diagramy relacji. Zieloną kredką. Wlałeś tak głęboko, że nawet płat mamusiny przestał grozić, że podpierdzieli cię do sierżant Smith za książki nieoddane do biblioteki. Udało ci się zapomnieć też wczorajszy podejrzany telefon.

W skrócie: programowałeś.

– Co z nim? – Pamiętasz, jak gliniara zapytała Elaine.

– Nie bardzo wiem. Gdybym go nie znała, pomyślałam, że się najarał, ale cały czas rusza palcami, chyba ma syndrom odstawienia od klawiatury, albo coś.

Wynurzyłeś się więc na odpowiednio długo, żeby wytłumaczyć, czego potrzebujesz, a oni kazali marketroidowi powiedzieć Samowi, że ma ci dać login do repozytorium kodu, zapewnić klucze uwierzytelniające, potem zaś znaleźli ci milusi wysciefany beżowy kubik i zaparkowali cię w nim, żebyś mógł napisać narzędzie, które będzie w stanie przeczesać parę milionów transakcji.

Nieokreślony czas później, w twoją świadomość wdarł się irytujący głos:

– Jack. Halo? Masz minutkę?

– Nie... – Otrząsałaś się. – Eee... – Pęcherz groził że zastrajkuje, lewa łydka robiła za poduszkę do igieł na zlocie brabantkich koronczarek, a oczy bolały. – Momencik. – Zapisałeś projekt do repozytorium i ściągnąłeś okulary, potem odchyliłeś się i wyciągnąłeś rękę nad głowę. – Dobra, teraz mam minutkę.

Elaine opierała się o framugę drzwi. Wyglądała na zmęczoną i drażliwą.

– Prawie wpół do siódmej. Coś ci się udało osiągnąć?

– Daj mi jeszcze ze trzy godziny i będę w stanie to odpalić. Zakładam, że wywiesiliście to ogłoszenie o ubezpieczeniu?

– Tak, zatwierdzili to. – Poruszała dłońmi, ściskając jedną drugą i wyginając nadgarstek tam i z powrotem, potem na odwrót. – Mamy już trochę odpowiedzi. Zdawało mi się, że mówiłeś, że to długo nie zajmie?

– Dajesz mi plik z magicznymi artefaktami i innymi skarbami w poprawnym Structured Treasure Language, a ja będę mieć narzędzie, które wyszuka podobne przedmioty w jednym czy paru serwisach aukcyjnych i da ci miarę podobieństwa i jakieś informacje o sprzedającym. Prawie skończyłem wtyczkę do jednego serwisu aukcyjnego, mam do napisania jeszcze cztery, ale te pozostałe to będą wariacje na temat pierwszej. Problem jest taki, że twoje zgłoszenia kradzieży nie będą w STL-u, więc będę je musiał wprowadzać ręcznie. Dobrze by było, gdybyś dała mi teraz pięć czy dziesięć jakichś próbek i zostawię to na noc, żeby się mieliło na tych danych testowych. A jak zadziała, jutro puszcę resztę.

Przewróciła oczyma.

– No dobra. – Wnosząc z tonu, nie była przekonana, a na to musiałeś zwrócić uwagę, bo to był dźwięk ulatniającego się tysiąca eurasków za godzinę.

– Tworzyłaś kiedyś jakiś bardzo duży arkusz?

– Tak.

– I testowałaś go potem? Sprawdzałaś, czy daje takie wyniki, jak powinien?

– Tak, ale... – Nie dokończyła.

– To ja tu robię coś w rodzaju skomplikowanego złączenia tabel w tabeli przestawnej, a potem robię różne zawile statystyczne zestawienia na sześciu czy siedmiu innych tablicach, niektóre z nich do tego są w różnych formatach. Jak się będę śpieszyć, wyjdzie źle. W najgorszym razie, wyjdzie coś, co na oko wygląda dobrze, a naprawdę będzie w tym pełno dobrze wyglądających śmieci.

– Skoro to jak arkusz... – uniosła brwi – to po co ty mi jesteś potrzebny?

– Bo nie masz paru lat, żeby nauczyć się różnych API Zone'a i jeszcze języka skryptowego Python 3000. Ile ci zajęło zrobienie takiego arkusza?

– Aaa. – Wręcz usłyszałeś szcęk zaskakujących w głowie trybików. Uśmiechnęła się, przekonana.

(Zaawansowane programowanie, semestr III: Zarządzanie menedżerami – najpierw trzeba znaleźć sposób, żeby opowiedzieć im o tym, co robisz, w ich własnym języku. Przykład z dużym arkuszem i masą makr był trochę od czapy, ale trzeba przyznać, że nie jest aż tak odległy od tego, co robisz. W sumie wszystko sprowadza się do redukcji danych).

– No dobra. Wyślę ci dane, które mamy. Jeśli zapuścisz dziś na noc test... kiedy będziemy wiedzieć?

– Jeśli nic się nie wywali, to jutro z samego rana. Nawet jak zostaną tylko dymiące zgliszcza, i tak będziemy coś wiedzieć. A jak się poszczęści, znajdziemy komplet. – Jak się wywali, miałeś zamiar poprawić błędy i puścić jeszcze raz, tym razem już na komplecie danych z wniosków o odszkodowanie.

– Dobra. Teraz muszę iść coś zjeść, bo umrę. – Odczekała parę sekund. – No dobra, to do jutra.

Uśmiechnąłeś się.

– Do jutra.

Minutę później nagle podskoczyłeś w fotelu i przekląłeś się za niedostrzeżenie pytania między wierszami – ale bardziej znasz się na SQL-u niż towarzyskich dialogach. Języka aluzji cię na laborkach nie uczyli.

No trudno, pomyślałeś. Kolejny wieczór z rybą na kolację i konsolą do gier dla towarzystwa. Mogło być gorzej – mogłeś jeszcze do tego być bezrobotny.

Gdy przeciągasz się po raz ostatni i wierzgnięciem odsuwasz od klawiatury laptopa, mija minuta lub dwie, zanim przypomnisz sobie, gdzie, u licha, jesteś. Standardowa chwila dezorientacji, coś jakby egzystencjalny zawrót głowy podczas powrotu do codziennego strumienia czasu, w którym większości ludzi upływa całe życie. Godziny minęły niezauważone jak minuty (nie licząc bólu szyi i piasku w oczach) Czasem nie dowierzasz, że naprawdę minęło tyle czasu: ale patrzysz na zegarek i widzisz, że dochodzi dziesiąta. Pora zamykać lokal. Ale przynajmniej program do wyszukiwania już działa. Laptop jest podłączony do wewnętrznego routera Hayek Associates – fizycznie podłączony, prawdziwymi drutami – i już przeczesuje rozproszoną bazę danych, destylując z niej gigabajty na minutę prawdopodobnych kandydatów.

Wyłączasz okulary. Mrugając, wychodzisz z sali i dopiero teraz zauważasz, że jesteś naprawdę głodny. HA zachowało układ pomieszczeń dawnego wojskowo-rządowego schronu – zresztą, kucie półmetrowych żelbetowych ścian nie miałoby większego sensu – ale dawne

drewniane drzwi zastąpili pleksiglasowymi panelami przyciemnianymi do nieprzejrzystości za dotknięciem palca, a zamiast zabytkowych rurowych świetlówek zainstalowali inteligentne panele OLED, rozjaśniające się przed tobą i ciemniejące, kiedy przejdiesz. Efekt jest dziwnie klaustrofobiczny, jakbyś, idąc do ciemnego wyjścia, był otoczony bąblem starannie wyrzeźbionego dziennego światła.

Większość mijanych pokoi jest ciemna i pusta, ale w ciemności przed tobą pobłyskuje delikatny świetlny szron. Zbliżasz się do niego. Rozglądasz się na boki, potem widzisz, że drzwi są ustawione na nieprzezroczyste; odrobina światła wydostaje się tylko wokół krawędzi – gdyby w korytarzu nie było ciemno, nawet byś tego nie zauważył. Z wahaniem wyciągasz rękę, masz ochotę zastukać z samej ciekawości, lecz nagle słyszysz nieprzyjemne głosy:

– ...od razu! Jak to się trochę pociągnie, to mamy przejebane! Wiesz, że zrobili rewizję w domu u MacDonalda? A ci śmieciarze z DBA też za głęboko już grzebią. Popracują jeszcze trochę i będzie wiadomo, co się święci.

– A ja ci mówię, że jak wyluzujemy i będziemy spokojnie siedzieć, póki opcje się nie uprawnią, to niczego nie będą w stanie nam udowodnić. Wszystko idzie jak po szynach, tak czy nie? Na razie nic nie zrobiliśmy. Jesteśmy pod obserwacją. Na szczęście, nie mają pojęcia, czego szukać, i niczego nie udowodnią. Czyli wyluzuj. Przestań dygać. Przyczaj się trochę i czekaj aż przejdzie.

– A twoi kumple? Mogą coś dla nas zrobić? Jakoś odwrócić ich uwagę? Zmącić wodę, czy coś?

– Już nad tym pracują, ale nic nie mogę obiecać. To zostaw mnie. Interesuje mnie tylko, czy ty ze swojej strony dasz radę.

Pauza.

– Postaram się. Po prostu szlag mnie trafia, jak te pieprzone szkodniki płaczą się tutaj i węszą. Jak szybko się ich stąd nie pozbędziemy...

– Mówiłem, zostaw to mnie. Moi znajomi już coś robią, żeby się ich pozbyć.

Głosy cichną, nagle uświadamiasz sobie, że stoisz tuż za drzwiami, a płat mamusiny ściga cię z rozżarzoną do czerwoności trójzębem: „Nie wiesz, że niegrzecznie podsłuchiwać?” – skrzeczy ci do ucha. Krzywisz się i odchodzisz na palcach, z poczuciem winy, starając się za bardzo nie myśleć, o kim mówili. Nie było to do końca jasne, ale wygląda na to, że po prostu zastanawiali się, jak się stąd pozbyć Dietrich-Brunnera. Zresztą, co innego byś robił na ich miejscu?

Na powierzchni wychodzisz z biura, a drzwi zatrząskują się za tobą, nim zdasz sobie sprawę, że nie pozwolą ci wejść z powrotem. Resztki światła dziennego barwią niebo na

blady błękit ponad czarnymi konturami drzew. Taksówki też sobie nie zamówiłeś. Człapiesz Drum Brae w stronę odległego szumu aut na Queensferry Road, przyglądając się w okularach nakładce z trasami autobusów. Na jeden spóźniłeś się o trzy minuty, a o tej porze jeżdżą zaledwie trzy razy na godzinę. Super. Dobrze, że noc jest ciepła, nie grozi wiosenną ulewą.

Wróciwszy do domu, w kupie spamu na podłodze pod drzwiami znajdujesz list. (Przynajmniej wygląda jak prawdziwy list – chociaż ostatnio reklamiarze się wycwanili i upodabniają swoje przesyłki do wezwań z Urzędu Skarbowego i rachunków za gaz). Jest zaadresowany imiennie do ciebie, nadawca użył normalnego, staroświeckiego znaczka. Rozdzierasz kopertę i wypadają z niej cztery błyszczące fotografie.

Z bijącym sercem podnosisz je i podstawiasz pod światło w przedpokoju. Pierwsze zdjęcie to wejście do budynku Hayka. Przechodzisz do drugiego. Wygląda, że to plac zabaw jakiejś podstawówki. Bawi się na nim parę maluchów, niepotrzebne ci czerwone przerywane kółeczko, które ktoś życzliwie dorysował w Photoshopie, żeby wiedzieć, że masz patrzeć na Elsie. Robi ci się niedobrze, ale nie możesz powstrzymać się od zerknięcia na trzecie. Drzwi frontowe dobrze znanego domu, na progu stoi twoja siostra z Mary w szkolnym mundurku, w porannym słońcu. Bardzo młodo wyglądają. Obraz jest trochę rozmazany, jakby fotograf robił zdjęcie z ukrycia. Pewnie i tak było, bo przyjrząwszy się należycie czwartemu zdjęciu, odkładasz je wszystkie i natychmiast dzwonisz na numer, który dostałeś od policji po podejrzanym telefonie, hiperwentylując się i starając się nie wpaść w panikę.

Ostatnia fotografia przedstawia rzeźnicki pień.

Jest wcześnie rano i właśnie jesz śniadanie, kiedy przychodzi wiadomość od Liz: „GOWNO WYPLYWA O 9:15 BĄDŹ NA INGLISTON”. Jest tak niespodziewana, że puszczasz nosem bąbelki z soku pomarańczowego, ku wielkiemu rozbawieniu młodego, a potem klniesz, czując ból w zatokach. Nie masz dzisiaj samochodu, ale robisz co możesz, żeby wsiąść do tramwaju na lotnisko w samą porę, by zdążyć na obiecany przez Liz incydent fekalno-dyluwialny.

To końcówka porannego szczytu. Liz chodzi tam i z powrotem przed wejściem do nowiutkiego terminalu na dawnych terenach wystawowych, twarz ma zaciętą i spiętą: pali papierosa, co cię zaskakuje – nie pasuje ci to do niej. Kiedy podchodzisz, wyrzuca go i krzywiąc się, wdeptuje w asfalt.

- Spóźniłaś się.
- Nie mam samochodu.
- Nie. Aaa. Cholera.

Wyłączasz mrugnięciem czerwone nakładki – w CopSpace lotnisko to przeładowany informacjami kalejdoskopowy gąszcz – i skupiasz się na niej. Wygląda na zmęczoną, jakby zbyt wcześnie wstała.

- Co się dzieje?
- Goście z Europolu – mówi z roztargnieniem, poprawiając okulary na nosie. – Jakaś ekipa od operacji specjalnych z Brukseli. Proszę, zobacz sobie.

Na środku twojego pulpitu ląduje ogromna, niestrawna kupa czegoś, ale zdążasz przeczytać tylko tytuł na pierwszej stronie, zanim ona dodaje:

- Nie chciałam ci odgryzać głowy. O, wygląda, że są.

Odwraca się i rusza do środka hali, a ty śpieszysz się, by za nią nadążyć i w nic nie walnąć, jednocześnie czytając streszczenie. Corpus iuris, umowy z Europolem, dwustronne uzgodnienia secesyjne dotyczące wymiaru sprawiedliwości oraz organów bezpieczeństwa – same pierdoły. Wszystko sprowadza się do tego, że...

Sześcioro mężczyzn i kobiet w ciemnych garniturach i ciemnych okularach maszeruje ku wam od wyjścia z unijnych przylotów: ciężki kaliber zwala się tu z Londynu i Brukseli, z walizczkami ze stali nierdzewnej i bezpiecznymi tożsamościami. – Inspektor Kavanaugh – mówi ich przywódca, nie wyciągając ręki. – Nasze samochody już czekają. A to kto... a, widzę. Dzień dobry, pani sierżant. Proszę pójść z nami.

Pojawia się flota terenowych BMW bez kierowców. Podskakują powoli na progach

zwalniających i stają tuż przed tobą, nie zwracając uwagi na czerwone pasy i ostrzegawcze napisy. Mają dyplomatyczne tablice. Drzwi otwierają się i jesteś dyskretnie sadzana na pustym fotelu kierowcy trzeciego z pojazdów, a Liz i dowódca grupy siadają za tobą. Kierownica drga z wahaniem, potem, gdy szczękają zamki w drzwiach, przekręca się gwałtownie i japiszonowóz przyśpiesza. Powstrzymujesz wzdrygnięcie – bardzo nie podoba ci się wizja, że twoje życie – i pół tuzina innych – jest w rękach jakiegoś znudzonego poganiacza robotów w centrum prowadzenia pojazdów gdzieś na zadupiu. Dobrze, że chociaż na autostradach same się kierują, to nie przekracza możliwości dzisiejszych AI.

– Proszę wyłączyć wszystkie osobiste urządzenia elektroniczne – mówi facet w ciemnych okularach. – Samochód jest ekranowany, ale później nie będziemy powtarzać. -

Mówi idealnym angielskim, bez akcentu, jak spiker BBC sprzed lat.

Ściągasz okulary i naciskasz przycisk Judasza na telefonie, potem na przestarzałym terminalu TETRA, a na koniec, gdy chrząka niecierpliwie, także na twoich kamerach i biomonitorach.

– Z jakiego jesteście wydziału? – pyta Liz.

– Oficjalnie, tabliczka na naszych drzwiach mówi „*Organisation pour Nourrir et Consolider L’Europe*”^[14].

Obserwujesz Faceta w Czerni w lusterku wewnętrznym. Nawet nie drgnie. Za nim, na rozkładanych siedzeniach w przestrzeni ładunkowej, jego kolega otwiera walizeczkę firmy Peli i ukazuje zestaw sprzętu, z którym zdecydowanie nie powinno się pokazywać w samolocie.

– To taki nasz mały żarcik, jedyny. Nie jesteśmy *Man from U.N.C.L.E.* i to nie jest gra.

Liz, trzeba jej przyznać, nie daje się zbić z tropu i nie chce tego słuchać.

– To lepiej powiedzcie mi dokładnie, skąd jesteście, i co tu, cholera, robicie. Bo jesteście teraz na moim terenie i przekraczacie dopuszczalną prędkość, łamiecie co najmniej trzy przepisy dotyczące broni, a jeśli nie zatrzymacie się na moje żądanie, dopiszę do listy oskarżeń jeszcze porwanie dwóch funkcjonariuszy policji.

Ostrożnie przesuwasz lewą rękę ku paskowi i sprawdzasz, czy nic nie stoi na drodze twojej małej puszczyce gazu łzawiącego. Bo jeśli szefowa tak mówi... – Proszę się nie niepokoić – mówi Facet w Czerni. – Moje dokumenty. – Wyciąga paszport z białą okładką, a potem wymyślny identyfikator.

Liz bierze je do ręki.

– Dobrze pan wie, że bez sieci nie mogę ich zweryfikować – warczy. – Nazwisko się zgadza, ale jak mam stwierdzić, czy to autentyk? Powiedz no mi, Kemal, zakładając, że to

twoje prawdziwe imię, dokąd nas wieziecie?

Mężczyzna z tyłu kończy przykręcać kolbę do broni – wyglądającej jak skrzyżowanie obrzyna i markera do paintballa – i kładzie ją na walizeczce.

– To ma, niestety, związek z waszą bieżącą sprawą. Jedziemy odwiedzić pewien magazyn w Leith – mówi główny agent. – Moi koledzy już poinstruowali wasz SO6, żeby otoczył miejsce kordonem na czas nalotu. Wy macie być świadkami i pełnić rolę lokalnych łączników, gdyż już znacie tę sprawę. Koledzy w następnym samochodzie – wskazuje go brodą – pojedą do kolokacji serwerów w Gyle, by wyłączyć główne łącze szkieletowe między północą a południem. Czwarty samochód pojedzie do centrum zarządzania kryzysowego i złoży zawiadomienie. Ich zadaniem będzie odłączenie całej komunikacji na docelowym obszarze. Na koniec...

– Chcecie zrobić co?! – wybucha Liz.

– Na koniec, Królewskie Duńskie Siły Powietrzne były uprzejme użyć nam jednego ze swoich samolotów E7C, oddelegowanych do Europejskich Sił Szybkiego Reagowania. To samolot do wsparcia wojny elektronicznej i przeciwdziałania terroryzmowi. Na wypadek gdyby cel był broniony.

W tym momencie szczęka opada ci już do kostek; już prawie zapomniałaś o gązie łzawiącym i złości, że w zasadzie zostałyście porwane.

– A co jest w tym magazynie? – pytasz.

Kemal – o ile to jego imię – odchyła się w tył. Teraz on wygląda, jakby nie przespał nocy.

– Zwróciliśmy uwagę na wasze śledztwo w sprawie zaginięcia Nigela i raport z przeszukania jego mieszkania. Czy już zidentyfikowaliście ciało w toczącym się śledztwie w sprawie morderstwa na cmentarzu przy Constitution Street?

– Nie. – Liz patrzy ponuro. – Jeśli coś wiecie...

– Przepraszam, że nie mogę podać tożsamości tych zwłok, ale mogę panią stanowczo zapewnić, że nie należą do MacDonalda. Odnotowaliśmy także wasze spekulacje dotyczące blacknetu, zwłaszcza jeśli miałyby należeć do rosyjskiej mafii.

– Proszę wyjaśnić.

– Sprzęt znaleziony w mieszkaniu MacDonalda został sklonowany przez funkcjonariuszy ICE. Kiedy wpisali do Narodowej Kartoteki szczegóły, u nas wyskoczył alarm. Nie możemy wam powiedzieć, do czego służył, ale w ciągu ostatnich czterech miesięcy przejęto dwie podobne instalacje, w Pradze i w Warszawie. Wydaje się, że wykorzystywane były przez niepaństwowy podmiot do nielegalnych celów...

– Chodzi o „terroryzm”? – przerywa Liz.

– Życie byłoby o wiele prostsze, gdybyśmy mieli do czynienia z komórką prostodusznych religijnych obsesjonatów, którzy nie cierpią współczesnego świata. Obawiam się, może to być coś znacznie gorszego...

– Mówicie o moim mieście, a tak się składa, że do moich obowiązków należy chronienie jego mieszkańców i pilnowanie przestrzegania prawa. Czy jest zagrożenie dla ludności? Muszę wiedzieć!

– Nie... – Kemal przerywa, gdy samochód przyspiesza, pędząc pod górę, żeby włączyć się w gęsty ruch na miejskiej obwodnicy – ...hmm. Trudno odpowiedzieć. Można chyba dość bezpiecznie stwierdzić, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, nie chodzi o broń biologiczną, chemiczną ani atomową; ale nieudana próba odizolowania tego magazynu i założenia całkowitej blokady komunikacyjnej skończy się, w najlepszym przypadku, ucieczką pewnej ekstremalnie groźnej informacji. Nie mamy też całkowitej pewności, czy w magazynie są ludzie, a jeśli tak, to czy są uzbrojeni. Pesymistyczny scenariusz zakłada, że spotkamy tam zagraniczną jednostkę specjalną, z umocnieniami obronnymi oraz ładunkami burzącymi – ale wtedy to i tak mamy przejebane.

– Kto ma przejebane? My? Wasz wydział?

– Nie, pani inspektor. Unia Europejska.

Albo ta klimatyzacja jest za zimna, albo masz ciarki z innego powodu.

– To czemu nas w to wciągacie? – mówisz, podnosząc głos. – My jesteśmy policja, a nie jakieś Mission, kurwa, Impossible!

– Już jesteście wplątani, a my chcemy załatwić to jak najdyskretniej – tłumaczy Kemal. – Przydadzą się wam te telefony i okulary. Załóżcie je od razu.

– Dlaczego...

– Wasz CopSpace został złamany. Podobnie sieć TETRA, dobrze, że przynajmniej posiłki możecie wzywać głosowo. Proszę? To wszystko jest już uzgodnione. Musicie być wpięte do naszej sieci, zanim rozpocznie się operacja.

Podaje ci ciężkie, wojskowe okulary w czarnej oprawie oraz pancerny telefon. Zerkasz w lusterku w oczy Liz, która kiwa nieznacznie głową: wkładasz okulary i startujesz je. Chwilę migoczą, sprawdzając twoje tęczówki w już wstępnie wpisanych danych biometrycznych, potem świat poza BMW zalewają aż po horyzont obce informacje. Zerkasz w lewo, ku północy, gdzie ponad Królestwem Fife orbituje zielony romb. Szybki zoom pokazuje, że coś tam jest naprawdę – szerokokadłubowy samolot pasażerski przemalowany na wojskową szarość, obrośnięty po bokach szerokopasmowymi antenami jak wieloryb pąklami. A przynajmniej te gogle zaprogramowano, żeby myślały, że to jest naprawdę. Jak już

zaakceptujesz czyjąś rozszerzoną rzeczywistość, to koniec, nie poznasz, prawda? Z punktu widzenia twojego i Liz, póki nie uda wam się z powrotem podłączyć do uspokajającego panopticonu CopSpace, równie dobrze może to być jakaś gra terenowa z rozmachem.

Konwój zjechał już z obwodnicy i zmierza ku Queensferry Road, o wiele za szybko, pewnie zbierając mandaty z szybkością, którą należałoby mierzyć w euro na sekundę. Wszystkie światła zmieniają się przed wami na zielone, kierownica kręci się tam i z powrotem. Czerwone bąble informacyjne wyskakujące nad anonimowymi szarymi, przydrożnym szafkami sterowników informują, że zostały przejęte przez Królewskie Duńskie Siły Powietrzne. Kładziesz dłoń na kierownicy, ta podryguje jak żywe zwierzątko.

– Co spodziewacie się tam znaleźć? – pyta Liz. – I kto robi za przeciwnika?

– Mamy nadzieję, że to będzie tylko szopa wypchana serwerami. Może antena satelitarna albo parę. – Kemal brzmi uspokajająco. – Byłbym cały szczęśliwy, gdyby to był fałszywy alarm. Wtedy złożymy przeprosiny, zapłacimy mandaty za prędkość i bez dalszego zamieszania polecimy do domu.

Liz prycha.

– Nie mogę się doczekać. – Sięga po telefon. – Teraz muszę zadzwonić do szefa...

– Dopiero jak dojedziemy na miejsce. Jak mówiłem, wasza naziemna telefonia radiowa też została spenetrowana.

Pomimo nocnej pogoni po ciemnych ulicach Nowego Miasta, śpisz jak zabita i budzisz się rześka i gotowa na nowy dzień. Spędzasz orzeźwiający pół godzinki w spa, potem idziesz pod prysznic i schodzisz do restauracji na śniadanie. Chris i reszta bandy już zwała do Londynu. No trudno. Ty masz tu Jacka i jego magiczny program, co ma znaleźć jakieś ślady, masz też dostęp do biur Hayka. To pozwala zrobić parę rzeczy.

Cały czas masz też wynajęte biuro, za które zapłacił Chris, schodzisz więc do niego i zaczynasz przeglądać zaległą pocztę i notatki projektowe, które zgromadziły się od zeszłego piątku, kiedy to rzeczywistość została przełączona w stan oczekiwania na połączenie.

Dwadzieścia po dziewiątej dobry humor już się ulatnia, jesteś wręcz lekko poirytowana, że Jack się spóźnia. Wysyłasz SMS-a, ale nie dostajesz odpowiedzi – ani potwierdzenia doręczenia. Dziwne.

Bez kontaktu z Jackiem, a tym samym bez dostępu do wyników nocnego przeszukiwania, nie wiesz, na czym stoisz. Schodzisz zatem na półpiętro i próbujesz przekonać maszynę do kawy, żeby wytworzyła coś nadającego się do picia. Czekać, aż skończy się grzechot i bulgot, słyszysz telefon. Oczywiście od Jacka.

– Gdzie byłeś? – indagujesz.

– Przepraszam, musiałem pójść na policję. Dostałem kolejny wrogi liścik, tym razem na papierze. Chcieli go zbadać i sprawdzić odciski.

Ups. Krzywisz się, choć cię nie widzi.

– Ach. I gdzie jesteś teraz?

– W korku, ale dotrę za jakieś pięć minut. Pomyślałem że wcześniej przedzwonię. Ten nocny test w zasadzie się udał i znalazło się parę ciekawych rzeczy. W jednym z serwisów trwa aukcja towaru, który dość dokładnie pasuje do opisu skradzionego artefaktu. Ciekawy jest w tym czas odpowiedzi obecnego właściciela na pinga – gość jest w Glasgow. Gdyby przekonać Hayka, żeby przycisnęli Kensu o dane tego klienta, może udałoby się złożyć mu wizytę.

– Ooo, to jest dobra wiadomość. – Sama się dziwisz, skąd w tobie tyle zapału. – Wyślij komunikatorem, co masz, od razu wsiądę na Wayne'a. Co sugerujesz zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Chyba... zobaczyć gdzie prowadzi ten ślad.

Dwadzieścia minut później zaszywasz się w biurze z Jackiem na linii, paroma do połowy opróżnionymi kubkami z kawą i paroma niedorobionymi teoriami. Z Wayne'em jest drobny ból: jego telefon upiera się, że jest na spotkaniu i nie chce cię połączyć. Ale przynajmniej Jack

trafił na ślad.

– Wczoraj, zanim sobie poszedłem, na to ogłoszenie o odszkodowaniu przyszło pięćdziesiąt jeden odpowiedzi. Wrzuciłem je wszystkie i zapuściłem szperacza na dwóch największych serwisach aukcyjnych, handlujących artefaktami z Zone'a. Od razu wypadło dwanaście przedmiotów, w jednym pakiecie, który próbuje opchnąć jakiś KingHorror tj. KingHorror9 jest teraz zalogowany do Forgotten Futures, a szybki ping wskazuje, że siedzi gdzieś lokalnie, ma latencję poniżej 10 milisekund. Więc jeśli udałoby się zdobyć jego nazwisko i adres, można by gościa od razu wyhaczyć.

– Jeśli siedzi lokalnie – ostrzegasz go. – Bo może...

Wtrąca się telefon:

– Pan Richardson oczekuje. Czy go połączyć?

– Tak, połącz.

– Co się urodziło? – zaczyna. – Bo jestem na spotkaniu...

– Mamy ślad kradzionych przedmiotów – mówisz mu, zanim się nakręci i odłoży słuchawkę.

– Potrzebne nam dane osobowe użytkownika KingHorror9, nazwisko, adres i tak dalej. Jeśli może pan to zrobić, zaraz pójdziemy go odwiedzić.

– Zaraz, otworzę tylko nową notatkę...

Wayne nagle okazuje się pomocny. Minutę później rozłączasz się z wyraźnym poczuciem, że Idziecie Do Przodu, albo że przynajmniej zamówienie przeszło do działu produkcji, który namyśli się i poda datę dostawy, gdzieś w przyszłym tygodniu. Mały cud...

Drzwi otwierają się, kiedy docierasz do dna kubka z kawą. To Jack. Pamiętał, żeby się ogolić, ale koszulkę ma jeszcze bardziej wyblakłą niż wczorajsza.

– Dzień dobry. – Sadowi się w drugim biurowym fotelu i odwraca laptopa stojącego przed nim ekranem do ciebie. – Zobacz, może to ciekawe.

– Hmm, a co?

Jack szczyrzy zęby.

– Zanim tu dotarłem, pogrzebałem w sieci. – Wskazuje wielkie zdjęcie lotnicze miasta, coś w stylu szpiegowskiego satelitarnego. – Kiedy tkwiłem w autobusie, napisałem wtyczkę, która przełożyła adresy IP tych użytkowników serwisów aukcyjnych na taką nakładkę na Google Earth. Pomyślałem, że jak zwizualizuję, gdzie oni są, to może... no. Gwarancja dokładności jest żadna – goście mogą wchodzić przez tunel skądinąd albo inaczej się maskować – ale zauważyłem coś ciekawego. – Palcami wystukuje w powietrzu parę poleceń, wskaźnik sunie przez ekran, a obraz się powiększa. Wyłania się z niego lśniąca metalowa budowla podobna do gigantycznej stonogi. – Glasgow SECC, centrum konferencyjne. – Pojawia się masa

zielonych trójkącików, mocno skupionych w jednym skrzydle budynku. – Tu jest miejscowe skupienie. Jest jeszcze drugie skupisko, tutaj... – zoomuje, aż kręci ci się w głowie, miasto kurczy się do pryszczu na policzku Szkocji, potem cała Wielka Brytania ucieka na zakrzywiony horyzont kuli, która okręca się i znów zbliża, gdzieś na północnym końcu Zatoki Bengalskiej – ...ale pomyślałem, że do Glasgow będzie nam bliżej niż do Dhaki.

– Glasgow? Pewien jesteś? – To, według ciebie, nie trzyma się kupy.

– Tak. – Machnięciem przechodzi do innego okienka. – To skupienie ofert aukcyjnych wisi na tamtejszym switchu sieciowym. Tam się te łupy sprzedaje. Sporo osób łączy się też stamtąd z grami... – Znów mruga i podryguje za okularami. – Wygląda na to, że tam jest jakiś eon branży gier. W piątek jest święto państwowe, prawda? Ale w środku tygodnia to w ogóle nie ma sensu, chyba że...

– Co to jest eon? Konwent? – pytasz, starając się być tylko grzecznie zainteresowana.

Nie za wiele wiesz o takich spędach – w paru rekonstrukcyjnych imprezach brałaś udział, ale hotele, handlarze i hordy społecznie niekompetentnych fanów gier w ogóle cię nie pociągają.

– Zobaczmy. – Gugła przez minutę. – O... no właśnie, konwent. Biznesowy. Sponsorowany przez kogoś tam, kogoś tam i Kensu International, co za niespodzianka. Hmm. Dzisiaj dzień otwarty dla publiczności. Bilety są po pięćdziesiąt euro.

Twoja skrzynka pocztowa przypomina o sobie gwizdnięciem. Właśnie przyszedł mejl od Wayne'a.

– Najpierw to co najważniejsze. Telefon, daj sierżant Smith. – Czekasz z nadzieją przez parę sekund, ale lądujesz na poczcie głosowej. – O. Dzień dobry, pani sierżant. Mówi Elaine z Dietrich-Brunnera. Może pani oddzwonić? Mamy ślad przedmiotów skradzionych z Hayek Associates. Do widzenia. – Rozłączasz się i odwracasz z powrotem do Jacka. – No dobra. Ty tu jesteś tubylcem. Jak się stąd jedzie do tego Glasgow?

Okazuje się, że Glasgow leży o pięćdziesiąt minut jazdy pociągiem z Edynburga. Co gorsza, SECC nie jest blisko dworca – to cała wyprawa na peryferia, parę przystanków miejscowym zabawkowym metrem. Spędziwszy dziesięć minut na próbie dowiedzenia się czegoś z rozmaitych fatalnie zaprojektowanych stron firm kolejowych, Jack proponuje, żeby złapać najbliższy pociąg, a potem w razie konieczności podjechać taksówką. Pociąg okazuje się zdezelowanym starym rupieciem dla dojeżdżających do pracy (nowoczesny błyszczący ekspres na poduszce magnetycznej rusza dopiero za dwa lata) i kiedy jesteście w połowie drogi – a przez okna gapicie się na nieprawdopodobnie wilgotny krajobraz pod Falkirk – już

zaczynasz żałować, że nie machnęłaś firmową kartą Amex i nie wynajęłaś helikoptera.

Jack z kolei siedzi naprzeciwko, stuka palcami w wirtualną klawiaturę, do tego stopnia nieświadom otaczającego świata, że musisz klepać go w ramię, kiedy chcesz zapytać, co robi.

– Piszę następnego plug-ina, do Sativy – wyjaśnia, jakby to coś tłumaczyło.

Wracasz więc do grzebania w koszu pełnym miesięcznych sprawozdań Hayka, które Chris i banda wydobyli z nich przed najazdem, szukając jakichś sugestywnych anomalii. Jest ich sporo, zwłaszcza w drobnych wydatkach gotówkowych – po co ekonomicznej firmie doradczej laleczki voodoo? Albo karabiny do paintballa? – ale to nie na taką sugestywność masz nastawione dzwonki alarmowe.

Wreszcie pociąg wtacza się w ponury krajobraz hal magazynowych i wysokich apartamentowców, po czym nurkuje w coś w rodzaju tunelu i wynurza się na ogromnym, zadaszonym, wiktoriańskim dworcu. Łądujesz w cudacznej hali, naprzeciwko zakrzywionej ściany, jakby wyrzeźbionej w klifie z czerwonego piaskowca; są w niej skierowane do wewnątrz okna, a pod podpierającymi łukowaty dach żeliwnymi filarami rozpinają skrzydła wzbijające się do lotu gargulce. Z jakiegoś powodu pośrodku peronu stoi małe miasteczko z piernika, całe domki, z dachami i nietkniętymi deszczem rynnami.

– Cholera, co to jest? – pytasz ze zdumieniem.

– Glasgow Central – rozpromienia się Jack. – Bierzemy taksówkę!

Dziesięć mdłych minut później (Glasgow wydaje się zbudowane na siatce zrzuconej na kupę pagórków, a po ulicach jeżdżą wyłącznie samochodowi maniacy) taksówka bez kierowcy wysadza was w betonowej dżungli tuż nad rzeką. Przed wami ogromna szklana ściana osłaniająca pięćdziesięcioletni, betonowy „leżący wieżowiec”. Na rampie ktoś rozwinął brudny wiśniowy dywan, obok postawił tabliczkę. Złotymi literami błyska napis „INTERAKCJA 18”, poniżej dopisano, nieco skromniejszą czcionką: „DZIEŃ OTWARTY”. W środku widać ludzi – hostessy oraz biznesowych typów w casualowych ubraniach – oraz stoiska.

Miałaś co do tej wycieczki złe przeczucia, bo wszystko sugerowało, że będziecie szukać wiatru w polu w bezwietrzną pogodę – ale przyjechaliście i teraz już nic nie poradzisz. Prostujesz ramiona i wchodzisz za Jackiem.

– Dwa bilety – mówi Jack do znudzonej bileterki.

– Pięćdziesiąt euro sztuka, albo możecie wypełnić te ankiety i dostać bezpłatną przepustkę – odpowiada z akcentem tak ciężkim, że można by nim przyciskać papiery.

Zerkasz na ankietę. Standardowy zestaw wścibskich i bzdurnych pytań, więc (ze złośliwą radością) odpowiadasz szczerze na wszystkie. Nie, nie kupujesz żadnych gier RPG, nie masz

subskrypcji do żadnej gry sieciowej. Tak, jesteś pracownikiem sektora finansowego. Tak, podejmujesz decyzje o zakupach, budżet masz taki, że klękajcie narody. A potem zmieniasz płeć, wiek, datę urodzenia i nazwisko, tak dla bezpieczeństwa. Oddajesz kartkę i przyjmujesz bezpłatną przepustkę (dziękujemy za dane do badań rynkowych).

Wewnątrz wielkiej hali wszystko wygląda jak, no cóż, na targach otwartych dla publiczności. Stoiska, jaskrawe wystawy, profesjonalnie uprzejmy personel oraz stoły z rzędami konsol. Zabłąkała się nawet jakaś księgarnia, sprzedająca poradniki strategiczne do gier wydrukowane na pulpie ze ściętych drzew.

– Zobacz, jak to wygląda w Zone – podpowiada Jack.

Kręcisz przy okularach i sceneria nagle całkowicie się zmienia.

Hala jest pełna potworów i cudaków. Nad skarbem piratów drzemie smok o łuskach jaskrawych jak kameleon widziany przez siatkę dyfrakcyjną. Jest wielkości młodego apatozaura, łuskowate nietoperzowe skrzydła złożone wzdłuż boków lśniących jak burty futurystycznego myśliwca. Za nim ściana wychodzi na ciemną otchłań, rozjaśnianą tylko dymnym zawijaszem mgławicy i zrytym kadłubem statku kosmicznego oślizłego kupca, penetrującego ostatnią granicę dla zysków czy przyjemności. Połowa sprzedawców przeobraziła się w pstrokate lub nieprawdopodobne awatary, od peleryn i cylindrów wiktoriańskich impresariów, po zawadiackich awanturników.

– Jak my tu mamy kogoś znaleźć? – pytasz bezradnie, widząc całą watahę wilków przebiegającą obok stoiska, na którym grupa trzeźwo wyglądających reklamarzy zachwala swój silnik do generowania rzeczywistości.

– Sprawdź pocztę...

Ma rację. Jest e-mail od Wayne'a. Podaje nazwisko, poziom i numer seryjny nieuchwytnego gracza KingHorror9). Pewnie nie jest to do końca legalne – są różne ustawy o ochronie danych osobowych i prywatności, które trzeba obchodzić na paluszkach – ale też to, co robi KingHorror9, jest niezupełnie legalne. I oni są gdzieś tutaj. Rozglądasz się. Potem przychodzi ci do głowy, że skoro jest tu cała masa serwerów Zone'a, a ty masz postać z tej platformy, to czemu by z niej nie skorzystać? Każesz więc telefonowi wczytać Avalona 4, logujesz się jako Stheno i rozglądasz jeszcze raz.

Smok nadal jest, ale stadko wiktoriańskich niewiast w obszernych spódnicach zniknęło, zastąpione grupką krostowatych koboldów; ściany z betonowych przeobraziły się w wilgotno granitowe, a stoliki i stoiska handlarzy zmieniły się w zrujnowane drewniane budy i jaskrawo malowane cygańskie wozy. Stoisko dla developerów stało się mauzoleum zaludnionym przez potworną straż szkieletów i zombiaków, chłonących każde słowo sinego czarnoksiężnika

stojącego za ołtarzem ofiarnym. Na boku stoiska ktoś walnął sprejową wrzutę – wielką neonową strzałkę (która naprawdę świeci) i napis AUKCJA ZA 4 MINUTY.

– A, już rozumiem – mówisz.

Nie ma odpowiedzi. Oglądasz się. Jack zniknął.

Po raz pierwszy macie cel i prawdziwe nazwisko: pan Wu Chen. Nieważne, które to imię, a które nazwisko, ważne, że jest jakiś zamiar. I przyczepiony do niego numer karty kredytowej, chociaż dostaliście tylko ostatnie cztery cyfry. Panowie, wyszukiwarki na start. Elaine chodzi ci za plecami z lekko oszołomioną miną mormońskiego misjonarza na letnim obozie Federacji Pogan – nic dziwnego, cała hala targów wygląda jak jeden wielki cel – ale zestaw współrzędnych identyfikatora Wu Chena (wyposażonego, jak wszystkie plakietki na tym spędzie, w nadajniki RFID w siedmiu różnych smakach – wypełniając tę marketingową ankietę, prywatność zostawiasz przed drzwiami, chyba że pamiętałeś, aby zabrać etui z folii aluminiowej) powoli sunie ku wielkiej auli na drugim końcu budynku.

Rzucasz jego pozycję na widget z mapą po lewej, a potem logujesz się do Zone'a na wszystkie swoje loginy jednocześnie, sklejjąc ich fragmenty rzeczywistości w jeden patchworkowy widok. Po co trzymać się jednej rzeczywistości, skoro można przechadzać się po multiwersum? Większość ludzi ma awatar tylko w tym lub tamtym świecie, więc gdy się patrzy na to jednocześnie, ma się przed oczyma okaz cudaczności: oto astronauta rozmawiający z diabłem, a obok ork kupujący książkę od wampira. Jak na jakimś targowisku osobliwości. W sali po prawej zaczyna się wykład, seminarium, czy jakiś wywiad, po lewej zaś masz stragan z kawą, bezbarwny i ascetyczny pomiędzy okazałym domiszczem a parkującym latającym talerzem. Potem przyglądasz się uważniej: ktoś namazał na niej „AUKCJA ZA CZTERY MINUTY”. „CZTERY” na twoich oczach zmienia się w „TRZY”. Link prowadzi do konkretnej aukcji na eBayu... Szybkie zerknięcie na mapę potwierdza, że Wu Chen jest w sali 112 – w górę schodami ruchomymi po lewej i kawałek korytarzem.

Pędzisz po schodach pod górę, przepychając się pomiędzy stadem pawianów a oficerem Waffen SS, patrzącym na ciebie z nieskrywaną irytacją. Pan Wu Chen jest ci winien parę wyjaśnień i zamierzasz je uzyskać. Lecz pod powierzchniowym zaangażowaniem w robotę dla Dietrich-Brunnera, gdzieś w głębi gryzie cię nieprzyjemne wspomnienie. Ktoś wysyła ci złowrogie listy – ktoś, kto chyba wie, że pracujesz dla Elaine, i pozbierał wszystkie dostępne w sieci informacje o tobie, chce wpłynąć na ciebie, grożąc twoim siostrzenicom. Sam nie masz dzieci, ani partnerki, właściwie nic nie masz – wszyscy twoi koledzy są gdzie indziej – ale ci ludzie, kimkolwiek są, wbili szpony w najbliższy ciebie miękki punkt, jaki dało się znaleźć w sieci. Nie jesteś z natury gwałtowny, przeciwnie: zwykle stajesz na rzesach, żeby tylko uniknąć konfrontacji – ale tutaj się to nie sprawdzi. Syfiarze, którzy są w stanie grozić dzieciom, nie będą przestrzegać żadnych reguł. Albo są psychopatami, albo są katastrofalnie

zdeinformowani – w każdym razie sądzą, że dochodzenie Elaine, czy raczej twój w nim udział, stanowi dla nich konkretne zagrożenie. Goście nie grają w gry. Czemu inaczej mieliby tak reagować? Stawką nie jest już to obłędne wynagrodzenie godzinowe płacone przez CapG. W żołądku tkwi ci lodowata bryła niestrawnego niepokoju – i mówi ci, że musisz znaleźć pana Wu Chena oraz jego kupę skradzionych worpalnych mieczy i lamp z dzinnami w środku, zanim się ich nie pozbędzie i nie rozplynie w tle, a ty będziesz musiał błądzić po omacku, póki ktoś znowu nie przykuje cię do latarni, albo wrobi w porwanie dzieci – albo coś jeszcze niewyobrażalnie gorszego.

Dyszysz, sadząc po ruchomych schodach po dwa stopnie, a potem pędząc korytarzem pod prąd tłumy wysypującego się z sali konferencyjnej. Wybija pełna godzina i wszystkie elementy programu kończą się jednocześnie, tworząc istne ludzkie wiry, w których można utonąć. Sala 112 jest tuż za rogiem; kiedy podchodzisz, widzisz, że drzwi są zablokowane w pozycji otwartej, a w środku jest niemal pusto. Pod każdą ze ścian stoją stoły, a na nich poprzypinane linkami bezpieczeństwa laptopy. Widać, że puszcza tu chyba jakieś demo. Po sali krząta się kilkanaście osób, niektóre stukają w klawiatury, a niektóre tylko rozmawiają. Spoglądasz na nie swoim rozszerzonym, Zone’owym wzrokiem i widzisz puste twarze noobów oraz jednego ponurego orka walącego w klawisze. Nad jego głową kręci się lazurowy klejnocik z symbolem jego gildii.

Ustawiasz wszystkie swoje postacie poza Theodore’em G. Bearem na niewidzialność i podchodzisz do niego.

– Ja w sprawie tej aukcji – mówisz do zgarbionych barków.

Ork skomle i okręca się, zahaczając rękawem róg laptopa i omal nie posyłając go w powietrze.

– Nie wiem, o czym mówisz!

– Ogarnij się – dodajesz. Potem sobie przypominasz, że masz być grzeczny: może trzeba to będzie przekazać policji, prawda? – Sprzedajesz na aukcji prestiżowe artefakty Kensu. Nie pozyskałeś ich w standardowy sposób. Myślałeś, że nikt nie zauważy?

Ork się kuli. Może w Zonespace ma zielone i falujące mięśnie, w białkowym świetle to mały, chuderlawy koleś, pewnie jeszcze przed dwudziestką. Ty wprawdzie nie jesteś mięśniakiem jak szafa, ale też nie wyglądasz, jakby miał cię unieść pierwszy lepszy wietrzyk. A poza tym, masz po swojej stronie element zaskoczenia.

– Czego chcesz? – Głos mu drży.

– Informacji. – Produkujesz niezycziwy uśmiech. – Na początek, skąd wzięłeś ten towar. Od kogo, gdzie, kiedy. Na razie to jest jeszcze wewnętrzne śledztwo, ale Kensu zaraz napuści

prawników na tego, kto zorganizował skok. Możesz ograniczyć swoją odpowiedzialność, podejmując pełną współpracę.

Chen zerka na boki, szukając drogi ucieczki.

– Ja nic nie wiem! – protestuje. – Wziąłem te rzeczy z piwnicy klubu! Ktoś je tam położył...

– Gdzie ten klub? Podaj miejsce.

– Masz mnie za idiotę?

Sprzedaje towar za ich plecami. To jego słaby punkt. Manipulujesz lekko swoim uśmiechem.

– Nie. Tylko myślę, że chcesz sobie dorobić na boku. I dlatego przyszedłem. Możemy to zrobić poza siecią, jak chcesz. Nikt nie musi się dowiedzieć.

Spojrzenia na boki robią się trochę wolniejsze.

– Świrujesz, człowieku – syczy. – Ja nic nie wiem.

– Wiesz o klubie.

Spina się. Ups, trochę się cofnij.

– Posłuchaj. Ciebie nie ścigam. Chcę dorwać ich. Dziesięć tysięcy euro w anonimowym Digi-Cashu za to, co wiesz, na początek namiary na ten klub w Zone.

Dziesięć K to spora suma – więcej niż dotąd zarabiałeś miesięcznie – ale jesteś prawie pewien, że Elaine zatwierdzi ją bez mrugnięcia okiem, jeśli tylko otrzymacie w zamian twarde informacje. Chen wygląda, jakby się zastanawiał. Potem gwałtownie kręci głową.

– Za mało. Masz mnie za idiotę? Guoanbu wytnie mi nerki, jeśli ci to powiem!

– Piętnaście – rzucasz bez namysłu.

Zaczyna odwracać głowę.

– Dwadzieścia.

Patrzy z powrotem na ciebie.

– Za mało. Koniec rozmowy.

– Mogę dać więcej, ale muszę to uzgodnić – mówisz mu. Naginasz prawdę – tak naprawdę bez pozwolenia nie wolno ci było proponować nawet poprzednich sum – ale to haczyk. Pytanie brzmi: czy go złapie?

– Dwa miliony i program ochrony świadków i wszystko powiem – mówi beznamiętnie. – Nowa tożsamość. Możecie to załatwić, prawda?

– Hę? – Gapisz się na orka jakby wyrosła mu druga głowa. To wyjście poza kontekst, uświadamiasz sobie. – Myślisz, że jestem z władz?

Patrzy na ciebie, w równej mierze z pogardą i desperacją, potem przełącza okulary i unosi się na skrzydłach zaklęcia teleportującego w jakieś inne miejsce Avalonu. Tyle że po

zakłęciach zostaje echo, a uciekający ork nie jest aż takim wymiataczem, jak mu się wydaje – dzięki chodom w Hayek Associates masz uprawnienia admina. Goniąc za nim, rzucasz szybką wiadomość Venkmannowi. Lądujesz w piwnicy, wilgotnej i kamiennej: ściany są niemal całkowicie pokryte stojakami z uzbrojeniem i pozamykanymi skrzyniami ze skarbami. Jest tu także bardzo zaskoczony ork. Sięga za siebie i wyciąga miecz, potem atakuje.

– Daj mi spokój! – wrzeszczy.

Jednocześnie w prawdziwym świecie coś uderza cię mocno w bok, aż tracisz równowagę. Chwiejesz się na nogach, a czujniki ruchu w okularach ustawiają je na tryb półprzezroczysty, takie zabezpieczenie – po czym widzisz, że pan Wu Chen ucieka przez drzwi. Trochę kręci ci się w głowie, instynktownie unosisz dłoń. To tylko cios sztyletem, prawie nie zabiera zdrowia – więc kuśtykasz za nim.

Półprzezroczysty ork próbuje walnąć jarzącym się na błękitno mieczem w twoją niedźwiedzią głowę, jesteś jednak opancerzony jak manczkin i z łatwością odparowujesz cios. Gonisz za uciekającym studentem, jednak, przechodząc przez drzwi, potykasz się i nagle czujesz, że z twoją kurtką jest coś nie tak, coś chrzęści, coś się łamie. Z lewej kieszeni coś wystaje. Łapiesz to i czujesz nagły, ostry rozbłysk bólu, wbijając sobie w dłoń coś ostrego.

– Cholera! – krzyczysz i przestawiasz okulary na pełną widoczność.

To krótki scyzoryk wbity w szczątki niegdysiejszej składanej kieszonkowej klawiatury, a z dłoni cieknie ci krew, w miejscu gdzie chwyciłeś za jego ostrze. Elaine wpada przez drzwi ze wściekłą miną.

– Dźgnął mnie nożem – mówisz i siadasz ciężko na najbliższym krześle. – Dźgnął... mnie...?

Zatrzymało się na klawiaturze. Żadna niespodzianka – właściwie nie ruszasz się z domu bez klawiatury, myszy, telefonu, rezerwowego PDA oraz zestawu ciętych ripost – ale teraz brakuje ci słów. Przełączasz okulary z powrotem na scenę walki, a Elaine klnie i łapie cię za lewą rękę. Ork zaszył się w rogu i naparza cię wirtualnym tasaczkiem.

CO JEST? – pyta komunikatorem Venkmann.

– Znajdź mnie w Zonie – mówisz na wpół pustemu pomieszczeniu, podczas gdy Elaine przyciska ci do dłoni chusteczkę. – Jestem w miejscu, gdzie jest skarb, a gość, co mnie walnął, wie, skąd się tu wziął.

– Następnym razem walkę zostaw mnie – burczy Elaine. Wygląda na wkurzoną.

– Ale on mnie dźgnął... – Boli cię ręka.

– Nie, dźgnął tylko jakiś złom, co masz w kieszeni.

– Ja go dopadnę! – Machasz palcami prawej dłoni, nastawiając garłacz na Sprzątanie Lochów +6.

– Nie, pójdziesz ze mną i zameldujemy ochronie, potem sobie siądziemy, napijemy się herbatki i pogadamy z konstabłem Życzliwym. Wierz mi, wcale nie chcesz gonić za uzbrojonym napastnikiem..

– Nie, nie, miałem na myśli w Avalonie 6. – Nagle widzisz na czerwono. Garłacz grzmi, iskrzy, piwnica wypełnia się dymem. Przed sobą widzisz mocno uszkodzonego orka, cofającego się rozpaczliwie ku drzwiom, a Theodore T. Bear ryczy basowo i przeładowuje. – Powiedziałem, że ja w sprawie aukcji, a on spanikował. Ale towar znalazłem.

– Ej. – Przyciska cię do blatu stołu, nagle wyciąga rękę i zrywa ci gogle z twarzy.

– No, zaraz! – protestujesz, twarzą w twarz z nią, tak niezręcznie blisko, że czujesz jej oddech, nieświeżą mieszaną kawę i jakichś nieokreślonych perfum, oko w oko z jej zaniepokojoną miną. – A już miałem..

– Russell znajdzie go przez Zone. Masz potwierdzenie jego tożsamości, ale ważniejsze jest, że cię zaatakował. Jack, to nie jest gra. Wcale nie chcesz go znaleźć! Niech się tym zajmuje policja. O dowody się nie martw, w każdej sali i każdym korytarzu są po dwie kamery monitoringu.

Czujesz się zażenowany. Ma rację. Trochę też się trzęsiesz. Nie masz pojęcia, jakiej reakcji się spodziewałeś po Wu Chenie, ale próba dźgnięcia cię nożem i ucieczki – jakby miał naprawdę coś ostrego, a nie tylko scyzoryk, albo jakby nie trafił w klawiaturę, którą trzeba będzie wymienić, niech to szlag – jest kompletnie nie z tej bajki, a nie ma Mistrza Gry, któremu można by się poskarżyć.

– Kurna – mruyczysz.

– Powtórz to jeszcze parę razy... – Elaine przerywa.

Przez moment nawiązujesz z nią goły kontakt wzrokowy, nie przefiltrowany przez wzbogaconą rzeczywistość. To potwornie żenujące, to wychodzące poza ramy kontekstu zachowanie – cała biznesowa etykieta powstała po to, aby takich rzeczy unikać. Też wygląda na zbitą z tropu, ale dobrze się opanowuje.

– No chodź, trochę cię załatam – mówi, cofając się o krok i przerywając transfer informacji dokonujący się między wami przez jakiś bliżej nieokreślony, niewerbalny, ssaczy protokół.

Potem bierze cię za nieuszkodzoną rękę i prowadzi z powrotem do prawdziwego świata.

Sue: Psy w składzie porcelany

Zanim docieracie na miejsce, do Leigh, tam już wywiązuje się pełnowymiarowa panika. Liz napisała wiadomość prosto do detektywa-inspektora Verity'ego – za namową Kemala z Europolu – a Verity nacisnął guzik alarmu i posłał wszystko co się rusza na południe od Pilton, żeby otoczyło kordonem kwartał wokół magazynu na Lindsay Road. A niedogodność jest całkiem spora, bo sto metrów dalej jest ośrodek National Executive na Victoria Quay, mieszczący jakieś pięć tysięcy poganiaczy PowerPointów a także pewną populację obsługujących ich sklepów z designerskimi meblami, etnicznych knajpek, ekskluzywnych spa, pubów z real ale oraz niedrogich dziwek. Jeśli Verity – albo jego szef, bo tego typu gówna zwykle wypływa na wierzch – zarządzi ewakuację Victoria Quay, w parlamencie będą Zadawane Pytania, już nie mówiąc o wygenerowaniu wielu megabajtów gładzenia w wirtualnych mediach, nadających się na ściółkę do wirtualnych klatek, a może i paru dyskretnych dymisjach, jeśli gówno się przeleje i rozniesie je wentylator. Właściwie, to nie zdziwiłabyś się, gdyby Verity już teraz robił w gacie: sytuacja może się skończyć czymś na miarę Iana Blaira ^[15], policyjną rozpierduchą, która na dziesięciolecia staje się legendą. Kemal i jego doborowa banda superpsów w ciemnych gajerach i lustrzankach może jest do takich rzeczy przyzwyczajona, ale Edynburg to mała prowincjonalna, butikowa stolica i ledwo pół miliona dusz – na mapach terrorystów to zadupie jak Oklahoma City. Co pewnie tłumaczy, czemu sytuacja rozwija się jak w *Akademii Policyjnej* na dopalaczach, tylko z lepszymi efektami specjalnymi.

Zdalnie sterowane beemki zwalniają, wjeżdżając na Starbank Road i sunąc wzdłuż nabrzeży, potem zatrzymują się tuż pod targiem rybnym na Newhaven.

– Wszyscy wysiadać – mówi facet w czerni. – Dalej na piechotę.

Przed wami uwija się cała furgonetka mundurowych, ustawiają zapory i przygotowują się do skierowania ruchu objazdem przez centrum. W parę chwil w mieście robi się pierdolnik, tędy jeździ bowiem połowa dostaw i wszyscy klienci centrum handlowego Ocean Terminal, nie mówiąc już o autobusach i szybkich tramwajach linii 2. Będzie pewnie równie fajnie jak wtedy, gdy jakiś dupek pierwszej wody zaprosił Tony'ego Blaira do wygłoszenia przemówienia na rozdaniu dyplomów w Heriot-Watt.

– Liz, ja na pewno będę tu potrzebna? Mac potrzebuje teraz każdego, kto żyw...

– Nigdzie się nie ruszaj – syczy Liz, cicho, żeby krawaciarze nie usłyszeli. – Masz rację, ale przyda mi się jeszcze jedna para oczu, żeby pilnować tych głupków. I proszę, włącz

rejestrator. – Jest napięta jak sprężyna w diabielku z pudełka.

– Myślisz o śledztwie?

Parska śmiechem z zaskoczenia.

– Oczywiście, że tak, Sue. – Zagląda nad płotem na teren Portu Zachodniego. – Jesteśmy za nisko na drabince, żeby oberwać, ale jeśli det-insp nie przyleci tu w godzinę, to bardzo się zdziwię, a będzie chciał dokładnie wiedzieć, o co chodzi.

– A. Okay. – Dyskretnie przełączasz wszystkie kamery na ciągłą rejestrację materiału i postukujesz palcem w ucho. – Jedzie.

Potem grzebiesz w menu wojskowych gogli od Kemala: w końcu udaje ci się wywołać miejscową nakładkę CopSpace, aby widzieć, co się tu w ogóle dzieje. Potwierdza się twoja wcześniejsza diagnoza masakrycznego korka – migające czerwono trasy objazdów pokrywają całą północną część miasta jak wysypka przy ospie. Wielki wirujący walec na niebie symbolizuje strefę zakazu lotów – muszą zawracać znad Turnhouse samoloty, które normalnie podchodziłyby już do lądowania nad Firth of Forth. Krzywisz się mimo woli. Co oni se myślą...

Ups. Jesteś w połowie kwartału, za Liz, gdy zauważasz całą kupę zaparkowanych tuż za rogiem pojazdów: wozy straży pożarnej, pożarniczy wóz wsparcia, parę karettek i mobilne centrum dowodzenia z Fettes Row. Nawet parę land roverów w panterkę...

– Szefowo, wojsko też zawołałi?

Kemalowi przed wami puszcza trochę samokontrola.

– Co to ma być? Nie prosiłem o posiłki! Mielicie zorganizować objazdy, dyskretnie, a nie urządzać tu festyn! – Wskazuje, ze zde gustowaną miną, mrowisko przed sobą, mrowisko, co samo sobie wtyka kij.

– A czego się spodziewałeś? – Liz ma zrezygnowany ton. – Jak nie chciałeś robić zamieszania, to nie trzeba było nikomu mówić, że przyjeżdżacie. Wszyscy się boją, że dostaną po dupie, jak się coś stanie na ich terenie, więc jadą procedurą W.T.F. dla poważnych wypadków. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że za minutę będą karnety wszystkich ogólnokrajowych sieci.

– *Merde*. – Dotyka słuchawki w uchu. – Musimy natychmiast wchodzić.

Cel jest tuż za rogiem: wielka, XVIII-wieczna kupa kamienia, zapewne ówczesny skład celny, na który teraz przyszły mniej przedsiębiorcze czasy. Wiadomości są coraz lepsze: CopSpace wyświetla, że magazyny po obu stronach zaadaptowano na sypialnie dla japiszonów, pełne prawników, urzędników parlamentarnych i tak dalej. Szyld nad drzwiami obwieszcza, że mieści się tu filia znanej sieci sklepów ze sprzętem do sportów ekstremalnych

i turystyki – może ktoś by w to uwierzył, gdyby nie zobaczył opuszczonych rolet i kłódek. Europsiarnia czaiła się tu od dawna, kamery na całej ulicy od tygodni generowały kupę danych, rejestrując twarze każdego, kto wchodzi i wychodzi, a potem wpuszczając je do jakiejś tajemniczej, międzynarodowej, antyterrorystycznej bazy danych, okulary aż kipią ci od różnych opcji odtwarzania – ale jakoś nie zauważyli, że chcą robić wybuchy w samym środku gęstej zabudowy mieszkalnej.

– Nie będziemy najpierw ewakuować sąsiadów? – pyta Liz. – Jak nie, to ktoś musi powiedzieć gorze.

Kemal przeklina bezgłośnie.

– Powiedz komendantowi – mówi zwięźle. – Za sześćdziesiąt sekund zaczynamy.

Faceci (i baby) w czerni rozbiegają się wokół budynku, nawet się nie kryjąc. Kemal sprowadził tu prawie tuzin osób i wszyscy się rozstawiają. Na razie wygląda to jak normalne siłowe wejście do budynku, tylko że wszyscy są przebrani za księgowych, a w rękach mają markery do paintballa i teczki. Jakby czegoś słuchali, czekali na słowo jakiegoś odległego centrum dowodzenia, do którego nie masz dostępu. Liz poklepuje cię po ramieniu.

– Trzymaj się mnie – ostrzega. – Żebyś się nie wplątała w jakieś ichnie gówno.

Potem zmierza do mobilnego centrum dowodzenia na skrzyżowaniu. Przed wejściem czeka paru krawężników, wyglądają na wkurzonych – pewnie wskutek kompletnie nieplanowanego kryzysu przepada im przerwa w połowie zmiany.

– Muszę się widzieć z szefem – oznajmia, unosząc wysoko blachę.

Na wasz widok, na ich twarzach maluje się ulga. Wreszcie ktoś, kto ma pojęcie, o co tu chodzi. Gdyby wiedzieli...

Mobilne centrum dowodzenia śmierdzi nieświeżą kawą i potem wszystkich stłoczonych w środku ciał. Jedna ściana to gigantyczny ekran, pewnie dla tych grubych ryb, co nigdy nie nauczyły się sterowania gestami i ruchem gałek ocznych: przypomina ci się stary dowcip o myszce w kształcie puszki z gazem łzawiącym. Pół tuzina dyżurnych garbi się nad zdezelowanymi laptopami, kierując ekipami drogówki na zewnątrz i tocząc przegraną bitwę z nieuniknionymi korkami. Z przodu nad biurkiem nachyla się Verity, gada przez telefon, a drugi ćwierka mu przy lewym łokciu. Widząc Liz, przewraca oczyma.

– Tak, zrobię to, sir – mówi – ale właśnie dotarła pani inspektor i muszę się dowiedzieć, co się dzieje, zanim coś panu powiem. Pan pozwoli... – Rozłącza się. – Boże, broń mnie przed mikrozarządzającymi... – w samą porę zauważa diodki twoich kamer – ...dżentelmenami. No dobra. To o co tu chodzi, Kavanaugh? – Zły znak. Verity jedzie po nazwiskach. – Wiceminister chciałby wiedzieć.

Cholewa. Liz radzi sobie, jak może.

– Oni nic mi nie powiedzieli, ale to jakieś zamieszanie na poziomie bezpieczeństwa narodowego. Dobra wiadomość: to nie są jakieś oszołomy z bombami. Zła wiadomość: odcięcie wszystkich łączy komunikacyjnych nastąpi za...

Coś delikatnie pyka i całościenny ekran przybiera kolor nocnego nieba nad japońskim miastem. Nad siną z wściekłości twarzą Verity'ego przez moment mruga BRAK SYGNAŁU.

– Ruszać się! – warczy. – Potrzebne mi oczy w terenie!

Dyżurni za jego plecami klną i wściekle bazgrzą po żółtych karteczkach – ich sierżant każe im uruchomić awaryjny, papierowy system zarządzania, ale nic dobrego z tego nie wyjdzie – za daleko już zaszli na obszar SPGL. System Pada, Giną Ludzie. Od drzwi dobiega osobliwy chór alarmów samochodowych i samochodowych urządzeń lokalizacyjnych. Wszystkie spanikowały na widok pustego pasma radiowego. W Leith jest więcej świateł ulicznych niż policjantów z drogówki, żeby je zastąpić, a w tej chwili wszystkie się gubią. Schodzisz po schodkach w chłodne poranne światło, dokładnie w momencie, gdy od bramy do magazynu dobiega łomot.

– Chodźmy – mówi niecierpliwie i biegnie przez jezdnię.

Pędzisz za nią przez zamieć wojskowych ostrzeżeń o polach ostrzału z sąsiednich okien i dachów – Faceci w Czerni wywalili drzwi i weszli do hali. Gdy przestępujesz próg, a zdeptany piaskowiec chrupie ci pod buciorami, na pustym niebie skrzeczą i uganiają się mewy. W ciemnym przedsionku zatrzymuje was podniesioną ręką Baba w Czerni – następuje seria szybkich uderzeń, potem basowe dup.

– Jeszcze nie jest czysto – mówi z silnym niemieckim akcentem.

Patrząc na ściany, widzisz za nimi przejrzyste cienie – w okularach FwC jest jakiś cwany system do generacji map, tak że agenci poruszający się po budynku współdzielą ze sobą jego mapę, którą na bieżąco tworzą. Trochę jakby mieć rentgenowskie okulary.

– *Scheisse* – mówi Baba w Czerni, unosząc swój paintballowy karabinek.

Po ścianach ściekają czerwone ideogramy, krwawe informacyjne ślady przeciekające ci na skraj pola widzenia. Coś głośno skrzeczy, a Baba w Czerni odwraca się i pakuje w ścianę dwie kule, na wpół cię ogłuszając. Krzyczy coś po niemiecku i biegnie do wewnętrznych drzwi, za którymi widmowy kontur szybu windy nakłada się na spiralne schody i mały pokoik, jak konkurujące o twoją uwagę alternatywne rzeczywistości. Ze środka znów dobiega huk, światła przygasają. Liz patrzy na ciebie, twarz ma bladą, zaczyna coś mówić, ale zagłusza to zgrzyt jakby szlifowanego metalu, a z jej ust zaczynają wyłazić blade macki. Nie widzisz już drzwi, przez które weszłaś – ideogramy są wszędzie, szyczą z ciebie, a ściany się nie schodzą.

Idziesz w najbliższe wejście, pamiętając mniej więcej, gdzie tu był kontuar recepcji. Pokój powoli okręca się wokół ciebie, a po ścianach łażą robale. Żołądek kurczy ci się, żółć podchodzi do gardła. Wtem ktoś dotyka twojego ramienia. Podskakujesz na kilometr, dopiero potem uświadamiasz sobie, że to Liz. Łapie za twoje okulary. Po ich zdjęciu, pomieszczenie okazuje się wolne od robali i rotacji, zgrzytanie natomiast trwa dalej, mieszając się ze sporadycznymi strzałami z paintballowej broni.

– Idź! – krzyczy, przy samym uchu, żebyś ją usłyszała. – Powiedz Verity’emu!

Kiwasz głową, a ona popycha cię ku drzwiom – teraz, po zdjęciu zdradzieckich gogli, są widoczne. Przystajesz w wejściu i nakładasz na twarz twoje oficjalne gogle, ale zwały się kompletnie – widać w nich płynącą ścianę kolorowych literek. Pośpiesznie je ściągasz. Lepiej mierzyć się ze światem z gołą twarzą niż narażać się na chaos, od którego spieprzył się CopSpace.

Wypadasz na światło dzienne, mrugasz jak oszołomiony jeź, orientując się, gdzie co jest, potem bierzesz kurs na szefa, który stoi obok ciężarówki centrum dowodzenia.

– Bajzel tam jest... – zaczynasz.

Przerywa ci natychmiast:

– Potrzebują wsparcia?

– Nie jestem pewna. CopSpace zdechł. Inspektor kazał mi powiedzieć, że były tam jakieś elektroniczne zabezpieczenia. Teraz po omacku grzebią w swoich zabawkach.

– Dobra. – Bierze głęboki oddech. – Wracaj i znajdź Liz. Chcę być w kontakcie. Ej, wy tam! – Macha na ciężkozbrojnych z Wydziału S, którzy czekają przy swoich wozach interwencyjnych. – Ściągajcie te gogle, idziecie za panią sierżant i macie się dowiedzieć, czemu federalni tak tam świrują.

– Ale ja... – Nie ma sensu się skarżyć: szef wbił sobie do głowy, że to problem w stylu „drech w składzie porcelany” i jeśli nie przekonasz Kemala, żeby przestał rozrabiać i wypierdzenia, Verity wyśle za nim uzbrojoną grupę interwencyjną. A to dopiero będzie bajzel, nie? – Już lecę, sir.

Pędzisz z powrotem do hali i nurkujesz w drzwi, trzymając nisko głowę.

– Inspektor! – wrzeszczysz, przekrzykując harmider, jakby ktoś urządził tartak. – Gdzie jesteś?!

– Tędy!

Ledwo słyszysz jej głos i kierujesz się w jej stronę. Za kontuarem są drzwi i gabinet. Krzesła poprzewracane, na ścianie ogromny kleks fioletowej farby. Ale, co ważniejsze, jest ciemno. Pstryknięcie światłem nic nie daje, ktoś wyłączył prąd. Wyciągasz latarkę i ustawiasz

ją na szeroki snop, oświetlając sufit wyciągniętą ręką, potem pochylona skradasz się do drugich, wewnętrznych drzwi.

Tę salę najwyraźniej kiedyś, dawno, dawno temu, zaadaptowano na biuro o otwartym planie. Żeliwne filary rozstawione mniej więcej co cztery metry podpierają wysoki sufit z drewnianych belek – ale podłoga została podniesiona i wyłożona tymi beżowymi kafelkami, jakimi przykrywa się kanały z okablowaniem, a pod każdą łukowatą wnęką okienną wisi pudło klimatyzatora. Światła nie działają, w sali jest nie tylko ciemno, ale duszno, gorąco i głośno. Pod każdym filarem stoi wysoka szafa ze szklanym frontem, podobna do dawnej budki telefonicznej. Sięga prawie do sufitu. To one tak hałasują. Zaglądasz przez przyciemnioną szybę, trochę zaniepokojona i widzisz migające na rzędach aluminiowych obudów zielone i fioletowe diody. Jakieś routery, centralki telefoniczne czy coś w tym stylu. Każdy słupek zieje gorącym powietrzem, a przy tym na przemian syczy, trzeszczy i wyje, źródło prawdziwego hałasu znajduje się jednak gdzieś głębiej w budynku.

Liz znajdujesz pośrodku, klęczy obok eurogliniarza rzygającego na pusto do kosza na papiery. Okulary ma zdjęte, a gdy zerka na ciebie, wygląda okropnie.

– Nie zbliżaj się do schodów – ostrzega. – Maurice i Jacques cały czas sprawdzają, czy jest czysto, zanim wyłączą awaryjny generator.

Awaryjny generator?

– Szef za jakieś sześćdziesiąt sekund wyśle tutaj Wydział S – mówisz jej. – Kazał mi zostać twoim gościem.

– Rozumiem.

Facet w Czerni przestaje rzygać, przynajmniej na tyle, żeby stęknąć i się wyprostować, opierając się o filar. Liz zastanawia się.

– Powiedz szefowi, że wszystko jest pod kontrolą, ale mieli tu środki kontrataku elektronicznego. Na razie nikogo tu nie znaleźliśmy, tylko zapalone światło, ale jak wejdzie S-ka i zacnie strzelać, powystrzelamy się nawzajem.

– Kontrataku elektronicznego. – Rozglądasz się z niedowierzaniem. – I tylko o to chodziło?

– Nie – mówi zwięźle – ale za parę minut wszystko powyłączamy. Leć!

Trzeba Verity'emu przyznać, że stary pierdziel nie czepia się podwładnych bez powodu.

– Powiedz Kavanaugh, że ma piętnaście minut, chyba że wcześniej poprosi o wsparcie.

Niesiesz to z powrotem do serwerowni i przekazujesz.

– Dobra. Mario, lepiej ci trochę?

Mario siedzi teraz pod filarem, z koszem w zasięgu ręki. Kiwa słabo głową. Gogle leżą obok, oświetlając wykładzinę pokazem piorunów.

– Nic mi nie będzie. – Brzmi to mało przekonująco. – Reszta zaraz... – Przestaje mówić, bierze parę głębokich oddechów. – Są na górze, wszyscy poza Hildą i Franzem. Szukają generatora.

Prawie jakby ktoś go słuchał: rozlega się potężny, podwójny łoskot, podłoga aż podskakuje, a potem cichnący jęk tysięcy zatrzymujących się wiatraczków.

– Chyba znaleźli – mówisz i wbrew sobie chichoczesz. Po chwili widzisz, że Mario i Liz gapią się na ciebie jakby wyrosła ci druga głowa. Więc przestajesz.

– Chodźmy, poszukajmy Kemala – mówi Liz. – A co to w ogóle jest?

– Serwery kasetowe, tak zwane bladey, wieloprocessorowe. – Mario z trudem zbiera się na nogi. – W każdym racku jest dwieście pięćdziesiąt takich blade'ów. Na każdym tyleż samo rdzeni procesorów – a każdy rdzeń jest tysiąc razy mocniejszy od waszych telefonów. Tu jest mocy przetwarzania za milion euro. – Człapie do wnętrza serwerowni, plecy ma zgięte jak starzec. – Trochę dziwne miejsce na serwerownię, co?

Zerkasz na Liz, ta odwzajemnia spojrzenie i wzrusza ramionami. Mówisz jej „ICE” – samymi ustami, a ona tylko się wzdryga.

– Czyje to jest? Skąd się wzięło? – pyta.

– Dobre pytanie.

I takie, na które Mario, szybko dochodzący do siebie, nie ma ochoty odpowiadać. Zerkasz przez szklane drzwiczki, świecąc do środka latarką. Płytki w środku noszą napisy LENOVO.

Mario kieruje się na drugi koniec serwerowni, Liz depcze mu po piętach. Trzymasz się za nią, wszystko rejestrując (przynajmniej masz taką nadzieję). Na drugim końcu są drzwi przeciwpożarowe, a za nimi schody na górę – oraz kolejna para przeciwpożarowych drzwi z jakimś migającym alarmem i czujnikiem gazu obok; pojawia się także sam Kemal, akurat zbiega z góry.

– Tam nie! – woła.

– Czemu? – pyta Liz, zerkając na migające światełka przy drzwiach.

– To może nie być bezpieczne. – Wzrok za goglami ma pusty. Oświetlasz panel latarką: wydaje się, że mówi, że nie ma problemu.

– Jasne – odpowiada Liz, mocno ironicznie. – Rozumiem. – Napiera na drzwi, zanim Kemal czy Mario zdążą ją powstrzymać. – To co tam jest?

Kolejna serwerownia, tylko dużo mniejsza, a pośrodku wszystkiego stoi iście frankensteinowska machina, jak rekwizyt z taniego horroru. Butle sprężonych gazów, masa cienkich rurek i zaworków, a wszystko zbiega się przy czymś, co przypomina stalowy termos z piekła rodem, siedzący pod przemysłowym wyciągiem z prowadzącą do sufitu gigantyczną

rurą. Obok stoi jeszcze jeden stojak z migającymi i błyskającymi lampkami, widać, że ma niezależne źródło zasilania. I jeszcze do tego to ustrojstwo paruje, wokół szyi wije się strużka chłodnych, dymnych wyziewów.

– To jest groźne? – pytasz.

– Proszę nie podchodzić! – odzywa się ostro Kemal. – To może być bomba.

Coś jest na rzeczy, ale słyszałaś już dziś za dużo ściemy, żeby mu wierzyć na słowo. Zresztą, co za bałwan opakowywałby bombę w efekty specjalne z suchego lodu i migające diody? Odpinasz kamerkę i obchodzisz maszynię powoli, wodząc obiektywem w górę i w dół, żeby wszystko zarejestrować.

– Ej! – syczy Kemal. – Proszę za blisko nie podchodzić. – Rusza ku tobie.

W tej samej chwili czujesz dziwne szarpnięcie, jakby twoja kamerka ożyła. Spłoszona, odskakujesz i wbijasz wzrok w termos. Stoisz o dwa metry od niego. Czujesz na skórze chłodny opar: starasz się tego nie wdychać, omiatając całą scenę kamerą, potem cofasz się o krok.

– To jest niebezpieczne? – dopytuje się Liz. – Bo jeśli tak, to musimy ewakuować...

– To też jest serwer – mówi ostrożnie Kemal – ale nie taki ze sklepu. Właściwie, to on tutaj... Nie ma prądu – dodaje cicho. – Wiatraki się nie kręcą.

– Ile czasu, zanim dojdzie do temperatury krytycznej? – pyta Mario, tuż za nim.

Kemal prawie podskakuje.

– Nie możemy ryzykować! Ma być nieuszkodzony!

– Powiedzcie, o co tu chodzi – nalega Liz.

Kemal chrząka, jak rozgniewana Świnia.

– Całej tej maszynierii nie powinno tu być. Takich serwerowni nie wstawia się, ot tak, na byle przedmieście, trzeba się dogadać z firmą energetyczną, żeby podciągnęła dodatkowe kable i tak dalej. W tej drugiej sali jest dosyć procesorów, żeby podsłuchiwać wszystkie pakiety internetowe i rozmowy głosowe w całej Szkocji. A to... – wskazuje na dymiącą maszynę – ...to pewnie jest komora chłodząca z procesorem kwantowym...

Trzaśnięcie drzwi w sąsiedniej sali. Słyszysz podniesione głosy, gniewne głosy i kroki. Liz machnięciem każe ci ustawić się z boku drzwi, ty dyskretnie wyciągasz spray pieprzowy. Kiwa nieznacznie głową i cofa się o krok.

– ...nie obchodzi mnie! Nie wolno panu tu wchodzić!

– ...że ci kretyni zapytają najpierw w europejskiej centrali...

Drzwi otwierają się z hukiem. Liz już stoi za nimi, z wyciągniętą blachą.

W drzwiach pojawia się jeden z przydupasów Kemala, pogrążony w wymianie obelg ze

znajomą postacią, Barrym Michaelsem, dyrektorem technicznym Hayek Associates – oraz kimś jeszcze, w średnim wieku, czerwonym na twarzy. Włosy Barry’ego są jeszcze bardziej rozczochrane niż w zeszły czwartek, kiedy wpadłaś mu do sali konferencyjnej. To on przeważnie krzyczy. Przydupas Numer Jeden natomiast stracił trochę pewności siebie godnej Faceta w Czerni. Może ma to jakiś związek z twoim spostrzeżeniem, że Barry, który nie tylko wygląda jak przerośnięty uczeń elitarnej szkoły, ale jest zbudowany jak rozgrywający rugbista elitarnej szkoły – trzyma go za klapy nieskazitelnego garnituru i w zasadzie go tutaj prowadzi...

– Nie ruszać się – mówi stanowczo Liz. – Jest pan aresztowany.

Odsuwasz się na bok, trzymając obu w zasięgu gazu pieprzowego.

Barry prycha zde gustowany.

– Nie jestem. Panie komendancie?

Gapisz się poza niego, na faceta w kraciastych spodniach i okropnym kanarkowym sweterku, o jakby znajomej twarzy. Liz tak samo.

– Jasna cholera – mówi cichutko.

– Może to pani powtórzyć. Jeśli sobie pani życzy – mówi zastępca komendanta McMullen, ewidentnie zły, że ktoś go tu ściągnął z pola golfowego w dzień wolny od pracy. – Pani inspektor, proszę robić, co ten człowiek powie. Wszystko. Jasne?

Liz ma niezłą minę.

– Sir?

Barry odchrząkuje.

– Pani inspektor, proszę odwrócić się twarzą do ściany. Proszę zapomnieć o wszystkim, co tu pani widziała. – Po chwili zerka także na ciebie. – Pani sierżant, pani to też dotyczy.

– Ale...

– Róbcie, co mówi – rzuca stanowczo McMullen. Wydaje się strasznie zrezygnowany. – On tu jest szefem.

Z wahaniem opuszczasz gaz pieprzowy.

– Co jest? – pytasz, niewytłumaczalnie dumna z siebie, że odruchowo nie zapytałaś: „Co jest, kurwa?”.

– Nieporozumienie – mówi Michaels. – Nie wasza wina, panie McMullen, to nie wina waszych ludzi, nikogo z miejscowych. Kemal zapomniał zawiadomić europejską centralę, co chce zrobić. Powiedzieliby mu, że ma to zostawić w spokoju, ale on musiał sięgnąć po złoto, prawda, Kemal? Teraz musimy tu siedzieć i się nie ruszać, póki nie przyjedzie ekipa serwisowa, nie zamiecie śmieci pod dywan i na nowo wszystkiego nie postawi. Inaczej... – Pociąga nosem. – Z tą twarzą do ściany mówiłem poważnie, pani sierżant.

Zerkasz na Liz. Kiwa głową. Odwracasz się.

– Muszę skonfiskować pani nagrania dowodowe – dodaje przeproszającym tonem.

– Co? – nie możesz się powstrzymać. – To nielegalne!

– Przekona się pani, że dla mojego departamentu uczyniono wyjątek. – Mówi z olimpijską pewnością człowieka, który może używać zastępcy komendanta jak osobistej legitymacji. Ewidentnie góruje rangą nad Kemalem i jego Facetami w Czerni. Cholera, chyba nawet nad ministrem. Co to ma znaczyć? – Musimy poczekać na nasz serwis. To nie potrwa długo.

Kemal odchrząkuje.

– Nie ma prądu. Ten pana kwantowy gadżet jest stabilny? Czy, jak się zagrzeje...

– To nie moja branża, kolego. Ja jestem od ludzi. Myślę, że nasi serwisanci poradzą sobie, jak tylko wróci napięcie... a za przestój dostaniecie fakturę...

I w tym momencie wielki elektromagnes zdycha.

Elaine: System Pada, Giną Ludzie

To przez ciebie Jack omal nie został aresztowany. Ale czego się spodziewałaś?

Na szczęście wszystko nagrały kamery i to on ma dziurę w kurtce oraz popsuty sprzęt elektroniczny, nie mówiąc już o fakcie, że najbliższym odpowiednikiem noża w jego posiadaniu jest multitool z dwuipółcentymetrowym ostrzem. Ale potem... jesteś tak wściekła, że masz ochotę się kopnąć, albo lepiej kopnąć tego kretyna w mundurze ochrony, który zadzwonił na policję i zameldował, że to Jack na kogoś napadł. Na kogoś, kto w tym czasie pewnie już zbiegł aż za chiński firewall i stał się, jak to mówią psy, Niemożliwy do Doprowadzenia.

Równie szczęśliwym zbiegiem okoliczności, konstablowi chciało się przesłuchiwać świadka naocznego przed wykonaniem jakichś gwałtownych ruchów. No więc, zamiast wypełnić nakaz aresztowania, sporządził wniosek o wydanie nagrań z monitoringu. Jakoś w ciągu najbliższych paru tygodni asy ze Strathclyde przejrzą je i zweryfikują czy doszło do popełnienia przestępstwa.

Oczywiście działałaś z mylnym przekonaniem, że mężczyźni i kobiety w mundurach z napisem OCHRONA faktycznie mają kogoś chronić, a nie tylko pilnować, żeby zwiedzający nie wychlali całej sherry w plastikowych kubeczkach serwowanej u niektórych co bardziej optymistycznych wystawców: widocznie to typowe dla Glasgow, popełnienie przestępstwa napędza radością ich srogie prezbiteriańskie serca (patrzcie no, członek klasy przestępczej rzeczywiście pracuje!), a skarga poszkodowanego to okazja do narzekania na wskaźniki wykrywalności, oczernianie imienia naszego pięknego miasta i tak dalej.

Dlatego właśnie po dwóch godzinach stoisz na ulicy przed centrum konferencyjnym, kilometry od czegokolwiek (nie licząc paru wysokich hoteli, zabytkowego portowego dźwigu wielkości wieży Eiffela, oraz statku międzygwiazdowego projektu Fostera, który jakby trochę pomylił drogę do lądowania na londyńskim Docklands), próbując wydobyć ze zszokowanego i zestresowanego Jacka namiary na jakieś schronienie. To bowiem Glasgow: tu pogoda częstuje cię kreatywnym połączeniem wyziębienia i oparzeń słonecznych – a teraz akurat ma na gramofonach didżejski miks sześciu huraganów El Nino, monsunu i suszy.

Zresztą, po stresującym starciu najważniejsze to opanować poziom cukru we krwi, więc tym postanawiasz się zająć w pierwszej kolejności.

– Chodź, Jack, jedziemy do centrum i spróbujemy znaleźć jakiś lunch.

Jack stęka i mruczy coś niezrozumiale. Zamknął się w sobie, jak ślimak w muszli, odkąd trepy z ochrony wywaliły was z wielkiej stonogi – i to nie chodzi tylko o brak parasola.

– Kretyn ze mnie.

Wiesz z doświadczenia, że nie powinnaś się z tym podsumowaniem zgadzać, ale nie powinnaś go także kwestionować.

– Nie, prawdziwy kretyn to ten kretyn z plakietką. Ty na razie nie, ale mianuję cię kretynem, jeśli zaraz czegoś nie zjesz i nie rozluźnisz się trochę. Resztę dnia masz wolną. Rozumiesz?

Pojawia się cień uśmiechu.

– Jazda pociągiem i tak się nie liczy do godzin. – Prostuje się jednak trochę i zaczyna iść, ze skrzywioną twarzą. – Kto to jest Guoanbu? – pyta, starannie wymawiając to słowo. – Jakiś chiński klan farmerów z gier?

Kręcisz głową.

– Pierwsze słyszę. Wrzuć do Google'a.

– No dobra. – Napina rękę. – Mogę wezwać taksówkę?

– Ja to zrobię. – Dzwonisz do pierwszej korporacji, jaka wyświetla się w okularach. Obiecują, że auto podjedzie w ciągu dwóch minut. – Coś wyskoczyło?

Zauważasz wyraz jego twarzy. Znów się głupio wytrzeszcza, jak to ma w zwyczaju, kiedy coś go zaskoczyło, a nie pamięta, że jest w publicznym miejscu. Pewnie taką samą, tylko embrionalną minę musiał zrobić, kiedy położna dała mu klapsa.

– O, kurwa – mówi, a potem mięśnie twarzy mu drgają i wracają pod kontrolę. – O Jezusie na deskorolce. Ja pierdolę.

– Cooo? – Pada deszcz, jesteś zła na siebie, a teraz także na Jacka: pięści na biodrach i potężna ochota na odgryzienie komuś głowy. (Szkoda tylko, że konsekwencje byłyby przykre). – Może tak byś wyjaśnił? Czy klniesz na deszcz, bo jest mokry, albo coś w tym rodzaju?

Przełyka ślinę.

– Znalazłem, co to jest to Guoanbu – mówi. – Patrz.

Rzuca ci znacznikiem w okulary. Otwarcie trwa chwilę.

Potem widzisz: GUOJIA ANQUAN BU. MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO. Guoanbu to skrót, skrótowiec, czy jak tam się po mandaryńsku określa odpowiednik nazwy typu KGB, CIA, MI6 czy Mossad. NIELEGALNY TRANSFER ZATRZYMANEGO NOCNYM LOTEM DO GUANZHOU.

– Chen bał się, że „Guoanbu wytnie mu nerki” jeśli ich sypnie. Powiedział, że chce dwa miliony i program ochrony świadków. Wtedy właśnie uciekł. – Jego twarz, pokryta chłodną mżawką, jest błada. – W co my się władowaliśmy?

Czarny minivan bez kierowcy ze znakiem TAXI na masce podpływa do krawężnika i otwiera drzwi.

– Wygląda mi jak gra w *Szpiegów* – mówisz lekko i wsiadasz. – No chodź, coraz większy ten deszcz.

Mapa mówi ci, że grupka interesująco wyglądających restauracji jest na West Endzie, mówisz więc kierowcy z centrum obsługi, żeby was tam zawiózł. Ma trochę kłopotów ze zrozumieniem twojego akcentu, ale za trzecią próbą udaje ci się przekazać swoje życzenie; rozsiadasz się wygodnie i patrzysz, jak kierownica drga w uściskach poltergeista, pod zalaną strugami deszczu szybą. Kamerki internetowe są pewnie w światłach przednich i tylnych; masz w każdym razie nadzieję, że kierowca widzi drogę lepiej niż ty.

– Wiesz, dokąd jedziemy? – pyta niespokojnie Jack. – W Glasgow to ja się gubię.

Mówi metaforycznie, oczywiście nikt się w dzisiejszych czasach nigdzie nie gubi.

– W życiu tu nie byłam – rzucasz wesoło – ale znalazłam jakieś fora z recenzjami knajp i nakładką z mapą. Jak ci się to podoba: kuchnia fusion, współczesna rosyjska i wschodnioeuropejska, niemieckie piwa, bar z wódką po sąsiedzku i sowiecki wystrój? Stavka się nazywa.

– Stavka? W Dundee jest taka jedna – odpowiada lekceważąco. – Ujdzie, ale trochę za dużo wałą kapusty i baraniny.

– No dobra... – Taksówka okrąży rondo a potem raptownie dodaje gazu, zmuszając cię do złapania za uchwyt. – To najwyżej zobaczymy, co jest po sąsiedzku.

– Po sąsiedzku, czyli na Sauchiehall Street, tak? Zaraz, to czemu tędy jedziemy?

Coś w jego tonie każe ci raptownie usiąść prosto – pas bezpieczeństwa przywołuje cię jednak do porządku.

– To znaczy?

– Sauchiehall jest tam – mówi.

– Może jest jednokierun... – Milkiesz. Widać, że był tu wystarczająco wiele razy, by przynajmniej kojarzyć nazwy ulic. Gdy taksówka przyśpiesza, po drugiej stronie drogi przemyka motorower. Potem dzwoni twój telefon. – Co się dzieje?

– Odbierz – proponuje. – Ja to załatwię. Halo, kierowca? – mówi do mikrofonu z czerwoną diodą pod pustym fotelem szofera, a ty widzisz, że telefon jest z zastrzeżonego numeru.

– Kto mówi? – Podkręcasz głośność, żeby coś słyszeć w ulicznym hałasie.

Znajomy trójtaktowy dzingiel, potem:

– Agentka Barnaby? Tu Prowadzący Szpiegów.

Powstrzymujesz jęk; to chyba najgorszy możliwy moment na to by szpiegowski Mistrz Gry przydzielał ci kolejne zadanie. Z drugiej strony, możesz to nagrać i zająć się tym później.

– Kod uwierzytelniający: Mapplethorpe maluje róże.

– Nagraj mi się na skrzynkę, jestem teraz zajęta. – Starasz się, żeby to zabrzmiało energicznie, ale profesjonalnie.

– Jesteś w taksówce w Glasgow – kontynuuje robot z centrum obsługi Szpiegów, a w jego tonie pojawia się nutka pośpiechu. – Niestety, jej zdalna obsługa została spenetrowana przez grupę do czarnych operacji Guoanbu. To nie jest gra.

– Co. Za. Cholera? – Wytrzeszczasz oczy na pozbawioną wycieraczki szybę, podczas gdy Jack bardzo głośno i niecierpliwie gada do mikrofonu i dociera do ciebie, że taksówka przyśpieszyła do dopuszczalnej szybkości, centralny zamek jest zamknięty, a między tobą a przyciskami do kierowania znajduje się pleksiglasowa szyba.

– Zamachowcy z Guoanbu używali już takiej techniki. Przejmują taksówkę lub samochód, prowadzą go w odpowiednio odludne miejsce i rozbijają. Wzięli was na celownik przez wasze śledztwo w sprawie wycieku w Hayek Associates. Nie możemy poinformować policji, żeby was przechwyliła, nie zdradzając, że wiemy o ich przeniknięciu do naszej infrastruktury, a to może doprowadzić do poważnego incydentu. Musicie wydostać się z taksówki, kiedy stoi na światłach, albo włamać się do kabiny kierowcy i ją zatrzymać. – Jack krzyczy i wali w przycisk opuszczania szyb. – Zadzwoń, kiedy będziesz mieć czas – mówi szpieg, po czym telefon milknie.

– Kurwa. – Przekleństwa nic nie pomogą, ale w takich okolicznościach... Rozglądasz się w lewo, w prawo, znów w lewo: samochody, deszcz, zamazany ciąg pędzących, trzypiętrowych czynszówek zbudowanych z czerwonego piaskowca. – Jack, trzeba się stąd wydostać!

Jack odwraca się. Ma panikę w oczach.

– Słyszałem! – Wali dłonią w zatrask na poliwęglanowej przegrodzie, znów klnie.

Taksówka jedzie mniej więcej sześćdziesiątką, wjeżdża prosto do dwupasmowego, betonowego tunelu – w tej części kraju, jak się zdaje, lubią takie brutalistyczne drogowe konstrukcje – a on odpiął pas, żeby móc sięgnąć do szyby. Jeśli porywacz postanowi wycelować w najbliższy filar, z Jackiem koniec – ale nie, kamera w kabinie pasażerskiej zwisa jak wyłupione oko. Przez myśl przelatują ci kolejne scenariusze: most? Nie, za duża szansa, że służby kogoś uratują. Poczekają, aż wyjedziecie z miasta i wtedy wjadą do wąwozu, do rzeki, albo do morza. Kamerki wydłubane, żeby nic się nie zapisało w czarnej skrzynce, środek ostrożności zapobiegliwego samochodowego mordercy. Niezdyscyplinowani pasażerowie włamali się do kabiny kierowcy, nikt poza nimi nie ponosi odpowiedzialności. Do tego się to sprowadza, w końcu to zamach przez SPGL. Co osobliwe, na plecach czujesz lodowatą warstewkę potu, ale nie jesteś przestraszona ani spanikowana – grałaś w tę grę sto razy, przyczepiałaś plastikowe pudełeczka na ścianach konsulatów, robiłaś innym szpiegom za

ogon na ruchliwych miejskich ulicach, podrzucałaś przesyłki do skrzynek kontaktowych...

Aaa.

– Jack, musimy się dostać do kabiny. Wiem, co trzeba zrobić. – Przyciski na kolumnie kierownicy drwią z ciebie, takie łatwe do naciśnięcia, ale kompletnie niedostępne. Dłonie jak automat rozpinają pas bezpieczeństwa. – Dawaj multitoola.

Sięga do kieszeni, wyciąga go, podaje ci odwrotną stronę.

– Po co?

Obracasz go w dłoniach, bryłę obrobionego skrawaniem tytanu z dziwnymi wcięciami i wypukłościami, frustrująco niezrozumiałą akurat, kiedy ci się śpieszy.

– Chcę odkręcić ten zatrzask.

– Aaa. – Garbi się na składanym siedzeniu. – Ale...

– Mamy czas – zapewniasz go, choć sama nie masz pewności. Zimny pot leje się obficie.

– Daj mi to. – Bierze multitoola. Dłonie ma duże i ciepłe, paznokcie równo przycięte, ale palce wskazujące dziwnie wygięte, prawie jakby miały zakrzywione końcówki.

Zauważasz to, wkładając mu narzędzie w dłoń. To zabawne, jakie rzeczy się dostrzega, stąpając po cienkim lodzie nad zimnym morzem paniki.

Jack kuca, odsuwa z drogi składane siedzenie i klęka na podłodze, żeby zerknąć na blokadę przesuwanego okienka. Obraca narzędzie, różne rzeczy wysuwają się z niego i chowają, potem zaczyna równomiernie kląć konwersacyjnym tonem.

– Mam.

Czarna śruba wypada i znika na podobnie czarnym dywaniku. Potem kolejna. Zabudowa po obu stronach drogi przerzedza się, taksówka podskakuje i przechyla się, włączając się w strumień wyjeżdżających z miasta pojazdów, cały czas trzymając się najszybszych pasów i starając się jechać z maksymalną przepisową szybkością. Spóźniona myśl sprawia, że się wzdrygasz – może trzeba było otworzyć okno albo drzwi? – po czym wyobrażasz sobie, jak wypadasz w gęstym ruchu z szybko jadącej taksówki. Wypada trzecia śruba.

– Cholera. Ta jest wyrobiona.

– Co...?

– Daj mi buta.

Uświadamiasz sobie, że on jest w trampkach. Szybko rozwiązujesz jeden but, dziękując opatrności, że znów w modzie są okrągłe czubki i platformy. Twoje mają zaledwie parę centymetrów, ale wystarczają, by Jack mógł użyć ich jako młotka, wbijając płaskie ostrze pilnika z multitoola pomiędzy uchwyt i pleksi, podważając, aż...

– Jest! – Spłoszony patrzy na ciebie przez ramię. – Co teraz?

– Wyciągnij rękę i włącz autopilota – wyjaśniasz. – Jak przejdzie na auto, będzie kierował się znakami przy drodze i przestanie słuchać zdalnego kierowcy. – Przynajmniej masz taką nadzieję. – I jak nic się nie stanie, będziesz mógł przejść na ręczne sterowanie.

Patrzy z dezorientacją.

– Ale ja nie umiem jeździć!

– To przypnij się i nie przeszkadzaj. – Nie jesteś pewna, czy dasz radę: jesteś z Londynu, nie masz samochodu, twoje prawo jazdy to tylko drugi dowód tożsamości, ale taksówka przyśpiesza, ruch przersedza się, zabudowa robi się sporadyczna. – No dobra. Teraz uwaga.

Odsuwasz płytę na bok i łapiesz kierownicę. Okienko jest za wąskie, żebyś precyzyjnie się cała, mieści się tylko lewa ręka, sięgająca do fotela kierowcy po prawej, a alarm, który rozlega się po otwarciu okienka jest ogłuszający: taksówka niebezpiecznie zarzuca w stronę pobocza, a ty dźgasz palcami guziki, łamiąc sobie paznokiec i boleśnie obcierając knykcie, gdy koło kierownicy zaczyna się kręcić...

Naprostowuje się – to autopilot zaczyna kierować się oznaczeniami na drodze...

Za ostro.

Głupie serwomechanizmy mają swoje ograniczenia. Z zewnątrz dobiega ryk klaksonów, później potworny huk miażdżonej blachy z tyłu – wrzuca cię z powrotem do przedziału pasażerskiego. Taksówka, kręcąc się, przejeżdża przez pas rozdzielający i sunie prosto pod nadjeżdżające światła.

A potem wszystko przestaje mieć sens.

Jack: Klauzula przeciw wariatom

Kiedy byłeś mały, często śnił ci się koszmar o wypadku samochodowym. Siedziałeś, za kierownicą, wyglądałeś znad deski – byłeś za niski, żeby sięgnąć do pedałów, i za młody, żeby umieć prowadzić – a auto zataczało się po drodze, jechało slalomem, silnik ryczał i wyl, światła nadjeżdżających samochodów pędziły ku tobie w symfonii giętej blachy i bólu – wtedy budziłeś się nagle, rozdygotany ze strachu, w mokrej od potu pościeli.

To zupełnie nie przypomina tego snu. Przede wszystkim, we śnie nie śmierdziało palonym plastikiem i prochem, nic nie wystrzeliwało z podłogi i nie waliło cię w twarz jak halucynacyjny żółty grzyb, podczas gdy w oknach, z odgłosami jak strzały z pistoletu, wzdymają się nabrzmiałe kurtyny. Po drugie, zawsze byłeś sam, nie bałeś się jak cholera, że w strefie zgniotu znajdujesz się razem z koleżanką, którą rzuca jak szmacianą lalką.

Taksówka nie była całkiem głupia. Odłączona od zbrodniczego porywacza, sensownie uznała, że jej nowy kierujący jest odurzony albo inaczej obezwładniony. Już przejeżdżając przez środkowy pas, hamowała wystarczająco mocno, żeby zostawić na asfalcie, niczym ślimak, pas czarnej gumy, odpaliła wszystkie poduszki powietrzne w środku i na zewnątrz oraz wysłała ostrzeżenie do nadjeżdżającej kawalkady aut. Do momentu pierwszego zderzenia zdążyła zwolnić do dwudziestu kilometrów na godzinę, a pechowy drugi uczestnik kolizji właśnie wykonywał awaryjne hamowanie z sześćdziesięciu. Dźwięk dartego, giętego metalu trwał w nieskończoność, jak smyczkowa symfonia w tle, niemal zagłuszona przez perkusyjne strzały poduszek i wrzask w twojej głowie. W rzeczywistości wszystko ucichło po kilku sekundach.

Smród azotanów aż dusi, a w powietrzu jest pełno pyłu. Poduszki, spełniwszy swoje zadanie, zaczynają się opróżniać. Majstrujesz przy pasie bezpieczeństwa, szukając przycisku, potem próbujesz sięgnąć na drugą stronę wydętego słupa żółtego plastiku.

– Elaine? – Ledwie słyszysz własny głos. – Nic ci nie jest...?

Spychasz słup z drogi i widzisz nogi i tułów Elaine uwięzione w masie plastikowych bąbli. (Kabina kierowcy to jedna ściana żółtych balonów). Gapisz się z przerażeniem na koniec własnego świata, prawie pewien, że została przecięta na pół. Ale nie ma krwi, a nogi się poruszają.

– Pomóż mi, nie mogę oddychać...

Prawie mdlejesz z ulgi, gdy żółta ściana rozdziela się, a Elaine spada ci prosto w objęcia.

– Au, cholera! – Bierze głęboki oddech i tężeje. – Auć, kurwa, chyba sobie obitałam zebra.

Gapisz się z rozdziawioną gębą, z ulgą, a do rozjazgotanej jaszczurki tyłomózgowia

wreszcie dociera, że koszmar skończony.

Jej głos brzmi dziwnie. Masa poduszek powietrznych w kabinie pasażerskiej powoli opada, z jednej strony są wymazane krwią. Inteligentne poduszki; może po prostu wpadła między nie i została unieruchomiona jak mucha w bursztynie – w innych czasach zginęłaby, wypadła przez szybę i rozsmarowała się na twardej nawierzchni, albo złamałaby jej kark, wybuchając prosto w twarz, durna rękawica bokserska pełna gorących gazów, dzisiejsze poduszki wiedzą jednak gdzie jesteś i odpalają się synchronicznie, żeby bezpiecznie wyhamować i unieruchomić lecącego w powietrzu pasażera.

Czujesz się słabo, w środku masz papkę, a w głowie jeden wir. Płat mamusiny krzyczy coś o Konsekwencjach, nie mówiąc już o niebezpiecznej jeździe i wzywaniu pogotowia, ale choć raz jest przegłosowany: po prostu cieszysz się, że ona żyje, że jest cała i że mogłeś ją złapać.

– Uciekajmy stąd – słyszysz stanowczy głos jakiegoś innego „ciebie”. Ryzyko, że ktoś jeszcze wjedzie w ten wrak nie jest zbyt duże, ale nie masz na razie ochoty na dalsze kuszenie losu. – Naprawdę mnie przestraszyłaś...

– Sama też się przestraszyłam. Chodźmy. – Bierze głęboki oddech. – Mój telefon...

– Czekaaj, ja.

Majstrujesz przy multitoole – jakimś sposobem go nie zgubiłeś – i przekłuwasz część poduszek, ona zaś kręci się i pełza po podłodze, podczas gdy ty próbujesz precyzyjnie się do najbliższych drzwi. Są zakleszczone i wgniecione do wewnątrz, na szybie pajęczyna pęknięć. Na szczęście, jest awaryjna dźwignia; gdy ją pociągasz, drzwi grzechoczą głośno i wypadają ci z ręki, odrywając się z zawiasów. „Zepsułeś!” – jazgocze płat mamusiny. „Będziesz musiał zapłacić!”.

– Mam – mówi ona i chwilę później oboje stoicie pod zimnym, szarym deszczem. – Ej, te inne auta...

Żołądek zwija ci się w supeł, przetykasz z powrotem kwas, wstrzymując oddech, i patrzysz poza taksówkę. Błyszczący range rover, nówka, z wygiętą do góry maską. Drzwi kierowcy ma otwarte, ale poduszki nienaruszone. Ruch zwolnił. Przez moment jesteś z powrotem w swoim koszmarze.

– Dzwon do swoich kolegów – mówisz ze zdradzieckim dygotem w głosie – potem na policję. – Nogi masz jak ołowiane ciężary, za to głowę zbyt lekką, a to wszystko łączą kolana wykonane z galarety, idziesz jednak w stronę terenówki, pełen obaw, co tam zastaniesz.

Otwierają się tylne drzwi range rovera, pojawia się para stóp. „Za małe”, mówisz sobie. Szukają podestu, potem schodzą na jezdnię i nagle uświadamiasz sobie, że należą do dziecka – dziewczynki? W szkolnym mundurku. Blondynka, mniej więcej dziesięć lat, bardzo poważna

mina. Rozgląda się zdziwiona, a ty machasz ręką.

– Tutaj! Na chodniku!

Elaine za twoimi plecami gada przygarbiona przez telefon. Dziewczynka idzie powoli ku tobie, kręcąc głową to w stronę range rovera, to wraku taksówki.

– Mama będzie zła – mówi głosem ociekającym niewinną grozą. Z zainteresowaniem: – Jest tam kierowca? To wy to rozbiliście? On nie żyje?

– Nie! – oglądasz się na Elaine. – Byliśmy pasażerami, taksówka była zdalnie sterowana. Coś się zepsuło, moja koleżanka dzwoni po policję. Nic ci się nie stało? Ktoś jeszcze jest w samochodzie?

– Tylko ja. Mama wysłała samochód, bo musiałam wcześniej wyjść.

Uświadamiasz sobie, że serce ci dudni, czujesz się, jakbyś miał zemdleć.

– Krew ci leci z ręki. Skaleczyłeś się?

– Pewnie tak. – Siadasz ciężko na ziemi.

Świat wiruje. Obok taksówki powoli przeciska się furgonetka, zatrzymuje się zaraz przed nią. Słyszysz dobiegający z oddali własny śmiech – przez parę sekund nie dociera do ciebie, że to dzwoni twój własny telefon.

Później dzieje się coś takiego:

Pierwszy na miejscu jest policjant. Parkuje w poprzek drogi, jego migające światła odbijają się czerwonymi odblaskami od rozbitego szkła i wody. Wysiada i natychmiast wzywa karetkę.

– Nie ruszajta się – mówi troskliwie, potem Elaine coś mu z ożywieniem tłumaczy.

Parę minut później dociera karetka. Dwoje miłych ludzi w zielonych kombinezonach, z identyfikatorami głoszącymi „SUSAN” i „ANDRE”, zadaje ci parę niepozostawiających wątpliwości pytań.

– Jestem Jack – mówisz ze znużeniem. – Wiem, kim jestem, wiem, który jest rok. Tylko trochę kręci mi się w głowie. – I jest mi zimno i mam dreszcze.

W tym momencie oni całkiem niepotrzebnie przypinają cię plecami i barkami do płaskiej płyty, wyciągają nosze i ładują cię do wielkiego białego pudła pełnego nieodgadzionych medycznych gadżetów. Podczas tej procedury znów dzwoni twój telefon, więc przełączasz go na cichy tryb.

Nieokreślony czas później SUSAN podchodzi i siada na rozkładanym siedzeniu obok, a ambulans dokądś jedzie.

– Gdzie jedziemy? – pytasz.

– Do najbliższego ambulatorium – wyjaśnia życzliwie SUSAN – żeby pana zbadali. O

koleżankę proszę się nie obawiać, siedzi z przodu.

Następuje nieprzyjemne interludium pełne jęków zawieszenia i łamiących szczękę podskoków na progach zwalniających o morderczych skłonnościach: potem szybkie dokowanie przy rampie ambulatorium, gdzie pielęgniarka błyskawicznie podłącza cię do monitora diagnostycznego, a paru diagnostów wyrokuje, że to tylko łagodny wstrząs, a nie, dajmy na to, skręcony kark. I zostawiają cię w spokoju.

Nieokreślony czas później – wystarczająco długo, żebyś się nachmurzył i zaczął myśleć: a co by było, gdybym naprawdę był chory? – zasłonka się porusza. Próbujesz usiąść na łóżku, tymczasem do środka zakrada się Elaine.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Nie jakoś super, ale lepiej niż przedtem. Nudzę się. – Próbujesz wzruszyć ramionami, ale na leżąc to trudne. Nie chcesz okazywać, jak się cieszysz, że ją widzisz, więc ciągniesz ją za język, żeby gadała. – Policja robiła jakieś problemy?

Krzywi się.

– Nie. Okazuje się, że taksówka przekraczała dozwoloną prędkość. Kiedy powiedziałam, że była niekontrolowana, zrobili się życzliwi i współczujący. I wyszło, że to już trzecia w tym tygodniu.

– Trzecia...

– No właśnie. – Patrzy na ciebie z namysłem. – Śmierdzi na kilometr, nie? Chyba powinniśmy wrócić do Hayka, znaleźć sierżant Smith i wyśpiewać wszystko jak walijski chór górniczy.

Śmierdzi. Można to ująć jeszcze inaczej – tysiąc za godzinę to dobry pieniądz, ale za mało, żeby pokryć dźganie nożem, miażdżenie, topienie czy inne próby okaleczenia w trakcie wykonywania obowiązków. A już zwłaszcza nie w ramach jakiejś cholernej gry terenowej.

– No, taaa. I ten telefon od Szpiegów. W taksówce. Nie wiedziałem, że grasz w Szpiegów.

– Jakiś konkretny powód? – Mruży oczy, szukając oznak lekceważenia.

– To dość interesujący zbieg okoliczności... Kiedyś sporo grałem w Szpiegów. Ale nie zdarzyło mi się nigdy, żeby gra mi powiedziała, że zostałem porwany. – Proszę, powiedziałaś.

– Właśnie. Przez Guoanbu.

Otóż to. Starasz się zebrać rozbiegane myśli.

– Ten gość. Jak próbował mnie dźgnąć nożem. Nie. Wcześniej. Chciał azylu, Elaine. Co to miałyby być za gra, w którą graliśmy według niego?

– Szpiedzy. – Patrzy na ciebie, jakby się spodziewała, że roześmiesz się jej w twarz. – Tak wychodzi. – Przychodzi ci do głowy myśl. – Może on po prostu był pieprzony. Trafiają

się tacy, schizofrenicy, którzy swój kontroler traktują jak Boga, „M” albo coś podobnego. Jak pracowaliśmy nad *Steaming*, myśleliśmy właśnie o takim kreatorze, podczas zakładania konta, który by robił jakieś profilowanie psychologiczne, żeby odsiać takich typów.

– Ale... – zagryza wargę – ...ja nie mam ciebie za wariata. A ty mnie? – pyta.

– Nie.

– Długo w to grasz? – pytasz ty.

– Jakies trzy lata. Bo co?

– Tak się zastanawiam. – Ty zacząłeś nawet wcześniej, LupuSoft oczekiwało że będziecie w to grać w fazie konceptualnej projektu *Steaming*. – Konto mi wygasło chyba z rok temu, za bardzo byłem zajęty pracą nad, eee... konkurencją. Tylko że – ej, zaraz, tu nie można gadać przez komórkę.

– Gówno, mówią tak tylko, żebyś płacił jak za zboże za telefon PatientLine. – Wybiera numer. – Zaraz... halo? Tak?

Naprawdę dziwnie patrzeć na nią, gdy przełącza głowę w tryb gry. Skóra wokół oczu trochę się rozluźnia, zmienia się postawa ciała – stuprocentowe skupienie, jak u kota, co Opatrzył ptaka. To jeszcze dziwniejsze, jeśli się nad tym głębiej zastanowić: znasz wszystkie statystyki, 45 procent graczy to kobiety, mimo że laikom wydaje się, że cała branża skupia się na dwunastolatkach, co mają deficyty koncentracji, fiksację na cyckach i cukrowy haj. Przypomina ci się coś, co kiedyś o *Szpiegach* czytałeś – że celowo były tak zaprojektowane, by żywić się damskimi eskapistycznymi pragnieniami. Kiedyś, w prehistorii, gdy były dwa państwa niemieckie, NRD-owscy szpiegzy werbowali po drugiej stronie samotne kobiety, sekretarki i biuralistki, wykorzystując seks... lecz czasami także obietnicę mniejszej monotonii w życiu. Ludzie płacą za emocje jak za zboże – czy to takie zaskakujące, że mogą cię złapać, jeśli rozdają je za darmo?

– Tak, jest tutaj. – Wyciąga ku tobie rękę z telefonem. – Prowadzący Szpiegów.

– Tak? – Bierzesz telefon. – Kto mó...

– Dzień dobry, Jack. Twój kod uwierzytelniający: Złoty Słownik Koala.

Dziwna rzecz: nawet po roku pamiętasz te trzy przypadkowe słowa, a oni powinni wywalić cię z bazy graczy wiele miesięcy temu. Głos jest niewyraźnie znajomy.

– Już nie gram w *Szpiegów* – mówisz automatycznie.

– Ale Szpiegzy jeszcze tobą grają, agencie Reed – rzuca krótko Prowadzący. – Konstabl Patel dotrze do was za minutę czy dwie. Da wam do podpisania formularz, potem wypiszecie się ze szpitala. On was podrzuci do Edynburga. Macie spotkanie równo o czwartej.

– A może ja nie mam ochoty na żadne spotkania? – Już wypowiadając te słowa, wiesz, że to

na próżno, ale nie o to chodzi. – Mnie już nie ma w waszej pieprzonej grze. Wypisałem się!

– Agencie Reed, to już nie jest gra. Jeśli nie będziesz grał z nami, dla twojego bezpieczeństwa zostaniesz zatrzymany. Ta ostatnia próba uprowadzenia to nie jest odosobniony incydent. Mamy informację, że dwie godziny temu zaginęła twoja siostrzenica Elsie. Miejscowa policja przydzieliła do sprawy Doradcę Rodzinne; po tym, jak pan meldował o groźbach karalnych, mieli już przenieść rodzinę do bezpiecznej kryjówki, ale...

Głos brzęczy dalej, lecz ty już nie słuchasz – gapisz się na tył własnej głowy i zastanawiasz, kiedy przeszedłeś na drugą stronę lustra. Nic tu nie ma sensu, ale za krawędzią świata czai się coś bardzo groźnego. Gry przebiły się do rzeczywistości. W zasadzie to powinna być ulga, że mówią ci o tym, więc to nie wytwór twojej własnej wyobraźni... ale czujesz się, jakby twój świat się kończył. Zresztą powinien się skończyć wiele lat temu.

– Jack? – To Elaine. Wygląda, jakby zobaczyła ducha. – Jack? Mów do mnie!

Oddajesz telefon. Bierze go.

– Tak? – pyta. Potem przez minutę słucha, kiwa głową, od czasu do czasu cicho potakuje. – Wygląda na zszokowanego – dodaje. – Ale postawcie się w jego sytuacji, dla od... tak. Dobrze. Tak.

Wreszcie się rozłącza.

– Jack?

– Co?

– Wstawaj. – Ma minę, jakby dopiero co uśpiono jej psa. – Trzeba iść.

Ściągasz cienkie, szpitalne prześcieradło i spuszczasz nogi za łóżko.

– Czemu?

– Powiedzieli mi o twojej siostrzenicy. To straszne...

– Tak – odzywasz się, nie wiedząc, czego jeszcze się po tobie spodziewa. – Ale w tej chwili nic się z tym nie da zrobić.

– Powiedzieli, że cię zwerbowali – dodaje sztywno, patrząc na ciebie niepewnie, jakby twoja głowa miała zaraz zacząć wirować, czy coś w tym stylu.

Może rzeczywiście powinieneś urządzić jakąś emocjonalną scenę, ale w takim dniu jak dziś to tylko kolejny z ciosów. Dziś ludzie usiłują cię zabić, raz po raz: więc jedyne, co czujesz, to odrętwienie z przerażenia.

– Tak wygląda. Ciebie też?

– Takie rzeczy są w licencji użytkownika końcowego Szpiegów. Standard, wyrażasz zgodę, żeby zrobili wywiad na twój temat, weryfikację wiarygodności kredytowej oraz „zdolności do uczestniczenia”, tak jest tam napisane. Klauzula przeciw wariatom. Zgadzasz się też na zmiany

tych warunków.

– No i?

– Cała klauzula przeciw wariatom to w istocie rezygnacja z prywatności, żeby móc przejść weryfikację. A warunki...

– Coś jak Ustawa o ochronie informacji niejawnych, w formie do przeklikania?

– Mniej więcej. – Przeszkuje niespokojnie z nogi na nogę, jakby zastanawiała się: uciec czy nie. – Twoja siostrzenica... Elsie, tak? Mocno jesteś z nią związany? Prowadzący Szpiegów powiedział, że to druga strona.

Druga strona. Ładnie ujęte, ale kto to właściwie jest ta druga strona? I co to oznacza?

– W sumie, co mieli powiedzieć, nie? – Zdaje się, że powinieneś być zły, tak naprawdę jednak przepełnia cię tylko monstrualne osłupienie. – Aż tak mocno, to nie jestem. – To tylko siostrzenica. Gdyby w środku tego wszystkiego, tego złowrogiego postmodernistycznego kawału, znajdował się kto inny, śmiałybyś się histerycznie. A tak, może właściwą reakcją powinien być płacz. – No to...

Zasłonka odsuwa się gwałtownie, ukazując funkcjonariusza policji, w goglach, obwieszzonego kamerami jak komandos w pajęczookiej masce.

– Pan Reed, pani Barnaby? Mam was zawieźć do Edynburga. Proszę tutaj podpisać...

Wręcza ci clipboard i pióro, staromodne, atramentowe, oraz poduszczkę, żeby odcisnąć kciuk, na dole kartki wypełnionej drobnym drukiem, pod godłem z krzyżem św. Andrzeja i czerwonym lwem, a kiedy podpisujesz tę skorygowaną umowę licencyjną dla użytkownika końcowego, czujesz, jak nad twoją głową zamyka się powierzchnia wody.

Kiedy wielki elektromagnes wyłącza się, w pierwszej, panicznej chwili przelatuje ci przez głowę, że to jednak, kurwa, była bomba, a ten śliski syfiarz Michaels kłamie jak bura suka. Potem jednak dociera do ciebie, że jeszcze żyjesz, właściwie wszyscy są cali – ale to nie zasługa Eurofacetów w Czerni.

(Później znajdujesz na Wikipedii artykuł, który wszystko wyjaśnia. Podobno, kiedy nadprzewodnik nagrzewa się do temperatury krytycznej i przestaje nadprzewodzić, wszystkie krążące w nim elektrony nagle przestają krążyć swobodnie i ta energia natychmiast wydziela się w postaci ciepła. Od tego ciekły azot, w którym siedzi magnes, nagrzewa się w ułamku sekundy z mniej więcej minus dwustu do minus pięćdziesięciu, po czym wrze – a gaz zajmuje o wiele więcej miejsca niż ciecz. A więc do bomby temu niedaleko).

Lecz tutaj to się stało niespodziewanie. W jednej chwili siedzisz i słuchasz, jak Barry Michaels przyznaje się, że jest kimś w rodzaju szpiega, w następnej – słyszysz jakby cichy stuk, bardziej pyknięcie – a może to tylko wytwór twojej wyobraźni – a potem jakieś dwa metry od twojej głowy odpala się tytaniczna syrena parowa.

(W szpitalach, na rezonansie magnetycznym, magnesy są umieszczane pod metalowymi kanałami, wychodzącymi na zewnątrz i wentylowanymi, pilnuje się też, aby wszystkie szyby były z hartowanego szkła, a wszystkie okna i drzwi są tak projektowane, żeby otwierały się na zewnątrz, ale nie wylatywały z ram. I rzeczywiście, tu, w magazynie, z którego Michaelsowi tak popisowo nie udało się wypędzić policji z Leith, też nad dymiącym termosem z piekła rodem wisi gigantyczny lej wyciągu. I on pewnie ratuje wam życie).

Przez parę sekund całe pomieszczenie wypełnia ogłuszający gwizd, wałący w bębunki i przewracający kiszki, jak ryk odrzutowego myśliwca na dopalaczu na pokazie lotniczym. Bardziej to wstrząs niż hałas. Potem zaczyna cichnąć. Bierzesz głęboki wdech, czujesz się oszołomiona, a sala zaczyna wirować. Wiruje i wiruje, bardzo śmiesznie – masz ochotę wybuchnąć śmiechem – to kolejny skutek wybuchu. Czy ktoś ci podrzucił jakiegoś poppersa? Bo tak się czujesz, jakbyś w pięć sekund przeskoczyła z trzeźwości do stanu po sześciu piwach. Potem w głowie ci się rozjaśnia i czujesz skurcz przerażenia.

– Liz, co się dzieje? Wytłumacz mi!

Liz także z trudem łapie oddech, głośno grzechoczą wentylatory, niemal namacalną falą zasysające powietrze przez nagle rozlatane drzwi.

– Zaraz. Się. Uspokoi!

Drzwi otwierają się z hukiem ponownie, wpadają chłopaki z Wydziału S, nerwowi, z

wyciągniętą bronią.

– Na ziemię! Na ziemię! – Jeden z nich krzyczy na Kemala, wyraźnie kompletnie niedoinformowany: – Na ziemię, kurwa!

– To nasz! – woła McMullen. – Wołajcie karetkę, trzeba nam tu tlenu. – Faktycznie, myślisz: Kemal leży na podłodze, dyszy, ma dreszcze i generalnie nie wygląda zbyt zdrowo. – Ewakuować budynek.

Trzy minuty później już kłócisz się z sanitariuszem, który koniecznie chce cię położyć na swoich noszach i zabawić się w doktora i policjantkę.

– Nic mi nie jest, nie denerwuję się – zapewniasz go.

Co nie jest do końca prawdą – po wybuchu tego ustrojstwa pozostał ci potworny ból głowy – ale jedyną osobą naprawdę potrzebującą pomocy był na oko Kemal, a on już jedzie do szpitala Western General w karetce, z maską tlenową na twarzy.

– Idę zameldować szefowi.

Udaje ci się dotrzeć do mobilnego centrum dowodzenia, gdzie mundurowi kiwnięciem głowy zapraszają cię do wewnętrznego pomieszczenia. Liz już tam jest, McMullen i Michaels, a także detektyw-inspektor Verity oraz Mario, zastępca Kemala. Żaden nie ma szczególnie zadowolonej miny.

– Smith, drzwi – warczy Verity.

McMullen, kompletnie nie z tej bajki w swoich golfowych ciuchach, dźga palcem Michaela.

– Ma pan trochę rzeczy do wyjaśnienia.

Michaels zerka na zegarek.

– Wy będziecie mieli więcej, jeśli zaraz nie wymyślicie jakiejś wiarygodnej bajki – mruczy. Wydaje się autentycznie wytrącony z równowagi. Czyli decydują teraz, na kogo wsiądzie opinia publiczna, jakby podkładali sobie pierdzącą poduszkę, tak? – zastanawiasz się.

– Gdyby nie ten pieprzony latający cyrk i nie ta cipa Wayne...

McMullen bierze głęboki oddech. Sądząc po jego minie, z trudem się opanowuje. Biedak – nie takiego dołka się spodziewał w swój wolny dzień.

– Może jeden albo drugi wyjaśni mi sytuację? W prostych, żołnierskich słowach – wydusza w końcu z siebie.

– Spróbuję. – Michaels odgarnia sterczący pukiel jasnych włosów. – Hayek Associates to tak zwana firma-przykrywka. Z jednej strony robi to, co jest napisane na tabliczce. Stabilizuje ekonomię w grach, maksymalizuje satysfakcję interesariuszy, tego typu rzeczy. Z drugiej strony, daje nam dobrą sposobność do obserwowania rozmaitych niepewnych elementów, które lubią

się spotykać w takiej czy innej grze, żeby wymieniać się sposobami na zabicie smoka i tak dalej.

– A kto to ci „my”? – pyta Liz.

Michaels ściąga brwi.

– Pani nie musi tego wiedzieć. Pan McMullen – zastępca komendanta kiwa smętnie głową – może za nas poręczyć. W każdym razie, musicie zrozumieć, że większość personelu Hayek Associates jest tym, za kogo się podaje. Kiedy zdarzyła się ta kradzież, Wayne spanikował – mogę potwierdzić, że jest cywilem – i zadzwonił do was. I dlatego dorobiliśmy się śladów w CopSpace, który jest monitorowany przez...

– Nie muszą wiedzieć – przerywa Mario. Patrzy błagalnie na Michaela. – To nie może poczekać na Kemala?

– ...przez inne agencje, jak mówiłem – ciągnie Michaels, jakby przerwanie w ogóle nie miało miejsca. – Na przykład, przez elitarną ogólnoeuropejską grupę zadaniową do spraw kontrwywiadu. Która zaraz dodała dwa do dwóch i wyszło im pięć, dlatego dziś z rana przelecieli się na małą wycieczkę.

– Ten magazyn – McMullen rzuca Michaelsowi twarde spojrzenie. – Wasz jest?

Krótką pauza, potem Michaels pochyła głowę.

– Tak. Nie ma nic wspólnego z tym blacknetem, którego szukacie w Leith. Wszystkie te maszyny są tylko po to, żeby ładować i wyciągać dane z tego kwantowego procesora za Pięć milionów funtów, który wasz przyjaciel kretyn – niemal warczy na Mario – tak popisowo rozpierdził.

Próbujesz złapać wzrok Liz, ta jednak weszła w tryb botoksu, mięśnie policzków ma dosłownie sparaliżowane. Funtów, nie eurasków, czyli to sprawka Angoli. Zgodnie z paktami niepodległościowymi, MI5, MI6, GCHQ, SOCA i cała reszta południowego aparatu wywiadowczego może swobodnie działać w Szkocji; tymczasem własne organy wywiadowcze Republiki są ściśle lokalne i koncentrują się głównie na ekstremistycznych pojebach w miejscowych pubach i tego typu rzeczach. Taki sam poziom jak szkockie wojsko i dyplomacja – zabawkowy. (Zresztą, kto by tam chciał napadać na Szkocję?). Ważniejsze jednak, że słyszysz tę prawie ogłuszającą ciszę, gdy Michaels przemilcza pewne sprawy. Gdyby to była normalna sobotnia noc, zamknąłby się w sobie i czekał aż przyjdzie adwokat, a nie odpowiadał na kolejne pytanie, które brzmi: „A dlaczego MI6 (czy kto to tam jest) zakłada w Leith instalację za wiele milionów funtów do podsłuchiwanie graczy?”.

– Może powiedziec im prawdę – podsuwa Liz.

– Czyli?

– Mylne informacje wywiadowcze spowodowały nalot antyterrorystyczny. Zamiast na komórkę Al-Kaidy natrafili na magazyn ze sprzętem sportowym. – Wzrusza ramionami. – Kiepskie wizerunkowo, ale możemy się wytłumaczyć, że wszystko zarządzili krawaciarze z Brukseli, nie konsultując się z nami. Zwalić wszystko na Kemala – wskazuje brodą oburzonego Mario – i mamy spokój, a co więcej, pan Michaels też ma.

– Mnie pasuje – mówi lekceważąco Michaels.

– Zapytam szefa, ale powinno przejść. – McMullen kiwa z namysłem głową. – Ty – patrzy na Mario – siedź cicho. Twój szef jest w szpitalu, więc masz spokój, a jeśli twój szef będzie dalej w szpitalu i nie odpowie nikomu na żadne cholerne pytania, to nie ma nikogo, kto by prasie powiedział, że naprawdę było inaczej!

– To skandal! – wścieka się Mario. – My nie jesteśmy za to odpowiedzialni!

– No i co? – Liz wgapia się w niego, potem odwraca do Michaelsa. – Pan nam zaraz powie, że mamy zakopać to tak głęboko, żeby omal nie wylazło w Chinach. Nie?

Michaels prycha.

– Oczywiście, że tak! Za kogo nas pani ma?

Patrzy nań chłodno.

– Chyba macie przeciek, tam u siebie.

Odwzajemnia spojrzenie.

– To nie pani sprawa i proszę się powstrzymać od dalszych tego typu spekulacji.

– Dosyć. – McMullen zabiera się za Michaelsa. – Wystarczy ci już tego zamieszania, czy może nie zauważyłeś, że musieliśmy zamknąć ruch w połowie miasta? Będę cały szczęśliwy, jeśli dasz sobie spokój z tymi wygórowanymi żądaniem i dasz nam czas na zrobienie porządku. – W głowie wicekomendanta rośnie ciśnienie, a ty jesteś rozdarta między zachwytem, że będziesz miała okazję oglądać szefa w akcji, a strachem, że wyżyje się na swoich podwładnych. – Potem siądziemy sobie, ja, ty, detektyw-inspektor i Kavanaugh i wytłumaczysz nam dokładnie, o co chodzi, żebyśmy nie latali po omacku i nie wchodzili sobie na odciski.

– A co z nami? – pyta żałośnie Mario.

McMullenowi w końcu zeskakuje pokrywka.

– Spierdalajcie do ty waszy Brukseli, to was nie wsadzę za zawracanie dupy policji!

Trzy godziny później jesteś z powrotem na komendzie. Poranek był pracowity – sprzątanie potwornego bajzlu, jaki zostawił po sobie latający cyrk Kemala, w końcu jednak pojawiła się szansa na spóźniony lunch. Jednakże zanim zdołałaś się oddalić, spojrzała na ciebie Liz

Kavanaugh.

– Chodźmy razem na ten lunch.

Ożeż kurwa. Umiesz poznać rozkaz, kiedy go słyszysz. Miałaś się brać za nadrabianie papierologii – trzeba załatwić sprawę tego małego dresa, potem właściciela srającego psa, na którego skarży się ciągle rada mieszkańców, nie mówiąc o włamach z zeszłego tygodnia – ale Liz ewidentnie ma na myśli coś innego. Więc kiwasz posłusznie głową i dostosowujesz się.

– Gdzie chce pani iść, szefowo?

– Na nabrzeżu jest takie przyjemne tureckie bistro, robią świetne meze. – Podnosi pilota od samochodu. – Ja stawiam.

A, to nie tak źle. Wychodzisz razem z nią z komendy, wpuszcza cię do samochodu, małego volvo, bardzo przyjemnego – a potem jedzie do centrum Leith i parkuje niedaleko nabrzeża.

– O czym chce pani pogadać? – pytasz jej pleców, gdy rusza przed tobą chodnikiem.

– Cierpliwości.

Aha, czyli sprawa jest poważna. (Gdyby nie była, zaczęłaby już gadać). Truchtasz obok niej, gdy skręca za róg i prowadzi cię do paru stolików wystawionych przed małą knajpką, naprzeciwko małej wodnej odnogi, odgradzonej od portu niskim mostem, który chyba został zabudowany.

– Proszę siadać, pani sierżant... Sue. Mamy masę czasu, wbiłam to do kalendarza jako spotkanie. – Uśmiecha się, ale jakby trochę niewyraźnie. Uśmiech nie sięga do oczu. Ustawia się tyłem do szklanej witryny bistro i rozgląda po ulicy, jakby się kogoś spodziewała. – I chyba trzeba wyjść z sieci.

– Jest pani pewna? – Unosisz brew, a kiedy mrugasz, wtyczka do badania stresu pokrywa całą Liz czerwonymi szpicami.

– Tak.

Zsuwasz okulary i fizycznie je wyłączasz, wyciągając baterię. Potem sięgasz do lewej górnej kieszeni, wyciągasz PDA i wydłubujesz ogniwo paliwowe.

– Teraz dobrze?

Przejeżdża przegubowiec, rycząc silnikiem, i owiewa was obłokiem spalin z biodiesla. Liz bez słowa kiwa głową, wyciąga swojego PDA i przechodzi w stan wstrzymania dla ubogich.

– Ustaw krzesło tyłem do okna – mówi. – Nie chcę, żeby ktoś w nie celował laserem.

– Że jak? – Ale robisz, co mówi.

Wątki uśmiech.

– Sue, laserowe mikrofony można teraz kupić w Maplinsie, przez sieć, za trzydzieści euro. A ci ludzie, o których myślę, nie zawahają się przed złamaniem prawa.

– Myślisz, że Michaels sprzedał nam pierdoły? – wybuchasz, nie mogąc już się powstrzymać.

– Nie myślę, wiem. – Pociera policzek, gdzie zwykle tkwi jej słuchawka. – Problem polega na tym, że nie wiem, po co: żeby odwrócić naszą uwagę, czy żebyśmy odwalili za niego jakąś brudną robotę.

– Ale jeśli kłamie, to czy on jest...

Przerywa ci machnięciem ręki.

– Jednego możesz być pewna, jest tym, za kogo się podaje. Sprawdzone. Są takie... tajne akta. Tylko na papierze. Najlepsza forma zabezpieczenia. Trzymają je pod kluczem na Fettes Road. Zajrzałam, jak byłaś na odprawie. Michaels jest na liście. Nie możemy mu nic zrobić.

Kelnerka wychodzi na zewnątrz, widzi was dwie i uśmiecha się. Chwilę później już łamiesz sobie głowę nad menu, a Liz dalej wyłuszcza sytuację.

– Hayek Associates to przykrywka dla jakiejś operacji zbierania materiałów wywiadowczych. Coś się im tam stało i pracownik-cywil nacisnął guzik alarmowy, zanim ktokolwiek go powstrzymał. W tym Leith mają kwantowy procesor. Takie sprzęty nie walają się na ulicy, Sue. Trochę o nich czytałam i przeraziło mnie to. A jeszcze bardziej to, co powiedział Kemal, że TETRA jest spenetrowana. Jeszcze gorzej z tym podejrzanym sprzętem w mieszkaniu MacDonalda, jest toczka w toczkę jak ten węzeł blacknetu, który znaleźliśmy w zeszłym roku.

– A do czego służy taki kwantowy procesor? – Głowiłaś się nad tym od rana. Przypominał sprzęt doktora Frankenstein, najbardziej ze wszystkiego, co w życiu widziałaś.

– Trochę nie moja branża, na IT znam się niewiele lepiej od ciebie. – Marszczy czoło. – Ale wiem co robią: używa się ich do specjalnych obliczeń, nie do pisania tekstów, nie do grania w gry, ale do obliczania zwijania białek czy łamania kodów. A wiesz co? Cała ta sprawa z Hayek Associates i kradzieżą w Avalonie 4 obraca się wokół kodów, nie? Ci twoi programiście cały czas gadali o kodach, co mówią, gdzie jest każdy magiczny miecz i tak dalej.

– Ale nie kupowaliby kwantowego procesora tylko po to, żeby narznąć własnych klientów, nie?

– No tak. – Policzek jej drga. Za szczęśliwa to ona dzisiaj nie jest. – Ale skąd wiadomo, jakie kody na tym łamali? Mów sobie co chcesz, ale gry na komórkach zżerają masę pasma, więc Hayek miał świetny pretekst, żeby do swoich serwerowni podpiąć o, takie grube rury Jak myślisz, chyba nie będą nam chcieli powiedzieć, co z nim robili? Czyli trzeba uderzyć od innej strony. Posunęłaś się jakoś z poszukiwaniami tajemniczego pana MacDonalda?

– Ani o milimetr. – Wzruszasz ramionami.

Dokładnie wtedy pojawia się kelnerka z latte dla ciebie i czymś czarnym i jadowitym w malutkiej szklaneczce dla Liz.

– Jakby zniknął z powierzchni ziemi.

– Może tak było.

Patrzysz na nią bystro, ale ona tylko gapi się w kawę, jakby się bała, że ją ugryzie.

– Jak tak sobie o nim myślę, o tym tajemniczym koleśiu... wydaje mi się, że to słup, jak to się w slangu mówi.

Słupów macie w mieście dostatek. Zresztą, w tej sprawie sama często stoisz jak słup. – To czemu ten gupielok Wayne kazał mi go szukać? Wayne to cywil.

– Tak? Nie byłabym taka pewna. – Ewidentnie popada w ponury, smętny nastrój. – Tu każdy w coś pogrywa i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że niektórzy grają przeciwko sobie. No i jeszcze mamy truposza w Pilton. Pasuje aż za bardzo, nie wydaje ci się?

Masz nieprzyjemne wrażenie, że pani inspektor próbuje ci powiedzieć coś dokładnie odwrotnego, niż znaczą słowa, których używa. – Ano, aż zanadto.

– Dokładnie tak mi się wydaje. Nie kupuję, że to nie ma związku. I niepokoi mnie ten sprzęt blacknetowy w domu MacDonalda. To nie pasuje. – Popija swoją kawę po turecku, a do ciebie dokładnie w tej chwili dociera, o co chodzi. Liz sra w gacie ze strachu. Wydaje jej się, że trzyma za ogon śpiącego smoka, i nie jest pewna, czy on się zaraz nie obudzi. Więc postanowiła zrobić z ciebie swoją polisę ubezpieczeniową.

– Jezus, pani inspektor.

– W tym stuleciu nie odpowiedział na żadną wiadomość.

– Skoro nie możemy łapać MacDonalda, to za kim mamy ganiać?

– A widziałaś się dzisiaj z twoimi dwoma nowymi kontaktami? Komputerowcem i bibliotekarką?

– Nie, ja... – Urywasz. – Wczoraj aż rwali się do pomocy – rzucasz z powątpiewaniem.

Kelnerka wraca z talerzem meze dla Liz i tradycyjną szkocką smaženiną dla ciebie.

– Po lunchu chcę, żebyś się podłączyła z powrotem i zobaczyła, czemu ich nie widać – mówi pani inspektor. – A potem chcę, żebyś poszła i znów z nimi pogadała. Poza protokołem. Nie są podejrzani, ale jeśli dzieje się to, co ja myślę, goście mogą być w niebezpieczeństwie, kiedy w CopSpace pokaże się za dużo informacji o nich.

– W CopSpace? Ale...

– Sierżant Smith, ja jestem na to za cienka w uszach, ale wcale nie jestem przekonana, że ten debil Kemal z Brukseli nie miał racji. Tu trwa jakaś syfiasta wojna informatyczna, jakaś

paskudna europejska dyplomatyczno-szpiegowska przepychanka. Mam paskudne przeczucie, że paru ludzi już przez to zginęło i jeśli się za to nie weźmiemy, wypłynie jeszcze parę trupów. Co najgorsze – ci, co za tym stoją, mają wtyki do CopSpace, może mają i blackneta. I wiesz co? Ja nie będę odwalać za nich brudnej roboty...

Siedząc na tylnym siedzeniu policyjnego auta, które pędzi z migającymi światłami autostradą M8, nagle uświadamiasz sobie, że jesteś śmiertelnie zmęczona – i źle się czujesz. To nie mdłości, nie bóle menstruacyjne, to taka siedząca gdzieś bardzo głęboko apatia jaka pojawia się po silnym stresie. Wszystko stało się zbyt szybko, żeby to ogarnąć: od Jacka, który wpadł na chińskiego studenta, który wziął was za służbę bezpieczeństwa, po Jacka, który dostał nożem, potem ten wariacki telefon ze Szpiegów, taksówka, która chciała zabić was oboje, wiadomość, że porwano siostrzenicę Jacka, a teraz to... to już, kurwa, aż zanadto. Chciałabyś wcisnąć pauzę, zrobić sobie kubek mlecznego Horlicksa, położyć się z nogami na kanapie, obejrzeć jakąś głupkowatą komedię romantyczną, a potem pójść do łóżeczka. Albo wyciągnąć twojego nowiutkiego claymore'a, znaleźć jakąś salę do ćwiczeń i przez pół godziny napierdzielać nim w manekina. Lampka przeciążenia umysłu błyska ci czerwienią. To jest, kurwa, za dużo. I nie ma czasu wolnego, żeby zdążyć to sobie przyswoić.

Chujowo być na twoim miejscu.

Konstabl Patel też nie jest wesolutki – jest tak spięty i skupiony na wyświetlaczu przed nosem i kierownicy, że boisz się, że eksplodowałby, gdybyście zapytali go o cokolwiek (na przykład „daleko jeszcze tam mamy” dla takich wartości „tam”, które odwzorowują się na „dokądkolwiek nas pan wiezie”), zresztą, szybkość, z jaką mija ciężarówki i auta na wolniejszych pasach, sugeruje, że może odrobinę przekracza dozwoloną prędkość – a Jack też się teraz do niczego nie nadaje. Pomyśl tylko: skoro ty czujesz się jak kupa gówna, to co on musi przechodzić? Zerkasz w bok, tyle tylko, by dostrzec, że siedzi obwisły, z głową opartą o przeciwległe drzwi, policzkiem do szyby, wygląda jak w półśnie. „Tylko łagodny szok”, powiedzieli sanitariusze, ale to nie oddaje nawet połowy. Wiesz jak to jest, wrócić do domu, gdzie było włamanie, albo usłyszeć o nagłej śmierci przyjaciela – wiesz z własnego doświadczenia, jakie to przykre – teraz Jacka po prostu nie powinno tu być. Powinien leżeć w domu, w łóżku. Wprawdzie milion thrillerów szpiegowskich i opowieści o detektywach-twardzielach upiera się, że bohater zrywa się od razu, jak go walną po głowie, ale naprawdę to tak nie działa. Z nim też byś się teraz nie zamieniła. Jesteś rozdarta między współczuciem a podłą otuchą płynącą z faktu, że ktoś ma jeszcze gorzej od ciebie. To nieładne i budzi poczucie winy, więc upychasz to gdzieś w głębi głowy. Współczucie to przyzwoita rzecz. Na razie musi wystarczyć.

Wibruje ci lewa ramka okularów, sygnalizując, że telefon chce z tobą o czymś pogadać. Zła, uderzasz przycisk włączający wyświetlacz. To wiadomość z komunikatora od... Jack: nie patrz

na mnie nie zachowuj się podejrzanie. Prawie gryziesz się w język, tak silna jest chęć obejrzenia się lub odezwania na głos. Mimo to zaczynasz pisać palcami. A piszesz...

Elaine: WTF?

Jack: kierowca słucha

Elaine: no to co?

Jack: pogadamy później bez telefonów

Elaine: LOL, podsłuchu sie boisz *Jack:* ta

Elaine: fony sa szyfrowane

Jack: klucze HA złamane, może nie tylko te

Elaine: paranoja

Jack: serio serio?

Po plecach przechodzi ci zimny dreszcz, bo konstabl Życzliwy zwalnia, a potem wjeżdża po ślimaku na rondo łączące autostradę z miejską obwodnicą.

Elaine: później

Jack: OK.

Kasujesz z telefonu zapis rozmowy i przełączasz go z powrotem na czuwanie. To, co powiedział, jest aż za jasne, i choć nadal myślisz, że za wielki z niego paranoik, coś w tym jest. Do cholery, siedzicie z tyłu policyjnego radiowozu!

Ale, ale, jeśli on się boi, że monitorują twój telefon i rejestrują wszystko co zbierze, ze wszystkich kierunków, to czemu, do cholery, wysłał ci wiadomość? Nie jest aż tak głupi, by myśleć, że jego wiadomości też nie przechwytyują, prawda? A może chce, żeby tak pomyśleli – że jest paranoikiem i musi porozmawiać z tobą w cztery oczy? Skoro tak, na pewno uświadomią sobie, że próbuje ich skłonić, aby uznali go za paranoika i... Ale to już szaleństwo, nieskończony lustrzany tunel pod tytułem „ja wiem, że on wie, że ja wiem, że...”. Jednak spójrzmy prawdzie w oczy: w ataku nudy albo maniakalnej analizy konkurencji, oboje zapisaliście się na tę akcję, nigdy nie podejrzewając, że *Szpiedzy* to nie tylko gra, lecz maldaweliczny spisek, mający na celu zwerbowanie tysięcy chętnych do współpracy agentów w terenie. „Pożyteczni idioci”, nazywali ich kiedyś prawdziwi władcy szpiegów. Mięso armatnie służby wywiadowczej.

Ruch zaczyna się zagęszczać, suniecie jedną z głównych arterii na zachodnie przedmieścia. Policjant nadal jedzie szybko, ale nie na sygnale i nie wyprzedza – po prostu liczy, że ludzie zjedzą mu z drogi. Na jakieś bardziej kaskaderskie wyczyny widocznie nie zasługujecie. Po paru chwilach domyślasz się, dokąd jedziecie – radiowóz wiezie was z powrotem do biur Hayek Associates – poznajesz szeroką, prostą ulicę z drzewami po jednej stronie i wzgórzem

po drugiej. Ale zanim zdążasz jakoś ostrzec Jacka, auto już skręca w prawo, pod górę i staje na parkingu przed bunkrem.

Ten oślizły typ po elitarniej szkole, Barry Michaels, stoi przed wejściem, podskakując na palcach, jakby podłoga była za gorąca. Chwila z tych, w których powtarza się w myślach „jasna cholera” – krystalizuje się bowiem pewne dręczące cię podejrzenie, którego dotąd nie miałaś odwagi sformułować. Skoro *Szpiedzy* są naprawdę, to może i Hayek Associates to coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka?

– Pozwólcie ze mną. – Barry’emu udaje się brzmieć, jakby miał sytuację pod kontrolą, zresztą, sądząc po obecności policji, zanadto się nie myli.

Zdobywasz się na kiwnięcie głową i idziesz za nim do windy.

– Marcus wyjechał na spotkanie, a Wayne’a wysłałem szukać wiatru w polu – wyznaje Michaels, gdy winda zjeżdża do podziemnego świata. – Żeby się nie przejmować, że jacyś cywile się tu płaczą. – Gdy winda się zatrzymuje, dźga kciukiem przycisk zamykania drzwi i alarmu jednocześnie. Winda ponownie szarpie i jedzie w dół. – To jest pod-podziemie. Niestety, muszę prosić, żebyście zostawili w koszyku wszystkie osobiste urządzenia elektroniczne.

Pod-podziemie ma betonowe ściany i śmierdzi pleśnią i zaniedbaniem. Szczałkowe światło dociera z okratowanej żarówki pochodzącej z czasów Zimnej Wojny albo i Bitwy o Anglię.

– Co to za miejsce? – pyta Jack, dość konkretnie zdumiony.

– Mówiłem, pod-podziemie. – Michaels wskazuje druciany koszyk z supermarketu. – Wszystkie gadżety tutaj. Już. – Z początku myślisz, że jaja sobie robi, potem jednak sam podwija lewy mankiet koszuli i zdejmuje z przegubu bardzo kosztowny chronometr Breitlinga. – Zabierzecie z powrotem, jak będziecie wychodzić.

Posłusznie kładziesz na blacie torebkę, wkładasz do koszyka okulary. Jack tymczasem buduje całą piramidkę: klawiatura (w bardzo kiepskim stanie), telefon, okulary, coś co przypomina uniwersalną baterię zasilającą, parę innych, trudniejszych do zidentyfikowania przedmiotów... cud, że cały nie dzwoni przy chodzeniu. Michaels kiwa z aprobatą głową, potem otwiera pojedyncze drzwi. Cienka sklejka, ale futryna wygląda jak lotniskowy wykrywacz metali.

– Chodźmy. Trzecie drzwi po prawej.

Krótki korytarz. Michaels starannie zamyka drzwi za sobą. Przychodzi ci do głowy, by otworzyć niewłaściwe drzwi – ale cała dekoracja mocno kojarzy się z zamkiem Sinobrodego, a przecież wiadomo, co się w tej bajce dzieje z dziewczynami, które otwierają nieodpowiednie drzwi, prawda? Oświetlenie to wyłącznie gołe, okratowane żarówki,

podłączone bezpośrednio do wyłączników, które wyglądają jak z epoki kamienia łupanego. Żadnej elektroniki. Kto by pomyślał.

Wreszcie łądujecie we trójkę w pokoju o białych ścianach, z sześciorgiem podniszczonych biurowych krzeseł, drewnianym stołem i stolikiem z czajnikiem.

– Przepraszam za ten brak wygód – rzuca obcesowo Michaels. – Częstujcie się kawą lub herbatą, za minutkę wrócę. – Nurkuje w drzwi, zanim zdążycie cokolwiek powiedzieć.

Jack zerka na ciebie. Ty na Jacka. Unosi brwi.

– I co myślisz? – pyta nagle.

– Mnie nie pytaj. Mnie to dawno przerosło. – Rozglądasz się z zaciekawieniem. Żadnych kabli sieciowych, linii telefonicznych, żadnego niczego, nie licząc starego metalowego czajnika na kempingowej butli gazowej i żarówki z zeszłego stulecia. Masz niepokojące przeczucie, że gdyby mogli, założyliby w tym bunkrze gazowe oświetlenie. – Myślę, że jesteśmy pod ekranowanym schronem atomowym, w miejscu, gdzie nie ma żadnych kabli. – Obchodzisz stół i zapalasz palnik. W czajniku już jest woda. – Wnosząc po tym, co powiedział Michaels, trochę tu pobędziemy. Jaka kawę pijesz?

Czajnik właśnie zaczyna się gotować, gdy wraca Michaels. Ma grubą kartonową teczkę pełną papierów.

– A, no to dobrze. – Kładzie ją na stole, siada ciężko, jakby był na nogach od wielu godzin. – Zapewne oboje czekacie na wyjaśnienie, o co w tym wszystkim chodzi. Niestety, nie mogę wam go udzielić. – Przenosi wzrok z ciebie na Jacka i z powrotem, a w jego minie niewiele już zostało z bufonowatego chłopaczka po elitarnej szkole. – Nie dlatego, że nie chcę albo mi nie wolno, ale dlatego, że sami w tej chwili mamy niewiele elementów tej układanki.

Jack, od paru minut rozwalony bezwładnie w krześle, nagle sztywnieje.

– A o co, kurna, chodzi z tym porwaniem Elsie?

– Przykro mi to mówić, ale jeszcze nie mamy o niej żadnych informacji. – Michaels otwiera teczkę i wyciąga spiętą zszywaczami notatkę; usiłujesz coś przeczytać, ale nie widzisz nic poza pewnym znajomym godłem u góry. – Nie wiem, czy was pocieszę, ale jest wysoce prawdopodobne, że dotychczas nic się jej nie stało i zapewne nic się nie stanie.

– Nic... – Jackowi brakuje słów, wykonuje rozpaczliwe gesty.

A ty w milczeniu wściekasz się na Michaelsa, który powinien wiedzieć, że nie można go tak denerwować. Czajnik podskakuje, wstajesz więc, obchodzisz stół i nalewasz wody do kubków. Poruszanie się jest łatwiejsze niż siedzenie w bezruchu.

– A szukacie tej Elsie? – pytasz Michaelsa. – Bo mnie się wydaje, że gdyby nie wasze gry, to by się nie zdarzyło...

– Prześledziliśmy telefony do Jacka i te zdjęcia – mówi Michaels. – Jest taka ARG, gra w rzeczywistość alternatywną, pod tytułem *Spytrap*. Słyszeliście o niej? Zdjęcia zostały wyciągnięte z kamery ulicznej, druk i dostawę załatwił nieświadomy gracz w *Spytrapa*, a ten telefon... – Wzrusza ramionami. – Na tę chwilę mamy teorię, że wszystko zadziało się automatycznie – jakiś robot do data miningu po drugiej stronie ustalił, że stanowisz potencjalne zagrożenie dla ich planu, i zaczął pociągać za sznurki, na początek załatwiając aresztowanie cię w Amsterdamie.

– Hę? – Jackowi jakimś sposobem udaje się wyglądać rozczulająco głupio, kiedy tak rozdziawia gębę jak kretyn – bardziej jak duży, choć tępawy owczarek niż jak wiejski głupek. – Ale to nie...

– Byłeś zarejestrowany jako gracz w *Szpiegach*. – Michaels poklepuje swoje folio, potem zerka prosto na ciebie. – Poza tym, mieszkasz dziesięć kilometrów od obiektu i masz niemal dokładnie taki sam zestaw kompetencji. Odizolowanie cię na parę dni, kiedy wykonują ruch, narzuca się z samej ostrożności, prawda?

No cóż.

– A ten „obiekt” to kto? – pytasz. Chyba się już domyślasz, ale przydałoby się jakieś potwierdzenie.

– Nigel MacDonald. Który naprawdę nie istnieje... *U szczytu schodów wczoraj stał/ człowiek, co go nie było wcale! / dzisiaj też go nie ma, ale / Niechby już sobie spokój dał*^[16], Ale jest wytworem wyobraźni naszego działu fabrykacji rzeczywistości.

– Której organizacji? – pyta Jack. – Hayek, Spooks, czy jeszcze kogoś innego.

Michaels kiwa głową.

– Świetne pytanie. Jak zapewne się już domyśliliście, Hayek Associates to przykrywka. Firma jest prawdziwa, Wayne i Marcus to prawdziwi biznesmeni, ona nawet przynosi zyski – ale nie po to istnieje. Ona... właściwie powinienem powiedzieć „my”... jesteśmy posterunkiem nasłuchowym na wirtualnej granicy. Naszym zadaniem jest mieć oczy otwarte na pewne działania, które... przykład z poprzedniego dziesięciolecia: pamiętacie tę aferę z terrorystami, którzy urządzają obozy szkoleniowe w Second Life? Faktycznie niezupełnie o to chodziło – to nie były obozy szkoleniowe, raczej wygodne miejsca do wymiany informacji wywiadowczych albo wydawania rozkazów, w czasach, gdy cała sieć www, e-mail i telefony już były na podsłuchu. Ale chociaż przez ostatnie dwadzieścia lat staraliśmy się przygwoździć każdy kolejny kanał, którego mogą używać wrogowie, jest z tym jeden problem: to nie działa. – Jedną ręką odgarnia włosy i przez chwilę jego chłopięca uroda znika w wynędzniałym nieładzie. – Bo przepustowość transmisji rośnie szybciej niż możliwości przechowywania, za

każdym razem gdy myślimy, że zamknęliśmy jeden kanał, pojawia się kolejny, a nie możemy się cofnąć i prześledzić ruchu w medium, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy. Potem technologie przynoszą kolejne nowe, rewolucyjne rozwiązanie i wszystko, co robiliśmy, jest w parę miesięcy przestarzałe...

Jack zerka na ciebie z ukosa, podczas gdy oberszpieg w średnim wieku męczy się z wyartykułowaniem tego, co chodzi mu po głowie. Minę ma tak sarkastyczną, że musisz zagryźć usta. Istny ocet. Zaczyna się wściekać i masz przeczucie, że kiedy eksploduje, nie chcesz się znaleźć w polu rażenia.

– Siostrzenica Jacka – przypominasz Michaelsowi. – Dlaczego mówi pan, że jest bezpieczna.

– Na początek: sam fakt, że porwał ją silnik do proceduralnego generowania treści do gry przygodowej, a nie jakiś zaśliniony pedofil. Jeśli to odbyło się tak, jak przeważnie, to pewnie nawet nie wie, że została porwana, tak jak pan nie miał pojęcia, że w Amsterdamie wyłączyła pana z obiegu konkurencyjna agencja wywiadowcza. Będzie miała wrażenie, że to wszystko gra. Proszę posłuchać, nie mogę obiecać, że nad tym pracujemy, a kłamać nie chcę. Ale szczerze – nie możemy po prostu zadzwonić do miejscowej policji i powiedzieć, że funkcjonariusze mają gdzieś lecieć z wyciągniętymi paralizatorami. Po pierwsze, nie wiemy gdzie ona jest – na razie – a po drugie, jeśli policja znajdzie ją zbyt szybko, zdradzimy przeciwnikom, że rozgryźliśmy ich grę. A to byłoby fatalne w skutkach. I doprowadziłoby do eskalacji...

I wtedy Jacka trafia szlag.

– A to co ma, kurwa, znaczyć? Dla mnie to już dawno było w chuj wyescalowane, aż na dno rzeki, gdybyśmy się nie wydostali! Chen srał w gacie ze strachu, myślał, że ktoś chce go zabić, zresztą, założę się, że jak jeszcze raz wypłynie, to w banku narządów. Ci skurwiele nie grają w gry, szanowny panie szpiegu, może panu umknęło, że brakuje paru baniek euro...

Masz osobliwe przeczucie, że Jack właśnie pogrywa z Michaelsem, ale nie masz pojęcia, jakie miałyby być reguły. A Michaels kręci głową.

– To nie ma związku.

Teraz już musisz się odezwać.

– Jak to, nie ma związku? To po co my tu jesteśmy?

– Właśnie próbuję wam powiedzieć. – Michaels sapie ciężko. – Słuchacie czy nie?

– Nie, kurwa, właśnie próbuję panu powiedzieć, że... – Ale to już końcówka wybuchu Jacka i udaje mu się zamknąć gębę zanim naprawdę palnie coś fatalnego w skutkach. Ten Jack głupi nie jest; w odróżnieniu od większości znanych ci kiedyś jajogłowych, do niego coś dociera,

kiedy go się tym odpowiednio mocno walnie po łbie. (Wygląda na to, że umie sikać do kuwety, nie jest nachalny i nie śmierdzi: gdyby nie te koszulki i ukradkowe napady programowania, można by się zastanawiać, czy w ogóle przysługuje mu karta jajogłowego). – No dobrze, dalej – mówi, z dziwnym wyrazem twarzy.

– Dziękuję. Najpierw parę rzeczy dla kontekstu. Chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Jeśli jesteście typowymi cywilami, z jakimi miałem do czynienia dotąd, zaraz zapytacie, co to ma z wami wspólnego. Więc chcę to załatwić na początku, żeby mieć z głowy durne pytania. Jasne?

Kiwasz nieufnie głową. „Bezpieczeństwo narodowe” to taki termin-wytrych, którym można maskować rozmaite grzeszki, ale na razie niech będzie. „Czyje bezpieczeństwo narodowe?” – ciśnie ci się na usta...

– Jest dwudziesty pierwszy wiek, a my jesteśmy wśród krajów rozwiniętych. Wydaje się wam zapewne, że wojny to coś, co odbywa się na zadupiu, daleko, w jakimś Trzecim Świecie. I w pewnym stopniu macie rację. Nowoczesna wojna jest kapitałochłonna i od dziesięcioleci nie była zyskowna; już w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym marża była przyzerowa, kiedy Hitler wyruszał na swoją paneuropejską akcję zagarniania zasobów – jego rząd zbankrutowałby już w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, gdyby nie napadł na Polskę i Francję – a dzisiaj jest jeszcze gorzej. Amerykanie sprawdzili to w Iraku – wydali dziewięć razy tyle, co stanowiło wartość całych złóż ropy w tym kraju, na zdobycie kawałka pustyni pełnego... przepraszam, to dygresja. Taki mój konik. W każdym razie, już w osiemnastym wieku von Clausewitz miał rację, że wojna to kontynuacja polityki innymi środkami. Dzisiaj, w wieku dwudziestym pierwszym, sytuacja się trochę zmieniła. Gra toczy się o utrzymanie hegemonii gospodarczej, a to robi się, rozgłaszając własną ideę organizacji światowego systemu handlowego. I tu stoimy w obliczu poważnego problemu – trójstronnej walki o status następnego gospodarczego hegemonu.

„A kto to ci »my«?” – takie pytanie ty z kolei sobie zadajesz...

– „My” dla celów tej dyskusji, oznacza ustrój oparty na własności intelektualnej, w którym mieszkamy – nazwijmy to Systemem Europejskim. Dwie pozostałe pretendenci to Chińska Republika Ludowa oraz Indie. Ameryka w grze nie uczestniczy – ma zaledwie trzysta pięćdziesiąt milionów mieszkańców, a kiedy Grupa Trzydziestu skończy ustalać warunki akcesyjne dla Rosji, Unia będzie miała ponad siedemset. Chiny i Indie są jeszcze większe. Co jeszcze ważniejsze, Stany pierwsze przeszły na gospodarkę postindustrialną. Mają przestarzałą infrastrukturę, a jej wymiana, teraz, gdy ropa już nie jest tania, kosztuje ich dziesiątki bilionów euro. A do tego, muszą utrzymywać te wszystkie rdzewiejące lotniskowce. To dokładnie ten sam problem, z którym Wielka Brytania musiała się zmierzyć w latach

trzydziestych zeszłego wieku – i Imperium od tego w końcu zbankrutowało. Za to dzisiaj, nasza – europejska – infrastruktura – jest w o wiele lepszym stanie, a we wschodnich państwach jest jeszcze nowsza. Przeszli na postindustrializm stosunkowo niedawno, więc infrastrukturę mają nowiuśką, jak te nowe wieżowce w Szanghaju i New Delhi. Widzicie, trwa przepychanka o pozycję między tymi trzema supermocarstwami, a USA wzięło wolne. Może nie zauważyliście, ale mieszkacie w jednym z tych mocarstw.

– Ja tam mieszkam w Szkocji – zauważa Jack.

– Ale Szkocja należy do Wspólnoty Terytorialnej Wysp Brytyjskich, która z kolei należy do Unii, prawda? Próbuję właśnie pokazać, że to, co dobre dla Unii, jest dobre dla Szkocji i Anglii. A dzieją się teraz bardzo złe rzeczy, zarówno dla waszego kraju jak i, w konsekwencji, dla was.

Jeśli pozwolisz im tak się nawzajem poszturchiwać, będziecie tkwić w tym bunkrze do świąt. A na to się zgodzić nie możesz: ta rozpuszczalna kawa jest obrzydliwa, i nie da się sprawdzić poczty.

– No dobra, to co właściwie się dzieje? – pytasz Michaela, uśmiechając się najmilej jak potrafisz, żeby ukryć irytację.

– Kwantowa wymiana kluczy! – rzuca Michael.

Jeśli o ciebie chodzi, równie dobrze mógłby powiedzieć „abrakadabra”, ale Jacka aż zelektryzowało.

Michael się uśmiecha.

– Widzę, że teraz zaczęliście słuchać...

Jack kiwa głową jak marionetka na sznurkach.

– Jeszcze pięć lat temu postępowaniem w elektronice rządziło tak zwane prawo Moore’a – kojarzycie? Układ robi się mniejszy, wydziela mniej ciepła, więc może chodzić szybciej, a na płytkę o danej wielkości da się upakować więcej elementów. Trochę się to zacinało w latach zerowych, kiedy w elektronice dotarliśmy do ograniczeń skali kwantowej. Tylko że jednocześnie naukowcy rozwijali tak zwane procesory kwantowe – nie pytajcie mnie, jak działają, dla mnie to czarna magia. W skrócie: kwantowy procesor jest w stanie wykonać niektóre obliczenia nie po prostu bardzo szybko, ale praktycznie natychmiast. A najważniejsze z tych obliczeń to właśnie łamanie szyfrów.

– Ale jeśli korzysta się z kwantowej wymiany kluczy – mówi powoli Jack – wraca równowaga w wyścigu zbrojeń, prawda?

To już przerasta cię co najmniej o dwie głowy, ale mocno się skupiasz – pracę domową odrobisz, jak dostaniesz z powrotem komórkę.

– Tak i nie. Kwantowa wymiana kluczy... – Michaels patrzy na ciebie – ...pozwala zabezpieczyć normalne klucze kryptograficzne, tak że nie ma ryzyka, że ktoś położy na nich łapę i złamie je kwantowym procesorem. Ale takiej wymiany dokonuje się wyłącznie po bezpiecznych łączach światłowodowych. Cała nasza bezprzewodowa infrastruktura, 3G, 4G i NG oraz 802.20, nie da się przestawić na kwantową wymianę kluczy. Następna generacja systemów już będzie bezpieczna, ale na razie, stoimy otworem przed każdym, kto ma parę milionów euro i trochę grubych światłowodów, oraz kopię klucza jednorazowego zabezpieczającego dostęp do głównych routerów naszej sieci szkieletowej. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie siedzimy teraz w ekranowanym bunkrze bez jakiegokolwiek łączności wynalezionej po roku tysiąc dziewięćset czterdziestym. Jedyne pociecha, to że nasi przeciwnicy są na razie tak samo otwarci na oścież – dlatego odbywa się teraz największe odrodzenie HUMINT – wywiadu osobowego – od czasów zimnej wojny. Dzieje się to za pośrednictwem gier terenowych i gier w alternatywną rzeczywistość, w typie *Szpiegów*, jakbyście się jeszcze nie domyślili: łączy się siłę elektronicznego pozyskiwania informacji ze szpiegostwem osobowym. Uwierzyć, że kiedyś całodobowa obserwacja kogoś kosztowała nawet dziesięć tysięcy euro za dzień? Teraz mamy ochotników, którzy nam płacą za przywilej odwalania tej roboty!

Kręcisz głową. Michaels rzuca na stół przed wami kupę losowych elementów układanki, kompletnie wymieszanych, i spodziewa się, że je poskładacie, a wy nadal nie widzicie całego obrazka.

– Do czego pan zmierza? – pytasz. – Bo nie widzę, co to ma z nami wspólnego...

– Rzeczywiście ciężko to wszystko naraz zaabsorbować. – Michaels wzrusza skromnie ramionami. A niech go. – Powiem tylko... wyobraźcie sobie, proszę, że w czeluściach jakiegoś centrum handlowego w Pekinie, stado maniaków gier komputerowych naprawdę mocno angażuje się w sieciową grę pod tytułem... jak tam po mandaryńsku są *Globalne podboje*. Jest ich sporo, dzielą się na dwa klany, nazwijmy ich Team Red i Team Blue. A gdzieś w jakimś biurówcu, jacyś pracujący dla Guoanbu oficerowie wywiadu z nieco inną obsesją na punkcie gier, postanowili, że może, być może, te klany graczy są, jak to nazywało dawniej sowieckie KGB, pożytecznymi idiotami i przydzielili im oficera prowadzącego. Chińczycy nie patyczkują się z hackerami. Były czasy, kiedy lądowali w kawałkach w banku narządów. Dzisiaj taniej jest organy hodować, więc szybciej dostają dwadzieścia lat obozu pracy, co też może odstraszać. Jeśli hacking jest skierowany przeciwko wrogom państwa, to zupełnie inna kwestia. Więc te klany graczy, ci pożyteczni idioci, grają sobie w swój *Globalny podbój*, a ktoś w Guoanbu, zamiast nasrać na nich z dużej wysokości, dał im ograniczony dostęp do

komputera kwantowego w podziemiach ichniej Państwowej Akademii Nauk.

– A cel tej gry? – pytasz.

– O ile nam wiadomo, to gra o zdobycie flagi – wygrywa pierwsza drużyna, która przejmie kontrolę nad routerami sieci szkieletowej jakiegoś średniej wielkości państwa, członka Unii Europejskiej. I wiecie co? Uda im się, bo jakiś sukinsyn, nie, nie mam pojęcia, kto to jest, zdradził im kopię jednorazowego klucza uwierzytelniającego z tej sieci. Dalej go mają i właśnie włączą z buciorami w naszą infrastrukturę telekomunikacyjną, bo boimy się to wszystko wyłączyć i zrestartować, póki się nie dowiemy, skąd wytrzasnęli ten klucz. I wiecie co? W ogóle byśmy nie mieli pojęcia, gdyby jeden z ich szeregowych ludków nie wymyślił sobie sposobu na dorobienie drobnej kasy na boku. I tu wchodzicie wy...

Jacek: Przestępca seksualny

Dwie godziny po rzuceniu przez Michaela kasetowej bomby z objawieniami, wychodzisz chwiejnym krokiem z króliczej nory pod Hayek Associates, wyczerpany, głodny i niezdecydowany: wściekać się czy się bać.

Dobrze, że chociaż Elaine wygląda na niewzruszoną i jest nieskazitelna jak zawsze – ten jej kostium jest chyba z teflonu. Unosi wzrok do szaro zaciągniętego nieba, już spluwającego ciężkimi, samotnymi kroplami w ramach rozgrzewki przed głównym programem.

– Zawiozę cię do domu – mówi, poklepując porozumiewawczo słuchawkę w uchu. – Musimy pogadać.

– Nie trzeba – mówisz, bo tak wypada, według gruczołu odpowiedzialnego za grzeczność (normalnie podlegającego płatowi mamusinemu, ten jednak jest teraz w stanie wyłączonym, siedzi w kąciuku, mamrocze do siebie i ssie palec). – Możemy pojechać do twojego biura w hotelu...

– Co ty gadasz? – Patrzy na ciebie dziwnie.

Jesteś u granic wytrzymałości. Gdzie jest przystanek?

– Tam, pod górkę z podjazdu...

Kolejne pięć minut i już jedziecie wbici w sąsiednie siedzenia niskopodłogowca LRT, powoli pnącego się w górę Drum Brae. Jego napędzany rzepakiem silniczek wydaje z siebie źle wróżące wycie. Wnętrze ma barwę elektrycznych iskier, poręcze są pomarańczowe, a niebo za przesłoniętymi reklamowymi siatkami oknami to złowieszcza, szara zapowiedź tego, co się zaraz stanie. Myśli wirują ci jak turbina Scottish Hydro, ganiająca w kółko za własnym ogonem. Tropienie orków-złodziei i skradzionej góry worpalnych mieczy to już sprawa nieaktualna – teraz ważne jest uratowanie własnej głowy, podczas gdy wszyscy wokół tracą własne, kiedy ciacha nożycami XXI-wieczny odpowiednik żółtej śmierci.

– Kupiłaś te jego pierdoły? – pytasz ją.

– Jesteś zmęczony – powtarza.

Przewraca oczyma na bok, a ty idziesz za jej spojrzeniem i zderzasz się z małym, czarnym oczkiem kamery. Ups. Nic dziwnego, że te wozy nazywają się Optare – kamerek masz w zasięgu wzroku co najmniej osiem, i nie wiadomo, czy są zepsute, czy...

– Dobra. Jedźmy do domu. I nie gadajmy.

W głowie zaczyna się wielowątkowa gonitwa paranoicznych myśli. Wyszliście od Hayka z całą masą losowych kawałków układanki oraz szokującym domysłem, że operacja Michaela została spenetrowana, a on albo tego nie wie, albo nie chce powiedzieć. I teraz: przypuśćmy,

że on ma rację, że ten czy tamten klan z Pekinu ma dojścia do... no, w zasadzie wszystkiego.

Da się w ogóle bezpiecznie dotrzeć do domu? Mają kamerki z autobusów – po 7 lipca ^[17] skończyło się używanie zawodnych rejestratorów wideo pod siedzeniem kierowcy – mają kamery uliczne i... ale nie, w Hayku celowo nie ma żadnych kamer obserwujących ich parking, prawda? A rozpoznawanie twarzy jest nadal bardzo zasobożerne i nie pomoże w tym żadne kwantowe pudełko po butach pod rackiem pełnym serwerów, nie przy dzisiejszej technologii. Dobra. Gdybyście zawołali taksówkę, moglibyście znowu wylądować w gównie, autobusy mają jednak kierowców, żeby zbierali drobne od turystów i podejrzanych indywiduów, nie mających karty RiderPass. Nie jest to anonimowy transport – taki pewnie już nie istnieje, chyba gdybyście jechali rowerem lub konno – ale niewiele gorzej: transport bez śledzenia tożsamości w czasie rzeczywistym. Wrogowie mogą wiedzieć, gdzie mieszkasz i gdzie są biura HA, i domyślić się logicznego połączenia autobusowego... Zresztą, czy mogą? Kto wie? Postaw się na miejscu marionetkarza w jakimś biurze w centrum Guanzhou, pociągającego za sznurki gry w alternatywną rzeczywistość, rozgrywanej przez cudzoziemskie diabły. To nie jest gra. A to oznacza...

Autobus rusza z szarpnięciem od krawężnika i toczy się ku waszemu przystankowi. Wyciągasz rękę, wciskasz przycisk, potem wstajesz. Patrząc w oczy Elaine, wskazujesz brodą drzwi.

– Na następnym.

Wszechogarniająca gra. Wskutek kryptograficznej luki, na którą Michaels tak uprzejmie zwrócił wam uwagę, druga strona trzyma za jaja całą rzeczywistość.

„To wcale nie jest nowa rzecz”, wyjaśnił. „NSA robiło to całe lata przed wszystkimi, aż po ich ostatnie niefortunne wypadki”. „Mają Elsie”, mówił Michaels, a ty poczułeś narastający tubalny, złowrogi rechot, wiszący nad ziejącą otchłanią przerażenia, o której jeszcze nie masz odwagi pomyśleć.

Michaels użył twojego wirtualnego ja jako przynęty – teraz razem z Elaine jesteście berkiem, artefaktem do zdobycia w samym sercu następnego poziomu gry, którą on sam tworzy na bieżąco dla oczu niewidzialnych panów rzeczywistości w Pekinie. Gdyby Chen – niewirtualne terenowe oczy i uszy Teamu Red, zagraniczny student na wymianie w Szkocji – nie spieprzył wszystkiego przez swoją pazerność i nie przyszło mu do głowy wykorzystanie łamacza kluczy do napchania własnych kieszeni, dalej miotalibyście się w ciemności, a nie w tym ponurym zmierzchu, jak teraz.

Jak można zwinąć zagraniczną siatkę szpiegowską, kiedy szpiegdy nawet nie mają pojęcia, co robią? Już nie mówiąc o tym, że miałyby to zrobić bałwany z waszego własnego

kontrwywiadu...

Stoicie na chodniku, a wokół chlupocze deszcz. Zerkasz tęsknie w kierunku baru U Burta, zaraz po drugiej stronie – dobre piwo i świetne zapiekanki – ale tam będzie zbyt dużo ludzi, zbyt wiele nadstawionych uszu, niemrugających oczu kamer i telefonów, które robią także za podsłuchy. A ty czujesz się obity i na tyle paranoiczny, że potrzebujesz intymności.

– Tędy – mówisz do Elaine, nadal nie do końca pewnej, dlaczego upierała się iść z tobą do domu, zamiast pogadać sobie w jakiejś kawiarni.

Tupiecie na bruku, truchtając skręcacie na Glenogle do twojego małego rzemieślniczego domku, gdy w niebie puszczają zwieracze. Biegniecie, szukając osłony przed wodnym ostrzałem artyleryjskim. Elaine pędzi tuż za tobą – a zostało jeszcze paręset metrów. Kiedy stajecie przed przejściem, żeby przeczekać auta, obok przepływa terenówka, złośliwie jadąc wzdłuż krawężnika i obryzgując wam nogi wodą z błotem. Elaine cicho klnie za twoimi plecami, przechodzicie przez ulicę, ale na szczęście już jesteście po dobrej stronie i kierujecie się do żeliwnej bramki.

Łapie cię za ramię.

– Czekał – syczy.

– Ale leje... – Stajesz. – Co?

– To tutaj?

Kiwasz głową.

– Daj mi klucze, dobra? I zostań z tyłu.

– Nie jestem przecież głupi – mruyczysz.

Wchodzisz w tryb *Szpiegów* i przepatrujesz żywopłoty i samochody po obu stronach, szukając znaków, symboli otwartego oka i niewidocznych pułapek. Skradając się do własnego ogrodu, jakbyś spodziewał się znaleźć ninję w kuble na śmieci, czułbyś się jak idiota, nawet gdyby po karku nie spływał ci lodowaty deszcz – ale robiłeś to w grach tyle razy, że rola wchodzi niemal automatycznie. A potem stoisz przy własnej dziurce od klucza, rozglądając się wokół framugi za rzeczami w rodzaju nieoznakowanych czarnych pudełeczek, których tu wczoraj nie było.

Nic. A to twój dom. Wtykając klucz do zamka, rzucasz przez ramię.

– Telefon wyłączyłaś?

– Ups. – Zaczyna majstrować przy nim, po ciemku, w deszczu, ty zaś wchodzisz do środka i zapalasz w holu światło.

– No to wchodź i zamknij drzwi.

W środku nie pada, jeśli nie liczyć wody ciekącej z przemoczonej marynarki i spodni, a

także tej, która spływa z włosów i zalewa ci oczy. Ze znużeniem człapiasz do holu i wydobywasz się z mokrej marynarki. Wyciągasz z kieszeni telefon – wyłączony, klawiaturę – wyłączoną, prawdopodobnie nieodwracalnie – oraz okulary. Dźwięk oberwania chmury cichnie, kiedy Elaine zamyka drzwi wejściowe na klucz i tupie butami w wycieraczkę.

– Cała mokra jestem. Ten bulwarowy traktor mnie załatwił.

– Mnie też. Oni to chyba robią specjalnie. – Jeżdżą z kołami zanurzonymi w pełnym wody rynsztoku, żeby moczyć zmotoryzowanych inaczej, których nie stać na morderczy podatek drogowy. Zrzucasz buty, gonisz do sypialni i łapiasz wiszący na drzwiach szlafrok. – Proszę, czuj się jak u siebie. Ten twój kostium można prać w pralce?

– Oczywiście. – Patrzy na ciebie nieufnie, potem bierze szlafrok. – Ej, wcale nie musisz...

– To żaden kłopot. Wiesz co, zaraz nastawię porządną kawę, potem pogadamy.

– Koniecznie.

Rozgląda się po salonie, po plątaninie kabli wetkniętych do przeciążonego dziesięciogniazdowego przedłużacza w kącie, po regale ze środkowymi półkami wygiętymi w łuk pod ciężarem dodatkowych materiałów do D20 oraz komiksów; potem ląduje w przeciwległym kącie nowszego z dwóch futonów z Ikei, stanowiących 90 procent mebli tapicerowanych, i schyla się, żeby zdjąć buty.

Kręcisz głową i nurkujesz do kuchni, by pomocować się z własnymi uczuciami. Kuchnia jest mniejsza niż na Airbusie, ale przynajmniej możesz zabrać się za kawę, zapewniając jej namiastkę prywatności, a oprócz tego pobełkotać trochę do siebie bez ładu i składu i spróbować się uspokoić.

Wyłaniasz się stamtąd spokojny, opanowany, niosąc dwa prawie czyste kubki pełne espresso z organicznych plantacji fair trade – i zastajesz niespodziankę o zmierzchu. Elaine nachyla się nad przedłużaczem i po kolei idzie za każdym kablem od zasilacza do migającego światełka. Próbuje to wszystko powylaczać. Włożyła twój szlafrok – spodnie i żakiet leżą w brudnej kałuży na środku dywanu. Odchrząkujesz.

– A, hej – mówi. – Ile tych gadżetów tu jest podpiętych? Masz pojęcie?

– Eee. Za dużo? – Przyłapała cię, nie ma co. – A co robisz?

Przyciska wyłącznik na nagrywarce wideo.

– Jeśli mamy rozmawiać, to może w dyskretnym miejscu. Poza tym denerwowały mnie te światełka. Naliczyłam szesnaście, zanim się zgubiłam.

Szybka inwentaryzacja upewnia cię, że nic złego nie robi – to wszystko są urządzenia, nie komputery, z wyjątkiem domowego serwera dyskowego koło kominka.

– Chwilę. – Nachylasz się, szukasz gniazdka na ścianie i pstrykasz wyłącznikiem obok

niego. Wszystko, co jest podpięte do listwy zasilającej, mruga i gaśnie jednocześnie. – Może być?

– Zobaczmy. – Podnosi telefon z chwiejnej sterty magazynów z kólkami od kawy na bocznym stoliku i wgapia się w niego. – Tak. Szpieg zdechł.

– Szpieg?

– Prowadzący Szpiegów wysłał mi taki wykrywacz podsłuchów. Przeprogramowuje telefon, żeby szukał innych źródeł emisji radiowej, czy coś? Jak ci to brzmi?

Brzmi jak całkiem wypasione zastosowanie inteligentnego radia i pewnie jest nielegalne jak cholera – to jakiś programik, który potrafi przeprogramować wbudowany w telefon soft do sterowania radiem i zamienić go w skaner, umiejący słuchać dowolnego radiowego protokołu, jaki tylko może zebrać jego antenka. (W końcu radiowe zakłócenia to tylko wytwór błędów w konstrukcji odbiorników). Dawniej, kiedy myśleliście, że *Szpiedzy* to gra, byłyby to tylko rekwizyt, zabawka, ale teraz...

– To jest do zrobienia. I co mówi?

– Powiedziało, że coś tu nadawało, a kiedy wyciągnąłeś wtyczkę, przestało. – Zamyka telefon. – Nie wygląda ci to na pluskwę?

Zerkasz na sieciowy odtwarzacz mediów – diody są ciemne i martwe. To twoje muzyczne życie, przyjacielu, tam w rogu.

– Może i tak. – Chyba nie ma lepszego miejsca na pluskwę niż oprogramowanie w ustrojstwie, które cały czas coś nadaje, prawda? – Kawy?

– Dzięki. – Bierze kubek z wdzięcznością. – A co do tej pralki...

– Jeśli nadal chcesz skorzystać, zajmie to pewnie ze trzy godziny. Ale, jeśli nie, mogę pożyczyć ci jakieś džinsy i marynarkę, czy coś.

– Nie trzeba, ale dzięki. – Ulatnia się z niej jakieś napięcie. – To pokaż, gdzie masz tę pralkę?

Pralkosuszarka stoi pod blatem w kuchni. Jest w pełni automatyczna i ustawia się na podstawie pastylek RFID w jej żakiecie i spodniach. Trzydzieści sekund później Elaine zwiija się w kłębek na futonie naprzeciwko ciebie, z kubkiem kawy. W mroku jej oczy są ciemne i poważne. (Nie miałeś pojęcia, że te wszystkie urządzone tak dobrze oświetlały twoją norę).

– Dobra. To co według ciebie, się tu dzieje?

– No... – Urywasz.

Sam fakt, że siedzi naprzeciw ciebie, w naturalnej wielkości, w twoim szlafroku, paraliżuje ci język. Jest w tym jakiś podtekst, którego dotąd właściwie nie pozwalałeś sobie zauważyć, przynajmniej świadomie. „Myślisz, że ona tu przyszła, bo cię lubi?”. Płat mamusiny już

zamierza wdać się w mentorską gadkę, ale trochę brakuje mu słów: nieszczególnie orientujesz się w regułach gry, w którą, zdaje się, gra Elaine, nawet nie za bardzo umiesz poznać, że toczy się jakaś gra, wycofujesz się więc pośpiesznie w kierunku czegoś zrozumiałego.

– Barry’emu nie wierzę jak psu. Ewidentnie ma coś wspólnego ze *Szpiegami*, a *Szpiedzy* na jakimś poziomie łączą się z policją, czy wywiadem – inaczej nie byłoby tej przejażdżki taksówką. No i sprzedał nam świetną historię. Ale poza nią...

Patrzy na ciebie z ciemności.

– Elsie. Twoja siostrzenica. Jakoś... nie martwisz się o nią. Jack, czy to też jest tylko historia? Jack?

W uszach słyszysz huk, niczym silnik molocha toczącego się ulicą pod prąd, błyskającego światłami i trąbiącego klaksonem.

– Nie mogę... – nie chcę – mówić...

– Jack? – Nachyla się ku tobie, z obawą. – O co chodzi?

Zmuszasz się do nabrania tchu i opanowania chaosu emocjonalnego, który w tobie wzbudziła.

– Nie mogę... Posłuchaj, zaufasz mi?

– Zaufać ci? – Dalej jest spięta.

Jeszcze jeden głębszy oddech.

– To skomplikowane. Później wytłumaczę. Na razie powiem tylko tak: Michaels, jeśli jest podpięty do policji, wie o pewnych rzeczach. A ja nie mogę zrobić dla niej nic, dokładnie nic.

– Ale myślałam... – Urywa, z wyraźnym wysiłkiem. – Na pewno?

Kiwasz głową, nie ufając sobie na tyle, by dodać coś jeszcze. Jesteś roztrzęsiony. To wszystko prawda – Elsie nie możesz już w żaden sposób pomóc – ale nie chcesz o tym myśleć. To zbyt bolesne.

Elaine odsuwa się, myśli intensywnie. Po chwili odwraca wzrok.

– Wierzysz, że Barry zadba o sprawę Elsie, ale jego ekipie nie wierzysz jak psu. Tak?

Na to łatwo odpowiedzieć.

– Przecież są spenetrowani przez drugą stronę. A co z resztą? Z tym jego dokumentem? Skąd wiadomo, że jest autentyczny?

Kręci głową. Widzisz kontur jej twarzy w przesączałym się przez firanki świetle ulicznych latarni.

– Papier jest prawdziwy. Albo to, albo ten policjant, co nam go dał, był podstawiony. Ale przecież z powrotem jechał szybko i na sygnale... nie, niemożliwe.

– Kurka. – Bierzesz eksperymentalny łyk kawy. – No dobra. A więc: *Szpiedzy* to w praktyce

narzędzie, które pozwala agencji wywiadowczej dysponować całą kupą nieświadomych agentów osobowych, niedzielnych szpiegów. Wyszkolili nas, a teraz aktywowali, bo jest zagrożenie. Rzekome zagrożenie, na nasz użytek, to jeszcze jeden gambit: atak botnetowy na mały europejski kraik, gdzie zombiakami są posłuszni gracze, myślący, że tylko się bawią, a reżyserem tego jest silnik do treści proceduralnej...

– Hmm. – Kiedy marszczy czoło, delikatnie marszczy też czubek nosa. – Nie jestem specem od gier, musisz mi wyjaśnić parę terminów.

– Terminów? – Cofasz się myślą, starając się ustalić, czego nie rozumiała. – Proceduralna treść?

Kiwa głową.

– Treść to, no wiesz, mapa lochów, położenie skarbów, miejsce, gdzie mieszkają potwory, tapeta na ścianie. Każda gra ma jej ogromną liczbę, a ręczne tworzenie treści kosztuje: trzeba mieć ilustratorów od tekstur, narratorów, kompozytorów, programistów, całą masę różnych specjalistów. Więc przez ostatnie kilkadziesiąt lat branża mocno inwestowała w rozwój proceduralnego generowania treści – inteligentnych narzędzi, które potrafią na bieżąco, w czasie rzeczywistym projektować dla graczy wirtualną rzeczywistość. To nie chodzi tylko o sieciówki dla wielu graczy jak Avalon 4, pracowali także nad ARG – grami w alternatywną rzeczywistość – potrafiącymi wziąć parę wskazówek i opracować spis, w który wpuszcza się graczy. No wiesz, scenariusze do rozmów telefonicznych, pewne gadżety podrzucone do pewnych lokalizacji, zatrudnieni aktorzy...

Patrzy tępo, tak samo, jak kiedyś, dopóki nie wytłumaczyłeś jej programowania przez porównanie z arkuszem kalkulacyjnym, ale tym razem nie wiesz, jak to obejść.

– Alternatywna rzeczywistość?

– Dokładnie! *Szpiedzy* to wariant tego modelu, mocno mediowany przez sieć, ale są i takie, w których mamy aktorów i dekoracje, a ty zapisujesz się do gry, żeby stać się częścią fabuły. Na przykład, *I Love Bees* – to była pierwsza bardzo popularna taka gra – albo *Dark Designs*.

– Płacisz, żeby stać się częścią fabuły. – Elaine wydaje się trochę nieobecna. – Coś jakby przekupić konstabla A, żeby nie zwracał uwagi na gracza B – który myśli, że to gra – żeby zaniósł bombę C (przerobioną z fajerwerków przez hobbystę-pirotechnika, myślącego, że robi to dla firmy od efektów specjalnych) do siedziby parlamentu, gdzie potem pożyteczny idiota D zainstaluje detonator. Tego typu rzeczy, tak?

– Coś w tym stylu. – Popijasz kawę. – Oczywiście wykorzystują, jak mogą, naszą głównianą, otwartą na oścież, infrastrukturę kryptograficzną. Teraz wszystko, telefony, Internet, chodzi na protokole TCP/IP – dzięki głupim decyzjom jeszcze z lat osiemdziesiątych. Powinni być wtedy

trochę mądrzejsi, ten protokół jest beznadziejnie prosty do łamania; więc, żeby trochę rzeczy pozabezpieczać, rząd zdecydował, że dostęp do głównych krajowych routerów, tych ustrojstw, co zarządzają całym ruchem sieciowym, będzie zabezpieczony tak zwanym szyfrem z kluczem jednorazowym. Klucze jednorazowe to świetna sprawa – oparte na nich szyfry są nie do złamania, jeśli nie dysponujesz kopią klucza – ale mają poważną wadę: każdy koniec transmisji musi otrzymać egzemplarz klucza, czyli długi ciąg losowych liczb. A jeśli klucz dostanie się w niepowołane ręce, całe bezpieczeństwo trafia szlag. Michaels właśnie powiedział, że klucze wyciekły – ktoś przekazał je Teamowi Red. A ponieważ fizyczne połączenia między routerami są zabezpieczone szyframi symetrycznymi, łatwymi do złamania, kiedy ma się pod ręką kwantowy procesor, to znaczy, że mogą podsłuchiwać w zasadzie wszystko. Krajową Ewidencję Ludności – mniejsza o to, że jest pozatruwana masą fałszywych wpisów – cholera, nawet nasze dowody tożsamości używają nowego szyfru z kluczem publicznym, który na kwantowych procesorach daje się łamać prawie natychmiast. A jeśli Team Red ma kopię kluczy do sieci szkieletowej, może podszyc się pod kogo zechce – w pewnym zakresie. Silnik do treści proceduralnej może podrobić dowód premiera, ale żeby udawać premiera przez telefon, i tak trzeba mieć aktora od dubbingu, prawda? Czyli mają tę niesamowitą furtkę do wszystkiego, ale co tylko się da, muszą załatwiać przez sieć. A ponieważ sieć jest mocno monitorowana, koncentrują się na tych obszarach, które najtrudniej monitorować – na przykład, w środku wielkich, rozproszonych gier na Zonespace, gdzie reguły zmieniają się z minuty na minutę, a gracze mogą implementować swoje własne gry-w-grze.

– Właśnie. Właśnie. – Kiwa głową. Twarz ma skupioną. – Czyli mamy te dwa, te... klany. Czerwony kontra niebieski, grają o Szkocję czy o Polskę. I to wszystko dzieje się w tle, kiedy Chen i jego współnik...

– Chen siedzi tu na miejscu, robi dla Teamu Red za fizycznego. Ma dostęp do łamacza kluczy w Chinach i myśli; czemu by trochę sobie nie dorobić? Takie typowe: świetny plan, ale bezpieczeństwo całej operacji trafił szlag, bo jeden członek zespołu zrobił się pazerny i zorganizował napad na bank w Avalonie 4. Zarobił na tym na czysto, bo ja wiem, może z dziesięć tysięcy euro w artefaktach oraz wyrok śmierci ze strony Guoanbu, kiedy się dowiedzą. Dlatego był taki zdesperowany z tą ochroną świadków, kiedy się pojawiliśmy. – Bezwiednie pocierasz się po żebrach. Dokładnie w miejscu, gdzie miałeś kieszeń z klawiaturą. – Jezu. Pewnie pomyślał, że przyszły po niego zombiaki i chcą go wsadzić do taksówki.

– Taksówka już czekała. – Elaine się wzdyga. – Ale nie my byliśmy dla niej celem.

Byliśmy pożytecznymi idiotami, którzy mają do niej Chena zagonić. Tylko że spieprzyliśmy sprawę. – Widzisz, że gapi się na ciebie szeroko otwartymi oczyma.

Wycucie czasu to podstawa. (Ale przynajmniej płat mamusiny zamknął mordę i możesz spokojnie kontemplować scenę swoim Szpiegowskim Zmysłem, albo może Gonadami Gracza).

– W Amsterdamie mnie aresztowali.

– Co? – Siada prosto.

– No tak, w piątek wieczorem, w zeszłym tygodniu. Napad na bank na Wyspie Śmiałych Snów zdarzył się w czwartek rano, prawda? I uruchomił człowieka-pułapkę Michaela.

– Człowieka, którego nie było, Nigela MacDonalda, fałszywą tożsamość opartą na twojej cefalce. – Dalej się tak na ciebie gapi. Całkiem jakbyś stał się pępkiem jej świata. – Dawno grasz w *Szpiegów*?

– E? Mówiłem, grałem wiele lat temu, i to w ramach pracy.

– Okay. – Umyślnie patrzy ci prosto w oczy. – Mam uwierzyć, że w strukturze Hayek Associates była dziura dokładnie w twoim kształcie, czekająca, aż Chen spróbuje się do nich włamać?

– Nie, ja... – Odwracasz w zażenowaniu wzrok. Wtem, w umyśle wynurza ci się pewien pomysł, jak góra lodowa. Zbyt absurdalny, by go ująć w słowa, ale pasuje do obiektywnych faktów... – O, kurde.

– Co?

– A może w ogóle zespół *Steaming* został rozpędzony w zeszłym tygodniu właśnie dlatego, że Michaels planował mnie zatrudnić? Albo raczej... mieli w strukturze organizacyjnej dziurę z moim nazwiskiem... czy raczej Nigela MacDonalda... i jakby trzeba było mnie uaktywnić, to ja jestem pod ręką... myślę, że to nie jest jedyna taka dziura, że mają kilka innych podobnych. Cholera, gdzieś pewnie jest agencja z dziurą w kształcie Elaine Barnaby, na razie uspioną i czekającą. Załóżmy, że Michaels już zwietrzył, że z kanału w Pekinie śmierdzi czymś podejrzanym, i planował uruchomić jakąś akcję kontrwywiadowczą, żeby się za tym rozejrzeć. Większość roboty planował zwalić na Szpiegów, ale od środka potrzebował paru kumatych osób – chyba widział mnie w roli Mistrza Gry. Potem się jednak okazało, że napad na bank i stojący za nim wrogowie przeniknęli o wiele głębiej niż ktokolwiek myślał, a jeszcze ten kretyń od marketingu wezwał policję. Dopilnował więc, żeby to mnie zatrudniono, kiedy poprosiliście o przewodnika-tubylca. – Cofasz się myślą do tej cudacznej rozmowy, z panem Prądkiem i panem Szarym oraz nie do końca dobrze działającą, osuwającą się w otchłań niesamowitości nakładką graficzną. – I pewnie jeszcze szturchnął waszego szefa, żeby na

pewno cię tu zostawiono, bo przecież jesteś jednym z jego pionków.

– Brzmi prawdopodobnie. Masz chyba rację, że on już wtedy planował zwerbowanie ciebie. Nie tylko zwolnienie ze *Steaming* to jego sprawka. Pewnie zaaranżował twoje aresztowanie w Amsterdamie, tylko po to, żebyś wrócił do domu z podwiniętym ogonem. – Odstawia kubek z kawą.

– Aaa! – Płatowi mamusinemu udaje się wykrztusić pełne oburzenia zapewnienie o twojej niewinności, a potem zamyka się w sobie i popada w katatonię.

Elaine uśmiecha się do ciebie psotnie.

– Ja bym to właśnie tak rozegrała.

– Masz diaboliczny umysł!

– I to ma być źle? Dlaczego?

Stwierdzasz, że zaczynasz odwzajemniać jej uśmiech.

– Przyda nam się, jeśli chcemy dojść, czego Barry nam nie mówi. O ile będziesz pamiętać, żeby używać tej supermocy tylko do czynienia dobra.

– Postaram się. W każdym razie, Team Red jest tu wryty głęboko, mogą podsłuchać każdą łączność w całej Szkocji i złamać każdy szyfr, który jest w powszechnym użyciu. – Patrzy podejrziwie. – A my jesteśmy bezpieczni?

– Nie wiem. Ewidentnie ta zakulisowa instytucja Barry’ego ma rzeczy, o których Team Red nie wie, albo nie może ich złamać. I... – z wody wynurza się kolejna góra lodowa – ...chyba właśnie to złapałem.

– Co złapałeś? – patrzy niespokojnie. – To zaraźliwe?

– Zestaw kompetencji: Nigel MacDonald. Zaraz... no właśnie. Powiedzmy, że Barry dowiedział się o istnieniu Teamu Red oraz wpadł na trop małej operacyjki Chena, zanim jeszcze wydarzył się napad. Tak? Albo choćby, że Chen ma w swoim studenckim rękawie taką kartę-furtkę. No to pojawia się „Nigel MacDonald”, namawia Chena, żeby to zrobił, a po kradzieży zapada się pod ziemię. Team Red próbuje dojść, co narozrabiał pomysłowy pan Chen, dowiadują się, że MacDonald zniknął, więc skupiają się na nim, jako współpracownika. Szukają, wyławiają mnie, i...

Oczy Elaine się rozszerzają.

– No dalej, Nigel.

Nigel? Sam byś sobie takiego imienia nie wybrał, ale skoro czapeczka pasuje...

– Ups. Wkręcili mnie – i ciebie – żebyśmy wsadzili kij w mrowisko Teamu Red, a Team Red jest zmanipulowany i myśli, że jestem współnikiem ich zbiegłego członka, tak? Nie mają pojęcia, jak wygląda Nigel MacDonald, poza tym, co jest w Krajowej Ewidencji Ludności.

Cholera, załóżę się, że według tych danych jest podobny do mnie jak dwie krople wody!

– Jak się nazywa przeciwieństwo kradzieży tożsamości? Dobrowolne przekazanie tożsamości? – Kręci głową. – Jasne, więc po prostu zrobili z ciebie przynętę dla Teamu Red. Czyli ja jestem... snajperem. Tak? – Wstaje. – Gdzie masz łazienkę?

Pokazujesz w milczeniu i patrzysz za nią, gdy idzie na górę. Światło z ulicy, przesączające się przez okno w przedpokoju, obrysowuje jej łydki pod szlafrokiem, co przyciąga twój wzrok. Całkiem jakby mózg podzielił ci się na trzy części. Jedna nadal próbuje oswoić się z faktem, że druga strona gra na serio, a ty jesteś celem. Nie Ludowa Republika Szkocji lecz ty, we własnej osobie, stoisz na celowniku najlepszych i najbystrzejszych ludzi z Chińskiego Ministerstwa Spraw Państwowych, a do bawienia się w takie gry brakuje ci kwalifikacji. Druga część jest teraz prawie pewna, że Elaine zastanawia się nad zaproszeniem cię do całkiem innej gry, najstarszej na świecie – a płat mamusiny zaniemówił z przerażenia, uświadomiwszy sobie, że jeśli przyjmiesz to zaproszenie, będziesz musiał wytłumaczyć się z obu swoich małych problemików... I wreszcie, pozostaje ten drobiazg, że gracie w grę, której reguł nie rozumiecie, przeciwko generatorowi alternatywnej rzeczywistości, który według Michaela wziął Elsie za zakładniczkę i który uznał za dobry pomysł nałożenie twoich akt z Krajowej Ewidencji Ludności na akta wymaginowanego podwójnego agenta. Oślizły kutafon po elitarnej szkole.

Skrzypią deski podłogi. Elaine siada obok ciebie na futonie, pełna gracji i elegancka, jak tylko może być zestaw niezdarnych bibliotekarskich łokci i kolan.

– Próbuję dojść, czego oczekują ode mnie – mówi, zakrywając szlafrokiem palce bosych stóp. – I czego ty oczekujesz – dodaje. – Wiem, jaką rolę masz grać ty, ale kim ja jestem?

Jest dziwnie skoncentrowana, a ty chyba nie wiesz, o której grze teraz mówi.

– A kim chciałabyś być? – pytasz, nie patrząc na nią wprost.

– Myślę... – nerwowo oblizuje górną wargę – że chcę być szpiegiem. – W półmroku jej źrenice są wielkie i czarne. – Wiem, kim być nie chcę.

– No to dobra. Myślę, że już idziesz w tym kierunku. Jesteś księgowym śledczym z uprawnieniami do informacji niejawnych i siedzisz tak blisko „Nigela MacDonalda”, że jeśli Team Red śledzi naszą rzeczywistą pozycję, na pewno pomyśli, że MacDonald poddawany jest teraz gruntownemu badaniu.

– Ale to nie o to trzeba było zapytać – mówi, wskazując brodą zdechłą elektronikę domowego centrum rozrywki.

– O?

– Trzeba było zapytać: „A kim chcesz...” – patrzy ci w oczy, do ciebie dociera, że to ta gra,

zamierasz przed nią jak bażant w światłach góralskiego land rovera, bo ta gra ma jedną niesprawiedliwą regułę, dotyczącą tylko ciebie i nikogo innego, a teraz trzeba jej o tym powiedzieć; jesteś przerażony, ale nie możesz jej nie powiedzieć i zachować choćby odrobinę szacunku dla samego siebie – „...być?”.

I w ten oto sposób Elaine spędza noc w twoim mieszkaniu.

Spójrzmy prawdzie w oczy: to było zapewne nieuniknione, odkąd pozwoliłeś jej skorzystać z pralki oraz drugiej pary dżinsów. Gdybyś uświadomił sobie, że choć odrobinę się jej podobasz, spanikowałbyś i momentalnie walnął jakimś tekstem, od którego wszystkiego by się jej odechciało; tymczasem, ponieważ byłeś taktowny i życzliwy, niechcący przekonałeś ją, że nie jesteś beznadziejną oferumą. Siedziała więc w półmroku na twoim futonie, wymienialiście się paranoicznymi myślami i uświadamialiście sobie nawzajem, jak jesteście izolowani. A potem zauważyliście, że na dworze zrobiło się ciemno, a pralka chodzi dalej.

– Jak mam się stąd dostać do hotelu? – zapytała. – Nie korzystając z taksówki – dodała z nieznacznym uśmiechem.

– Jest autobus, jedzie prawie pod sam... albo mogę cię odprowadzić... – Wtedy wstałeś i zobaczyłeś deszcz za oknem: nie ryczący wodospad, który napadł was po drodze do domu, lecz normalny edynburski wieczorny deszcz, rytmiczny stukot płynnych szrapneli. – Albo możesz skorzystać z futonu. Mam dużo pościeli.

– Dzięki – powiedziała, uśmiechnęła się całkiem szczerze i poklepała futon. – To może zamówimy pizzę? Co ty na to? Masz jeszcze kablowy telefon, prawda?

Pizza po ciemku wymagała towarzystwa – zapomnianej butelki belgijskiego piwa z lodówki, potem przekopałeś się przez kable i podłączyłeś empetrójkę prosto do głośników, ona zaczęła szperać w twojej muzycznej kolekcji, dopóki nie znalazła kompletnie zapomnianych kawałków Miranda Sex Garden i nie zaczęła kiwać się do nich, wydawać odgłosów typu „ooo” i „aaa”, a potem opowiadać o koncertach, na których była (z przyjacielem, domyślałeś się, dogodnie wymazanym z ramki aerografem), oraz swoim nałogu – grach i rekonstrukcjach historycznych. Niezręczna chwila, kiedy znalazła pod stosem czasopism w łazience pewne twoje przedsięwzięcie, o którym zapomniałeś – potem jednak wyjaśniłeś, że to ty robisz na drutach, nie twoja była – łyknęła to bez mrugnięcia okiem; to z kolei doprowadziło do rozmowy o tym, jak jedna i druga praca uniemożliwia posiadanie życia osobistego, oraz do otwarcia drugiej, nieschłodzonej butelki belgijskiego piwa. Pytała, jak się czujesz po wypadku, wyznała, że sama ma sztywną szyję, a ty w ramach potwierdzenia rozmasowałeś ją – nieśmiało i mało wprawnie. Potem, już trochę oszołomiony, zauważyłeś,

jak późno się zrobiło, i zaproponowałeś, że może pora spać, że zaraz przyniesiesz pościel – a ona jakimś sposobem zasugerowała, że to nie jest konieczne. Pocałowała cię jak małe, zimne, szukające ciepła stworzonko, a ty rozpaczliwie próbowałeś przypomnieć sobie, jak się namiętnie odwzajemnia pocałunek, na wpół sparaliżowany lękiem, że ta chwila zaraz się ulotni.

A potem musiałeś to powiedzieć.

– Muszę ci coś powiedzieć... – Gdy mówiłeś, twoja krtań wydała ci się tworem z cegieł obrośniętych pajęczynami.

– Mm? – Trochę się spięła i odrobinę odsunęła.

– Kiedy miałem czternaście lat, w szkole...

Przestała ci się poruszać w twoich ramionach, zwiotczała, nasłuchując...

– Złapały mnie kamery.

Taniec ze stepowaniem, wstyd w parze z zażenowaniem, jak zawsze. Zebranie myśli zajęło ci chwilę, ona w tym czasie spięła się bardzo.

– Co robiłeś?

– Ja... – wzięłeś głęboki oddech – ona miała piętnaście lat. Robiliśmy mniej więcej coś takiego. Całowaliśmy się.

Poczułeś, że ulatuje z niej napięcie.

– To wszystko?

– Dyrektor akurat miał pokaz. Pokazywał policjantom od relacji społecznych swój nowy system kamer. I oni to oficjalnie zauważyli. Oskarżyli mnie.

– Co? – Czujesz skurczowe ciśnienie w jej ramionach, ścisła cię jak ocean.

– Zgodnie z Ustawą o Przeprowadzaniu Seksualnych, dopiero co wprowadzoną, dowolny kontakt seksualny z osobą poniżej szesnastego roku życia – no, głupi byliśmy, zresztą, to było przed poprawką, która weszła parę lat później. Zgodziłem się na pouczenie. Claire tak samo.

– Że co? – Jej ramiona zacisnęły się wokół ciebie.

– Właśnie próbuję powiedzieć. – Wzięłeś głęboki oddech: – Może nie chcesz iść dalej. Z kimś, kto jest w rejestrze przestępców seksualnych jako pedofil.

Wzdrygnęła się.

– Że co? – Zabrzmiało to niedowierzająco.

– Kontakty seksualne z nieletnią. Całowanie i obmacywanie też, wiesz? Była prawie rok ode mnie starsza; zatem rok, i to byłoby legalne, ale niestety, byliśmy za głupi i przyjęliśmy pouczenie. Pouczenie oznacza, że nie jesteś dalej ścigana, ale to przyznanie się do winy, jesteś notowana. Pouczenie, w odróżnieniu od sądowego wyroku, nigdy się nie przeterminowuje.

Gdybym zrobił aferę i zażądał procesu, przysięgli od nieletnich powiedzieliby policji, żeby się walała i przestała zawracać im głowę, a tak... to ciągnie się za mną. – Zbyt szybko wydatkowałeś oddech. – I się boję.

Po chwili uświadomiłeś sobie, że ona dalej mocno cię tuli. Prawie tak mocno, jakby tonęła.

– Jack – powiedziała ci w nasadę szyi. – Muszę cię o coś zapytać. Czy ty jesteś prawiczkim?

– Nie, ale muszę ci powiedzieć... – Nie musisz powiedzieć, ale płat mamusiny, pięciolatek, który uwierzył w gadanie dorosłych, że zawsze trzeba mówić prawdę, musi się przyznać do wszystkiego, tak jak wtedy, w ten straszny poranek w biurze dyrektora...

– Jack, poważnie, nie musisz. – Wetknęła ci nos w szyję. Czujesz, jak językiem bada ci obojczyk. – To tylko błąd w kodeksie. Nie musisz już dłużej za to pokutować.

– Ale co oni... Michaels mówi, że Elsie zaginęła...

– Cicho! – Była wściekła, bardziej wściekła niż Lucy, kiedy się dowiedziała i cię rzuciła, gorętsza niż te zimne, jadowite szepty za plecami na ostatnim, pełnym udręki (już nie mówiąc o celibacie) roku studiów. Jednakże siła jej uścisku podpowiedziała, że to nie na ciebie się złości. – Kretynie. Jak myślisz, ile ja miałam lat, kiedy się pierwszy raz całowałam z chłopakiem?

– Niestety...

Pocałowała cię znów.

– Mnie nie złapały kamery. I to jedyna różnica między nami.

Teraz oddycha równo i powoli, delikatny, trochę pachnący piwem wietrzyk, falujący drobnymi włoskami na twojej ręce. Ty zaś patrzysz na jej zamknięte powieki i rozluźnioną twarz, zrelaksowane we śnie brwi, przy delikatnym świetle czerwonej, diodowej latarni za oknem sypialni, i ogarnia się czułość, niemal tak potężna jak ocean zaskoczenia, który przelał ci się przez drzwi wejściowe i zadomowił w sypialni, pod kołdrą, ciepły, nagi i śpiący tuż obok ciebie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

A ty myślisz: To chyba wszystko zmienia. Ale na lepsze, czy na gorsze – to pokaże dopiero czas.

Wiesz, czego chce od ciebie Liz, prawda? Masz znaleźć komputerowca i bibliotekarkę, Jacka Reeda i Elaine Barnaby i postarać się, żeby się przydali w śledztwie. (A oprócz tego masz wyłączyć wszystkie serwisy sieciowe i założyć pod służbową czapkę drugą, z folii aluminiowej). Nie byłoby problemu, gdyby tylko udało ci się namierzyć tę cholerną parkę. Bo na razie, wróciwszy na komisariat i podłączysz się do sieci, odbiłaś się po kolei od ich skrzynek głosowych, recepcjonistów w komunikatorach i serwisów społecznościowych. Sporo się przy okazji o nich dowiedziałaś (Jack lubi ekstremalne robótki na drutach, a Elaine przebierać się za lady Marian i nawalać ludzi mieczem), nic jednak nie sugerowało, gdzie mogłabyś ich znaleźć. Po półgodzinie upartego nieznajdowania – wiesz, że z rana pojechali do Glasgow, ale kiedy już masz eskalować i posłać wnioski o śledzenie, ich telefony zostają wyłączone. Wtedy kończą się pomysły. Pora więc wyleźć na ulicę, jak w XX wieku.

Tylko że ta dwójka to nie są standardowe tutejsze karki. Nie mają chodnika, na którym mogą stać, tylko pokój hotelowy i zaadaptowany schron atomowy. Gdy sprawdziłaś, że nie zajmują już tej sali konferencyjnej w hotelu, lista możliwości zmniejszyła się troszkę – ale wtedy trafiłaś w bunkrze na ścianę.

– Nie ma ich tutaj. – To Beccy Webster, dyrektor ds. stabilizacji rynków, napada cię jak Lady Makbet. – Nie widziałam ich, nie meldowali się, a pani traci czas. – Prycha i patrzy na ciebie z góry, jakbyś była sprzątaczką z agencji, która właśnie wymazała wszystkie czystutkie ściany tonerem do drukarki.

– Naprawdę? – Unosisz brwi, ale twoje pole władzy działa ewidentnie na mniej niż pół gwizdka.

Beccy tylko patrzy na ciebie lodowato i kiwa głową.

– Tak. Po zeszłym tygodniu bardzo wzmocniliśmy ochronę.

Kurwa.

– A pan Richardson jest u siebie?

– Oczywiście. Ale on niczego innego pani nie powie. – Jeszcze jedno pociągnięcie nosem i już cię loguje, potem odchodzi, fukając.

Menda. Na szczęście, już tu byłaś i wiesz, dokąd masz iść. Idziesz więc i pukasz do drzwi Wayne'a, a kiedy otwiera, rzucasz mu swój najlepszy uśmiech dupowłaza.

– Pan Richardson! Tak liczyłam, że pana tu zastanę!

Wayne patrzy na ciebie niczym królik w światłach reflektorów i cofa się do gabinetu.

– Naprawdę? – pyta nieufnie.

Wchodzisz za nim. Ponura nora, oświetlona niebiesko-białymi dziennymi diodami wzdłuż górnych krawędzi ścian. Na nich wisi cała masa kawałków wytatuowanych owczych skór, z jego nazwiskiem. W ramkach – więc nie da się ich przeoczyć: (MISTRZOSTWA WYSPIY ANGLESEY W STRZYŻENIU OWIEC DLA MENEDŻERÓW ŚREDNIEGO SZCZEBLA. ZŁOTY MEDAL. 2014). Oprócz tego widać zaparkowany na podkładce do pisania podejrzanie wielki monitor.

– Czy przypadkiem nie widział pan dzisiaj Jacka Reeda albo Elaine Barnaby? – pytasz go. I tym razem puszczasz analizator stresu w głosie, tak z ciekawości.

– Przykro mi, ale nie – odpowiada i mówi prawdę, niech to szlag.

– A nie wie pan, gdzie są?

– Przykro mi, ale nie. Dzisiaj tu się nie pojawili. – Marszczy z namysłem brwi. – Właściwie to dość dziwne, jak się nad tym zastanowić. – Jest cały w zielonych słupkach. Znowu mówi prawdę. Co za pech. – Na noc zdaje się zapuszczali jakieś przeszukiwanie baz danych. Wieczorem zażyczyli sobie dostępu do różnych dość mocno poufnych danych i uruchomili na tym jakiś proces.

– A jakich danych szukali? – pytasz, tak dla sprawdzenia. Może Wayne się wystraszy i coś powie nie tak.

– Tych skradzionych artefaktów, opisanych w Structured Treasure Language. Dałem mu dostęp do odczytu do naszego repozytorium źródeł, żeby mógł sobie wkompiłować niektóre moduły i wtyczki do sieciowych serwisów aukcyjnych, na których handluje się prestiżowymi artefaktami. To chyba wszystko, ale mogę się mylić – targowali się z Samem o różne rzeczy.

– Z Samem...?

– Couperem.

Wymrugujesz zrobione wcześniej zdjęcie, z czasów twojego desantu w sam środek ich pożaru w burdelu.

– Jest dzisiaj w pracy?

– Pewnie! – Wayne robi zdziwioną minę. – Trzecie drzwi na lewo, na pewno pani nie przegapi. To te z napisem „Prawdziwi programiści robią to w pętli nieskończonej”.

Ma rację, nie da się tego przegapić. Walisz prosto do drzwi, słysząc dobiegające zza nich głosy. Otwierasz.

Jesteś w pokoju bez okien, z ogromnym, krzywoliniowym blatem wijącym się wzdłuż trzech ścian. Jest cały zagracony płaskimi monitorami, elektronicznymi gadżetami, kablami, książkami, wydrukami i niedojedzonymi brzegami od pizzy. Ściany pokrywają wielokolorowe mapy z sześciokątnymi siatkami. Jedyłą wolną przestrzeń zajmuje kalendarz Ansari Space

Camp. Trzech dorosłych samców siedzi prosto, jakby kij połknęli, w drogich fotelach na kółkach, zwróconych ku środkowi pomieszczenia. Gwiżdżą nieco znajomą melodię, a jeden z nich, łysiejący, koło trzydziestki, o czerwonej twarzy, marszczy się wściekle ze skupienia, żonglując czterema czy pięcioma małymi, pluszowymi Cthulhu. (Po chwili dociera do ciebie, że usiłują gwizdać melodię tytułową ze *Strefy mroku*, trochę fałszując).

Nie od razu cię zauważają: a wtedy gwizdanie załamuje się w diminuendo, po czym pluszaki o nietoperzowych skrzydłach spadają jeden po drugim na biurową niebiesko-zieloną wykładzinę. Na moment zapada pełna poczucia winy cisza, tak stuprocentowa, że usłyszałabyś spadający płatek śniegu, wreszcie jeden z nich odzyskuje głos.

– Czego pani chce? – pyta. To Sam Couper, pseudo „Traceroute słucha mnie jak pies”, oraz jego pomocnicy, Darren i Mike. Nieziemskimi stworami z horroru żonglował Darren.

Uśmiechasz się złowrogo.

– Chcę wam zajrzeć do głowy.

Darren wzdryga się, ale Sam jest z twardszego materiału.

– Już pani powiedziałem wszystko, co wiem.

Nic na to nie poradzisz. Coś w wystroju tego pokoju cię odrzuca. Pewnie to pokłady sfrustrowanego testosteronu, wypacane i wsiąkające przez lata w te ściany. Cokolwiek to jest, masz tego po dziurki w nosie.

– Powiedział mi pan wszystko, co wie, trzy dni temu. Chcę wiedzieć, co się od tego czasu wydarzyło między panem oraz Jackiem Reedem i Elaine Barnaby. Wczoraj po południu i wieczorem.

– E? – Robi zaskoczoną minę. – To Wayne. On ich przyprowadził i powiedział, że mam im dać wszystko, czego sobie zażyczą. Chcieli listy przedmiotów z logów transakcyjnych banku, na chwilę przed kradzieżą. Oraz kodu źródłowego do paru naszych wewnętrznych narzędzi, żeby Reed mógł sklecić z nich coś, co poszuka kradzionego towaru. I tyle, więcej nie miałem z nimi do czynienia.

– Rozumiem. – Szlag by go, też mówi prawdę. Kolejny niepotrzebny. – A wie pan, o której wyszli?

– O której...? Nie wiem. Jak poszedłem do domu, gdzieś koło siódmej, Reed jeszcze tu siedział. Wyglądało na to, że planuje nockę.

– Aha. – Cokolwiek by o nim myśleć, wygląda na pracowitego. Zerkasz na Darrena i Mike'a. – Ktoś z was ma coś do dodania? Bardzo mi potrzebna wasza pomoc.

– Do doda... – Mike przerywa. – Wczoraj Jack uratował mi dupę.

– Jak to, „uratował dupę”? – pytasz.

– Byliśmy... ja grałem Venkmannem, jednym z naszych firmowych awatarów. Pani ukochani audytorzy szperali w Avalonie i zawołali mnie, bo znaleźli bramkę, którą weszli orkowie. Okazało się, że to zhackowana żelazna dziewica, ktoś zamienił ją w niszczarkę i dorzucił jeszcze parę pułapek. Zostałem obezwładniony, wtedy napadły na nas slaady, ale oni mnie z tego wyciągnęli. Drugi koniec tej niszczarki jest w Zhongguo, gdzie nie mamy dostępu administracyjnego.

Dla ciebie to jeden bełkot, ale wyłapujesz jedną rzecz wymagającą uszczegółowienia.

– Zhongguo? – zniekształcasz jego wymowę. – A gdzie to jest?

– To jest inna gra na Zonespace, prowadzi ją Hentai Animatics. Nagrałem tę walkę. Jeśli pani chce, to wyślę pani avika.

Uświadamiasz sobie ze smutkiem, że stara się być pomocny. Tego właśnie ci nie potrzeba – szukasz oporu, a nie ochotników.

– Ano jo, jakby mi pan przesłał, może się przyda – mówisz mu, żeby się odczepił. – No to idę. – Wahasz się przez moment, patrząc na śpiące na turkusowej wykładzinie pluszaki. – Może jeszcze powiedziec mi, o co z tym chodziło? – Udaje ci się zachować beznamiętny ton; Liz byłaby z ciebie dumna.

– Przerwa na koncentrację – tłumaczy Russel. – Pracujemy, aż dłużej się nie da, a potem... żonglowanie Przedwiecznymi Bogami bardzo dobrze robi na stres, wie pani?

– Rozumiem.

Zarządzasz pośpieszny odwrót i udaje ci się nie zdradzić, póki za żonglującymi jajogłowymi i ich durnymi rytuałami nie zamkną się drzwi.

Hentai Animatics. Warto byłoby chociaż sprawdzić, czy ta macka nie prowadzi w jakies ciekawe miejsce...

Wychodząc z windy i idąc na parking, zauważasz, że pada zimna mżawka – a ty masz z tej okazji jeszcze więcej nagrań na skrzynce do ołania.

– Mówi Elaine z Dietrich-Brunnera. Może pani oddzwonić? Mamy ślad przedmiotów skradzionych z Hayek Associates. – To ci nie poprawia nastroju, zwłaszcza kiedy sprawdzasz datę wiadomości: została nagrana przed czterema godzinami.

Oddzwaniaasz, ale tym razem ty lądujesz na poczcie głosowej.

– Pani Barnaby? Mówi sierżant Smith, oddzwaniem. Mogłaby pani, albo pan Reed, jeśli jest w pobliżu, oddzwonić do mnie jak najszybciej? Dziękuję.

Masz złe przeczucia. Powinnaś już to ogarniać, ale w tej sprawie ciężko posunąć się choćby o krok – i do tego jeszcze twoja poczta głosowa zaczęła się rządzić swoimi prawami. Wracają

do ciebie słowa Liz: „Ci, co za tym stoją, mają wtyki do CopSpace...”. Normalnie nie słuchałabyś tego typu halucynacji, ale inspektor Kavanaugh, jej eleganckie garnitury, plus magisterka z kryminologii i druga z socjologii nie tyle wspinają się po służbowej drabinie, ile lecą w górę na odrzutowym plecaku – nie prosta droga w górę, lecz pocisk manewrujący wycelowany w stanowisko komendanta głównego. Jeśli ona przewraca oczyma i mamrocze coś o szpiegach, płaszczach i szpadach, a przy tym nie wygląda, jakby kompletnie puściła się kredensu (a pojawienie się dziś z rana Kemala i jego Akademii Policyjnej sugeruje, że jeśli ona ześwirowała, to w całej firmie choroba zbiera rekordowe żniwo), to może, kurna, trzeba jednak uważać na tajnych agentów wykonujących sekretny uścisk dłoni nad brzegiem Leith.

No dobra. A co jeszcze możesz zrobić, poza czekaniem, aż komputerowiec i bibliotekarka się wyklują? Radzisz się sumienia i widzisz, że: a) nadal nie nagrałaś oświadczenia w sprawie włamu Hastiego, b) beznadziejnie olałaś Boba, za którego jesteś nadal odpowiedzialna, mimo że uprowadzono cię do firmy Liz, i c) stoisz w ślepej uliczce, chyba żeby wrzucić trop Hentai Animatics do CopSpace i zobaczyć, gdzie poprowadzi. To, myślisz, nie jest taki zły pomysł. Wyciągasz prywatną komórkę, przeważnie używaną do pilnowania Daveya, i dzwonicz na numer Boba, z niewielką nadzieją. Ale po drugim dzwonku odbiera.

– Słucham?

– Bob? Mówi sierżant Smith. Zajęty jesteś?

– Zaję... nie, pani sierżant! W czym mogę pomóc? – Brzmi jak nadgorliwy szczeniak: już widzisz, jak się ślini i merda ogonem, przynosząc w pysku parę martensów w rozmiarze 45.

– Mam taki drobny projekt, Bob. Jak będziesz miał możliwość, podskocz, proszę, do najbliższej biblioteki i siądź przy publicznym terminalu. Wykop wszystko, co się da, o firmie pod tytułem Hentai Animatics, zajmują się zarządzaniem grami... – powolutku przeliterowujesz mu nazwę – ...i wyślij mi to. Do CopSpace na razie nie zaglądasz. Jak dasz radę zrobić to do końca szycy, będę cała szczęśliwa.

– Zrobię, co mogę, pani sierżant. – Nie trzeba telepatii, żeby wyczuć powątpiewanie w jego głosie.

– Bob, jak coś ci tu nie gra, idź z tym do inspektora Kavanaugh. Teraz dla niej pracuję.

– Aaa. No dobra, skoro pani tak mówi, to zaraz się tym zajmę. Albo jak tylko konstabl Wilson zrobi sobie przerwę na kawę.

Kończysz rozmowę, kręcąc głową na myśl, że taki jest zarobiony u Paula Wilsona, ksywa Leser; zdarzały się już dziwniejsze rzeczy, ale nie ostatnio. Z drugiej strony, sprawę twojego tropu masz tym samym z głowy. Teraz możesz spadać na komendę żeby wreszcie nagrać swoje oświadczenie, zagadać z Big Makiem, na wypadek gdyby zapomniał, że kiedyś dla niego

pracowałaś, i zająć się papierologią, której góra rośnie od zeszłego czwartku. A jutro też będzie dzień.

Gdzieś spod kołdry dobiega podziemny odgłos smarkania, potem płynie stamtąd ciepło. Na moment zamierasz, czekasz, aż uspokoi się odruch ucieczki – i relaksujesz się. Powoli obejmuje cię czyjeś ramię, zwierzęca pieszczota – a może to on jeszcze nie dowierza, że nie jest sam (i postanowił to sprawdzić).

Nie pierwszy raz budzisz się o świcie i zastajesz siebie w łóżku obcego faceta. (No, nie tak całkiem obcego – ale znasz go od niecałego tygodnia, w normalnym świecie to jest nic). Zresztą, jak się zastanowić, jeśli ktoś jest dla ciebie atrakcyjny, to tydzień w bezpośredniej bliskości wystarcza, by się zorientować, co wam obojgu chodzi po głowie; żadne dodatkowe miesiące nie zrobią różnicy, jeśli jedno, czy drugie nie jest zainteresowane. A wczorajszy dzień był kompletnym obłędem, co zawsze przyspiesza obrót spraw. Jeśli poleżysz jeszcze trochę i pokontemplujesz kwiatowy wzór Rorschacha po wewnętrznej stronie zasłony – skąd on je wytrzasnął? – albo, bardziej realistycznie: kto mu je wcisnął i dlaczego tak źle mu życzył? – zaczniesz się potwornie niepokoić, czy to w ogóle był dobry pomysł, czy to było rozsądne, zamiast przyznać, że po prostu właśnie tego w tym momencie potrzebowaliście. A jeśli zaczniesz tak szarpać za wystające nitki własnych wątpliwości, to nie tylko pogrzebiesz przyjemne wspomnienia pod kurhanem rozmaitych „ale”, lecz także odechce ci się to dalej ciągnąć – badać ten kolczasty gąszcz niskiej samooceny i potrzeb, który cię w to wciąga... tak jak ostatnim razem. Można na ciebie liczyć: jakiego faceta kiedykolwiek znalazłaś, zawsze miał jeszcze mniej pewności siebie niż ty.

– Jack?

Przypełza bliżej, przywiera do twoich pleców.

– Mmm?

– Dawno nie śpisz?

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Źle mi się spało.

– No cóż. – Przyciskasz się do niego plecami. – Konsekwencje później.

– O ile będzie jakieś „później”.

Zagryzasz wewnętrzną stronę policzka. Ach tak.

– A co, nie będzie? – Ludzie, nie mówcie mi tylko, że on już się wycofuje...

– Tak się zastanawiałem nad tym, co powiedział Michaels...

Ty nieromantyczny kutafonie! – myślisz, z nieznaczną ulgą.

– ...nad konsekwencjami włamania do głównych krajowych routerów.

No, ja nie mogę. Powstrzymujesz chęć przyłożenia mu z łokcia w żebro.

– Tak? Bardzo źle?

– Bardzo... zwłaszcza w najgorszym scenariuszu. Wyobraź sobie, że nie możesz wyciągnąć pieniędzy z bankomatu, mimo że masz je na koncie. Denerwujące, prawda? A teraz wyobraź sobie, że pada cały system APACS, do rozliczania płatności. Aha, do tego saldo na twoim rachunku jest losowe, tak samo na wszystkich innych rachunkach. Leżą Wszystkie systemy zarządzania zapasami w supermarketach, więc nie wiadomo, co zeszło, a co jest na półkach. Padają sieci wszystkich dostawców, i nikt nie wie, co jest gdzie w magazynie. Potem padają na pysk wszyscy dostawcy Internetu, telekomy stacjonarne i komórkowe. I tak leżą.

Już się w pełni obudziłaś.

– Czekaj. Mówisz: zero łączności, zero pieniędzy, zero jedzenia? Tak?

– To na początek. – Ton głosu ma denerwująco rozsądny. – Zero transportu, bo nie można ufać zdalnym centrom sterowania pojazdów, ani sieciowym systemom nawigacji, leżą bramki do opłat i systemy kontroli szybkości. Służby medyczne obsługują tylko nagłe przypadki, bo leży NHSNet. Policja pracuje na gońcach i gwizdkach, a straż pożarna... lepiej mieć nadzieję, że nic się nie zapali. A kiedy ludzie zaczynają umierać, nie można ich nawet zidentyfikować, bo rejestr ludności też został zamazany, tak że biometryka wskazuje na błędne akta.

– To raczej akt wojny niż atak hackerów. – Odsuwasz się od niego.

– Tak by to wyglądało. – Jest niemal zadowolony z siebie. Nie rozumiesz dlaczego: przecież Michaels nie płaci mu za opracowywanie tego typu analiz podczas leżenia w łóżku, prawda? – I to jest model z dwudziestego wieku, tak zwane Elektroniczne Pearl Harbor. Od tego czasu dokonał się postęp. Zmiany byłyby zapewne dużo bardziej subtelne. Jakies dodatkowe dopiski w rządowych raportach, na podstawie których negocjujemy w Światowej Organizacji Handlu. Z początku nic byśmy nie zauważyli, przez parę lat nic mogłoby się nie rzucić w oczy. Po co gwałtownie zatrzymywać państwo na torach? Lepiej delikatnie skierować je na wybrany tor. A jeśli paru audytorów zginie w wypadku taksówki, kto się w ogóle przejmie?

– Co... – Urywasz, czując mróz. Mimo starannie pielęgnowanego nawyku rozdzielania pracy od życia prywatnego, Jack zmusił cię do uruchomienia myślenia. W kąt idą myśli o przedśniadaniowych przytulankach. – Mieszasz mi w głowie. Najpierw kawa.

– Kawa, w takiej chwili?

Czujesz, jak kręci głowę.

A pieprzyć go, myślisz, z wielkim żalem. Albo i nie, pewnie tak raczej będzie. Odsuwasz koldrę i siadasz, dygocąc w chłodnym powietrzu.

– Kawy, niewolniku.

– To się nie musi stać – mówi z nadzieją. – Nikt zdrowy na umyśle by czegoś takiego nie zrobił, chyba żeby już toczyła się wojna. Guoanbu z pewnością nie chce niszczyć szkockiej infrastruktury – jesteśmy członkiem UE, ich największego partnera handlowego. Z drugiej strony, kiedy pokażą, że dysponują takimi możliwościami, zaczniemy ich słuchać... to wszystko dyplomacja, prawda?

Teraz w jego głosie brzmi powątpiewanie i nagle widzisz, co mu siedzi w głowie; czuwał obok twojej śpiącej postaci, dręczony ponurymi myślami o przyszłości, trawiony brakiem wiary w siebie – to lustrzane odbicie twojej własnej niepewności, tylko on ją eksternalizuje, rzutuje na większą perspektywę, zamiast niepokoić się o własną przyszłość. Przełykasz więc ciętą ripostę i zachęcająco kiwasz głową. Jeśli uda się to z niego wydobyć, może uratujecie coś więcej niż tylko wspomnienia.

– Gra o flagę rękami hackerów, do których, jakby co, można się nie przyznać – albo to zadziała, albo nie. Jeśli zadziała, mamy taką przewagę wywiadowczą, że dawne CLA albo KGB zesrałoby się z zazdrości, a jeśli zawiedzie, i tak się czegoś uczymy. – Naciąga koszulkę przy świetle nocnej lampki i przechodzi na twoją stronę pokoju. – Zostajemy tutaj? Czy zejdziemy na dół i pogadamy?

Wyślizgujesz się z łóżka i podnosisz jego szlafrok z miejsca, gdzie go rzuciłaś wczoraj w nocy.

– Słucham.

– Michaels chce, żebyśmy wypłoszyli agenta-rezydenta Teamu Red, żeby mógł go wysledzić po śladzie audytowym i zatkać dziurę, przez którą przeniknął Team Red. Jeśli wierzymy mu, że *Szpiedzy* nie zostali spenetrowani, wystarczy zaaranżować sytuację, w której przychodzą po Nigela McDonalda, i wtedy ich ująć... No i jeszcze jest szansa, że mój filtr złapał przez noc parę nowych artefaktów.

Radosna paplanina powoli zwalnia, na poziom świadomości wynurza się niepewność.

– Jack. Posłuchaj. – Stoisz tuż za nim. Łatwo byłoby wyciągnąć ręce i objąć go w talii, gdybyś tylko mogła się przebić przez jego zamyślenie. – Mówisz o ludziach, którzy w najlepszym wypadku spiskowali w celu organizacji kradzieży, a w najgorszym przygotowywali grunt pod poważny zamach terrorystyczny. Którzy pochodzą z kraju, gdzie tego typu działalność z reguły kończy się śmiercią; którzy wiedzą, że są w każdej chwili do zastąpienia, a jeszcze my depczemy im po piętach.

Sztywnieje.

– Pamiętasz ostatni raz? Pamiętasz, że twoja siostrzenica dotąd się nie znalazła? I myślisz,

że to dobry pomysł wchodzić głębiej?

Widzisz to wszystko jak na dłoni. Wystarczy opracować wybielający raport – nic nie wykryto – i z podwiniętym ogonem popędzić do Londynu, zanim gównem się przeleje. Maggie i Chris poklepią cię po głowie, wrócisz do kieratu Dietrich-Brunnera, na którym wykłęca się swój awans (nawet bez tajemnego uścisku dłoni, kiwnięcia głową i mrugnięcia okiem Michaelsa, mówiącego „jest nasza, zatroszczcie się o nią”). A Jacka będziesz mogła wsadzić do samolotu, żeby poleciał do Amsterdamu i kontynuował instalowanie sobie kaca, nad którym pracował, kiedy ta trąba powietrzna przyszła znikąd i porwała was oboje. Nie musicie się więcej zobaczyć, nikt nie musi cierpieć. Jack może sobie dalej rozdrapywać niesprawiedliwie zadaną ranę, a ty wrócisz do trzymania świata na dystans. Zapiszesz to sobie po stronie doświadczeń, a Michaels niech klnie nad zgliszczami misternie zaplanowanego cuda socjotechniki. Wskoczysz z powrotem do swojej emocjonalnej trumny i trzaśniesz wiekiem; nikt nie będzie cierpiał. I tak właśnie byś postąpiła, gdyby to nie był „dzień po”.

Jack wzdryga się i zaczyna odwracać.

– Elaine, nie wydaje mi się, że pozwolą mi tak po prostu sobie pójść. W ostatniej robocie robiłem takie różne rzeczy, mogę zrozumieć, dlaczego chcą, żebym..

Czujesz jego oddech na swoim policzku, płytki i niespokojny. Nachylasz się do niego.

– Jeśli znowu dasz sobie wsadzić nóż, będę na ciebie bardzo zła.

– Ja... – Z wahaniem sięga ku tobie. – Ja wiem.

I wtedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Chwila jest krucha jak pisanka-wydmuszka. Dzwonek dzwoni dokładnie w momencie, gdy wydaje ci się, że poranny spokój Elaine zaczyna topnieć – właśnie gdy dostrzeżasz pierwsze objawy tego, że nie jest ani zażenowana, ani zła, ani nie żałuje, że nie odgryzła sobie ręki przy barku i nie wyskoczyła przez okno, zamiast czekać na świt. Chwila aż ciężka od głębi – a dzwonek to wszystko psuje.

– Otwórz może – mówi, patrząc na ciebie spokojnie jak robot i nagle maskując całą powagę chwili.

– Dobra. – Łapiesz majtki i skaczesz ku schodom, zatrzymując się i wkładając w nie najpierw jedną, potem drugą nogę.

Gdy docierasz do drzwi, dzwonek brzmi jeszcze raz. Przystajesz na moment, potem przykładasz twarz do wizjera. Rybie oko wszystko zniekształca, ale wygląda na to, że widzisz policyjny mundur. Kiedy przekręcasz gałkę zamka i pociągasz, twój żołądek wykonuje podwójne salto w tył, którym zakwalifikowałby się do olimpiady.

– Dzień dobry?

– Pan... Reed? Jack Reed? – W zachowaniu konstabla jest coś dziwnego. Zaskakuje dopiero po chwili: on czyta z wypisanej odręcznie kartki. (A oprócz tego wygląda na bardzo młodego i niedoświadczonego). – Przysłała mnie inspektor Kavanaugh. Czy orientuje się pan, gdzie jest pani Barnaby?

– Tak, to ja. Ona też tu jest. – Wypisana odręcznie kartka budzi w tobie iskierkę optymizmu.

– W czym możemy pomóc?

– Sir, czy mogę wejść?

Mimo woli cofasz się o krok. Konstabl jest chyba czymś bardzo zmartwiony, jakby zbierał się do przekazania ci jakiejś złej wiadomości.

– Dowiedziałem się, że wczoraj byliście w Glasgow. To prawda?

Lodowaty przebłysk jasności. Mam dzwonić po adwokata? – zastanawiasz się.

– Tak – odpowiada Elaine. Stoi na górze schodów, tonąc w twoim szlafroku.

– Rozumiem, proszę pani. – Gliniarz kiwa głową i zauważasz jeszcze coś dziwnego – nie nosi ciężkich gogli, a na przodzie przeciwnożowej kamizelki nie wisi przypięta rzepem kamera. Wbijasz wzrok w identyfikator na piersi. LOCKHART. – W takim razie, pani inspektor prosi o przekazanie przeprosin. Ale czy mogliby państwo przyjechać ze mną do prosektorium, żeby... – przetyka ślinę – ...zidentyfikować zwłoki?

– O, kurwa – mówisz, a Elaine wyraża dość podobne uczucie. Zerkasz na nią i widzisz

własny szok, odbity w lustrze i pomnożony.

– Przykro mi, proszę pana. – Konstabl Lockhart ma zakłopotaną minę.

To musi być Wu Chen, palant i jedyna osoba, jaką znasz, która szukała guza. Na język ciśnie ci się o jeden za dużo tekst z Bonda, ale płat mamusiny interweniuje, zanim zdążasz powiedzieć coś, czego byś później żałował, w stylu: „Znał najkrótszą drogę do mojego serca” albo „Palant wisi mi klawiaturę”. Ponieważ to byłoby Niestosowne, a przez Niestosowne Wypowiedzi w Nieodpowiednim Czasie i w obecności Funkcjonariusza Policji można popaść w Tarapaty, ty zaś, mimo że po ostatnim tygodniu nie jesteś już taką dziewczicą w kontaktach z organami ścigania, i mimo że Elaine (co zdumiewające) nie ma cię za jakiegoś zboczeńca oraz (co jeszcze bardziej zdumiewające) najwyraźniej pragnie się zainstalować w twoim życiu, nie masz ochoty zapoznawać się z tymi organami bardziej niż to konieczne.

– Zaraz zejdziemy – słyszysz własny głos. – Dopiero ten... wstaliśmy. Możemy się najpierw ubrać?

Lockhart jest zażenowany, jakby śnił i właśnie uświadomił sobie, że pod kamizelką ma różową spódniczkę baletnicy.

– Tak, tak, oczywiście... ja zaczekam...

– Tu, na dole.

Wchodzisz na piętro, do Elaine, która samymi ustami coś ci wściekle, acz niezrozumiale sygnalizuje. Odczekuje, aż wejdiesz do łazienki, po czym zamyka drzwi.

– A gdzie mój kostium?

– A. – Zastanawiasz się, z jedną nogą w dżinsach, a drugą poza nimi. – Zaraz go wyciągnę z pralki. – Zbyt późno uświadamiasz sobie, że naprawdę pytała: „Czy masz deskę do prasowania?”. Cuda nowoczesnego włókiennictwa aż tak daleko jeszcze nie zaszły.

– Nieważne. – Plądruje szafkę i wyciąga twoje bojówki, najlepsze czasy mające już za sobą, oraz koszulkę z napisem „SIMS 4. TERAZ TO JEST NAPRAWDĘ”. – Masz jakiś pasek? Później wpadnę do hotelu...

Parę minut później oboje jesteście na dole i wkładacie buty. Konstabl Lockhart łązi bez ładu i składu, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Ty nurkujesz do kuchni i zgarniasz do reklamówki należące do Elaine ziele, podczas gdy ona zagaduje go w salonie. Łapiesz kurtkę, portfel i telefon – pora iść.

– Państwo pozwolą ze mną – mówi Lockhart.

W odróżnieniu od gliniarki z Glasgow, Lockhartowi nie przysługuje podrasowane volvo z kupą urządzeń do elektronicznego przeciwdziałania oraz bagażnikiem pełnym znaków ostrzegawczych. Łądujesz z Elaine łąkotka w łąkotkę na tylnym siedzeniu małuśkiej

hybrydowej toyotki, która wygląda jak coś, co wozi się w prawdziwym samochodzie w charakterze szalupy. Lockhart prowadzi jak kapelusznik, zwalnia do zera na każdym progu zwalniającym i szykaniu. Tarabani się Canonmills, potem pod górę do centrum, przy czym silniczek wyje jak przeciążony świder dentystyczny (wspomnienie z dzieciństwa, zanim dentyści dobrali się do orbitalnych promieni śmierci, których się teraz używa do polowania na nieszczęsne bakterie próchnicy i cofania ich bombardowaniem z powrotem do prekambru).

Edynburskie prosekorium to betonowo-ceglany brutalistyczny bunkier z płaskim dachem, wciśnięty w lukę między dwiema wyższymi kamiennymi budowlami na Cowgate, w samym sercu Starego Miasta. W Edynburgu czas biegnie inaczej: stare miasto jest stare, bo pochodzi ze średniowiecza. (Są plotki, że w średniowiecznych murach obronnych kryją się całe zapomniane ulice, zagrodzone, zasypane i zamurowane po tym, jak ich mieszkańców zabrała dżuma). Lockhart podjeżdża prosto pod kostnicę, jadąc pod górę na Mound, potem w dół przez Grassmarket, gdzie wieszano kiedyś czarownice i heretyków. Malownicze – jasne; domki z piernika – jasne, ale to miasteczko ma i ciemną stronę swojej historii. Jedziecie w milczeniu, ramię w ramię, a kiedy Elaine bierze cię za rękę, palce ma zimne i wyraźnie jest spięta.

W końcu Lockhart skręca ostro pod górę i wślizguje się na parking. Na ponurym zapleczu jest rampa dla karetek i karawanów, lecz zwykłe auta muszą stawać pod pubem naprzeciwko. Lockhart wysiada i przytrzymuje wam drzwi. Gramolisz się na światło dzienne i mrugasz oczyma, kiedy wysiada Elaine.

– A gdzie pani inspektor? – pyta, rozglądając się.

– Mówiła, że tu będzie. – Lockhart mocuje się z telefonem, który dość długo startuje. – Wejdźmy.

Gdy przechodziecie przez lustrzane drzwi, nadal przy nim majstruje. Stajecie oko w oko z kobietą, która mogłaby uchodzić za starszą siostrę Elaine – twardszą, krótkowłosą, wyrzeźbioną z zimnego, szarego północnego marmuru.

– Pan Reed, pani Barnaby? Inspektor Kavanaugh. Sue Smith, sierżant Smith mi o was mówiła.

Za szczęśliwa to ona dzisiaj nie jest, a płat mamusiny przez chwilę gędzi coś o grzechach, chcąc, żebyś się przyznał do czegoś, czegokolwiek, wszystko jedno czego – ósemki haszu w puszczyce, której konstabl Lockhart nie dostrzegł pod poduszkami sofy, albo tego, jak w drugiej gimnazjalnej podprowadziłaś Paulowi Douultonowi marsa. Opanowujesz to: wyraźnie robisz się lepszy w sztuce niesamooskarżania się za każdym razem, gdy tylko funkcjonariusz policji mrugnie okiem.

– Liczyłam, że wczoraj was poznam.

– Naprawdę? – pyta Elaine, jakby rzeczywiście była niezmiernie zainteresowana. – Rano byliśmy w Glasgow, a potem na spotkaniu.

– Na spotkaniu. – W ustach Kavanaugh to słowo brzmi jakby chodziło o zorganizowaną przestępczość, mającą na celu prowadzenie interesów zgodnie z regulaminem i procedurami: albo może to płukanka do ust gryzie się z jej charakterem. (Szybki objazd językiem po jamie ustnej przekonuje cię, że może trzeba jednak się było ogolić i umyć zęby). – No cóż, tak się złożyło. Barry Michaels zadzwonił do mnie – do domu, na kablową linię, dodam – i powiedział, że pracujecie dla niego. Zasugerował, że możecie mi pomóc rozwiązać pewien drobny problem.

– Problem... – powtarzasz, a Elaine szturcha cię w żebra.

– Z przyjemnością pomożemy – wtrąca się gładko – o ile tylko nie będzie to kolidowało z naszymi obowiązkami.

Auć, myślisz.

– Jak możemy pani pomóc? – pyta Elaine.

Masz złe przeczucia.

– Chciałabym was poprosić o oficjalną identyfikację pewnej zmarłej osoby.

Elaine chwyta cię za rękę. Gdy przyciąga cię do siebie, spinasz się.

– Co się stało?

– Później powiem wam więcej – mówi Kavanaugh. Zerka na wewnętrzne drzwi. – Jimmy? Mam tych twoich świadków.

Trzask w domofonie, potem brzęczenie odblokowywanych drzwi.

Kostnice widziałeś sto razy w telewizji, ale to zupełnie nie oddaje ich urody. Po pierwsze, śmierdzi tu trochę jak w szpitalu, tylko... całkiem inaczej. I ta cisza. Jak w domu pogrzebowym po śmierci mamy. Jasne, kręci się trochę ludzi, wychodzą i wchodzą do małych pokoików, z tabletkami i naręczami papierów, ale brak wesołości jest wyraźnie widoczny. Gdyby dało się to butelkować i sprzedawać w szkołach, dostałbyś za to order: to stężona esencja powagi. A ciebie tu zaciągnięto na kacu i nieogolonego.

Elaine truchta tuż za długonogą panią inspektor, ciągnąc cię za sobą. Jej usta to cienka sina linia w świetle staromodnych świetlówek.

– Tutaj – mówi pani inspektor, przytrzymując otwarte drzwi.

Przez moment się niepokoisz – ale to tylko biuro, z biurkiem i łysiejącym facetem w białym kitlu, choć bez stetoskopu.

– Doktor Hughes? To są świadkowie. Łagodnie z nimi, bo nie zdążyliśmy ich uprzedzić.

Hughes unosi brwi.

– To jest nas troje – rzuca i bierze głęboki wdech. – No cóż, orientujecie się państwo, gdzie jesteśmy?

Zmuszasz się do kiwnięcia głową.

– Ja jestem dzisiaj dyżurnym patologiem i rozumiem, że pani inspektor chciałaby, żebyście dokonali identyfikacji. Ktoś z was już to kiedyś robił?

Kręcicie głowami. Uścisk Elaine nasila się, a Hughes rzuca pani inspektor ostre spojrzenie.

– To nie jest rodzina, prawda?

Twoje serce nagle dudni, gubiąc rytm. Kto to może być? Pocą ci się dłonie. Już tu kiedyś byłeś, skacowany, w obecności organów ścigania, żeby być świadkiem czegoś, do czego nie chcesz się przyznawać...

– Dorosły mężczyzna. – Kavanaugh kręci głową, potem zerka na ciebie. – Coś nie tak, panie Reed?

– Nie... to znaczy, nie to. Chyba nie. – Bierzesz głęboki wdech. Płat mamusiny rozpętuje kakofoniczny jazgot, domagając się żebyś natychmiast powiedział pani inspektor wszystko co wiesz, ale udaje ci się go opanować paroma kopniakami. – Tylko mam wrażliwy żołądek. – To przesada, ale niezbyt duża.

– No dobra – mówi doktor Hughes. Zerka na inspektor. – To ja wezmę panią...

– Pani Barnaby, pan Reed.

– Tak. Pani Barnaby? Jeśli jest pani gotowa, za moment wprowadzę panią do sali, ehem... oględzin. Panie Reed, pan zaczeka tutaj. Po odpowiednim czasie przyprowadzę panią z powrotem i wezmę pana Reeda, a pani inspektor spiszcie pani oświadczenie.

– Czy to... – Głos Elaine jest niespodziewanie słaby. – Jest konieczne?

Doktor Hughes ogląda się na panią inspektor. Kavanaugh odchrząkuje.

– Obawiam się, że tak, zważywszy okoliczności. – Rzuca wam znaczące spojrzenie. – Pan chyba orientuje się niezłe w filtrowaniu obrazów i może mi wytłumaczyć, dlaczego.

Twój żołądek znów gubi dno – a już myślałeś, że wzięłeś się w garść. Ręka Elaine wyslizguje się z mokrej od potu dłoni.

– Jestem gotowa – mówi Elaine.

Znikają za rozczarowująco zwyczajnymi biurowymi drzwiami, a Kavanaugh skupia się na tobie.

– Czy Michaels... – Przełykasz ślinę. – On mówił pani o mojej siostrzenicy?

– O kim? – W jasnym świetle widzisz, jak rozszerzają jej się źrenice.

– Mówi, że jego ludzie jej szukają. – Naciska płat mamusiny. Potem dodajesz, świadomie: – A ja mu nie ufam.

– Jezus, zupełnie się panu nie dziwię. – Wygląda na zaniepokojoną. – Od początku: co z tą siostrzenicą?

Wyjaśniasz całą historię, dziwne telefony, zdjęcia i meldunki na policji – oraz ten ostatni telefon. To nieprawda, że inspektor ma twarz unieruchomioną botoksem – przez zaledwie trzydzieści sekund przelatuje po niej całkiem sporo emocji, ze spektrum od zaskoczenia po oburzenie. Przerywa ci jednak gwałtownym gestem. – Później. – Zerka na drzwi. – Będę wdzięczna, jeśli rozpozna pan tę osobę. Ale ja... – Drzwi się otwierają, więc przełyka, cokolwiek zamierzała powiedzieć.

W drzwiach stoi blada jak papier Elaine, popatruje to po tobie, to po pani inspektor, jakby była pewna, że któreś z was zamordowało pana Abackiego w Salonie za pomocą Świecznika.

Twoja kolej. Doktor Hughes zaprasza.

– Proszę za mną – rzuca, całkiem życzliwie.

Krótki korytarz, potem kolejne drzwi i... okno wzdłuż jednej ze ścian?

– Proszę się nie śpieszyć – mówi. – Jak panu wystarczy, albo źle się pan poczuje, od razu wyjdziemy.

Łatwo powiedzieć, ale ty już się źle czujesz, masz potworne i niezbyt przyjemne déjà vu.

W pomieszczeniu po drugiej stronie okna zapala się światło. Jest mały, pusty, wykafelkowany, stoi w nim wózek z zakrytą prześcieradłem postacią.

Mrugasz, próbując zogniskować wzrok. Wygląda, jakby mocno spał, sądząc po tym, co widać, czyli głowie i ramionach. Coś jest grubo nie tak, uświadamiasz sobie natychmiast. W ustach masz sucho. Poruszasz zuchwą, próbując przekonać ślinianki do nawilżenia języka.

– Wczoraj go widziałem – mówisz i jesteś niemal pewien, że to prawda. – Wystarczy.

– Dziękuję. – Tym razem widzisz, jak Hughes pstryka przełącznikiem. – Dobrze się pan czuje? – pyta z troską. – Toaleta jest zaraz za...

– Nie. – Bierzesz głęboki oddech i próbujesz wziąć się w garść. – Nic mi nie jest.

Hughes prowadzi cię z powrotem krótkim korytarzykiem, do gabinetu, gdzie czeka inspektor Kavanaugh z Elaine.

Czujesz, że jej mina – pełne odrętwienia zaskoczenie – jest odbita jak w lustrze na twojej twarzy.

– No i? – pyta Kavanaugh. Rzuca Elaine ostrzegawcze spojrzenie. – Proszę o podanie znanego panu imienia i nazwiska osoby, którą widział pan w sali oględzin.

– Oczywiście. – Oblizujesz usta. I teraz niespodzianka. – Nazywa się Wayne, eee... Richmond? Nie, Richardson. Był dyrektorem marketingu w Hayek Associates.

Sue: Zarządzanie kryzysowe

Poranek. Mary ma dzisiaj wolne, tobie właśnie udało się wbić młodego w mundurek i nakarmić. Teraz chcesz obwiesić się sprzętem i wypad na psiarnię. Wtem dzwoni telefon Daveya. Dziecinna komórka, plastikowa, pomarańczowo-czarna, cała najeżona gadżetami. Słucha przez chwilę, potem podaje tobie.

– Do cie, matka...

– Kto to? – pytasz, rozglądając się za niezagraconym miejscem na zrzucenie sprzętu.

– Kobita jakaś – mówi. Bardzo cenna informacja.

– A szlag by... – Zwalasz przeładowany gratami pas na podłogę i sięgasz po telefon. Pewnie jakiś robot telesprzedażowy, ostatnio ciągle go prześladują. – Słucham?

– Pani sierżant?

Plecy odruchowo ci sztywnieją. Znasz ten głos.

– Szefowa? – Rozglądasz się nieufnie. Davey gapi się na ciebie, ma oczka okrągłe i psotne, jak jakiś samobieżny podsłuch telefoniczny. – Davey, idź no się uczesz.

Davey idzie.

– Co jest, szefowo?

Liz Kavanaugh jest konkretna.

– Sue, mamy poważny problem. Najpierw powyłączaj cały sprzęt i powyciągaj baterie. Jeszcze nie rejestrujesz, co?

– Jezus Maria, to niezgodne z...

– Jakbym, kurwa, nie wiedziała! – warczy, a tobie jeżą się włosy. – Przepraszam, Sue. Nie chcę, żeby ktokolwiek... Szybko. Rejestrujesz już?

– Jeszcze nie, najpierw wyprawiałam młodego. Mam być na szybcie za czterdzieści minut.

– Obawiam się, że jeszcze dzisiaj będziesz wypalać nadgodziny i wydatki służbowe. No dobra. Co masz zrobić: możesz notować na papierze, ale w żadnym wypadku, w żadnym, nie wpisuj notatek do żadnego urządzenia. Po pierwsze, przejedź się do najbliższego Tesco i kup sześć komórek na kartę. Zapłać prywatną kartą kredytową. Firma ci później zwróci, tylko zachowaj paragon. Po drugie, jedź na Fettes Row. Jeden telefon aktywuj, naładuj, znajdź detektywa-inspektora Longa, daj mu go i powiedz, żeby do mnie zadzwonił. Mój numer dzisiaj... masz tam coś do pisania?

Leci tak przez parę minut, a ty gorączkowo notujesz na pudełku po organicznym muesli. Na koniec rzuca:

– Pytania?

Nie wiesz, od czego zacząć. „Szefowa leków nie wzięła, czy co?”. To byłoby dobre na początek, choć może trochę mało taktowne. „Uzgodniła pani z wojskiem?”. To by się nadało na kolejne. Że nie idzie zgodnie z podręcznikiem, to mało powiedziane – ona właśnie pakuje podręcznik do niszczarki. Wreszcie odchrząkujesz.

– Ano, szefowo. Czy to nie jest trochę, ten... nieregulaminowo?

Chichot, który wybucha z telefonu Daveya sprawia, że omal nie upuszczasz go do miski z płatkami.

– Teraz zauważyłaś? To spostrzegawcza jesteś! – Po chwili się opanowuje. – Przepraszam, Sue. Trochę tu wszyscy jesteśmy podminowani. Sytuacja jest, ten... co najmniej tak poważna, jak te możliwości, o których gadałyśmy wczoraj. W rękę mam list od komendanta, napisany na ręcznej maszynie do pisania. Opiera się na poleceniach Ministra Sprawiedliwości – wypisanych odręcznie – który z kolei powołał się na Ustawę o Zarządzaniu Kryzysowym. I to wszystko jest z wczoraj. Dotarło? Tym razem gównu naprawdę poleci wysoko...

W pobliskim Tesco ładujesz w kolejce do kasy samoobsługowej zaraz za dwoma znanymi ci z widzenia policjantami. Wszyscy macie koszyki pełne telefonów. Starannie unikacie kontaktu wzrokowego, ale nie możesz nie zauważyć, że jeden robi także zapasy wody w butelkach.

Aż taka wolno myśląca nie jesteś; przed wyjściem z domu przepłukałaś plecakowy worek z wodą, ten, który bierzesz na mecze, i wypełniłaś go świeżo przefiltrowaną wodą. Daveyowi wcisnęłaś superduży gotowy lunch i pięć razy tyle co zwykle kasy na bilety autobusowe. Włożył porządne buty, ma zapasową parę skarpetek, a w plecaku wymiętolony notesik z adresem babci i paroma innymi zaprzyjaźnionymi adresami zaznaczonymi czerwoną kredką – na wszelki wypadek. Liz Kavanaugh myśli, zdaje się, że sytuacja jest do opanowania, ale kiedy pada cała infrastruktura, papier nadal działa. Nie wsadziłaś bachora do pociągu do Liverpoolu, do wujka, tylko z obawy, że pociąg się zepsuje, albo młody zgubi się gdzieś na jakimś zadupiu. A to byłoby gorzej. Prawda?

Kiedy zostawiasz inspektorowi Longowi pięć z sześciu tanich komórek, on z kolei wręcza ci dwie następne, jednorazówki dodawane do płatków oraz długą, wypisaną odręcznie listę numerów telefonicznych i nazwisk. Nie trzeba być fizykiem jądrowym, żeby dojść, że to prosty schemat organizacyjny – szefowie wydziałów i jednostek pomocniczych są podkreśleni twardym, czarnym ołówkiem. Schodzisz na dół i odbierasz samochód – nie jesteś zdziwiona, że prawie wszystko, co jeździ jest już na drodze – a potem kierujesz się na Meadowplace Road, aby znaleźć panią inspektor.

Na komendzie sytuacja przypomina mrowisko, które już ktoś polał benzyną, ale jeszcze nie

podpalił. Umordowany konstabl dyżurny dzieli swój czas między oganianie się od cywili – „przyjdźcie jutro, dzisiaj jesteśmy zajęci, nie mamy czasu na przyjmowanie zgłoszeń” (tak się tego po prostu nie robi) – i opieprzanie każdego mundurowego, który się spóźnia. Ciebie dostrzega od razu.

– O, sierżant Smith, ma pani dla mnie jakieś numery?

Ciskasz swoją partyzancką książkę telefoniczną na podkładkę przed jego nosem.

– O to chodziło? Zara mie to oddaj, to dla inspektor Kavanaugh.

– Minutkę... – Przesuwa po liście długopisem, przepisując poszczególne wiersze w luki na swojej liście. – Szef powiedział, żeby ksero też nie używać. Zanim nie zweryfikuje go ICE.

Bierzesz głęboki oddech. Skoro tak to wygląda...

– Jest spotkanie ekipy od sprawy Hayek Associates. Wiesz może, gdzie? Już powinnam tam być.

– W dwieście cztery. – Unosi wzrok. – Nie widziałem inspektorki jeszcze. Leci pani na górę, zara przyślę kogoś z tom listom, jak przepiszę.

Dziękujesz i ruszasz na schody. Przechodząc przez biuro, zauważasz, że wszystkie monitory są ustawione ekranem do ściany, a oprócz tego słychać jakiś potworny łomot i klekotanie – ktoś skądś wytaszczył metalową skrzynię z klawiaturą z przodu i wali w klawisze jak w miniaturowe kafary. U góry wystaje kartka papieru i drga za każdym uderzeniem. Maszyna do pisania, czy co? Wszędzie dzwonią telefony, rozlega się popiskiwanie tanich niefirmowych komórek, a na biurku sierżanta dyżurnego stoi wielka, plastikowa machina z obrotową tarczą, jak żywcem z filmu na podstawie Agathy Christie. Jezu, myślisz, jak nas tu zawrócili do XX wieku, to skąd mamy wiedzieć, jakie zarzuty stawiać naszym pacjentom? Obawa jest konkretna: kodeks karny, przepchnięty przez dawny brytyjski rząd i potem znowelizowany po niepodległości, zastąpił dawne ogólne wykroczenia typu „zakłócenie spokoju” potężną baterią bardzo szczegółowych paragrafów („agresywna jazda segwayem czy innym modelem hulajnogi po północy w obszarze mieszkalnym”), tak że naprawdę niezbędny jest system ekspercki na telefonie, żeby wiedzieć, którym paragrafem w kogo rzucać. Mniejsza o to, że na komendzie nie mają już pieprzonej papierowej księgi zatrzymań i nie da się wsadzić pacjenta do celi bez działającego...

Wślizgujesz się dyskretnie do sali 204 i stwierdzasz, że w środku już jest tłok. Wszystkie twarze znasz z widzenia, z wideokonferencji w zeszłym tygodniu. Tym razem wszyscy są jednak na żywo, z krwi i kości, i nie noszą gogli. Verity wydaje się potężnie czymś wkurwiony, detektywi też nie są za szczęśliwi. Są i inne osoby – jakby cała ekipa od zabójstw z St. Leonard, czyli goście, którzy pracowali nad sprawą z Pilton, ścigali tego chimerycznego

blackneta Liz. Pełna chata. Verity wbija wzrok w ciebie.

– Zdaje się, że masz dla mnie telefon?

– Oczywiście, sir. – Idziesz na sam przód i wręczasz mu go, razem z pudełkiem. – Dyżurny już przepisuje dla pana książkę telefoniczną. Ręcznie.

Kiedy obraca gadżet w dłoniach, drga mu policzek.

– Zdaje się, że tu jest aparat. – Udaje, że robi zdjęcie Billa Krawaciarza. – Powiedz im, żeby zrobili zdjęcia wszystkich kartek i wysłali mi MMS-em. To na razie wystarczy. A listę niech przepiszą, też zrobią zdjęcie i niech wyślą do którego z tych serwisów sieciowych, co rozpoznaje pismo. – Bill wygląda na wstrząśniętego. – No ruszcie się! Jeśli oni indeksują cały cywilny ruch sieciowy w Szkocji, to i tak jest już za późno.

Za tobą znów otwierają się drzwi, oglądasz się i rozpoznajesz Liz Kavanaugh.

– O, dobrze – skrzeczy Verity, gdy Bill wychodzi, by zająć się amatorską fotografią. – Już się zastanawiałem, kiedy tu dotrzesz.

– No cóż, przykro mi, że się spóźniłam – Liz patrzy na ciebie znacząco. – Masz dla mnie telefon?

Podsuwasz jej komórkę. Bierze ją i zajmuje puste krzesło obok Verity'ego.

– Musiałam po drodze potwierdzić tożsamość denata.

– Kolejnego? – Verity unosi brwi. – Łączy się z tą sprawą?

– Niestety, tak. – Liz szczyrzy się jak czaszka.

– No chuj tam. Przepraszam za wyrażenie. – Verity zwykle nie używa brzydkich słów, co po tej stronie granicy czyni z niego coś w rodzaju anomalii. – Kto to jest tym razem?

– Wayne Richardson, pracownik Hayek Associates, który w zeszłym tygodniu współpracował przy naszym śledztwie. – Wskazuje cię brodą, a ty się spinasz. – To on pierwszy zameldował o przestępstwie i pierwszy zgłosił, że Nigel MacDonald zaginął. Pojechałam tam z dwoma dochodzeniowcami z firmy zewnętrznej, panem Reedem i panią Barnaby. Oni potwierdzili jego tożsamość.

– Czyli w tym tygodniu mamy ilu? Czterech?

– Trzech, proszę pana – rzuca stanowczo Liz. – Ponieważ Nigel MacDonald nie istnieje.

Verity przewraca oczami.

– Proszę wyjaśnić.

– Uwaga. – Liz mierzy wzrokiem publiczność. – Mamy denata z Pilton. Wczoraj wieczorem pojawił się kolejny, w Strathclyde – wyglądał jak zagraniczny student na wymianie, który poszedł sobie na spacer o północy śladami Mechanicznej Pomarańczy, tylko że we krwi miał zero alkoholu, a kortyzol w osoczu pod sufit, a także inne fizyczne oznaki stresu, a wcześniej w

ciągu dnia próbował dźgnąć nożem osobę zamieszaną w drugą moją sprawę. Dzisiaj rano wypływa trup Wayne'a Richardsona: potrącony przez kierowcę zbiegłego z miejsca wypadku, tylko że tym zbiegiem jest taksówka zdalnie sterowana przez nieznanego sprawcę.

Po sali przebiegają gniewne pomruki.

– Te zdarzenia są powiązane z rzekomym porwaniem dziewczynki, przedwczoraj, na południu, z wczorajszymi grami i zabawami urządzanymi przez Europol, w magazynie w Leith, z udziałem bardzo drogich serwerów – widzisz jak Verity krzywi się na to wspomnienie – oraz z dzisiejszym porannym alarmem i tym mieszkaniem na górkach z talerzem satelitarnym na dachu, gdzie robiliśmy rewizję na początku tygodnia. A więc, jeśli do kogoś jeszcze nie dotarło: jeśli ma PDA, albo służbowy telefon, albo prywatny telefon kupiony dawniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, to niech go teraz, do cholery, wreszcie wyłączy.

Verity łypie groźnie na salę pełną krawężników.

– No już!

Następuje kolejna fala majstrowania przy telefonach, a ty masz przeczucie, że większość udaje, żeby przekonać szefa, że nie wszyscy są dokumentnie pierdolnięci – Liz wspominała już o Ustawie o Zarządzaniu Kryzysowym, to wystarczy, żebyście nieźle się przerazili, bo ten nieciekawie nazwany fragment prawa zawiera reguły ogłaszania Stanu Wyjątkowego; założysz się, że chłopaki i dziewczyny już się zorientowali o co biega, nim zaczęli szychtę, tak jak ty.

– Proszę kontynuować, pani inspektor.

– Nie mam pojęcia kim jest nasz denat z Pilton i pewnie normalnymi kanałami się nie dowiemy, bo gościa nie ma w Ewidencji Ludności. – Który jest gównianą namiastką systemu ewidencyjnego, odkąd ludzie, którzy go wdrażali, przestraszyli się, co się z tymi danymi porobi po kampanii obywatelskiego nieposłuszeństwa, i zamienili system po prostu w zwalnię syfiastych danych ze wszystkich baz danych o klientach, jakie istniały w UK przed defederalizacją. Ale i tak brak danych to lekki kłopot. W branżowym języku to oznacza „podejrzany gość”. – Wiem za to, że Nigel MacDonald, którego w trakcie dochodzenia w sprawie Hayek Associates uznaliśmy za zaginionego w podejrzanych okolicznościach, jest w rejestrze, ale faktycznie nie istnieje. Polecono mi nie badać dalej tej kwestii, bo to sprawa bezpieczeństwa narodowego. Jego mieszkanie zostało wynajęte przez nieznaną sprawców i było, jak się wydaje, wykorzystywane jako remikser przez blacknet, którego poszukiwaliśmy. Podejrzewam, że świętej pamięci pan Richardson mógłby nam coś o tym powiedzieć, gdyby akurat nie mieszkał w szufladzie w kostnicy.

W tym momencie pomruki robią się tak głośne, że Kavanaugh przestaje mówić i czeka, aż się uciszą.

– Panowie, mogę? Tak? Ten trzeci denat, zagraniczny student, był zamieszany w ten sam biznes, tak samo jak Hayek Associates, którego pracownikiem był denat czwarty, chociaż zapewnia się mnie – tu zerknięcie, niezbyt przekonujące, na Verity’ego – że oni są po naszej stronie. To jest rozpiardol na poziomie służb bezpieczeństwa, a nie sprawa dla policji; dawno byśmy ją zamknęli i ładnie podpisali wszystkie papierki, gdyby nie ten drobny problem: służby wywiadowcze twierdzą, że podobno ci goście, nasi przeciwnicy, spenetrowali nie tylko krajową sieć szkieletową, ale i CopSpace, od góry do dołu, a w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin mamy się spodziewać poważnego ataku terrorystycznego. – Liz przerywa, żeby wziąć głębszy oddech, ale nikt nie przerywa. – Nie wiem, skąd oni się o tym wszystkim zwiedzieli, ale raczej biorą to poważnie, bo minister sprawiedliwości właśnie wydał Decyzję Awaryjną zgodnie z Częścią Drugą Ustawy o Zarządzaniu Kryzysowym – właśnie wszystkie telekomy i dostawcy sieci w kraju dostają świeże egzemplarze kluczy do szyfrowania.

I to jest to, o czym nam zaraz opowie komendant.

Konieczność rozpoznawania trupa przed śniadaniem to już niezły szok i wcale ci się to nie spodobało – zwłaszcza że właśnie próbujesz przetrwać konsekwencje tego, co się między wami wczoraj wydarzyło (będzie syf, prawda, jeśli Margaret, Chris, czy któraś inna życzliwa pirania z firmy dowie się, że posuwasz gajowego), a punkty zdrowia psychicznego zużywasz na zamartwianie się, w co też się wstawialiście na płaszczyźnie fizycznego starcia dwóch wrogich wywiadów. Nie mówiąc już o tym, że Jack ma w kartotece kryminalnej odpowiednik beznadziejnej historii kredytowej, z frytkami na dokładkę. Dlatego naprawdę czujesz ulgę, gdy okazuje się, że pani inspektor musi gdzieś lecieć i zatrzymuje się tylko na moment, żeby wycisnąć z was obietnicę, że będziecie pod telefonem, jeśli zechce jeszcze z wami pogadać. Robi za świadka, gdy podpisujecie się doktorowi Hughesowi w wielkiej księdze – z prawdziwej bielonej pulpy drzewnej – pod oświadczeniem, że potwierdzacie tożsamość Richardsona, Wayne’a, do niedawna zatrudnionego w Hayek Associates. Czekasz w holu (a Jack korzysta z toalety), gdy drzwi otwierają się ponownie i wchodzi nie kto inny, jak sam Barry Michaels.

– O, panna Barnaby. – Uśmiecha się przyjaźnie. – I pan Reed, jak rozumiem, też gdzieś tu jest? – Unosi kluczyk. – Przejdźcie się ze mną.

Umiesz poznać rozkaz, ale i tak się sprzeciwiasz:

– Musi się pan bardziej postarać!

– Nie ma sprawy. – Odkłada uśmiech z powrotem do pudełka. – Pora na śniadanie. Dzisiaj będzie pracowity dzień.

– Guzik tam. – Żołądek przewrócił ci się na widok rozłożonego na kamiennym blacie Wayne’a. – Barry, ja się na coś takiego nie pisałam. Zapisałam się do gry w alternatywną rzeczywistość, a nie w krew i flaki. Ja... my rezygnujemy.

Kręci głową.

– Chciałbym, żeby się tak dało, wiercie mi. Chciałbym.

– Żeby co? – Jack wybiera właśnie ten moment na wyjście z toalety i kręci głową jak dezorientowany świstak. – O co chodzi?

– Jedziemy na śniadanie. Właśnie tłumaczyłem pannie Barnaby, że jest za późno, żeby się wypisać.

– Wcale, kur...

Odwracasz się, ale jest zbyt szybki.

– Mają twój numer, Elaine. Ja bym cię puścił, ale Team Red tego nie robi.

Ups. Przystajesz i robisz głęboki, pełen złości wdech.

– Więc chyba jest nam pan winien wyjaśnienia.

– Przy śniadaniu? Ja stawiam.

– Mmm, śniadanie. – Jack przekonująco naśladuje durną jak but postać z kreskówki.

– Walcie się... – Niestety, jest za późno, jesteś przegłosowana, a poza tym masz na sobie jego spodnie. Co ci pozostaje, poza wysłuchaniem pierdoł Michaela?

Prowadzi was w odchodzący od głównej drogi zaułek, do ponurego pubu zbudowanego w czymś przypominającym średniowieczny loch – same kamienne łuki po półtora metra wysokości oraz poczerńnięte dębowe beczki zwieńczone blatami z logo restauracji. Wszędzie wiszą ekrany telewizorów, jakby próbując zaprzeczyć przedpotopowemu rodowodowi tego miejsca – ale przenikający wszystko zapach wilgoci nie daje się niczym zamaskować.

– Gorące śniadanie mają tutaj naprawdę dobre – oświadcza Michaels – stuprocentowo szkockie, ale dziewiętnastowieczne.

Pozwalasz się wmanewrować w zamówienie gorącego śniadania. Przyzwoita z ciebie dziewczyna, co wieczór gorliwie bierzesz profilaktyczne statyny, więc jednorazowa dawka tłuszczów nasyconych nie powinna być groźna, jeśli zachowasz umiar, a potem odbędziesz pokutę pod postacią mieszanej zielonej sałaty.

– Tutaj powinniśmy być bezpieczni – wyjaśnia Michaels znad menu. – Ściany mają metr grubości i są z pełnego kamienia. Ludzie unikali tego lokalu, bo telefony nie mają zasięgu, a instalacja WiFi też nie ma sensu – dopóki pewna cwana pani najemca nie odkryła, że da się zarobić, reklamując to jako ciszę i spokój.

Rzeczywiście, patrzysz na telefon i widzisz ikonkę braku sygnału, choć w zasięgu wzroku masz okno wychodzące na kanionowate czeluście Cowgate.

– Rozumiem, że chciał pan, żebyśmy skruszeli przed śniadaniem. – Jack opiera się o nagą kamienną ścianę. – To o to chodziło z tym drobnym horrorkiem w kostnicy, prawda?

Michaels ma dość przyzwoitości, by zrobić zażenowaną minę.

– To trochę krzywdzące.

– Naprawdę? – Łypiesz na niego. – Policja wyciąga nas z łóżka, żebyśmy obejrzelі sobie sztywniaka, a pan akurat przypadkiem przechodził, tak? Proszę wymyślić coś lepszego!

Michaels unosi widelec i dźga nim w twoim kierunku.

– Zaraz jeszcze mnie oskarżycie, że to ja biednego Wayne'a zamordowałem. Czy w ogóle dotrze do tych waszych tępych łbów, że to nie o was chodzi?

– Nie o nas? To kto zabił Wayne'a? – pyta Jack.

Michaels marszczy brwi.

– Chciałbym wiedzieć – mruczy, odgarniając niesforny lok. – To znaczy... na pewno zrobił to Team Red, ale dlaczego, to już inna historia.

Jack się spina.

– Coś słyszałem – mówi niechętnie.

– Tak? – Michaels unosi brwi.

– Jak zostałem do późna. Przedwczoraj.

Masz ochotę nim potrząsnąć.

– Co ci...

Michaels unosi rękę.

– Już wychodziłem, gdzieś koło jedenastej. Większość światel była zgaszona, ale z jednej sali spotkań usłyszałem parę głosów. Kłócili się. Jednym z nich był, jestem prawie pewien, Wayne Richardson. – Krzywi się. – Nie wiem, kim był drugi. Mężczyzna i tyle. Pomyślałem, że może pan wie.

Michaels patrzy nań z niedowierzaniem.

– Nie wiesz, kto to był?

– Nie. – Jack jest sfrustrowany. – To nieładnie podsłuchiwać pod drzwiami, nie wie pan?

Zagryzasz dolną wargę. Niedobrze byłoby teraz zachichotać; obaj nabraliby mylnego mniemania o tobie, a to byłby błąd. Biedny Jack: nadmiernie uczciwy. Ale o tym już wiedziałaś, prawda?

– Jezus Maria, ja pierdolę – mówi z niesmakiem Michaels. – Myślał pan, że to ja?

Jack siedzi tylko, z wycofaną miną.

– To czemu pan tego wcześniej nie powiedział? – dopytuje się Michaels.

To już za daleko poszło.

– Proszę przestać! – mówisz mu. – Jack nie miał wczoraj powodów, żeby panu ufać. – Właściwie to dzisiaj też chyba nie ma. Zadajesz cios po omacku. – Dlaczego w ogóle mielibyśmy panu ufać?

Michaels już ma coś powiedzieć, Jack jest jednak szybszy.

– Pana grupa jest spenetrowana – mówi z nadzwyczajnym spokojem. – I pan nie wie, kto to jest. Współpracowali z Wayne'em, prawda?

– Proszę kontynuować. – Michaels bierze cios na klatę.

Jack przełyka ślinę.

– Na początek: Nigel MacDonald to przykrywka, dla kogo? – Gdy Michaels nie odpowiada, unosi brew. – No?

Michaels kręci z namysłem głową.

– Kiedyś w kręgach graczy w gry fabularne chodził taki żart – dzisiaj już nieśmieszny – że w całej Anglii jest tylko tysiąc ludzi, reszta to enpece. Dzisiaj mamy dokładnie na odwrót.

Na to warto zamrugać. Nie potrafisz wyobrazić sobie obytego w świecie Michaela, członka elit, jako nastoletniego maniaka „Dungeons & Dragons”, ale to tłumaczyłoby jego obecne stanowisko, prawda? Stworzenie takich *Szpiegów* musiało trwać całe lata – od razu widać, że to długoterminowy projekt – co sugeruje, że był wsparty finansowaniem, projektami pilotowymi i całą masą przedsięwzięć badawczo-rozwojowych.

– Nigel MacDonald był przydatną atrapą dla grupy developerskiej *Szpiegów* w Wydziale Ochrony Komunikacji Elektronicznej naszego kontrwywiadu – mówi wolno. – Znalazł się tam, żeby oni mogli się kontaktować z ąquantami z zespołu, nie zdradzając im, że tak naprawdę rozmawiają z różnymi osobami z Obwarzanka.

– Obwarzanka?

– No, Cheltenham ^[18]. – Marszczy czoło. – Dlatego umieściliśmy na liście płac tego zdalnego pracownika. Gdzieś rok temu Wayne poklepał mnie po ramieniu, bo stwierdził, że Nigel nigdzie nie mieszka. Podejrzał, że to jakiś przekręt z zarobkami. Więc opowiedziałem mu całą legendę i kazałem grać dalej.

Jack kiwa z namysłem głową.

– A jaka była legenda? – Minę ma zrezygnowaną, jakby domyślał się, co usłyszy.

– Oficjalnie Hayek Associates gra zgodnie z regułami. – Michaels na ułamek sekundy obnaża zęby. – Oficjalnie nie mamy zespołu od brudnych numerów.

– Aaa. – Jack jest usatysfakcjonowany, ale ty nie bardzo.

– Jakich brudnych numerów? – pytasz.

– Branża – przemysł gier – ma skłonność do grania nieczysto. W końcu cały biznes stoi na tym, że gracze mają przyjemność z gry, prawda? – wyjaśnia Michaels. – No więc, gdybyśmy mieli narzędzie, którym można manipulować, ile masz z danej gry przyjemności, to także...

– Mówi o narzędziu do sabotażu – wcina się Jack. Patrzy ostro na Michaela. – Taką legendę sprzedałeś Wayne’owi?

Michaels kiwa głową.

– Mniej więcej. Jeśli kiedyś będziemy musieli zrobić coś, czego trzeba się będzie wyprzeć, potrzeba nam kozła ofiarnego, na którego to zwalimy.

– A co potem zrobił Wayne? – pyta Jack.

– Włączył się do gry. – Michaels robi zamyśloną minę. – Zasugerował, że postać musi być trochę bardziej odpasiona, trzeba jej wynająć mieszkanie, płacić rachunki, spreparować jakąś historię kredytową, żebyśmy naprawdę mogli robić zaszokowaną minę, kiedy ktoś się czegoś

dogrzebie. – Patrzy prosto na ciebie. – Kiedy policja weszła mu do mieszkania i znalazła serwerownię blacknetu, to był naprawdę szok. Ale w tym momencie legenda już się rozniosła, więc mógł to zrobić ktokolwiek z firmy. Jednak wtedy... – wskazuje brodą Jacka, z czymś w rodzaju szacunku na twarzy – ...zdaliśmy sobie sprawę, że faktycznie mamy poważny problem. Teraz wiem, że częścią problemu był Wayne. Pytanie brzmi: kto jeszcze jest zamieszany?

Przełykasz ślinę. Czas położyć na stół parę swoich kart.

– Barry, nie podoba mi się ta gra. Ja tu przyjechałam audytować bank, a nie identyfikować zwłoki. – (Ani nie po to, żeby porywały cię taksówki-kamikadze albo werbowały tajne służby). – Nie jestem do tego stworzona, podobnie Jack.

– Poważnie? W życiu bym nie zgadł – warczy na ciebie. – Zanim wsiądzie pani na swojego konika, chciałbym zauważyć, że to ostatnie stwierdzenie to całkowita nieprawda. Znaleźliście się tutaj, ponieważ oboje przeszliście bardzo dogłębne szkolenia. Tylko nie postrzegaliście tego jako szkoleń – płaciliście, żeby brać w tym udział; to cała różnica między pracą a zabawą, nic więcej. A teraz narzekacie, bo coś, co robiliście dla rozrywki, okazuje się płatną pracą...

– Płatną? – pyta ostro Jack.

– A jak pan myśli, kto, do cholery, ureguluje rachunek za umowę, którą wycisnął pan z CapG? – Michaels unosi brwi. – Nie chodziło tylko o rzeczy, które wypisał pan w CV. Wiemy jeszcze o innych. O narzędziach. Ma pan dokładnie takie kompetencje, jakich potrzebujemy do tej pracy. – Potem zwraca się do ciebie: – Pani to także dotyczy, chociaż trzy czwarte tego, co płacimy za pani usługi, zgarnia Dietrich-Brunner. Sugerowałbym może zostać freelancerem.

Gdy sapiasz z oburzeniem, dodaje:

– Nie popełnię błędu i nie będę apelować do waszego patriotyzmu, w dzisiejszych czasach to waluta, z której schodzi powietrze, a do tego różnie rozumiana. Chciałbym jednak wspomnieć o etyce, fair play i oświeconym egoizmie. Nikomu z nas nie służy, że Team Red sobie biega wolno, przejmuje pewne, eee... krytyczne systemy... i zabija ludzi. – (Wyraźnie chodzi mu o coś innego niż Avalon 4, czy platformę Zonespace, a ta skrupulatność w unikaniu nazywania rzeczy po imieniu zaczyna cię mocno niepokoić). – To nie jest Wielka Gra, jaka toczyła się w dziewiętnastym wieku na płaskowyżach środkowej Azji; to kontynuacja dyplomacji innymi środkami w medium wirtualnych światów. To nie byłoby konieczne, gdyby te wirtualne światy nie miały bramek łączących się z całą siecią, albo gdybyśmy wykorzystywali je tylko do gier, ale... chyba już rozumiecie.

I faktycznie rozumiesz. To mocny koktajl: szantaż, pochlebstwa, odwołania do twojego idealizmu i apele do interesowności, wszystko w jednym. Wściekłabyś się bardziej, gdyby nie

kusiło cię, żeby po prostu rozsiaść się wygodnie i podziwiać bezczelność jego podejścia.

– O kotku pan jeszcze zapomniał – mówisz.

– Kotku? – Michaels jest skonsternowany.

– Że jeśli panu nie pomożemy, będzie pan musiał utopić małego ślicznusiego koteczka, i to będzie wszystko nasza wina. – Wbijasz w niego wzrok, ale to spływa jak woda po lodowcowym masywie jego pewności siebie. Jest bulwersująca, niemal religijna w swojej niezachwianej wierze. Nigdy nie wierz człowiekowi, który myśli, że jego wiara daje odpowiedzi na wszystkie pytania. – Nieważne. Do czego pan chce nas tak pracowicie namówić?

– Do tego, co i tak już robicie. Już wykurzyliście jeden z naszych problemów z bezpieczeństwem, zmuszając go do ucieczki, i namierziliście kolejny. – Udaje mu się wyglądać niewinnie, gdy przechodząca kelnerka stawia przed wami na blacie miseczkę pełną małych torebeczek z przyprawami.

– Ale wy zostaliście spenetrowani...

– Nie tylko my, całe państwo. Dlatego właśnie mamy bardzo dyskretną panikę – policja przechodzi w tryb awaryjny, a kurierzy roznoszą po wszystkich telekomach egzemplarze nowych kluczy jednorazowych. Kiedy to skończą, można będzie na nowo uwierzytelnić całą sieć szkieletową i Team Red nie będzie już miał dostępu. Problem polega na tym, że ktoś z wewnątrz – i wątpię, żeby to był Wayne, on nie był dość bystry, żeby zrobić taki numer – sprzedał im przez blacknet kopię poprzedniego klucza. Chciałbym wiedzieć, kto to był. Jeśli go nie zdemaskujemy, cała operacja to strata czasu. Ale wydaje mi się, że jeśli po prostu będziecie kontynuować swoją robotę, gość sam się zdemaskuje.

Kelnerka wraca z dwiema porcjami choroby wieńcowej i atakiem serca na przystawkę. Michaels oczekuje, aż podsunie wam pod nosy ładunek tradycyjnej szkockiej kuchni, potem odchrząkuje.

– Ktoś z Hayek Associates wykorzystał dom naszego fikcyjnego MacDonalda jako kryjówkę dla przestępczego blacknetu, a potem sprzedał klejnoty korony. – Obnaża zęby, tnąc nożem do steków coś, co wygląda jak obsmażony w głębokim tłuszczu prostokąt kiełbasy. – Póki się ich nie pozbędziemy, nikt nie jest bezpieczny.

Jack zerka na ciebie i kręci głową. Na widelcu ma coś, co czeka na włożenie do otwartych ust – nagie gorące szkockie śniadanie. Nie możesz na to patrzeć.

– Dlaczego? – nalegasz.

– Bo... – Michaels robi zdezorientowaną minę.

– Dlaczego my? A nie jacyś inni specjaliści, których ma pan pod ręką, bo już pracują w

pana wydziale?

– Aaa. – Twarz mu się rozjaśnia. – Dlatego że nie należycie do trzonu mojej ekipy – przykro mi, ale tak wyglądają fakty. Nie wiecie o nas nic, więc nie możecie nic ważnego nikomu zdradzić: jesteście ludźmi z zewnątrz. Wykwalifikowanymi, świetnie wyszkolonymi, ale z zewnątrz. Czyli w zasadzie tak jak Team Red. W dzisiejszych czasach nikt już nigdzie nie wysyła prawdziwych szpiegów, wszystko się robi cudzymi rękami. W każdym razie, kiedy pozbedziemy się kreta, a sieć szkieletowa zostanie zabezpieczona, ich operatorzy dowiedzą się, że Team Red jest spalony, i go wycofają. Chcemy wysłać im taki właśnie przekaz: „Won z naszego terenu”.

Na pierwszy rzut oka brzmi to wiarygodnie, masz jednak przeczucie, że gdy chodzi o Michaela, sprawy nigdy nie są proste. To dziwne skrzyżowanie tożsamości Jacka z nieistniejącym Nigelem MacDonaldem sugeruje ci, że jest tu na rzeczy coś więcej, podobnie jak sprawa z taksówką i przerażenie Chena. Nie mówiąc już o Elsie Jacka.

– Pan się spodziewa, że ja to tak po prostu łyknę? – pytasz, unosząc widelec z powoli tężejącą fasolą w sosie pomidorowym.

– Oczywiście, że nie! – Michaels piłuje jajko, które wygląda, jakby usmażono je w przepalonym oleju maszynowym i smalcu. – Ale wszystkiego nie mogę wam powiedzieć. Po pierwsze, to byłoby potworne naruszenie reguł bezpieczeństwa, mimo tych wszystkich umów, jakie podpisaliście... Co mogę: mogę was zapewnić, że wasza rola jest kluczowa, wasza współpraca wysoce pożądana, a jeśli zrobicie to, czego chcemy, zostaniecie wynagrodzeni, zarówno finansowo, jak i poprzez świadomość, że uczyniliście coś dla zabezpieczenia granic waszego kraju przed penetracją przez wrogą obcą agencję.

– A którego kraju? – pyta życzliwie Jack. – Szkocji, Anglii, Wspólnoty Terytorialnej Wysp Brytyjskich, czy Unii?

– Wszystkich wymienionych. – Barry postukuje widelcem w bok talerza, jak licytator młotkiem. – A co, mało?

Ostrożnie odkładasz nóż.

– A jeśli po prostu powiem „nie”?

Michaels patrzy na ciebie morderczym wzrokiem.

– Nie może pani. Więc po prostu udam, że tego nie słyszałem.

Masz już, kurwa, potąd gładkich koleśki po elitarnych szkołach, mówiących ci, czego chcesz albo nie chcesz, oddawania honorów fladze i obowiązku konstruktywności aż po punkt malejących przychodów. Chris, Maggie, Brendan i cała ta banda mogą tylko kopnąć cię w dupę i dopilnować, byś już nigdy nie pracowała w branży audytorskiej, ale Michaels, jak się

przyłoży, może zaszkodzić ci znacznie bardziej. Może ci wszystko rozpiardolić, jak to potrafi tylko mściwy urzędnik państwowy. Z drugiej strony...

– Z drugiej strony, wykręcając mi rękę, nie nakłoni mnie pan do dobrowolnej współpracy. To może pan dostać za pieniądze. – Podnosisz filiżankę z kawą, podaną na tacy ze śniadaniem. – Na przykład tak: zwalniam się z Dietrich-Brunner Associates. Wstecznie, od wczoraj, dziewiąta rano. A pan zatrudnia mnie jako niezależną konsultantkę i płaci mi tyle samo, co Jackowi. Także wstecznie, od wczoraj, dziewiąta rano.

Michaels też chwyta filiżankę.

– Lubi pani niebezpieczne zagrania, co?

– Jest panu potrzebna, prawda? Tak samo, jak ja. – Jack rzuca ci zza ramienia Michaela zaniepokojone spojrzenie.

Masz sucho w ustach. Popijasz kawę, by je zwilżyć, bo właśnie dociera do ciebie, o co grasz.

– To jak, chce pan, żebym była zmotywowana? – (Właśnie zażądałaś pensji za minimum dwa miesiące. Instynkty drą się: „nie rzucaj etatu!”, logika natomiast podpowiada, że jeśli zgodzi się raz to zapłacić, będzie za twoje usługi płacić już zawsze. Tobie i Jackowi, jeśli sensownie to rozegracie. Bo agencja, która stoi za Hayek Associates, wyraźnie potrzebuje was znacznie bardziej niż Dietrich-Brunner. Gdybyś tylko wiedziała dlaczego!). – Wie pan, co mogę dla was zrobić, dlatego tutaj jestem.

Michaels chrząka, jakby ktoś kopnął go w kostkę, a później odwraca wzrok.

– To mieści się w moim własnym budżecie. – Odstawia kawę i krzywi się. – Ale proszę nie kusić losu.

– A ja chcę, żeby pan coś zrobił z Elsie – mówi Jack. Oględnie się wyraża, sugerując, że opowie ci wszystko w znacznie większej liczbie słów, gdy Michaels nie będzie słuchał.

– No właśnie – zgadzasz się. – Albo pójdziemy na policję.

– Poważnie? – Michaels rzuca ci bardzo dziwne spojrzenie.

Jack zapamiętałe chce ci coś przekazać, nie poruszając ani twarzą, ani ustami, ale to będzie musiało poczekać.

– Wczoraj powiedziałem, że się dowiadujemy. Mogę zapytać naszego łącznika w SOCA, jak to idzie, ale oni tam nie lubią, jak się ich bez przerwy szturcha.

W tym momencie mógłby równie dobrze mieć na czole diodowy znaczek z napisem ŚCIEMA – Jack patrzy na niego, jakby miał zaraz wybuchnąć, a to byłoby niedobrze, kiwasz więc głową, dopijasz kawę i się uśmiechasz.

– No dobra, wszystko dogadane – mówisz. – To może wyjdziemy gdzieś, gdzie jest jakiś

zasięg, i podzwoimy sobie trochę?

Jack: Dziewczyna Schrödingera

Wynurzasz się z czeluści Bannermana, mrugając jak skacowany nietoperz, i rozglądasz się tam i z powrotem po kanionie Cowgate. Faktycznie, „gdzieś, gdzie jest jakiś zasięg” – kamienne kamienice po obu stronach mają po dziewięć pięter i pochodzą z czasów sprzed wind i kanalizacji. Michaels zauważa nadjeżdżającą taksówkę (podgatunek: z żywym kierowcą) i macha na nią, nie czekając na was. Oglądasz się więc przez ramię na Elaine, która gapi się w telefon i się wścieka.

– No chodź, przejdziemy się trochę – proponujesz.

– Mamy robotę – zauważa.

– Hotel jest ze dwa i pół kilometra w tamtą stronę – pokazujesz wzdłuż kanionu w stronę Grassmarket i jeszcze dalej, w stronę Tollcross, albo i West Endu – a my musimy pogadać. Niegłupio byłoby najpierw wyciągnąć baterię z telefonu.

– Racja, racja. – Majstruje w skupieniu przy plastikowej obudowie ustrojstwa, potem wsuwa je do tylnej kieszeni. – Co teraz?

Ruszasz ku potężnemu łukowi rozpiętego nad Cowgate mostu North Bridge, nieustannie wprowadzającego w błąd turystów, którym wydaje się, że skoro dwie ulice krzyżują się na ich ruchomej mapie, to powinno dać się przejść z jednej na drugą bez zjazdów na linie.

– Co tam z niego wyczytałaś?

– Boi się, strasznie się boi. I wie o twojej Elsie więcej, niż się przyznaje.

Idziesz, pompujesz nogami, machasz ramionami, choć pod kamiennym mostem miałbyś ochotę stanąć i porządnie sobie wrzasnąć. Też doszedłeś do tego samego wniosku, uznałeś jednak, że przyduszenie Michaelsa i wyciśnięcie z niego prawdy byłoby nierozsądne. A poza tym, masz ze trzy różne hipotezy – i tylko lęk, żeby się nie okazało, że wszystkie są fałszywe, powstrzymuje cię przed decydującą rozmową telefoniczną. To, oraz mały problemik, że siedzisz w tym trochę za głęboko i musiałbyś powiedzieć Elaine o... Nie, teraz w to nie wchodzisz. Później będzie aż nadto czasu.

Szukasz jakiegoś punktu zaczepienia do rozmowy.

– Poważnie mówiłaś o tym rzuceniu pracy?

– To żart? – Dogania cię, gdy lawirujesz między kałużami pod mostem, po lewej stronie mijając rampę załadowczą jakiegoś klubu nocnego. – Posłuchaj, Barry jest w rozpaczliwej sytuacji. A w dłuższej perspektywie... do swojej operacji potrzebuje nas. Co ci to sugeruje?

– Nie mam pojęcia, co ty sugerujesz. – Kręcisz głową.

Drobne palce wślizgują ci się w dłoń. Po chwili rozluźniasz pięść i próbujesz dopasować

krok do jej szybkości.

– Jest przykrywka i jest prawda. Wszyscy tu grają w jakieś gry, wszyscy poza tobą, programistą gier.

– He? Skąd ci to przyszło... – Przypadkiem wiesz, że się myli, ale to interesująca pomyłka. Przed wami, między budynkami otwiera się szersza przestrzeń, prowadząca ku schronisku dla bezdomnych oraz małym sklepikom skupionym na skraju Grassmarketu.

– Michaels... jestem prawie pewna, że to on jest za to odpowiedzialny. Dopilnował, żebym ja tu została, kiedy Maggie, Chris i reszta ekipy wraca do Londynu z podwiniętym ogonem. Chciał mieć tu na miejscu audytora, kogoś, kto będzie czynnikiem zakłócającym, ale nie tabuny obcych osób. Jedną ja byłam do opanowania. Więc muszę zapytać: „Czemu akurat ja?”.

Możesz teraz grać w otwarte karty – ona chyba tak by właśnie chciała. Pytasz więc:

– Czemu ty?

– U Dietricha-Brunnera nikt więcej nie gra w gry. Ani w RPG-i, ani w LARP-y, ani w rekonstrukcje, ani w alternatywne. Nie wydaje ci się, że to trochę dziwne w tych czasach?

– Dziwne? – Dla ciebie to wręcz przerażające, ale postanawiasz grać otwarcie: – No, nie mogę. Co ty tam w ogóle robiłaś?

– Nie jestem pewna. Ale jak się teraz zastanawiam, to może wylądowałam tam z zupełnie innego powodu, niż mi się na początku wydawało.

– A jak ci się na początku wydawało, czemu się tam znalazłaś?

– A czemu się, kurna, idzie gdziekolwiek do pracy? Wysyłałam cefałki w różne miejsca, a oni zaproponowali mi pracę, prosto po dyplomie, ze złotym uściskiem dłoni na pokrycie ostatniego chesnego i wpisowego do stowarzyszenia księgowych. Jedyne pytanie: czy to tylko o to chodziło? Nie wiem.. Mam przeczucie, że już byłam wrabiana. To mógł być długoterminowy plan: skoro *Szpiedzy* to projekt pilotowy, może przyszło im do głowy, że przy wejściu na masowy rynek będzie im potrzebny jakiś mechanizm weryfikacji autentyczności transakcji? Poszukujemy: księgowego śledczego, sprawnego w wywiadzie osobowym, z doświadczeniem w grach i uprawnieniami do informacji niejawnych, do działań kontrwywiadowczych i przeciwpenetracyjnych. Tacy ludzie nie walają się na ulicy, prawda?

– No a ja? Co ja tu robię? – Rozglądasz się i szybko przechodzisz przez jezdnię. Po drugiej stronie, naprzeciwko starej szubienicy, jest sklep sprzedający piękne, wykopane spod ziemi skamieliny, potem czeka was marsz pod górę wzdłuż ciągu najbardziej niebezpiecznych antykwariatów w tym mieście.

– To oczywiste: szykowano cię do zespołu developerów *Szpiegów*. Albo *Szpiegów 2.0*. Ale w międzyczasie gównem się przelało i Michaels postanowił użyć cię jako przynęty w pułapce.

Krzepiące jak cholera, myślisz.

– Czyli zgubiliśmy się w labiryncie błyszczących luster, wszystkich takich samych, na lewo szpiedzy, na prawo szpiedzy. A ty chcesz rzucić swój etat?

– Dostaję trzy razy tyle, a poza tym... Michaels się boi. A szczerze mówiąc, to, co się stało z Wayne'em, to poważna sprawa. Im szybciej rozprawimy się z tymi skurwielami, tym będę spokojniejsza.

– A, tak? – Zwalniasz kroku i patrzysz z boku na jej skupioną minę. Gdy ją pierwszy raz zobaczyłeś, pomyślałeś: bibliotekarka na metamfetaminie. Teraz myślisz: fretka. Wtedy ona psuje efekt, uśmiechając się do ciebie z wahaniem, a ty czujesz się dezorientowany, bo żaden ssak z łasicowatych nie byłby w stanie sprawić, byś poczuł takie ciepło i otuchę.

– Jedna rzecz, to to, co nam Barry mówi, a druga, jak się naprawdę ma sytuacja. Barry i jego ekipa wywiadowcza to rozumieją. Narysowałem ci diagram Venna, ale on wyglądałby raczej jak wielowymiarowa cebula – nie wszystkie warstwy wyglądające jak koncentryczne koła naprawdę zawierają się jedna w drugiej. Możemy ją obrać samemu, ryzykując, że wyciągniemy coś, od czego polecą nam łzy... albo możemy grać zgodnie z jej zasadami. A Michaels zmanipulował grę, żeby nas w niej zatrzymać, ciebie przy pomocy Elsie... swoją drogą, dzwoniłeś do siostry, żeby sprawdzić, czy to nie jest stek kłamstw? A mnie przy pomocy... – Urywa. – Nie dzwoniłeś do siostry. Czemu? Chodzi o ten twój... wyrok?

Naprawdę nie masz ochoty wyjaśniać jej teraz prawdy o Elsie, twojej siostrze i pozostałych aspektach twojej niestandardowej sytuacji rodzinnej, starasz się więc obejść gruby problem, nie nawiązując z nim kontaktu wzrokowego.

– Wiesz, co to kot Schrödingera? Superpozycja stanów kwantowych? Michaels wsadził moją siostrzenicę do pudełka i na razie wolę nie wiedzieć, kto tu jest bardziej bezwzględny: druga strona czy te sukinsyny, dla których pracujemy. – Może to Team Red coś zrobił, jak twierdzi Barry, a może to komórka Barry'ego gra przeciwko tobie w wyjątkowo parszywą grę w alternatywną rzeczywistość, żeby zapewnić sobie twoją współpracę. Obie możliwości nie są przyjemne. – Powiedziałem o tym inspektor Kavanaugh. Może mi powie, żebym nie zawracał policji głowy. A może dojdzie, kto naciska te guziki: Team Red czy Michaels.

Elaine puszcza twoją dłoń. Chwilę później czujesz jej rękę na ramieniu, przyciąga cię do siebie.

– To nie była zła decyzja.

– Wierz mi, na złych decyzjach to ja się znam. – Czujesz sprzeczne emocje. Pragniesz jej dotyku, ale ta ręka na ramieniu, na oczach wszystkich kamer... mimo to, i tak jej nie strząsasz. – Prawdziwe życie to nie gra, nie ma cofania ani wczytywania sekwencji. Za dużo grałem w gry i

teraz boję się prawdziwego życia.

– Daleko to jeszcze?

– Jesteśmy z grubsza w połowie drogi. – To niewinne kłamstewko, ale Elaine ma wyłączony telefon, więc da się ją oszukać; bez twojej znajomości okolicy naprawdę by się zgubiła. Podobnie, miejmy nadzieję, każdy, kto śledzi jej lub twoją pozycję. Mimo że wszystkie te kamery potajemnie zapisują ad acta wszelkie wasze wykroczenia (tak jak wtedy, gdy miałeś piętnaście lat i byłeś głupi), rozpoznawanie twarzy można olać, nadal jest zasobożerne jak cholera. Za to telefon to znakomite ustrojstwo śledzące, a musisz założyć, że Team Red już zna was oboje. – Nie łączymy się do sieci, póki nie dotrzemy do hotelu. – Więc na razie Team Red ni chuja nie wie, gdzie jesteście. Dokładnie taki efekt chcesz osiągnąć.

– Nie cierpię nie wiedzieć, gdzie jestem – mruczy.

– Naprawdę? – Jesteś zbity z tropu. – Kiedyś to było normalne.

– Dużo rzeczy było normalnych. Brak kanalizacji w domu i umieranie przy porodzie też było normalne. Gdzie my jesteśmy?

– Jesteśmy, eee... kurde... na drodze, prowadzącej z Grassmarketu do Lothian Road. Nie pamiętam nazwy. – Swędzenie, którego nie wolno podrapać, coś jakby nie móc spojrzeć na zegarek ani ściągnąć nagłówek wiadomości. – Tylko pomyśl: dwadzieścia lat temu wszyscy tak mieli. Zaledwie dwadzieścia lat temu!

– No chyba...

– Wyobraź sobie, że przenosisz się w czasie z lat osiemdziesiątych. Niech będzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. I wysiadasz z budki TARDIS właśnie tutaj, przed... eee... księgarnią West Port. – (I to ci mówi, gdzie jesteś). – Rozglądasz się, po czym poznajesz, że nie jesteś już w Thatcherlandzie?

– Co to za gra, co?

– Jak mówisz, że to gra, to niech będzie gra. – W zasadzie to nie gra, tylko fortel, ale liczysz, że tego nie zauważy.

– No dobra. – Wskazuje biuro naprzeciwko. – Ale to... no dobra. Lampy są nowoczesne i widać płaskie ekrany. To mi pomaga?

– Troszeczkę. – Zmieniają się światła uliczne, ruszają samochody. – Popatrz na samochody. Trochę inne, trochę bardziej nadtopione z wyglądu, niektóre bez kierowców. Ale większość budynków jest taka sama od zawsze. Ludzie też są tacy sami. No dobra, moda się trochę zmieniła. Ale skąd wiadomo, że nie jesteś w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym? Albo dziewięćdziesiątym ósmym? Albo dwa tysiące ósmym? Albo teraz?

– Nie wiem... – Mruga raptownie, potem coś zaskakuje: – Komórki! Wszyscy je mają i są o

wiele mniejsze, prawda?

– Specjalnie wybrałem tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Wtedy komórek nie było. Dopiero się pojawiały. Zero Internetu, poza paroma wydziałami na uczelniach. Zero kablówki, laptopów, serwisów internetowych, gier...

– *Space Invaders* chyba już było?

Masz ochotę kopnąć się w tyłek.

– No, chyba tak. Ale poza tym... wszystko na tej ulicy wygląda tak samo, ale nie działa tak samo. Mieli kalkulatory kieszonkowe, a tata mi pokazywał, czego się jeszcze wcześniej używało – książek z tablicami i czegoś jak linijka z logarytmiczną skalą – suwaka logarytmicznego. A ty masz kalkulator? Używasz do pracy, poprzedniej pracy?

– Nie, oczywiście, że... – Macha, pokazując księgarnię naprzeciwko. – Jestem księgowym śledczym. Po cholere mi kalkulator?

– No i właśnie o to mi chodzi. Były tablice matematyczne i suwaki, potem wyparły je kalkulatory. Starsi ludzie jeszcze umieją dzielić i mnożyć w pamięci, ale już się z tego nie korzysta. Kiedyś mapy też były papierowe. Ale to wszystko drobiazgi. – Światła uliczne wyczuwają waszą obecność i zapalają zielone dla pieszych. Przystajesz, ona cię dogania. – Miasto wygląda tak samo, ale pod tą kamienną skórą nic nie jest takie, jak kiedyś. Gdzieś po drodze cały system nerwowy i mięśnie, wszystko zostało wyprute i zastąpione zupełnie nową konstrukcją. Za parę lat wszystko będzie chodzić na czarach, na kwantowej wymianie kluczy, wtedy nastąpi kolejna całkowita zmiana. Ale nasz podróżnik w czasie tego nie pozna. Bo z wyglądu jest wiek dwudziesty. – (Po części to i XVIII – to Edynburg, a wy jesteście głęboko w strefie Światowego Dziedzictwa Kulturalnego UNESCO). – Nic nie działa dokładnie tak samo jak kiedyś. I taką mamy przewagę nad Michaelsem: wiemy dokładnie, jak to działa.

Prowadzisz ją przez trójkąt łonowy (z amsterdamską dzielnicą czerwonych świateł równać się nie może, ale jest wystarczająco szemrany, żeby móc się załapać na tanią przyjemność, jeśli ktoś lubi), a stamtąd na Lothian Road (w dzień jest spokojna, w nocy to istny Dzik Zachód).

– Tu wsiadamy do autobusu – mówisz.

Elaine robi zbolałą minę, ale kiwa głową. Wsiadacie, a ty zbierasz zjebkę za płacenie gotówką. Dziesięć minut później wysiadacie niemal dokładnie naprzeciwko hotelu West End Malmaison.

– Teraz wiesz, gdzie jesteś? – pytasz, starając się nie zwracać zbytnej uwagi na parkujące pod hotelem policyjne suki.

– A skąd mam... – Dostrzega twoją minę. – A. No właśnie.

– Oni też nie wiedzą, bo od ponad godziny jesteśmy odłączeni – oznajmiasz. – To może złapiemy za laptopy i trochę popracujemy, właśnie wtedy, kiedy się nie spodziewają?

– A masz jakieś miejsce na myśli? – Unosi brew.

Teraz ty się uśmiechasz.

– A tutaj, na miejscu. Jak myślisz, czemu od ponad godziny nie byliśmy w sieci?

Hotel jest otoczony przez policję. Nie jest to regularny kordon, nie ma stad mundurowych z podniesionymi tarczami, ale, przechodząc przez ulicę, widzisz parę policyjnych motorów pod sklepem z narzędziami elektrycznymi naprzeciwko hotelowego parkingu. W bocznej uliczce – furgonetka. Paru funkcjonariuszy stoi na rogu przy wejściu, rozgląda się, oczu nie widać pod ciężkimi goglami, a szczęki poruszają się w subwokalizacji. Gdybyś ich nie wypatrywał, może nie zauważyłbyś więcej niż dwóch naraz, ale kiedy to wszystko podsumować, okazuje się, że ulica jest nimi dosłownie obstawiona. Wzdrygasz się, otwierając przed Elaine ciężkie szklane drzwi: to ten sam odruch, który masz, kiedy przechodzisz koło psów obronnych – są nieprzewidywalne i mogą zaatakować. Możesz znieść po jednym czy dwóch naraz, taką homeopatyczną dawkę organów prawa, ale ten gruby kordon sanitarny budzi dawną fobię, nawet jeśli nie uwzględnisz twojego obecnego stanu podwyższonego niepokoju.

– No, chodź! – Elaine szturcha cię niecierpliwie. – Na co czekasz? – Idzie do wind.

– Na oklaski. – Idziesz za nią – to jej teren, ty zwykle nie chodzisz po wypasionych hotelach – na drugie piętro, a tam do sali konferencyjnej, która otwiera się na odcisk kciuka. – Laptopy?

– No wchodź. – Dobrze, że chociaż nikt ich nie ukradł, ani tanich plecaków, które dołożyliście do listy zakupów nieskończenie długie trzy dni temu. – Gdzie idziemy?

– Na razie nigdzie. – Siadasz przy biurku i otwierasz wyświetlacz maszyny. Jest wielka i staroświecka, ale znacznie szybsza niż twój telefon i okulary. Logujesz się do hotelowej sieci, wskakujesz na Zonespace, używając haseł od Russella i idziesz przejść się misiem po atrakcjach dla turystów. – Proponowałbym... weź z pokoju rzeczy, wszystko co może ci się przydać, jakbyś się wymeldowywała. A ja zatroszczę się o to, żeby Team Red wiedział, gdzie jestem. Może być?

– Rozumiem. – Patrzy na twój ekran, powtórzenie obrazu, który widzisz w okularach. – To nie jest Avalon 4. Gdzie ty jesteś?

– Jestem na płaskowyżu Leng. To tutaj zgubiła się ekspedycja Pabodiego. Powinno być tu paru Przedwiecznych, jeśli od czasu ostatniego resetu tej partycji hordy polarników wszystkiego nie przetrzepały. Pilnują pewnego sprzętu, który chcę dostać w ręce.

Czyli mniej więcej ćwierci miliona linii kodu, wciśnięte między szkielety i skarby strzeżone przez niebezpiecznie wielkiego shoggotha; jak chcesz bezpiecznie schować jakieś dane, nie ma lepszego miejsca niż skopiowanie ich do holograficznej, rozproszonej bazy danych pilnowanej przez potwory z Lovecrafta. Przy tym, to nie do końca tak, że, odchodząc z LupuSoftu, zabrałeś sobie część ich własności intelektualnej, prawda? Po prostu zrobiłeś kopię zapasową i zakopałeś w jednej z ich własnych baz. Tylko że może się do niej potencjalnie dostać przypadkowy przechodzień, jeśli wie dokładnie, gdzie jest zakopany trup, i zna właściwy rytuał do odprawienia przy wykopywaniu skarbu.

– Jaaasne. – Brzmi sceptycznie. – Podsumujmy. Ty celowo zwracasz na siebie uwagę i jeszcze chcesz dostać się do czegoś, co tu wcześniej schowałeś. A ja mam się spakować. Co konkretnie knujesz?

Wyciągasz ręce nad głowę, splatasz palce i potężnie ziewasz.

– Chcę wyglądać jak przynęta w tej pułapce Barry’ego. A ty wierzysz policji?

– Wierzę inspektor Kavanaugh, że znajdzie twoją siostrzenicę, i to by było tyle.

Rzucasz jej przeciągłe spojrzenie. Spodziewałem się, że coś takiego powie. Opuszczasz ręce.

– A bo co?

– Tak tylko pytam. Barry chce, żebyśmy coś wypłoszyli z lasu. Zrobili zamieszanie, odwrócili uwagę – coś, żeby policja się tym zajęła, żeby nie mogła tego zignorować. Kiedy to się stanie, może zrobić się gorąco. Pytanie brzmi: co wtedy? Robimy unik i uciekamy? Czy zostajemy tutaj?

– Zależy. Co to znaczy „gorąco”? – Wróciła fretka. Nie nabrała się na tekst, który sprzedałeś Michaelsowi. No cóż, siedzi w tym razem z tobą, więc powinna wiedzieć.

– Barry się myli.

– W którym miejscu?

– Myśli, że to zabawa w szpiegów, że to jest on kontra Guoanbu czyli przeciwko zawodowcom. Myśli, że jak rozpracuje ich siatkę i wręczy im nakaz deportacji, po prostu spakują zabawki i pojedą do domu. – (Skarb jest tuż za zakrętem tego pełnego sopli, prowadzącego do piekła tunelu, trzeba tylko zbajerować strażnika, żeby położył się spać i cię przepuścił. Wciskasz więc pauzę). – Myli się jak noob nówka sztuka. My nie gramy przeciwko Guoanbu, my gramy przeciwko Teamowi Red. To klan graczy, zdaje się, że do tego zajebistych wymiataczy i z wykurwistym wsparciem technicznym. Ci chińscy gracze grają ostro. Miałem już z tymi misiami do czynienia, zawsze grają na serio i bardzo dobrze się koordynują. Poza tym, oni tak naprawdę nie wierzą, że my istniejemy. Dla nich jesteśmy bladymi zjawami, które

dla rozrywki pojawiają się po drugiej stronie ekranu. Skasują nas konkretnie, a jeśli faktycznie mają dostęp do takiego sprzętu, jak mówi Barry, to mogli porobić... w zasadzie wszystko.

Minęło ponad dziesięć lat odkąd bandzie crackerów – których tożsamości nikt nigdy nie ustalił – udało się zainstalować rejestratory haseł i numerów kart kredytowych w głównych routerach Cisco w MAE-East, punkcie wymiany ruchu sieciowego na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu; odtąd w odwiecznej, podziemnej wojnie administratorów z hackerami, o której społeczeństwo nigdy nie słyszy, sprawy mają się jeszcze gorzej. Całe firmy telekomunikacyjne padały ofiarami penetracji i przez miesiące nikt się nie zorientował. Społeczeństwo, ze swoimi małutkimi tokenami na odcisk palca, dającymi im hasła do banków i sklepów internetowych, w ogóle nie ma pojęcia, co się dzieje. A banda czarnych kapeluszy na rajdzie po flagę może zrobić dziś o wiele więcej, niż tylko przechwycić hasła i rozwalić sieci w szpitalach. Masa krytycznych systemów polega na szyfrowanych tunelach idących przez Internet, kupa systemów SCADA ^[19], albo i gorzej – zdalnej medycznej telemetrii („ale przecież mówiliście, że chcecie jak najszybciej mieć wyniki swoich badań krwi!”), transakcji giełdowych, planów lotów cywilnych linii lotniczych oraz aktualizacji softu do programowalnych stymulatorów serca starych dziadów. Szpiedzy z Guoanbu pewnie i są zawodowcami, póki nie będzie prawdziwej wojny, takiej ze strzelaniem, i nie będą grzebać w infrastrukturze europejskich systemów SCADA... Ale czy są w stanie stwierdzić, że sami zostali spenetrowani przez swój własny klan grieferów, i teraz wszystkie ich elektroniczne dywizje pancerne są w rękach kilkunastu gówniarzy z ADHD i kwantową magiczną różdżką?

Takiego ryzyka na siebie nie weźmiesz. Ale też nie wyjawisz go Barry’emu Michaelsowi, bo znasz ten typ – po siedemdziesięciu latach informatyki oni dalej myślą, że programistów można tak sobie zatrudniać i wywalać; że inżynierowie, którzy wypruli z nowoczesnego świata wszystkie nerwy i mięśnie, a potem zastąpili je pod skórą czymś zupełnie innym, to po prostu skromni rzemieślnicy, którzy położą narzędzia i pójdą sobie spokojnie do domu, kiedy zwolni się ich w połowie roboty.

Trochę się niepokoisz, że Elaine zacznie robić scenę, ona jednak szybko kiwa głową, podchodzi od tyłu do twojego fotela, cmoka cię w czubek głowy.

– Nie odchodź daleko – mówi, a potem pośpiesznie wybiega z sali.

Łapiesz się na tym, że gapisz się za nią, mając do towarzystwa ciepłą wewnętrzną mgiełkę zdziwienia: co za pomysł, że miałbyś gdzieś odchodzić, kiedy ona liczy, że będziesz tu na nią czekał.

Zanurzasz się z powrotem w tunelu pod górą szaleństwa. Jest lodowaty i bardzo ciemny, z wyjątkiem miejsc oświetlanych przez twoją czołówkę, a ściany pod cienką warstwą szadzi

pokrywają misterne hieroglify. Podłoże jest nierówne i zerodowane; człapiasz naprzód powoli, wężąc podejrzliwie. Gdzieś tu mieszka Strażnik Otchłani, czasami robiący ze swojej komnaty okropności wypadki na patrole na wyższych poziomach. Gdy tak pełźnie przez antarktyczne katakumby jak olbrzymi i złośliwy ślimak, słysząc skórzasty szmer. Cisza jednak nie znaczy, że jesteś bezpieczny – Strażnik jest na tyle inteligentny, że potrafi zacząć się w zasadzce, gdy usłyszy nieostrożnego człowieka lub niedźwiedziowatego.

W tej partycji Zone jesteś uzbrojony po limity – garłacz ustąpił miejsca olbrzymiemu wielkokalibrowemu karabinowi Steyr IWS 2000, a na ramieniu wisi ci jeszcze RPG-30, na wypadek, gdyby Steyr nie dawał rady pancerzowi Strażnika – ale w Lovecraftlandzie rzadko daje się wygrać samą siłą ognia. W zasadzie, nawet samotne chodzenie na paluszkach byłoby tu samobójczą lekkomyślnością, gdybyś nie miał w rękawie paru bardzo nieczystych magicznych słówek.

Człapiasz korytarzem. Przed tobą z ciemności wyłania się rozgałęzienie – dwa identyczne ciemne tunele drwią z ciebie jak puste oczodoły. Stękasz i świecisz latarką w lewy, zerkając na mapę, którą wcześniej przywołałeś z czeluści pamięci swojego telefonu (starannie źle nazwaną i w złym katalogu, żeby zmylić nieuniknione googleboty, bo jeszcze jakiś szperacz odnalazłby ją w publicznych indeksach wyszukiwarki i zameldował, że cały ten kompleks jest już spenetrowany). Gdzieś tu powinien być punkt orientacyjny...

O! Punkt orientacyjny 192 sterczy niewielkim garbkiem z zamrożonej podłogi. Nieszczęsny odkrywca leży w pozycji embrionalnej w swojej selskinowej kurcie, twarzą do ściany, jakby w ostatniej chwili pomyślał, że uratuje się, odwracając twarz od pełznącego ku niemu potwora. Co oznacza, że jesteś blisko ukrytego lochu. Podnosisz się na kolana i człapiasz naprzód, aż w ciemności rysuje się coś jeszcze ciemniejszego – okrągła paszcza jaskini Strażnika.

Przywołując zaklęcia mocy – i przykładając do ramienia IWS 2000 – podchodzisz do czarnej otchłani rozpaczy.

Strażnik, jak cię niezwłocznie zawiadamia promień latarki, jest NIEOBECNY. Masz więc szansę jeszcze trochę pograć. (Na Strażnika są dwa sposoby: uprawnienia administratora albo dziesięciokilatonowa taktyczna bombka atomowa. Pechowo jednak Lovecraftland należy do twojego poprzedniego pracodawcy, który, dając kopa na rozpęd, nie zostawił ci w prezencie magicznych kluczy). Schodzisz więc po osobliwie siatkowanym ślimaczym języku prowadzącym do stożkowatej jamy, nie zwracając uwagi na niesamowitą bioluminescencję, jaką żarzy się sklepienie, ani na góry kości i innych śmieci, które zaścielają podłogę tej wielkiej jaskini, i pędzisz w podskokach do nieregularnego, pięciokątnego ołtarza po

przeciwniej stronie lochu. Za dziesięć sekund będziesz mieć swój ukryty skarb...

Bamf.

Kurna, myślisz. W powietrzu pojawiają się, ni mniej, ni więcej, tylko cztery ciemnoniebieskie dziury, ułożone w łuk między tobą a ołtarzem. Ktoś tu się popisał kreatywnością...

Przesuwasz bezpiecznik i przykładasz steyra do ramienia, celując do pierwszego nieziemskiego kształtu, gdy zaczyna przybierać ludzką postać. W rzeczywistości tylko kompletny świr strzelałby z IWS 2000 z ramienia, albo w pomieszczeniu zamkniętym – to broń, którą obsługuje kilka osób – ale gdy jesteś ćwierćtonowym niedźwiedziem, rzeczywistość schodzi na dalszy plan; poza tym, masz dość mięśni i kości, żeby przynajmniej raz wytrzymać ten odrzut.

Gdy pociągasz za cyngiel, ciemność szczyrzy zęby i robi krok naprzód.

W tym momencie gra zachowuje się trochę dezorientująco, bo napotkałeś jedno z ograniczeń platformy Zonespace – brak bodźców haptycznych. Jednakże, kiedy obraz przestaje się chybotać i zacinać, uświadamiasz sobie, że odrzut cisnął cię aż pod ołtarz, a stwór, w którego celowałeś, w ogóle nie istnieje – te duchy i cienie może są zabójcze dla normalnego gracza, ale nie wytrzymują dwudziestogramowego pocisku przeciwpancernego z brzechwami i odrzucanym sabotem, pędzącego w ich objęcia z prędkością tysiąca pięciuset metrów na sekundę. Mierzysz do drugiego cienia. Gdy unosi ramiona i wali na ciebie jak zombie, pociągasz za spust. Tym razem widzisz, co się dzieje, gdy naddźwiękowa fala uderzeniowa zmienia potwora w humanoidalne kółko z dymu, ale obraz migocze ci czerwono, a wytrzymałość zjeżdża o 30 procent. To niedobrze, bo coraz bliżej podchodzi wróg numer 3, obnażając zęby, falujące i wyciągające się jak fatamorgana...

Kolejny strzał, kolejne trafienie. Ale obraz ci czerwienieje, a zdrowie zjeżdża do 50 procent. Co się, kurwa, dzieje? – myślisz, potem wyświetlasz diagram zdrowia i uświadamiasz sobie z przerażeniem, że to steyr – jego odrzutem zamieniasz swój bark w kotlet mielony. To bzdura – w rzeczywistym świecie steyr po prostu kopie jak koń, ale od tego ma system hamowania lufy – lecz zespół ds. uzbrojenia w Zone ewidentnie coś tu źle zrobił, więc nie masz wyjścia, uszkodzasz się własną bronią, jakbyś był siedemdziesięciokilowym noobem czy czymś w tym rodzaju.

Nie masz czasu przełączyć się na inną broń – wróg numer 4 przysiada, gotując się do skoku przez całą jaskinię, wyciągając kły i pazury – zaciskasz więc zęby i kolejny raz pociągasz za spust. W magazynku został jeden nabój, ale potwór-czwórka rozsypuje się w powietrzu. Łomot, ze sklepienia sypie się chmura pyłu i lodowych odłamków, prawie zasypując wejście,

a wskaźnik wytrzymałości zaczyna migać: 20 procent – teraz to już jesteś w ciężkich tarapatach, w grze gildiami to odpowiednia pora na ewakuację medyczną, ale teraz akurat nie masz pod ręką żadnych uzdrawiaczy. Nieważne...

Odrzucasz wielkokalibrowy karabin i odwracasz się. Upiorny ołtarz stoi dalej. Jest zrobiony z jasnego granitu i jakby lekko drga, gdy go obserwujesz, jakby miał się zaraz wywrócić na drugą stronę niczym sześcian Neckera: hieroglify są jak zawsze obce i kompletnie niezrozumiałe, choć mają w sobie coś straszego, kojarzą się niewyraźnie z anatomią obcych, z organami wydartymi z jam brzusznych ludzkich ofiar i innymi podobnymi, nierozpoznanymi kształtami.

– Świetnie – mruyczysz. – Uwaga obiekt A C szesnaście. Mówi twój właściciel. Daj mi token i wejdź w tryb debug.

Ołtarz błyska szmaragdowo i wywraca się na lewą stronę, wrzucając skradziony skarb prosto do stanu posiadania twojej postaci. Teraz to jesteś odpasiony! Gra się dopiero zaczyna.

Po odprawie Liz zatrzymuje cię na parę minut.

– Poznałam rano tego twojego komputerowca i bibliotekarkę – mówi. – Nie mówiłaś, że są parką.

– A... – Mrugasz. – Skąd taki pomysł?

– No cóż, pani sierżant, wystarczyło mi to, że miała na sobie jego spodnie. A Bob Lockhart zgarnął ich oboje spod jego adresu. Takie rzeczy przeważnie trochę komplikują sprawę, prawda?

Mrugasz jeszcze raz.

– Jezus, szefowo, nie miałam pojęcia. – Próbujesz sobie przypomnieć, jak się wcześniej zachowywali: nie zwietrzyłaś ani śladu żadnego pracowego bara-bara, to na pewno, a co robią w wolnym czasie, to nie wasza sprawa. – Jakoś wcześniej nic nie zauważyłam.

– No cóż, słyszę, że teraz pracują dla Michaela. A to z tamtej strony leci to całe gówno. – Rzuca ci osobliwe spojrzenie. – Jak CopSpace się z powrotem podniesie, zadzwoń do mnie, zanim zajrzysz w kartotekę pana Reeda. Bo jest myląca.

Hę?

– Dobrze. – Rozglądasz się. Wszyscy wyszli z sali i pobiegli do bieżących zajęć. – Co mam teraz robić?

– Chcę, żebyś podjechała do hotelu West End Malmaison i znalazła ich, jak tylko się tam pokażą. I potem nie spuszczaaj ich z oka. Ten duppek Michaels coś na pewno kombinuje, reszta teraz lata i szuka terrorystów pod łóżkiem, a ja chcę mieć na miejscu kogoś kompetentnego. Czyli ciebie.

– Szefowa myśli, że Jack i Elaine coś nam narozrabiają? – Nie udaje ci się ukryć sceptycyzmu.

– Nie, Sue, raczej myślę, że to oni są celem! – Wcale nie stara się ukryć nerwowości.

– Ale ja nie robiłam kursu...

– Myślisz, że nie wiem? Jezus, Sue, nie mamy nikogo wolnego. Myślisz, że dałabym cię do ochrony, gdybym miała kogoś wykwalifikowanego? Jak będziesz potrzebować rady, zadzwoń do mnie. A teraz jedź.

W życiu nie widziałaś Liz tak bliskiej eksplozji i nie jest to miły widok, zwłaszcza że jesteś pierwszą potencjalną ofiarą. Zaraz naprawdę trafi ją szlag.

– Ano jo! Tak jest! Rozumiem! Już jadę!

– Weź ze sobą Boba, niech się uczy! – woła jeszcze za tobą, ruszając do sali zarządzania

kryzysowego.

Czujesz się odprawiona. Już masz wysłać Bobowi wiadomość, gdy przypominasz sobie: TETRA jest spenetrowana. Pytasz więc sama siebie: „Na miejscu Boba, gdzie bym teraz była? Aaaa, tam”. I idziesz na placyk z tyłu.

Mary mendziła ci bez końca, aż rok czy dwa temu rzuciłaś nałóg, Bob jednak jest wciąż młody i nie przejmuje się jakimiś zdrowotnymi ubezpieczeniami. Rzeczywiście, jara sobie potajemnie za stojakiem na rowery.

– Bob. Masz jednorazową komórkę? To wyślij mi numer.

– Numer... – Wzdryga się nerwowo. – Poważnie? Chcesz mój numer?

– Bob, Bob. – Nachyłasz się. Formalnie nigdzie na komendzie nie wolno palić, nawet na parkingu na dworze, ale nikt zdrowy na umyśle nie naciśnie takiego guzika, który zawiesi w obowiązkach połowę ludzi, a drugiej każe pracować po dwie szychty, o ile tylko tytoniowe ćpuny są na tyle dyskretne, żeby nie afiszować się przed społeczeństwem ze swoim brudnym nałogiem. – Bob, jestem twoim sierżantem. To znaczy, że muszę mieć możliwość skontaktowania się z tobą w każdym momencie. Rozumiesz?

Bob kiwa niechętnie głową.

– I dostałeś wiadomość, że masz sobie kupić tanią komórkę na kartę, jak wszyscy. A teraz podaj mi jej numer. Rozumiesz? No, dawaj.

Rozgląda się nerwowo.

– Obiecay, że nikomu nie powiesz? – Zdeptuje niedopałka swoim buciorem rozmiaru 47 i wyciąga telefon. Jest różowy i ganiają po nim falbaniaste jednorożce.

Opanowanie ataku kaszlu zajmuje ci chwilę.

– Skundeś to wziół? – wypluwasz w końcu.

– Szefowo, naprawdę, tylko takie zostały... w Toys'R'Us, nie? W dużych sklepach już nic nie było.

Przewracasz oczyma. Nic dziwnego, jak tak teraz myślisz. Na pewno nie tylko policja musiała się zaopatrzyć w prepaidy po dzisiejszej wielkiej zmianie. Zażenowany wbija PIN i pokazuje ci numer. (Na ekraniku po obu stronach kolorowych cyferek migocą i spadają małe, eksplodujące serduszka).

– O, Jezu. – Wyciągasz swoją zabawkę – ta jest dla dorosłych, wielka i ciężka, w żółte skośne pasy – i parujesz je. – Biedaku.

– Kiedy tam dotarłem, do wyboru był Mój Mały Jednorożec, albo Hello Kitty Ballerina Special – wyznaje.

– Schowaj to cholerstwo, zanim ktoś zobaczy!

Bob pośpiesznie wykonuje rozkaz. Patrzymy optymistycznie: jeśli wezwą cię do jakiegoś podkurwionego hipoglikemika, jego sprzęt będzie w sam raz.

– Inspektor Mac dał ci coś do roboty na dzisiaj, czy tylko takie ogólne...?

– Mnie? Nic. A bo?

– Tak pytam. No dobra, dzisiaj jesteś przydzielony do mnie, przez inspektor Kavanaugh. Ta, wiem, że jej nie podlegasz. Poznałeś z rana pana Reeda i panią Barnaby, nie? Dzisiaj nasza robota to nie odstępować ich o krok. Nie zrobili nic złego, ale szefowa uważa, że przyciągają kłopoty, i chce, żeby w tym zamieszaniu miał ich na oku ktoś żywy.

– Wow. – Wytrzeszcza oczy. – Ale ja nie robiłem kursu z ochrony, pani sierżant.

– Między nami mówiąc, to ja też nie – wyznajesz. – Ale znamy obiekty. Zresztą takie jest polecenie, więc trzeba je wykonać. – Mówimy „do widzenia” normie ISO-9000 na jakość usług policyjnych. Ruszasz do drzwi, żeby zobaczyć, gdzie jest twój kierowca. – No chodź, po drodze powiem ci, co masz robić.

Na Corstorphine Road jest potężny korek, a suka jest pełna wściekłych konstabli majstrujących niezdarnie przy nieznanym telefonach, wymieniających numery i mruczących hasła do wybierania głosowego. Większość ma na twarzy gogle, mimo że CopSpace zostanie za parę godzin położony, a im w groźnych słowach zakazano tknąć plików choćby palcem – taki odruch obronny, osłaniające przed światem przyciemniane szybki. Jesteś krawężnikiem wystarczająco długo, żeby pamiętać czasy, w których roboty policyjnej nie wykonywało się w rozszerzonej rzeczywistości – i nie zajmowało się wyłącznie zataczającymi się żułami, na tyle głupimi, by wyzywać gliniarzy – w związku z tym nie cieszysz się na dzisiejsze gry i zabawy. Jak uda im się zrestartować CopSpace do pory zamykania knajp, nie będzie źle, ale rada miasta właśnie próbuje przepchnąć durną decyzję, żeby wszystkie puby zamykały się równiutko o wpół do pierwszej, i marnie widzisz piątkową noc, kiedy miejscowe pijaki uświadomią sobie, że rejestratory gliniarzy nie działają, a kamery na ulicach są nieobsadzone. Będą dodatkowe paralizatory dla wszystkich i spray pieprzowy i, a z rana dodatkowa tona papierowej roboty, gdy trzeba będzie tłumaczyć się z imprezy poważnemu szeryfowi w sądzie – jak powrót do lat dziewięćdziesiątych.

Furgetka staje naprzeciwko hotelu. Wyskakujecie. Bob truchta koło ciebie jak posłuszny szczeniak. Zmierzasz prosto do recepcji, gdzie gładkie recepcjonistki załatwiają poranną falę problemów – trudne przypadki, albo za stare, żeby poradzić sobie z automatycznym wymeldowaniem, albo takie, których wymagania nie wpadają w schludne przegródki procesów biznesowych. Zręcznie obchodzisz ustawione w kolejeczkę upierdliwości i

przesuwasz się do końca kontuaru. Wreszcie któraś z recepcjonistek kończy obsługiwać starego dziada i podchodzi do ciebie, żeby mieć cię z głowy, zanim obniżysz standard ich foyer.

– Mogę pomóc?

– Tak. – Uśmiechasz się grzecznie. – Szukam kobiety, która tu mieszka. Elaine Barnaby. Zdaje się, że wynajmuje też biuro. Dietrich-Brunner Associates?

Patrzy na ciebie, jakbyś była czymś, co zdechło jej pod samym nosem.

– Jakiś problem?

Pora zwęzić uśmiech i rzucić szklane spojrzenie.

– Problem? Nie. Muszę się widzieć z panią Barnaby. Natychmiast. Sprawa policyjna.

Dwa magiczne słowa w końcu docierają: niemal słyszysz, jak w jej głowie ząbają się kółka i wałki.

– Aaa, w takim razie... – pochyła się nad terminalem. – Pokój czterysta dwa, drugie piętro, windy są po lewej. Minutę temu tam była. – I odwraca się do następnego turysty. – W czym mogę pomóc?

Widzisz, że nie jesteś tu mile widziana.

– Cho no – mruyczysz do Boba. – Idziemy na górę.

Hotelik jest mały, ale luksusowy. Widać: w windach jest dyskretne oświetlenie i subtelny zapach sosny, a kiedy wychodzisz na piętro, w ścianie widzisz pas szkła sięgający od podłogi do sufitu, dający widok na ulicę. Pokój 402 nie jest daleko, podchodzisz do niego ostrożnie. Drzwi nie są zamknięte, więc otwierasz je i bezceremonialnie pakujesz się do środka.

Jest Jack! Siedzi przy stole i gra w jakąś grę. Zerkasz mu przez ramię na wielkie, rozłożone ekrany laptopa – jakaś jaskinia, a po lewym ekranie przewija się świecący na zielono tekst.

– Pan Reed? – mówisz, dość głośno, on zaś podskakuje i okręca się, krzywiąc się, gdy omal nie wrywa słuchawek z gniazdka.

– O, wy! – mówi, jak złoczyńca w jednej z tych kreskówek, które kiedyś puszczała w sobotę rano, a teraz ciągle ściąga je Davey. Przez chwilę masz wrażenie, że Jack na ciebie naskoczy, ale patrzy za twoje ramię, a twarz powoli marszczy mu się z niepokoju. – Co się stało?

– Nic się nie... – zaczynasz, lecz ktoś odzywa ci się za plecami.

Bibliotekarka. Barnaby.

– Ktoś był w moim pokoju – mówi, wściekła. – I to nie był room service. Oni sprzątają dopiero jak się wymeldujesz.

Odwracasz się. Ma na sobie džinsy i skórzaną kurtkę i... o, co za kosztowny worek marynarski. Sterczy z niego coś długiego, owiniętego workiem na śmieci – kij do hokeja, albo

coś?

– O, pani Barnaby. Szukałam was. Inspektor Kavanaugh mówi...

Podnosi rękę.

– Niech zgadnę. Kazała nie spuszczać nas z oka. Tak?

– Ano. – Patrzysz na nią groźnie. – Coś kombinujecie? Albo znacie kogoś, kto kombinuje?

Odwzajemnia spojrzenie.

– Planuję zrobić to, co mi kazano zrobić, pani sierżant. – Odkłada torbę. – Nie spodziewałam się tu pani.

Idzie w zaparte jak adwokat; prychnasz i odwracasz się bokiem.

Bob za twoimi plecami odchrząkuje:

– Pani sierżant?

Thucze w klawiaturę, klepie coś jak szalony do małego, wyskakującego okienka, podczas gdy w tle w czasie rzeczywistym toczy się gra.

– Co jest, Bob?

Telefon Barnaby przypomina o sobie popiskiwaniami. Odwraca się. Bob przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

– Lepiej może pani sama zobaczy.

Wychodzisz za nim z pokoju. Bob wskazuje pasek szyby od podłogi do sufitu.

– Tam.

Gapisz się na ulicę. Standardowa, zakorkowana platanina autobusów i taksówek stojących w kolejce do wjazdu na Haymarket Interchange, a pośrodku jeszcze parę szybkich tramwajów, stojących jeden za drugim i wszystko blokujących. Odkąd pociągnęli tę linię tramwajową, ciągle się tu zatyka, ale nikt w radzie miasta nie przyzna, że przed położeniem tych cholernych torów trzeba było wyburzyć budynków z rejestru zabytków za jakiś miliard euro. Wygląda to jak piekło dla pieszych, nawet gdyby na dokładkę z zatrzymanych tramwajów nie wysypywał się dziwnie chodzący tłum.

– Bob, a na co mam patrzeć? – pytasz, zmuszając się do cierpliwości.

– Na zombie, szefowo. Co pani myśli?

Wpatrujesz się, ubolewając, że nie możesz użyć gogli – cyfrowy zoom bardzo by się przydał. Na razie wygląda to jak każdy inny tłum, mrużysz więc oczy i rozglądasz się po obrzeżach. Idą dziwnie, kiwając się na boki. A czemu ten gość tak wyciąga ręce? Idzie na ślepo, zderza się z kobietą w biurowym kostiumie, rozdartym od barku po rękaw, a jej twarz...

– Jezus Maria, Bob. – Mrugasz, potem przełykasz ślinę. – Przecież zombiaki nie istnieją. – Niestety, ta drobna niepewność nie daje ci spokoju. – Ale zejdz na dół do recepcji i każ im

zamknąć drzwi. Na wszelki wypadek. Ja wykonam parę telefonów.

Wyciągasz komórkę i dzwonisz do Liz, naciskając klawisz z szybkiego wybierania. Żadnej pauzy, od razu nagrany komunikat: „Dzień dobry, tu poczta głosowa detektyw-inspektor Kavanaugh. Proszę zostawić wiadomość”.

Cholera, czemu ona ma wyłączony telefon? Zerkasz raz jeszcze przez okno, dla potwierdzenia.

– Szefowo, mówi Sue. Szczyra prawda, co mówię, zara fotkie pošlem, byndzie dowód nałoczny. – Przerywasz, próbujesz opanować swój akcent, który wrywa się na wolność. – Wiem, jak to brzmi: jesteśmy w tym hotelu Malmaison, a pod nami na chodniku stoi tłum zombiaków. – Przetykasz ślinę. – Co mam robić? – Kończysz rozmowę, robisz parę zdjęć falującej hordy i ślesz je Liz na mejla. To zapewne coś w stylu tych dawnych flash mobów, ale dlaczego tutaj, dlaczego teraz i dlaczego zombie?

Wracasz do sali konferencyjnej, właśnie w momencie, gdy Elaine, wściekle kiwając głową niewiadomemu rozmówcy, kończy swoją rozmowę telefoniczną i zerka na ciebie.

– Przepraszam, pani sierżant, że byłam nieprzyjemna. Nikt mi nie powiedział, że pani przyjdzie.

– Ano. – Kręcisz głową. – Co robicie?

– Robimy za przynętę. – Okręca biurowy fotel i siada w nim twarzą do ciebie. – Właściwie to Jack jest przynętą. Ja mam koordynować reakcję.

Przynętę? Reakcję?

– Na kogo ta przynęta? – pytasz ostrożnie.

– Na bandę graczy z Chin. – Pociąga nosem. – Wleźli nam głęboko w całą krytyczną infrastrukturę, ale popełnili parę błędów i teraz Jack przybrał fałszywą tożsamość, Nigela McDonalda, tego gościa, którego szukaliście, bo my... – dziwnie podkreśla ostatnie słowo – ...my spodziewamy się, że wrogowie się ujawnią, spróbują go namierzyć i uciszyć. Bo, rozumie pani, nie mają pojęcia, że MacDonald jest fikcyjny.

– A pani? Co pani robi? – Buksuje w miejscu, przychodzi ci do głowy.

– Ja jestem Tajny Agent X, jak się zdaje. – Krzywi się. – Bo problem jest taki: nie wiemy, w jaki sposób zaatakują Jacka, ale on teraz robi zamieszanie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Łapię – mówi wyżej wymieniony, wciąż pochylony nad komputerem. Na moment przerywa klepanie w klawiaturę.

– Co łapiesz? – pytacie ty i Elaine niemal jednocześnie.

– Już łapię, co oni, kurwa, robią – mówi triumfalnie Jack. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– A co oni, kurwa, robią, Jack? – pyta Elaine. Mimowolnie napina dłonie, więc przez

moment masz wrażenie, że wyobraża sobie, jak go dusi.

– Mają tu botnet i kontrolują go przez Zonespace. Zonespace chodzi w rozproszeniu, na większości telefonów komórkowych – prawie każda dzisiejsza gra sieciowa opiera swoje przetwarzanie transakcji na takiej czy innej wersji Zone/DB. Wysyłają sobie pakiety sterujące przebrane za stada ptaków na niebie albo układ drzew w lesie, czy coś takiego, rozumiecie? Aktualizują zapis w bazie i czekają, aż botnetowe zombiaki go odczytają. To ich tajna bramka do sieci publicznej – w ten sposób przesyłają zombiakom instrukcje, a zombiaki, które dysponują skradzionymi kluczami uwierzytelniającymi, modyfikują tablice routingu. Dla kontrwywiadu, ich wydziału Ochrony Komunikacji Elektronicznej czy NSA, czy kogokolwiek, kto podsłuchuje pakiety sieciowe, taki ruch w sieci będzie wyglądać jak normalna gra – oni szukają postaci sterowanych przez Abdullaha i Salima, gadających na prywatnym czacie o wysadzeniu krasnali w ogrodzie Białego Domu, więc nie zorientują się co się dzieje, bo gra w tym wypadku nie jest wykorzystywana jako rozrywkowy alternatywny świat, ale jako warstwa transportowa sieci! Oni tunelują TCP/IP po AD&D!

Patrzysz na Elaine.

– On tak zawsze?

Pociąga nosem.

– No właśnie sama nie wiem. – Do Jacka: – Czego mamy się spodziewać?

– Poza griefingiem na wielką skalę? Michaels myśli, że Guoanbu wycofa Team Red, jak tylko wręczy im listę nazwisk i twarzy. Nigel MacDonald ma odwrócić ich uwagę – mają myśleć, że to po prostu jakaś komórka istniejących służb specjalnych, z programistycznym wymiataczem na dokładkę – kimś w stylu Kena Thompsona ^[20] – i dzięki temu nie domyślić się, do czego naprawdę służą Hayek Associates i *Szpiedzy*. Ale ja myślę, że Team Red nie będzie chciał wrócić do swojego pudełeczka. Wykorzystają wszelki chaos, jaki uda im się wywołać, żeby dopaść MacDonalda, to znaczy, mnie.

Griefing to coś, za co w zeszłym roku zawiesili w szkole Daveya; nie kojarzy się przeważnie ze szpiegami i terrorystami, ale, z drugiej strony... Zdaje się, że oni wiedzą, co robią, a ty masz ich po prostu chronić, prawda? Zatem mówisz:

– Ja słyszałam, że w Edynburgu działa blacknet. Pani inspektor podejrzewa, że to on zaaranżował załatwienie Wayne’a Richardsona. Ci wasi wrogowie nie korzystaliby z czegoś takiego?

– Kurwa! – Jack podskakuje w krześle, jakbyś podłączyła mu do małżeńskich klejnotów akumulator od auta. – Oczywiście, że tak! – (Od ciężarówki). – To by wyjaśniało... – Odwraca się do laptopa i z powrotem zaczyna klepać. – Kurwa, kurwa... – Wygląda na to, że pod presją

wychodzi z niego lekki zespół Tourette'a, całaszczęście, że nie rejestrujesz teraz dowodów, prawda?

– Blacknet to to, co ja myślę? – pyta Elaine.

Z zewnątrz dobiega jakiś harmider. Przychodzi ci do głowy, że może trzeba by zejść i przypilnować tego.

– Prawdopodobnie. – A gdzie jest Bob? Rozumiesz, że szefowa nie śpieszy się z oddzwaniem, ale Bob się spóźnia. – Na poziomie protokołu to anonimowy, zdecentralizowany system walutowy. Prosi cię o przysługę, rewanżuje się przysługą. Na przykład, bądź pod takim budynkiem, z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami, przejeżdż pod inny adres, gdzie będzie czekał ktoś z portfelem pełnym gotówki i innym skradzionym samochodem.

Tak przynajmniej wygląda niewinna wersja, no bo, spójrzmy prawdzie w oczy: włamanie i zniszczenie mienia idą w parze jak miłość i małżeństwo, albo napad i pomoc w ucieczce – a większość blacknetowych operacji zaczyna się od takich drobiazgów i szybko idzie w cięższe przestępstwa. Przestępcy nigdy nie znają się osobiście, wszystko jest oparte na dowodach z wiedzą zerową i anonimowych remikserach, działających na przechwyconych domowych systemach komputerowych nieszczęśników, którzy ściągnęli sobie o jednego trojana z gołymi babami za dużo.

– Dlatego właśnie tu jestem, żeby dopilnować, że nikt nie będzie usiłował zabić Nigela MacDonalda.

Z zewnątrz dobiega jakiś ryk, głos tłumu powtarzającego w kółko jedno słowo.

– Co to? – pyta Elaine.

– Brzmi jak... – Cholera, gdzie ten Bob? – „Mózgi” – dodajesz słabo.

Za oknem zombie urządają na chodniku pikietę.

– Da-wać MÓZGI! Da-wać TERAZ!

– Lepiej coś z tym zrobię, nim zaczną szturmować hotel.

- Co to jest? – pytasz.
- Mapa Zonespace, z zaznaczonymi granicami partycji oraz zombiakami.
- Co to znaczy, zombiakami?
- W tym kontekście, to gracze, którzy zostali przejęci. Widzisz tutaj? Niebieskie kropki to twoja rasa, gracze w *Szpiegów*, którzy grają też w coś na Zone.
- Na mapie jest ich zadziwiająco niewiele.
- Zniekształcenie, wynika z latencji. Coś się zdrowo pierdzieli, nic się nie daje ściągnąć z zewnętrznej sieci... chyba wrogowie postanowili się zabawić z całą przepustowością szkockiej sieci. Mają główne klucze uwierzytelniające, więc mogą grzebać we wszystkich routerach w SCOlokacji i w większych telekomach. Zresztą, tylko parę z nich ma własne światłowody.

Usiłujesz ogarnąć skalę problemu.

- Nie rozumiem, Jack, czemu mi to pokazujesz.
- Pytanie nie brzmi: skąd Team Red wziął klucze do królestwa? Hayek Associates ma egzemplarz klucza jednorazowego, bo oni wszystko podsłuchują. Pytanie brzmi: od kogo w Hayku ten klucz wyciekł, via blacknet? Barry już dotarł do ludzi od zarządzania kryzysowego. Wygenerowali nowe główne klucze jednorazowe, już rozsyłają je do głównych serwerowni kurierami – wdrażają plan przewidziany na okazję wykrycia nieznanego dotąd ogólnonarodowej luki w zabezpieczeniach. Cel jest taki: przestawić wajchę w południe i wtedy cały misterny plan Teamu Red leci do kibla. Potem zrestartują CopSpace i ręcznie wgrają nowe, podpisane certyfikaty na główne serwery nazw domeny .sco i jeszcze parę takich delikatnych rzeczy. Najważniejsze, że kiedy zmienią się klucze dostępu administracyjnego do routerów krajowej sieci szkieletowej, Team Red nie będzie w stanie przechwytywać dowolnego ruchu. Zonespace też zostanie położony w południe i tego to szybko nie podniosą, bo dopóki leży, gracze są unieruchomieni. Nasz problem to namierzenie awatarów Teamu Red i zabicie ich po wielekroć, aż umrą na śmierć – to powinno ich przytrzymać w grze, aż będzie za późno – a przy okazji wbije im do głowy informację: „Wiemy, kim oni są i jak będą się nam wpięprzać, to ich załatwimy”. A ta ich wtyka w Hayek Associates w tym momencie zapewne spierdzieli... Zajmij się więc koordynacją tych rzeczy, dobra?

– Dobra. – Podsuwasz sobie własnego laptopa i mrugasz, patrząc na ekrany, aż przestaniesz mieć zeza. – Są do tego jakieś makra?

Jack szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Makra do walki to byłoby naruszenie regulaminu, co nie?
- Wiedziałam, że coś takiego powiesz. – Siecz wrogów, siecz, wrogów siecz... Coś ci nie gra w tej całej sytuacji, ale nie bardzo rozumiesz, co to takiego.
- Dokładnie coś takiego wykopałem w Lovecraftlandzie. – Wyciąga telefon i kładzie na biurku obok laptopa. – Takie urządzenie do stress testów, napisałem je sto lat temu. Daje mu się kupę kont na Zonie i steruje nimi jak rojem, atakując wszystko, co im postawisz na drodze.
- Przewraca oczyma.
- Brzmi nieładnie. – Łypiesz na niego.
- Pewnie, że tak. – Odwzajemnia spojrzenie. – Dlatego zakopałem sobie kopię na zadupiu na czarną godzinę. Polisa ubezpieczeniowa.
- Polisa...
- To ciemna strona tego tunelu do przerzucania graczy, który chcieli zainstalować. Znajdujesz bandę graczy, których już gra nie bawi, i zwabiasz do nowego środowiska, rozumiesz? Chodźcie, pograjcie sobie u nas, u nas jest fajniej. Daj nam namiary na swoje konto, a my przeniesiemy twoje postaci do naszej gry i damy wam jeszcze trzy miesiące grania za darmo. I tu wchodzi tester i stress testy. Jeśli dasz mu bandę dogorywających postaci ze starej gry, można, ehem.. przetestować ją na wytrzymałość. Żeby ostatnie niedobitki miały jeszcze mniej przyjemności z gry.
- Ty napisałeś coś takiego? – im dłużej o tym myślisz, tym mniej ci się to podoba.
- Tia. Na polecenie menedżerów z LupuSoftu. – Uśmiecha się bez wesołości. – Do stress-testowania naszych własnych produktów, naprawdę. Na dojrzałym rynku takie rzeczy ciągle się dzieją – wszystko się sprowadza do pilnowania, żeby twoi klienci mieli fun, a druga strona nie. I wszystko w porządku, póki nie używasz tego do celów niemoralnych, nielegalnych lub tuczających – są dla tego całkowicie przyzwoite zastosowania. I przed sądem pracy nie dałoby się łatwo wytłumaczyć, dlaczego nie chciałeś czegoś takiego pisać. I proszę: a ja myślałem, że to jakaś pomyłka, że Dietrich-Brunner poszukuje kogoś o moich kompetencjach. – Klika przycisk, otwiera się kolejne okno, przewijają się w nim kolejne teksty. – Zajrzyj do menu, pod Mistrza Gry-opcje-stress.

Rozwijasz koliste menu i widzisz to od razu.

– Dobra, teraz załaduję tę paczkę kont, które Barry podesłał mi z rana na telefon...

Telefon mruga szafirowo. Trwa przesyłanie... Na mapie Zonespace pojawia się cała gromada niebieskich punktów, jakby zarażała się od telefonu Jacka jakąś zjadliwą wysypką. Przesuwasz po nich kursorem – ma teraz śmieszny ikonkę, jakby łączył w jedno stado. Jesteś w god mode – możesz patrzeć oczyma każdego z nich i sterować nimi,

pojedynczo, albo połączyć ich w grupę i kazać iść za przywódcą. Który może być jeszcze jednym zombiakiem, z przydzielonym celem, albo możesz sam nim sterować. Paskudna sztuczka, zbudowane na zamówienie narzędzie do griefingu, lecz teraz właśnie czegoś takiego ci potrzeba. Pytasz się w myślach: „Jak dużo z tego przewidział Michaels?”.

Przeskakujesz na widok z oczu Stheno. Przychodzi ci to łatwo. Stoisz pośrodku gruntowej drogi – po jednej stronie las, po drugiej, za polami kukurydzy, widać odległe pasmo gór. Rozglądasz się i widzisz najcudacznieszą bandę oprychów, jaką można sobie wyobrazić. Orkowie, ludzie, krasnoludy, elfy lodowe, paru olbrzymów i jeden jedyny dalek: łążą bez ładu i składu jak stado owiec.

– Słuchajcie! – drzesz się, wykorzystując prymitywne moduły do konwersji głosu na tekst, wbudowane w telefony, na których chodzi gra. – Za mną! Zabić wszystko, co ma taki znak! – Unosisz pergamin podany przez Jacka i pokazujesz im wyrysowany krwią ideogram chaosu. – Ruszać się! – I wtedy rozwijasz menu Mistrza Gry i przydzielasz każdemu z nich boskie uprawnienia.

To Zonespace – jest tam i miasto, zbudowane na chropowatym od lodu bazaltowym korku wygasłego wulkanu. Nad porośniętymi sosnami brzegami ogromnego jeziora wznoszą się gigantyczne, strome, granitowe ściany, a bagniste zbocza opadają ku prymitywnemu portowi z bali, gdzie kołyszą się na kotwicach galeony i triremy. Ktoś tu się zabawiał z historycznymi mapami, bo parę rzeczy rozpoznajesz z kontekstu – wielki zamek górujący nad bazaltowym grzbietem, dumny królewski pałac rozciągający się na drugim końcu głównej ulicy edynburskiej starówki – ale jesteś niemal pewna, że w prawdziwym Dun Eideann nigdy nie było mangrowego bagna w miejscu, gdzie teraz stoi dworzec kolejowy, ani lasu deszczowego na Leith, ani azteckiej schodkowej piramidy przy Gyle.

Ale to wszystko na marginesie. Masz armię setek, w dłoni miecz (nie mówiąc o żmijach we włosach) i zadanie: zabić każdego napotkanego orka, po wielekroć, aż przestaną powstawać z martwych. Może to się uda, myślisz. Teraz tylko trzeba nauczyć się operować god mode w *Szpiegach* i wyznaczyć strefę ochronną. Przełączasz się więc na pulpit i logujesz do aplikacji dla centrum obsługi telefonicznej, którą dostałaś od Michaelsa, a wtedy otwierają się drzwi biura.

Patrzysz Elaine przez ramię, żeby sprawdzić, czy już czuje sterowanie stworzoną przez siebie bandą zombiaków-grieverów, dlatego zdumiewasz się, gdy nagle wyskakuje z interfejsu gry, przełącza się na drugi ekran laptopa i zaczyna grzebać w jakiejś innej aplikacji.

– Co ty... – „robisz”, zaczynasz mówić.

Wtem otwierają się drzwi. Obracasz się, spodziewając się zobaczyć panią sierżant Smith, albo jej wielkiego zakapiora-stażystę, lecz zamiast na nią patrzysz na Marcusa Hackmana, łpiącego na ciebie spojrzeniem pełnym stężonej pogardy, której grozy przydaje jeszcze fakt, że celuje w ciebie ze stuprocentowo nielegalnego, czarnorynkowego samopowtarzalnego pistoletu.

– Nie ruszać się – mówi. – Ręce na widoku. Jedno i drugie – dodaje, gdy Elaine zaczyna się odwracać, by zobaczyć, o co chodzi; siedziała tyłem do drzwi. Robi krok w bok, odsuwając się od drzwi, i zamyka je kopnięciem, cały czas zwrócony plecami do ściany.

Co to, kurwa, ma być? – zastanawiasz się, czując mdlące wywracanie się kiszek. Skupiasz się jednocześnie na wielu rzeczach. Hackman ma na sobie swój standardowy drogi garnitur, ale dawno się nie golił, a zwykle ulizana fryzura ustąpiła miejsca lekkim nieładowi wymykających się spod kontroli kosmyków. Na czubku lewego buta, pięknie wyglansowanego, ma otarcie. Pistolet, PJa Gracz, o ile dobrze poznajesz (a będąc na okresie próbnym, wciągnąłeś nosem całą biblię broni światów Zonespace, wiele lat temu, chłopaki tak mają) widział już lepsze czasy, odkąd spadł z ruskiej wojskowej ciężarówki i dostał się w łapy jakieś powiązanej z blacknetami mafijnej szumowiny.

– Panie Reed. Proszę robić dokładnie to, co mówię, inaczej zastrzelę panią Barnaby. Pani Barnaby, jeśli pani nie będzie słuchać, zastrzelę pana Reeda. Jeśli rozumiecie, kiwnijcie głowami.

Przełykasz ślinę i udajesz samochodową maskotkę. Po chwili wahania Elaine robi to samo. Plecy masz całe zimne od potu.

– Bardzo ładnie – mówi Hackman, jak do małego dziecka. – Gdzie pani telefon? Szybko.

– W kieszeni spodni – mówi, znów z lekkim wahaniem.

– Świetnie. Pani Barnaby, kiedy skończę, proszę wziąć telefon pana Reeda, ten na biurku i bez wstawania wrzucić go do kosza. – Kosz jest pod biurkiem, między twoją prawą nogą a jej lewą. – Już.

Cholera. Patrzysz, jak sięga przed tobą lewą ręką, bierze leżącą obok laptopa komórkę i powoli przesuwają ją nad kosz. Cholera, cholera. Telefon oczywiście jej nie rozpozna, więc nie

wybierze numeru alarmowego nawet gdyby CopSpace działał...

Brzdęk.

– Dobrze. Teraz pan Reed. Jak skończę mówić, proszę wyciągnąć telefon pani Barnaby z jej kieszeni i wrzucić do kosza. Nie wstawać.

– Ale to...

– Cisza – warczy i natychmiast się zamykasz. – Pani Barnaby może lekko się unieść, żeby dało się go wyciągnąć. Robiąc to, trzyma obie ręce na blacie. Jeśli zabierze rękę ze stołu, albo przesunie którąś nogę, zastrzelę pana. Rozumiecie, to kiwnijcie głowami.

Czujesz, jak kiwasz głową. To się chyba nie dzieje naprawdę? Stoi o jakieś trzy metry od was, za daleko, kurna, żeby spróbować go dopaść – najpierw któreś z was trafi. Gdyby chodziło tylko o ciebie, mógłbyś czegoś spróbować („słaba kontrola impulsów”, mówiła pani Fuller w czwartej klasie podstawówki – a to dowód potencjalnego heroizmu), ale celuje teraz w Elaine, a serce ci dudni i przed oczyma szarzeje na samą myśl, że mógłby trafić ją kulą.

– No już – mówi. – Najpierw pani Barnaby.

Elaine kładzie ręce na stole i spręża się, podnosząc się odrobinę. Głowę ma obróconą, ogląda się przez ramię z wyrazem głębokiego niepokoju (a może to kalkulacja?). Wyciągasz rękę i powoli wsuwasz jej palce do kieszeni, namierzasz ciepłe mydełko telefonu i wyciągasz go.

– Do kosza. Już.

Brzdęk. I ciche westchnienie, gdy amortyzator pod fotelem ugina się znów pod ciężarem Elaine.

– Zdejmijcie okulary i wrzućcie do kosza. Potem ręce na kark. Nie dotykać klawiatur. – Hackman rozbiera was do naga: nie z ubrania, ale z czegoś ważniejszego, odziera was z prawa do swobodnej wypowiedzi, możliwości komunikacji, tożsamości. Ale do skóry jeszcze nie dotarł... Jeśli wróci sierżant Smith... – Teraz obróćcie się twarzą do drzwi. Po-wo-li.

– Czego pan chce? – pyta pośpiesznie Elaine.

Hackman się wzdryga.

– Cicho. – Zerka na ciebie. – Jeśli w ciągu szesnastu minut nie zadzwonię pod pewien numer, pana siostrzenica ginie. Zrozumiano?

Kiwasz głową z duszą na ramieniu. Rozumiesz aż za dobrze: Hackman dowiedział się od Barry’ego tych pierdoł o Elsie i teraz wiesz, że kłamie. Za to on pewnie nie wie, że kłamie – nie, jeśli wszystko idzie przez Team Red; nie ma powodu, żeby ktokolwiek z nich znał prawdę o twojej rodzinie. Elaine też nie wie, niestety. I sytuacja jest przez to nieciekawa, bo jeśli Sue Smith nie wróci, bo Hackman zaaranżował, żeby Team Red jakoś odwrócił jej uwagę, Elaine

może nie będzie chciała uciec, myśląc, że Elsie nadal jest w niebezpieczeństwie. „Mało dogodne” to mało powiedziane. Będzie trzeba zacisnąć zęby albo i oberwać w zęby dla sprawy, na którą nigdy się nie pisałeś.

– Po co? – skrzeczysz.

– Zamknąć się. Na dole z tyłu czeka samochód. Z autodrivem. Przejedziemy się trochę nad granicę, potem spędzicie nieprzyjemne dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem godzin zamknięci w piwnicy. Wtedy już będę daleko, a wy będziecie wolni. Rozumiecie?

Elaine kręci głową.

– Po co?

– Trzeba było iść za kasą, głupia. – Jest teraz rozzłoszczony i trochę zdziwiony. – Wszystko świetnie szło, dopóki się nie zwaliliście. – Gdybyście mi, gówniarze, nie narozrabiali, wszystko by mi się udało...

– Ile tej kasy? – Może, myślisz, uda ci się go przekonać, że jesteś na tyle sprzedajny, żeby przejść na stronę oczywistego kłamcy.

– Dwadzieścia milionów w opcjach *put* przeciwko upadkowi Hayka w dwa miesiące od debiutu giełdowego, zakupionych przez ślepy fundusz. – Drga mu policzek. – Ja lubię się zabezpieczyć z obu stron. Barry i Wayne byli o wiele zbyt pewni siebie. Od miesiący było wiadomo, że Babilon musi upaść.

Łapiesz się na tym, że masz rozdziawione usta.

– Grał pan na upadek własnej firmy?

– Młodziaki z was. – Minę ma teraz chłodną, cyniczną. – Kiedy pękła pierwsza bańka internetowa, jeszcze robiliście w gacie, prawda? Pieprzona amatorka, co chciała się szybko dorobić. Ja zarobiłem wtedy pierwszą fortunę i straciłem, zanim jeszcze skończyliście szkółkę. Umiem rozpoznać objawy. – Przeskakuje lufą na ciebie, potem na Elaine. – Widziałem je już dwa razy. Ale tym razem byłem gotowy. Trzeba tylko mieć parę baniek i odpowiedni garnitur, można się wkupić, a potem wysiąść, zanim naiwni optymiści się zorientują.

– Ale przecież nie można... – Elaine prawie się jąka z zaskoczenia. I wiesz, co jej chodzi po głowie. Tym razem musiał pan wygrać! Prezes potiomkinowskiej korporacji ze wsparciem służb specjalnych! Nic tylko leżeć do góry brzuchem i patrzeć jak leci kasa.

– To pani torba? – pyta Hackman z podstępna nonszalancją, wskazując brodą leżący pod oknem wór z walcowatym wyrostkiem.

– Tak. – Elaine kiwa głową.

– Proszę wstać, powoli. Powoli. I stanąć obok niego. Zwróćcie uwagę: celuję teraz w panią

Barnaby. Panie Reed, niech pan nie robi nic głupiego, bo będę musiał ją zastrzelić.

Gdy patrzysz, jak ona sunie bokiem w stronę torby, w głowie krystalizują ci się jednocześnie różne wnioski. Na przykład: Hackmanowi odbiło. Albo: Nie wiem, że wiecie o Wayne. Oraz: Wayne nie żyje i, jak pan, kurna, myśli, kto go zabił?

– Pan pracuje dla Teamu Red? – pytasz.

– Zamknąć się. Pracuję sam dla siebie. – Czyli działał przez blacknet, nie wiedział, kto jest po drugiej stronie, sondował, co da się przez nich załatwić. Cały czas jednak celuje lufą w Elaine. Niech go szlag.

Elaine jest cała napięta: patrzy na ciebie wielkimi oczyma, jakby miała zaraz włożyć głowę w stryczek. Widzisz jej wyraz twarzy; to jasne jak słońce: robię to dla Elsie. I dopiero to wyzwala napad szczerości, gdy płat mamusiny, dotąd katatoniczny z przerażenia, w końcu dorywa się do języka:

– Hackman, Elsie zginęła sześć lat temu. Twoi blacknetowi kumple cię oszukali.

To wszystko prawda – wyznanie cofa cię do tego okropnego poranka w prosektorium na południu, gdzie pokazali ci zdjęcia, a potem czekali aż weźmiesz się w garść, wysmarkasz nos i wytrzesz oczy – nie zrzygałeś się, dopiero dużo później, wieczorem, po szóstym piwie – a potem: „Przykro nam niezmiernie, proszę pana, że musi pan przez to przechodzić, ale musimy wiedzieć, musimy wiedzieć, kto był w samochodzie, bo kiedy go wyciągnięto spod naczepy, już nie miałeś żadnej rodziny, nie miałeś żadnego życia. I właśnie wtedy zacząłeś płacić za subskrypcję *Nieobecnych Przyjaciół*, ponieważ nawet simulacrum siostry i siostrzenic dawało przynajmniej jakiś temat do rozmowy, było lepsze niż nic. Ludzie instynktownie poznają, kiedy członek stada jest ostatnim z rodu, te ich współczujące spojrzenia są nie do wytrzymania, ale nie do wytrzymania jest także izolacja. Zresztą, skąd miałeś wiedzieć? Dzisiaj to po prostu twoja rzeczywistość, żenujący duch, którego wleczesz ze sobą od wypadku. Duch-anioł stróż.

Duchy otaczają cię, kiedy wstajesz i odchodzisz o krok od Elaine, od biurka, gdzie opętany przez zombiaki laptop koordynuje automatyczną operację czystki w wojnie, o której Hackman w ogóle nie ma pojęcia, potem drugi krok, żeby zwiększyć odległość i rzucić się na Marcusa, gdy lufa odwraca się w twoim kierunku i rozlega się strzał.

BANG.

Nie miałeś pojęcia, że to jest takie głośne: to nie jest po prostu dźwięk, jak w grach, to fizyczna siła tłukąca cię po bębenkach i po twarzy. Robisz jednak kolejny krok i sięgasz po pistolet.

BANG.

Tym razem czujesz coś jakby cios w żebra. Jesteś jednak na tyle blisko, żeby chwycić

Hackmana za rękę, mimo że nogi nie chcą działać jak należy. Strasznie to dziwne: już prawie trzymasz lufę, ale ona się oddała. A co robi ten sufit? Coś uderza cię bardzo mocno w plecy, potem boleśnie w głowę, gdy walisz nią o podłogę, pistolet cały czas celuje w ciebie, a za nim twarz Hackmana szczyrzy zęby jak rekin, który zwietrył krew na dywanie w sali posiedzeń zarządu i zaraz przegryzie ci gardło...

Wtem Elaine robi szybki krok naprzód, prostuje się ze skłonu, wyjąwszy oburącz coś z torby, obraca się zwinnie na lewej stopie i robi nad nim zamach ogromnym mieczem, jak samochodową wycieraczką z piekła rodem. Przez dzwonienie w uszach słyszysz chrupnięcie kości. A ostatnią rzeczą, jaką widzisz, jest padający ku tobie Hackman, ze zdumioną miną, podczas gdy Elaine chwieje się, powstrzymując instynktowne odbicie, które pozbawiłoby go twarzy.

Restart:

Nad tobą biały plastikowy sufit, lampy, jakiś zielony kształt pochyła się nad twoją twarzą. Maski, czy coś. To coś, na czym leżysz, boleśnie podskakuje, gdy koła przejeżdżają po progach zwalniających. No i mogliby wyłączyć tę syrenę.

Już to miałem. Tamtym razem też mi się nie podobało.

– Chyba dochodzi do siebie.

Przykro mi, ale nie.

Restart:

Gdybyś się nie domyślił – zostałeś postrzelony w pierś. Dwa razy. Co? Raz to dla ciebie za mało? Musiałeś koniecznie zostać tym bohaterem, bo wiedziałeś coś, czego Hackman nie wiedział, a mianowicie, że jego kumple po drugiej stronie anonimowanego blacknetowego łącza, Team Red, już parę razy próbowali cię zabić: co ważniejsze, Hackman już załatwił swojego wspólnika od handlowania poufnymi informacjami, Wayne'a Richardsona, jasne więc było, że ciebie i Elaine też nie zostawi, żebyście mogli pokazać go palcem. Bo do tego właśnie nadają się blacknety: kupowanie nielegalnej broni, załatwianie egzekucji, pozyskiwanie brudnej kasy na nieprzyzwoity krótkoterminowy procent, żeby zainwestować w zakład, że twoja własna firma za parę tygodni pierdyknie.

Zresztą, i tak już miałeś zamiar kiedyś powiedzieć Elaine o tym, że nie masz prawdziwego życia.

Ale dać się postrzelić – to mało sprytne, prawda? Boli. Teraz tępo i niezbyt mocno – albo umierasz, albo naładowali cię morfiną – możesz oddychać, ale w nosie masz coś niewygodnego. Może dobrze byłoby otworzyć oczy, chociaż są gorące i gumiate; czujesz się prawie tak samo oszołomiony, jak wtedy w Amsterdamie, kiedy siedziałeś w palącym się

fotelu nad kanałem, przy wybitej wystawie sklepowej.

(Pałącym się? Skąd ci przyszło do głowy, że fotel się palił?).

Udaje ci się podważyć powieki. Potworny wysiłek, lecz nagrodę stanowi przejęta twarz, rozpoznawalna, choć rozmazana, fretka obwąchująca łup, jakby niepewna: ugryźć go czy polizać?

– Jack? – Ktoś ściska twoją dłoń. – Jack?

– Hrrrumf. – To bardzo skompresowana, stenograficzna wersja słów: „Nic ci się nie stało? Hackman uciekł? Gdzie jest policja? I co się dzieje?”. Niestety, twoja krtań nie działa za dobrze, więc odkasłujesz i próbujesz ponownie: – ...laine?

Ściska ci dłoń tak mocno, że boisz się, że ją zmiażdży.

– Nigdy w życiu mi czegoś takiego nie rób! – Potem raptownie ją puszcza, jakby dotarło do niej, co robi, i stała się nieśmiała. – Kurwa mać! – wybucha nagle. – Naprawdę mnie wystraszyłeś!

Ja cię wystraszyłem? – myślisz, ale wypowiedzenie tego to zbyt wielki wysiłek.

– Hackman?

Prycha, opacznie cię rozumiejąc.

– Nieszkolony pistolet kontra szkolony miecz, na taki dystans? Tylko czekałam, żeby go wyciągnąć. – Dalej trzyma cię za rękę. Teraz czujesz, że w tych palcach kryje się stal. – Jego szczęście, że był tępy, kiedy weszłam na niego z krumphau, inaczej nie miałby obu rąk.

No cóż. Mrugasz i masz się za głupka. W końcu mówiła, że interesuje się średniowieczną szermierką, nie? To czego się spodziewałeś?

– Przepraszam. Potwornie mnie wystraszyłeś, Jack. – Pauza. – To jak się czujesz?

Gardło ci płonie, a z klatką piersiową jest coś mocno nie tak – dziwnie trzeszczy, gdy oddychasz i jakoś nie możesz nabrać dość powietrza.

– Wody – mówisz z nadzieją. Jesteś zbyt zmęczony, żeby przejmować się czymkolwiek więcej. Zresztą, przyszła tutaj, siedzi na krześle przy twoim... Szpitalnym łóżku? Więc pewnie nic jej nie jest.

– Dzwoniłam do Sophie – mówi. – Jak zrestartowali sieć telefoniczną. – Patrzy z niepokojem, z tą samą wisielczą miną co wcześniej, kiedy...

– Więc już wiesz.

Kiwa głową.

– Wszystko mi powiedzieli.

Płat mamusiny – czy raczej jego niedobitki – zamykają ci oczy z zakłopotania, z szacunku dla zmarłych, czy czegoś tam.

– Nie zniosłem tego. Wtedy, sześć miesięcy po śmierci mamy. Po prostu nie zniosłem myśli, że jestem sam. – Płat mamusiny też jest zmęczony: zmęczył się, trzymając cię w kupie przez tyle lat pracy w modelu „krew z oczu” i gier w prawdziwym życiu, zmęczył się symulowaniem ci towarzystwa, od którego byłeś przez tyle czasu odcięty.

– Ale żeby próbowali cię tym zaszantażować... – Łamie się jej głos.

– A skąd mieli wiedzieć, że Elsie nie jest prawdziwa? Fizyczne zadania podzlecali tutejszemu blacknetowi. Porwanie pewnie jakimś mięśniakowi z południa, który teraz śmieje się w kułak. Coś jak w tej historii, kiedy policja wysłała gościowi mandat i zdjęcie samochodu, jak przekracza prędkość. No to on im odesłał zdjęcie czeku. A oni mu fotkę kajdanek...

Drobne, zimne paluszki wsuwają się w twoją dłoń, ściskają ją.

– Ale jeśli nie chcesz, nie musisz być sam – mówi z wahaniem. – Wiesz o tym, prawda?

– Teraz już tak. – Ściskasz jej palce, ze wszystkich sił, czyli w tej chwili mniej więcej tak mocno, jak utopiony szczur. – Game over.

Sue: Ugoda prokuratorska

– ...Właśnie se gadałam w hotelu z głównym zombiakim, kiedy usłyszałam strzały. Na wideo z recepcji widać, jak zem sie wystrachała. Dwa piętra wyżej, ale od razu wiedziałam o co chodzi – wtedy zadzwoniłam, lecąc na górę. Jak dobiegłam, było po wszystkim, ona załatwiła go tym swoim mieczem, a on se leżał i krwawił na cały pokój. Ale i tak sie czuje jak ostatnia sirota, szefowo.

– Ja tak samo, a dobrze wiesz, do kogo się przyczepi komisja, że oddelegował niecertyfikowanego funkcjonariusza do ochrony osobistej.

To żadna pociecha i sie wi, że inspektorka o tym wie, ale musisz przyznać, że dla niej to jeszcze gorzej – w końcu ty nie wspinasz się po tej służbowej drabinie. Z drugiej strony...

– Liz, obie żeśmy były zakręcone, wszystko przez tych cholernych szpiegów i ich pieprzony bal przebierańców. Jakby jednocześnie nie było tego alarmu terrorystycznego i zwałki CopSpace, może byśmy i miały szansę, a jakby był CopSpace, to byśmy wiedziały, co się święci. Ja tam myślę, że to przeze mnie – cza było powiedzieć Bobowi, że ma śmigać z powrotem na górę, jak tylko zagadał z recepcją.

– Sue, próbujesz sama sobie zrobić komisję dyscyplinarną? Dam ci radę. Daruj sobie, już po wszystkim. – Liz ma zirytowaną minę. – Poza tym, nie powinniśmy o tym gadać pod szkołą. Dla nieprzychylnego oka to wygląda jak zmowa, a tego nie darują.

– A, no dobra.

Zmowa to bardzo polityczne słowo i wierzysz Liz na słowo, że źle brzmi. Ściskasz mocniej czapkę, uświadamiasz sobie, że to robisz, wyginasz ją na kolanach i znów puszczasz. Strasznie to przypomina poczekalnię u dentysty – po prostu nie da się tu czuć dobrze. Potrzeba tylko jeszcze zakazu korzystania z telefonów i tykającego zegara na półce nad dysfunkcyjnym gazowym kominkiem – wtedy już wszystko byłoby jasne. Ale ta konkretna poczekalnia jest w lepszym stanie niż u twojego doktora od zębów, włączywszy w to superniewygodne krzesła i cywilną recepcjonistkę przed nią.

Kavanaugh zerka na zegarek.

– Już niedługo – rzuca i widzisz, że też się cholernie denerwuje.

Wtedy otwierają się drzwi od sali.

– Pani inspektor, pani sierżant, proszę na miejsca.

Czekają na was dwa krzesła naprzeciwko biurka wielkości małego stołu konferencyjnego. A po drugiej stronie są najgrubsze ryby – zastępca komendanta McMullen, dziś wyraźnie nie w golfowym stroju, siedzi z twarzą jak u kata pod fotką swojego przełożonego, Andrew

Sampsona, głównego komendanta policji na Szkocję Południowo-wschodnią, ściskającego dłoń przedostatniego ministra sprawiedliwości, na schodach pod parlamentem, żeby nikt nie miał wątpliwości. Musisz się jednak bardzo mocno powstrzymać przed uniesieniem brwi, bo zaraz obok niego siedzi ten kombinator Michaels – i jeszcze jedna postać w szarym garniturze, z końską twarzą i miną, która mówi: „wysoki urzędnik państwowy”, taki wysoki, że do oddychania potrzebuje maski tlenowej.

– Spocznij, proszę usiąść. – To McMullen. Zerka w obie strony. – Chciałbym, żeby było jasne: to nie jest przesłuchanie dyscyplinarne. Nic się nie nagrywa i nic z tego, co będzie tu powiedziane, nie idzie do żadnego protokołu. Czy wszyscy rozumieją?

Nie ośmielasz się rozejrzeć, ale niemal słyszysz grom dźwiękowy startujących do stratosfery brwi Liz Kavanaugh. To robota policyjna, ale nie taka, jaką znamy – w dzisiejszych czasach wszystko się nagrywa, inaczej pacjenci zaczynają się rzucać ze schodów i pozywać policję o odszkodowanie.

– To nie jest aby trochę... radykalne? – Zadajesz to pytanie, sama się sobie dziwiąc.

– To konieczne. – McMullen nie wygląda na zachwyconego. – Jak wyjaśni pan Jones ze Wspólnego Ministerstwa Obrony...

Jones – najgrubsza z ryb – patrzył na coś w skórzanym folderze. Teraz zamyka go, kładzie na biurku i odchrząkuje.

– Jestem tutaj, aby zawiadomić państwa, że zdarzenia, do których doszło w hotelu West End Malmaison w przedostatni czwartek, są na nasz wniosek utajnione, decyzją Ministerstwa Sprawiedliwości. W porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych z południa. Jakakolwiek wzmianka o tej sprawie w obecności kogokolwiek poza obecnymi w tym pokoju, wyjąwszy bezpośrednich użytkowników zdarzeń, będzie naruszeniem Ustawy o Ochronie Tajemnicy Państwowej. Przed wyjściem stąd proszę podpisać te oświadczenia... – poklepuje folder – ...potwierdzające, że zostaliście o tym poinformowani. To jest zła wiadomość. – Milknie na moment. – A dobra: nie staniecie przed komisją śledczą.

Naprawdę? Ale przecież nie potrzebowali was wszystkich zwołać tu osobiście, prawda? To o co tu chodzi?

McMullen chrząka.

– To zostawia nas z drobnym problemem. – Wyraźnie nie patrzy na Michaela, który skrzyżował ramiona i wygląda na nonszalanckiego i zadowolonego z siebie, ani na Jonesa, który jakby zamienił się w kartonową figurę państwowego funkcjonariusza. – Co zrobić z niejakim Marcusem Hackmanem. Którego, zdaje się aresztowaliście i oskarżyliście o próbę morderstwa, nielegalne posiadanie broni i co tam jeszcze... pani inspektor?

Liz również odchrząkuje.

– Do tego dwa zabójstwa: Waynea Richardсона i Wu Chena... A potem te bardziej skomplikowane kwestie: podżeganie do zabójstwa, spisek, przynależność do organizacji przestępczej, wszystko, co da mu się przykleić za tę blacknetową serwerownię, którą uruchomił w mieszkaniu MacDonalda, rozmaite naruszenia bezpieczeństwa, nadużycie informacji poufnych, fałszerstwo, a gdybyśmy chcieli wywlekać wszystko w sądzie, może i szpiegostwo.

Teraz na nią zerkasz. Przewraca oczyma.

– Oczywiście to wszystko konsekwencje jego pierwszego błędu, mianowicie takiego, że miał tak niewielką wiarę w powodzenie własnego przedsięwzięcia biznesowego, że spodziewał się, że zaraz padnie, i zrobił z niego pułapkę na inwestorów.

Michaels po drugiej stronie biurka wreszcie jest trochę mniej zadowolony z siebie.

– Pani inspektor, Hayek Associates nie byłoby w stanie spełniać swojego zadania, gdyby nie wyglądało i nie działało jak prawdziwa firma. Może to panią zdziwi, ale ludzie z wywiadu nie są ekspertami od prowadzenia firm z branży nowych technologii. Wzięliśmy na pokład parę osób z odpowiednim doświadczeniem i porządnie zweryfikowanych, powierzyliśmy im większość biznesu, tylko że jeden z nich okazał się bardzo zgniłym jajem, a drugi tylko trochę mniej zgniłym. Problem polegał na ustaleniu, kto to – nie mogliśmy przecież zwieźć całej firmy do tajnego bunkra i zacząć przesłuchiwać, bo całą naszą przykrywkę trafiłby szlag. Wystarczy jeden dysydent, który nie lubi robić za rządowego słupa, i wyśpiewa wszystko do sieci, na jakiegoś bloga, do gazety, i... – Wzrusza ramionami.

A, to z tej strony wieje wiatr! Uśmiechasz się grzecznie i starasz wyglądać na tępego gliniarza. Jak Michaels ma ochotę, to niech się sam pooskarża.

– *A Szpiedzy?* – pyta Liz, zmuszając cię do zamrugania. – I skąd się wzięły te wszystkie zombiaki?

– Zombiaki były pozbierane ze wszystkich gier terenowych i alternatywnych rzeczywistości, jakie tylko się nawinęły – mówi Michaels. – Kiedy Hackman uświadomił sobie, że jego blacknetowi przyjaciele – czyli Team Red, choć on pewnie myślał, że gada z ruską mafią – spieprzyli likwidację Reeda i Barnaby, namówił ich na zorganizowanie przed hotelem *flash mobu* – regularnej parady zombie, nagrody za najlepsze przebranie nieumarłaka. Podobno wszystko zostało załatwione ze służbami, przyjedzie też parę ekip telewizyjnych. Musicie przyznać, że to majstersztyk, jak na całkowitą improwizację – zwróciło waszą uwagę, prawda? Wszyscy patrzyli gdzie indziej, kiedy Hackman próbował własnoręcznie rozwiązać problem.

– A Wayne Richardson? – podpowiada Liz.

– Wayne, Wayne. – Michaels robi zbolałą minę. – Wayne był tylko najślabszym ogniwem. Zły był Hackman. Kiedy dowiedział się o MacDonalddie, zasugerował stworzenie mu solidniejszej legendy. Powinienem być się wcześniej domyśleć – jemu po prostu potrzebne było to mieszkanie, żeby wynająć je jakimś podejrzanym indywiduum, którym wisiał przysługę albo dwie. Jakimś gangsterom z miasta. Zainstalowali tam węzeł blacknetu, zastępujący ten, który zlikwidowaliście w zeszłym roku; nie ma chyba lepszego miejsca niż w domu u kogoś, kto nie istnieje? Potem przyszło mu do głowy, że można znaleźć jeszcze parę innych zastosowań. Wayne’a podporządkował sobie standardowo: zastraszenie, niepewność, dezinformacja. Ręka rękę myje, ale zawsze któryś musi być szefem, a kiedy Wayne spanikował i spróbował się dogadać, Hackman pozbył się go.

Zaczyna ci się to układać. Poza jednym.

– A czemu załatwił pan zwolnienie Jacka z pracy? – pytasz.

– Bo chcieliśmy go zwerbować – wyjaśnia Michaels. – Takie gry w alternatywną rzeczywistość jak *Szpiedzy* nie walają się na ulicach, rozwija się je przez całe lata. *Szpiedzy* to była nasza pierwsza próba wsadzenia w to palca. Dużo się nauczyliśmy, jak prowadzić w ten sposób wirtualny wywiad osobowy; wszystko to wejdzie do *Szpiegów Dwa Zero*, których wypuścimy w przyszłym roku. Większość developerów nie musi wiedzieć, nad czym pracuje – zatrudniamy ich niby do zbliżonego projektu, odwalają większość roboty, a potem projekt odwołujemy i rozpędzamy zespół, kiedy wszystko jest prawie gotowe. Ale paru nam jeszcze potrzeba – bystrych, potrafiących wziąć skończony w dziewięćdziesięciu pięciu procentach kod *Steaming* i zrobić z niego *Szpiegów Dwa Zero*, a potem zadbać, żeby to działało. A Elaine była nam potrzebna z dwóch powodów: żeby wypłoszyć Hackmana oraz dlatego, że ją też chcieliśmy zwerbować.

I teraz faktycznie wszystko się układa. Bo wszystko spina postać Hackmana i to, że Michaels niedostatecznie zweryfikował swojego oswojonego socjopatę-prezesa oraz nieudolnego dyrektora marketingu. Wszyscy prezesi to po trosze socjopaci – trzeba naprawdę mieć obsesyjną osobowość, żeby wprowadzać firmę na giełdę – zwłaszcza w gorączce banki spekulacyjnej, i to nie byle jakiej, ale trzeciej z rzędu – a Michaels przecież nie mógł wleźć mu pod czaszkę i uświadomić sobie, że pod pewną siebie gadzią powierzchownością siedzi wielki kłębek neuroz i psychotyczna wściekłość na świat, że już dwa razy zabrał mu zabawki. Hackman chciał mieć ciastko i zjeść ciastko; nie wydawało mu się, że Michaels i jego kumple ze szkoły (którzy cały czas bez powodu wpadali do firmy) w ogóle się w czymkolwiek zorientują. A Wayne Richardson służył mu do wyciągania kasztanów z ognia. Zabezpieczyli się

na dwie strony, kupując instrumenty pochodne grające na fiasko firmy. Wchodzisz, namawiasz inwestorów, organizujesz debiut, sam wyskakujesz ze wszystkich akcji, z których możesz, a potem zgarniasz prawdziwą kasę, kiedy odpada dno, mimo że na pierwszy rzut oka twoje aktywa to głównie niezbywalne akcje. Niestety, nie udało się, bo Hayek Associates było skazane na sukces, kumple Michaela i ich szemrana rządowa maszyna cały czas dosypywali kasy do swojego potiomkinowskiego dot-comu. Dno uparcie nie chciało odpaść – i Hackman zaczynał desperować.

Miał jednak asa w rękawie: zgadał się już z jakimś miejscowym blacknetem. Pewnie zaczęło się od jego kokainowego nałogu, czy czegoś w tym rodzaju; ale na koniec musiał ich drapać po plecach i dać miejsce na blacknetowy węzeł; całkiem niedługo dogadał się z nimi na tyle, że zajął miejsce przy stole. I okazało się, że ci ludzie chcą mu płacić za informacje o firmie, o której wie bardzo dużo. Tak właśnie działają blacknety – ludzie wystawiają na sprzedaż różne rzeczy, albo ogłaszają przetargi, inni to widzą i kupują albo składają oferty. Rynek jak każdy inny, tylko że obraca się nielegalnymi rzeczami – narkotykami, poufnymi informacjami, morderstwami na zlecenie. Tak właśnie do Hayek Associates dostali się ci szpiedzy, którymi tak się przejęła Liz. I zaczęli ją wykorzystywać. Hackman sprzedał im egzemplarz jednorazowego klucza do sieci szkieletowej oraz prywatne klucze uwierzytelniające do Zonespace, powiedział jak wszystko działa, odegrał rolę niezadowolonego pracownika – wszystko to, żeby zebrać kasę, a potem postawić ją przeciwko nieuniknionemu sukcesowi firmy. Zaaranżował nawet ten napad na najbardziej publiczne dobro firmy, żeby wysadzić jej fundamenty.

Tylko, że się przeliczył.

Szło o reputację. Wykonano parę telefonów, przyjechali audytorzy, przeważnie zresztą prawdziwi audytorzy, nie szpiedzy. Michaels nie zamierzał spuścić swojej przykrywki z wodą w kiblu. Chciał wiedzieć, kto robi przecieki i dlaczego. Ale kiedy zwinął dywan, znalazł pod spodem coś znacznie gorszego niż się spodziewał. Autor przecieku nie tylko opchnął rodzinne klejnoty bandzie złodziei, ale i zwrócił na siebie uwagę przeciwnika. Wszystko ruszyło jak kula śniegowa – trudno się domyślić, jak daleko to sięgało – ale można się domyślać, skoro na miejsce zwałił się Kemal i jego Akademia Policyjna – aż skończyło się kontrwywiadowczym rozpierdołem, z gatunku tych, o których opowiada się legendy trzydzieści lat później, kiedy odtajniają materiały.

– Czyli Hackman i Richardson robili to dla kasy? – pytasz. – I mamy wierzyć, że zabili trzy osoby, a usiłowali jeszcze dwie, żeby to zatuszować?

To pytanie zbiło na chwilę Michaela z tropu. Przez moment wygląda na swój wiek.

– Pani sierżant, dwadzieścia sześć milionów euro. Taka była stawka dla Hackmana. A szefów firm motywują dwie kwestie: kasa i zwycięstwo.

Teraz do ciebie dociera. W końcu za wszystkim stoi kupa kasy, taka kupa, że twoje drobne dresiki-złodziejaszki, typu Jimmy’ego Hastiego nawet sobie jej nie wyobrażają – a przecież wiesz, cholera, co potrafią zrobić dla puszki Carlsberga, to co dopiero dla nieopodatkowanych dwudziestu sześciu milionów.

– Coś z tego odzyskamy? – pytasz.

– To sprawa dla grupy od pożytków z przestępstw – prycha pogardliwie McMullen. – Wcześniej czy później na pewno dojdą, gdzie je upchnął. Najpierw kwestia zarzutów. Wszystko to się działo, kiedy CopSpace leżał, więc trochę chudo z materiałami – a zapisy logów pani i pani inspektor... okaże się, że zaginęły. Z drugiej strony, zajście w hotelu Malmaison mamy na hotelowych kamerach, więc na tym się oprzemy. Jeśli nie uda nam się przekonać ławy do wsadzenia go za próbę morderstwa i nielegalne posiadanie broni na podstawie tych nagrań i zeznań dwóch świadków, z czego jednego z dziurami, to znaczy, że jesteśmy beznadziejni. Nie musimy wcale wyciągać cięższego kalibru – Chena, Richardsona, blacknetu, penetracji Hayek Associates – żeby go zapuszkować, a jeśli z tym nie wyjedziemy, nie ma powodu, żeby ktoś zaczął za tym kopać. A więc... – Zerka na Jonesa: – Słyszałem, że prokurator postawi Hackmanowi zarzuty, a potem zostanie mu zaproponowana dyskretna ugoda.

Tylko że w Szkocji tak się tego nie robi; tu ugody prokuratorskie traktuje się jak jakąś transatlantycką perwersję, no ale się wi, dlaczego służby nie mają ochoty rozgłaszać, że ich pilotowy projekt w wirtualnym świecie został spenetrowany przez bandę chińskich dzieciaków-hackerów, bo gość, co prowadził im firmę-przykrywkę, nie wierzył we własną legendę.

– Jeśli takie mają zapaść decyzje, podporządkuję się – mówi Liz. – Chociaż... – Zerka na Jonesa i Michaela. – Wolałabym powiesić drania za jaja.

Jones tylko siedzi ze zbolałą miną, za to Michaels kiwa głową.

– Ja także, pani inspektor. Być może za parę lat umożliwimy pani ponowne otwarcie tej sprawy, kiedy nasza kluczowa infrastruktura będzie już dobrze zabezpieczona. Mam jednak nadzieję, że rozumie pani, skąd ta potrzeba dyskrecji? – Nagle patrzy na ciebie, a w jego oczach nie ma ani krzty tego ucznia elitarniej szkoły. – Tu już się nie gra w gry.

Epilog: Bankowiec Martin Mase

Rzekomo od: Martin.Mase@NNPB.co.ng

Temat: Dotyczy: przeterminowanego konta tymczasowego, pilnie potrzebne dane finansowe

Autopodsumowanie: standardowy spam nigeryjski

Waga spam: 95%, nie warto tracić czasu

Szanowny Pan Marcus Hackman.

Szanowny Panie,

jestem świadom, że nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, nie zostaliśmy oficjalnie sobie przedstawieni, ani nie wymienialiśmy dotąd żadnej korespondencji. Pamiętam także, że świat jest pełen nieuczciwych ludzi, jednakże w głębi serca liczę, że mój skromny list poruszy Pana czułe serce i umożliwi nam pozytywną wzajemną weryfikację tożsamości, po czym będziemy mogli nawiązać zyskowną i udaną współpracę biznesową.

W imieniu mojego drugiego współpracownika w NNPB postanowiłem zwrócić się do Pana po radę w sprawie sumy 26 023 691,47 euro, przelanej na Pana rachunek dwa miesiące temu. Suma ta powstała z upłynnienia pewnych aktywów, przekazanych na Pana dobro przez pracowników oddziału naszego państwowego banku w Pyongyang, w poprzednim okresie rozliczeniowym.

Domniemywamy, że wspomniana kwota ma zostać przelana na wskazany przez Pana rachunek bankowy, jednak to Pan musi go utworzyć i przekazać nam jego dane, albowiem kodeks naszej służby państwowej nie pozwala nam dysponować zagranicznymi rachunkami bankowymi.

Potrzebujemy zatem Pana pomocy: zgodnie z zawartą między nami umową, dokumenty dotyczące tych funduszy zostaną niezwłocznie przetworzone, a środki zwolnione na wskazany Pański rachunek.

Nasze dane osobowe oraz adresowe przedstawimy Panu natychmiast po nawiązaniu pełnego kontaktu i podjęciu pierwszych kroków w Pana sprawie. Jesteśmy do Pana dyspozycji i z przyjemnością odpowiemy na wszelkie Pańskie pytania dotyczące niniejszej transakcji, proszę zatem niezwłocznie się ze mną skontaktować, pocztą elektroniczną lub telefonicznie, na dowolny z podanych wyżej numerów. Ja ze swej strony udzielię Panu wszelkiej informacji dotyczącej kwestii i procedur prawnych. Oczekujemy zwłaszcza na podanie przez Pana danych konta tymczasowego, oraz niezbędnych danych biometrycznych (np. czubek lewego palca, list podpisany krwią), aby umożliwić dokonanie transakcji.

Serdecznie proszę, by pamiętał Pan, że wspomniana transakcja wymaga całkowitej

poufności, proszę również o przedsięwzięcie należytej ostrożności.

Z poważaniem,

dr Martin Mase
Nigerian National Petroleum Bank
Lagos, Nigeria

[1] Wendy Alexander – polityk i posłanka ze Szkockiej Partii Pracy (przyp. tłum.).

[2] LARP – Live Action Role-Playing Game – gra fabularna lub przygodowa rozgrywana na żywo w terenie; OLARP to u autora taka właśnie gra wspomagana ponadto siecią, stąd O od Online (przyp. tłum.).

[3] Chodzi o szkocki parlament, zapewne przebudowywany z okazji niepodległości (przyp. tłum.).

[4] Gezellig – holenderskie słowo oznaczające „przytulny”, „przyjemny”, itp. niekiedy uznawane za kwintesencję holenderskiej kultury (przyp. tłum.).

[5] Christopher Brookmyre – szkocki pisarz, którego specjalnością są kryminały o lekko komediowo-satyrycznym zabarwieniu (przyp. tłum.).

[6] LCN – Low Copy Number – technika identyfikacji genetycznej, pozwalająca uzyskać identyfikację na podstawie ekstremalnie małej próbki, rzędu paru komórek (przyp. tłum.).

[7] Noob, nup, nubek – gracz nowy, niedoświadczony, często zachowujący się w sposób denerwujący dla innych graczy (przyp. tłum.).

[8] CAMRA – Campaign For Real Ale – brytyjskie stowarzyszenie zajmujące się propagowaniem tradycyjnego brytyjskiego *ale* oraz kultury pubów; przyznaje także corocznie nagrody oraz publikuje rankingi pubów i piw (przyp. tłum.).

[9] Enpec (ang. NPC – non-player character) – bohater niezależny, postać, którą nie kieruje żywy gracz, lecz sama gra (przyp. tłum.).

[10] Cziter, cheater – gracz, który oszukuje, często za pomocą dodatków do gry (cheatów), na przykład ułatwiających celowanie, dających nieśmiertelność, itd. (przyp. tłum.).

[11] Nerf, nerfować lub nerfic – NERF to marka zabawek, strzelających nieszkodliwymi pociskami z gąbki; stąd w grach zaczęto tak określać znaczne osłabienie przez twórców lub administratorów gry (lub hackerów jak tutaj) jakiegś broni lub mocy magicznych jakiegś bohatera (przyp. tłum.).

[12] God mode – przewidziany przez twórców gry tryb, w którym postać zyskuje dodatkowe moce: nieśmiertelność, przechodzenie przez ściany, nieskończoną amunicję, itd. Często można M uzyskać przez wpisanie specjalnego kodu lub naciśnięcie określonej kombinacji klawiszy. Po polsku często określany potocznie - „nieśmiertelnością”, w powieści jednak chodzi o inne aspekty „trybu boga” (przyp. tłum.).

[13] Manczkin, munchkin – gracz, który gra maksymalnie rozwiniętą, „odpasioną” postacią, szczególnie jeśli zdobył te cechy za pomocą manipulacji regułami gry i ogólnie „kombinowania” (przyp. tłum.).

[14] *Man from U.N.C.L.E.* – amerykański serial sensacyjny z lat 60., o fikcyjnej agencji wywiadowczej U.N.C.L.E. Skrót francuskiej organizacji, ONCLE, także oznacza „wujka”, stąd nawiązanie (przyp. tłum.).

[15] Ian Blair – szef londyńskiej Policji Metropolitalnej w latach 2005-2008, którego pośrednią przyczyną ustąpienia było zastrzelenie przez policjantów Jeana de Menezes, wziętego omyłkowo za zamachowca-samobójcę (przyp. tłum.).

[16] Wiersz *Antigonish* amerykańskiego poety Hughesa Mearnsa (przyp. tłum.).

[17] 7 lipca 2005 – data czterech skoordynowanych samobójczych zamachów bombowych w Londynie, trzech w metrze i jednego w autobusie. Zginęło w nich 56 osób, rannych zostało około 700 (przyp. tłum.).

[18] W Cheltenham znajduje się siedziba GCHQ, brytyjskiego wywiadu sygnałowego, w budynku w kształcie obwarzanka (przyp. tłum.).

[19] SCADA – ogólne określenie komputerowych systemów nadzorowania i sterowania maszynami i urządzeniami w zakładach przemysłowych, infrastrukturalnych (np. wodociągi, energetyka), itd. (przyp. tłum.).

[20] Ken Thompson – amerykański pionier informatyki, mający wielki wpływ na rozwój tej dyscypliny; jest też pierwowzorem stereotypu „brodatego informatyka” (przyp. tłum.).